

Ross
MACDONALD
Chłód





Ross Macdonald uchodził za najwybitniejszego amerykańskiego autora powieści detektywistycznych. Był mistrzem precyzyjnie skonstruowanej intrygi. Jego nasycona psychologiczną głębią twórczość daleko wykraczała poza granice gatunku, stanowiąc inspirację dla wielu sław współczesnej prozy kryminalnej, jak Jonathan Kellerman, James Ellroy i Harlan Coben. Bohater Macdonalda, prywatny detektyw Lew Archer, znalazł idealnego odzwórce w Paulu Newmanie, który zagrał go w ekranizacjach **Ruchomego celu** i **Basenu topielców**.

CHŁÓD

Prywatny detektyw Lew Archer zostaje wynajęty przez młodego męża do odnalezienia żony, która zniknęła dzień po ślubie. Wykonanie zadania zajmuje mu kilkanaście godzin, ale przy okazji wplątuje się w zabójstwo innej kobiety, Helen Haggerty – zbrodnię, o którą jest podejrzana odnaleziona przez niego dziewczyna. Czując wyrzuty sumienia, gdyż wcześniej zignorował prośbę Helen o pomoc, podejmuje własne śledztwo. Tropcy wiodą w przeszłość – do dwóch nierozwikłanych morderstw popełnionych przed dziesięcioma i dwudziestoma laty...

ISBN 83-7359-186-9



9 788373 591868

Ross

MACDONALD

Chłód

Z angielskiego przełożył PAWEŁ KOROMBEL

WARSZAWA 2004

Tytuł oryginału: THE CHILL

Copyright© Ross Macdonald 1963 (renewed 1991)

Copyright © for the Polish edition

by Wydawnictwo Albatros A. Kurylewicz 2004

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Kolejowa
15/17. 01-217 Warszawa tel./fax (22)-631-4832.
(22)-632-9155. (221-535-0557
www.olesiejuk.pl/www.oranuis.pl

Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy
Kościuszki 38/3. 80-445 Gdańsk tel. (58)-520-
3557. fax (58)-344-1338

Sprzedaż wysyłkowa

Internetowe księgarnie wysyłkowe:

www.merlin.pl

www.książki.wp.pl

www.vivid.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ

adres dla korespondencji:
skr. poczt. 55. 02-792 Warszawa 78

Warszawa 2004. Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: WZDZ — Drukarnia Lega. Opole

R. W. Lidowi
poświęcam

ROZDZIAŁ 1

Nieszczelne czerwone story sali rozpraw przepuszczały słońce. Cytrynowy blask wlewał się szparami, łagodził światło żarówek pod wysokim sufitem i wydobywał banalne detale: kształt automatu z zimną wodą obok ławy przysięgłych, karmin lakieru na paznokciach palców stenotypistki, biegających po klawiszach maszyny, błysk przebiegłych, wlepionych we mnie zza stołu obrony oczu pani Perrine.

Dochodziło południe drugiego i końcowego dnia rozprawy. Byłem ostatnim świadkiem obrony. Adwokat już mi podziękował. Zastępca prokuratora powiatowego nie wziął mnie w ogień krzyżowych pytań i kilku przysięgłych spojrzało na niego z dezaprobatą, zaskoczonych i zgorszonych. Sędzia oznajmił, że jestem wolny.

Z miejsca dla świadka zwróciłem uwagę na młodego mężczyznę w pierwszym rzędzie publiczności. Nie należał do stałych obserwatorów rozpraw sądowych, grona gospodyń domowych i emerytów zapelniających puste przedpołudnia kłopotami innych ludzi. Ten człowiek miał własne kłopoty. Jego zasepione spojrzenie wisało na mojej twarzy i miałem niezbyt miłe przeczucie, że jest skłonny podzielić się nimi ze mną.

Kiedy opuszczałem podium, wstał i zaczepił mnie przy drzwiach.

— Panie Archer, mogę z panem pomówić?

—W porządku.

Woźny sądowy otworzył drzwi i przepędził nas na zewnątrz.

—Na korytarz, dżentelmeni. Rozprawa trwa.

Wyszliśmy. Młody człowiek skrzywił się, patrząc na automatycznie zamykające się drzwi.

—Nie lubię, kiedy przestawia się mnie jak mebel.

—Nie nazwałbym tego przestawianiem. Co cię gryzie przyjacielu?

Nie należało go pytać. Należało pośpiesznie skierować się do auta i wrócić do Los Angeles. Ale w jego poczciwie patrzących oczach przeciętnego Amerykanina, który muchy by nie skrzywdził, szklila się udręka.

—Najpierw spotkał mnie cały szereg grubiaństw ze strony miejscowych władz, po czym wyrzucono mnie z biura szeryfa. Nie przywykłem do takiego traktowania.

—Nie trzeba brać tego tak do siebie.

—Jest pan detektywem z doświadczeniem, prawda? To dało się słyszeć, kiedy pan mówił. Tak przy okazji, świetnie się pan przysłużył pani Perrine. Jestem pewien, że zostanie uniewinniona.

—Zobaczmy. Nigdy nie obstawiaj głosowania ławy przysięgłych. — Nie ufałem jego komplementom; świadczyły, że chce ode mnie czegoś konkretnego. Rozprawa, w której zeznawałem, kończyła wlokącą się nieciekawą sprawę i korciło mnie, żeby wyskoczyć na ryby do La Paz. — To wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

—Mam dużo do opowiedzenia, byle tylko mnie pan wysłuchał. Moje życie straciło sens. Żona mnie zostawiła.

—Jeśli szukasz kogoś, kto by znalazł dowody zdrady małżeńskiej, żebyś mógł wystąpić o rozwód, to trafiłeś na niewłaściwego człowieka.

—Rozwód? — Drgnął gwałtownie, jakby wstrząsnął nim głuchy, bezgłośny śmiech. — Byłem żonaty tylko jeden dzień... niecały dzień. Wszyscy, z ojcem na czele, wciąż mi powtarzają, że powinienem wystąpić o unieważnienie małżeństwa. Ale ja nie chcę ani unieważnienia, ani rozwodu. Chcę, żeby wróciła.

—Gdzie jest twoja żona?

— Nie wiem. — Trzęsącymi się rękami zapalił papierosa. — Dolly zostawiła mnie w połowie miodowego weekendu, dzień po ślubie. Może spotkało ją jakieś nieszczęście.

— A może zdecydowała, że nie chce być zamężna albo chce, tyle że nie z tobą. Takie rzeczy się zdarzają.

— To właśnie w kółko powtarza policja: takie rzeczy się zdarzają. Jakby to mogło mnie pocieszyć! Nieważne, wiem, że nie w tym sprawa. Dolly kochała mnie i ja ją kochałem... Kocham.

Powiedział to z wielkim naciskiem, z całą mocą swojej natury. Nie znałem tej jego natury, ale wyczuwałem w nim wrażliwość i uczuciowość, więcej uczuciowości, niż był w stanie udźwignąć.

— Nie powiedziałaś, jak się nazywasz.

— Przepraszam. Jestem Kincaid. Alex Kincaid.

— Gdzie pracujesz?

— Ostatnio nie za wiele pracowałem, od kiedy Dolly... od kiedy ta sprawa się wydarzyła. Teoretycznie byłem zatrudniony w spółce Channel Oil. Mój ojciec jest dyrektorem biura w Long Beach. Może pan o nim słyszał. Frederick Kincaid.

Nie słyszałem. Woźny otworzył drzwi sali rozpraw i przytrzymał je. Sąd ogłosił przerwę na lunch i przysięgli przedefilowali przed nami z powagą, w dalszym ciągu celebrując rytuał rozprawy. Alex Kincaid obserwował ich z taką miną, jakby szli rozpatrywać sprawę, w której był oskarżonym.

— Tu nie da się rozmawiać — powiedział. — Pozwoli pan, że postawię panu lunch.

— Możemy iść na lunch. Ale każdy płaci za siebie. — Nie chciałem żadnych zobowiązań, przynajmniej póki nie usłyszę, co ma mi do powiedzenia.

Restauracja była po drugiej stronie ulicy. Główną salę wypełniał dym i gwar rozmów. Nakryte płótnem w czerwoną szachownicę stoliki były zajęte co do jednego, głównie przez pracowników sądu, adwokatów, kuratorów sądowych i podwładnych szeryfa. Chociaż Pacific Point znajdował się pięćdziesiąt mil na południe od mojego rewiru, rozpoznałem kilkanaście osób na sali.

Poszliśmy do baru; w mrocznym kącie była para wolnych stołków. Alex zamówił podwójną szkocką z lodem. Poszedłem w jego ślady. Wychylił szklaneczkę do dna, jak lekarstwo, i natychmiast zamówił drugą kolejkę.

— To się nazywa tempo. Zwolnij.

— Chce mi pan mówić, co mam robić? — spytał głośno i napastliwie.

— Mam zamiar wysłuchać tego, co masz mi do powiedzenia. Chcę, żebyś był w stanie to zrobić.

— Myśli pan, że jestem alkoholikiem czy co?

— Myślę, że jesteś kłębkim nerwów. Kłębek nerwów podlany alkoholem to zarodek nieszczęścia. Może niepotrzebnie gadam, ale przestań zgrywać twardziela. Jeszcze ktoś sprowadzi cię na ziemię, co może okazać się bardzo bolesne.

Chwilę siedział ze zwieszoną głową. Twarz mu błyszczała i zaczął lekko drżeć.

— Nie jestem sobą, nie ma co. Nie spodziewałem się, że coś takiego mi się przytrafi.

— Pora opowiedzieć, co ci się przytrafiło. Może zaczniesz od początku?

— Znaczy się od tego, jak wyszła z hotelu?

— Niech będzie. Zaczynj od hotelu.

— Zatrzymaliśmy się w Surf House — powiedział — w samym Pacific Point. Tak naprawdę to hotel nie na moją kieszeń, ale Dolly chciała się przekonać, jak w nim jest... nigdy nie zakosztowała takich luksusów. Pomyślałem sobie, że trzydniowy weekend jeszcze mnie nie zrujnuje. To był weekend w święto pracy*. Poprosiłem o urlop i wzięliśmy ślub w sobotę, żeby mieć przynajmniej trzy dni tylko dla siebie.

— Gdzie wzięliście ślub?

— W Long Beach, cywilny.

— To brzmi tak, jakbyście nagle wpadli na ten pomysł.

— Pewnie po części. Nie znaleźmy się zbyt długo. Faktycznie ma pan rację, to Dolly chciała brać ślub. Niech pan nie myśli, że ja nie chciałem.

*Amerykańskie święto pracy, pierwszy poniedziałek września.

Ale rodzice uważali, że powinienem trochę poczekać, najpierw kupić dom, urządzić go i tak dalej. Oni woleli ślub kościelny. Dolly wołała cywilny.

— A jej rodzice?

— Nie żyją. Nie ma żadnych krewnych. — Powoli podnosił głowę, aż napotkał mój wzrok. — Tak twierdzi.

— Mówisz, jakbyś w to wątpił.

— Nie całkiem. Tylko nie rozumiem, czemu się tak denerwowała, kiedy ją pytałem o rodziców. To normalne, że chciałem ich poznać, ale ona mówiła, że wtykam nos w nie swoje sprawy. W końcu powiedziała, że cała jej rodzina nie żyje, zginęła na miejscu w wypadku samochodowym.

— Gdzie?

— Nie wiem. Właściwie to nie wiem zbyt dużo o swojej żonie. Poza tym, że to cudowna dziewczyna — dodał w przypływie lojalności, popartej nieco whisky. — Jest piękna, inteligentna, dobra i wiem, że mnie kocha. — Tak to recytował, jakby za pomocą pobożnych życzeń mógł kształtować rzeczywistość.

— Jakie miała nazwisko panieńskie?

— McGee. Dolly McGee. Naprawdę ma na imię Dorothy. Pracowała w bibliotece uniwersyteckiej, a ja byłem na letnim kursie zarządzania...

— Tego lata?

— Zgadza się. — Przełknął ślinę i zadygotało mu jabłko Adama, w głosie zdrztał smutek. — Zналиśmy się przed ślubem sześć tygodni... sześć i pół. Ale spotykaliśmy się każdego dnia.

— Coście robili?

— Nie rozumiem, jakie to mogłoby mieć znaczenie.

— Może mieć. Próbuję ustalić, jakie miała nawyki.

— Ona nie miała złych nawyków, jeśli tego pan szuka. Nigdy nie pozwalała mi się napić, kiedy wychodziliśmy. Nie przepadała za kawiarniami czy za kinem. Była... była bardzo poważną dziewczyną. Przez większą część czasu rozmawialiśmy.... rozmawialiśmy i spacerowaliśmy. Zeszliśmy całe zachodnie Los Angeles.

— O czym rozmawialiście?

—O sensie życia — powiedział, jakby to rozumiało się samo przez się. — Chcieliśmy ułożyć plan, jak żyć w małżeństwie, jak wychowywać dzieci. Dla Dolly najbardziej liczyły się dzieci. Chciała wychować je na porządnym ludzi. Uważała, że bycie uczciwym człowiekiem jest ważniejsze niż dobra materialne, i tak dalej. Nie chcę pana tym wszystkim nudzić.

—Nie nudzisz mnie. Rozumiem, że była całkowicie szczerą?

—Była szczerą jak nikt na świecie. Przysięgam. Tak naprawdę to chciała, żebym zrezygnował z pracy, wrócił na studia i zrobił magisterium z humanistyki. Uważała, że nie powinienem brać pieniędzy od rodziny. Była gotowa dalej pracować, żebym tylko skończył studia. Ale kiedy zdecydowaliśmy się na małżeństwo, zrezygnowaliśmy z tego pomysłu.

—Nie złapała cię na dziecko?

Popatrzył na mnie kamiennym wzrokiem.

—Żadne z nas nigdy nie stosowało nieczystych zagrywek. Więcej, my nawet nie... to znaczy, nawet nie tknąłem jej w noc poślubną. Surf House i Pacific Point chyba trochę ją przytłaczały, chociaż sama chciała tu przyjechać. No więc zdecydowaliśmy się na jakiś czas odłożyć kontakty fizyczne. W dzisiejszych czasach wiele par tak robi.

—Jaki Dolly ma stosunek do seksu?

—Zdrowy. Rozmawialiśmy o tym bardzo szczerze. Jeśli pan myśli, że zostawiła mnie, bo bała się kontaktów fizycznych, bardzo się pan myli. To niesamowicie ciepła osoba.

—Więc w takim razie czemu cię zostawiła, Alex?

Ból, prawie stale goszczący w jego oczach, zgęstniał jeszcze bardziej.

—Nie udało mi się tego ustalić. W każdym razie między nami wszystko było w jak najlepszym porządku. To pewnie sprawka tego człowieka z brodą.

—Skąd on się wziął?

—Zjawił się w hotelu tamtego popołudnia... tego dnia, kiedy ona znikła. Ja poszedłem popływać w oceanie i potem zasnąłem w słońcu, na plaży. Pewnie nie było mnie w pokoju kilka godzin. Kiedy wróciłem, ona już znikła, z torebką i bagażami.

Recepcjonista powiedział, że zanim wyszła, przez godzinę miała gościa w naszym pokoju, mężczyznę z siwą bródką.

— Znasz jego nazwisko?

— Nie przedstawiał się.

— Czy wyszedł razem z twoją żoną?

— Recepcjonista powiedział, że nie. Tamten wyszedł pierwszy. Potem Dolly wzięła taksówkę na stację autobusową, ale chyba nie kupiła biletu. Nie kupiła też biletu na pociąg ani na samolot. Nie miała samochodu. Więc wydaje mi się, że wciąż jest tutaj, w Pacific Point. Nie mogła pójść autostradą.

— Mogła pojechać autostopem.

— To nie w stylu Dolly.

— Gdzie mieszkała przed ślubem?

— W Westwood, w pokoju umeblowanym. Zrezygnowała z niego i w sobotę przed południem, tuż przed ślubem, przewieźliśmy jej maszynę do pisania i resztę rzeczy do mojego mieszkania. Wszystkie te kłamoty wciąż tam leżą i to, że ich nie odebrała, też bardzo mnie martwi. Przetrasnąłem je dokładnie, szukałem wskazówki, co robić, ale nie znalazłem żadnych śladów... niczego, co by mi pomogło.

— Czy myślisz, że planowała wyjść za ciebie, a potem cię rzucić?

— Nie. Jaki miałyby w tym cel?

— Nasuwa się kilka możliwości. Na przykład, czy jesteś ubezpieczony na wysoką sumę?

— Tak. Tato ubezpieczył mnie, kiedy się urodziłem. Ale to on jest beneficjentem.

— Czy twoja rodzina jest zamożna?

— Bez przesady. Tato żyje na poziomie, ale ciężko na to pracuje. W każdym razie nie ma mowy, żeby Dolly była oszustką. Jest uczciwa do szpiku kości i wcale nie zależy jej na pieniądzach.

— A na czym jej zależy?

— Wierzyłem, że na mnie — powiedział, spuściwszy głowę. — Wciąż w to wierzę. Musiało na nią spaść jakieś straszne nieszczęście. Takie, że straciła zmysły.

— Czy bywała niezrównoważona psychicznie?

Rozważył pytanie i odpowiedź.

— Nie sądzę. Miewała złe nastroje. Ale nie gorsze niż większość ludzi. Mówiłem ot, tak sobie.

— W porządku, mów ot, tak sobie. Nie wiadomo, co może okazać się ważne. Oczywiście szukałeś jej?

— Robiłem, co mogłem. Ale w gruncie rzeczy bez pomocy policji człowiek jest bezradny. A oni tylko zapisują, co mówię, na jakichś świstkach, odkładają je do szuflady i posyłają mi litościwe spojrzenia. Chyba myślą, że w noc poślubną odkryła jakiś mój haniebnny sekret.

— A nie ma w tym ziarnka prawdy?

— Nie! Szalejemy za sobą. Dziś rano starałem się to powiedzieć seryfowi. Rzucił mi jedno z tych znaczących, obleśnych spojrzeń i powiedział, że nie może przystąpić do działania, póki nie znajdzie żadnego dowodu potwierdzającego naruszenie prawa. Spytałem go, czy zaginięcie kobiety to nie dowód, a on powiedział, że nie. Jest wolna, ma dwadzieścia jeden lat, odeszła z własnej woli i nie mam prawa zmuszać jej do powrotu. Radził mi zająć się unieważnieniem małżeństwa. Powiedziałem mu, co może zrobić z takimi radami, a wtedy on rozkazał swoim przydupasom wyrzucić mnie z biura. Dowiedziałem się, że zastępca prokuratora jest w sądzie, i czekałem na niego, żeby złożyć skargę, i wtedy usłyszałem pana składającego zeznania.

— Więc nikt cię do mnie nie skierował?

— Nie, ale mogę opowiedzieć panu więcej o sobie. Ojciec...

— Już wspominałeś o swoim ojcu. Pewnie też uważa, że powinien wystąpić o unieważnienie małżeństwa.

Alex z boleścią pokiwał głową.

— Tato myśli, że tracę czas na dziewczynę, która nie jest tego warta.

— Może ma rację.

— Kompletnie się myli. Dolly jest jedyną kobietą, którą kochałem i którą będę kochał. Jeśli pan mi nie pomoże, znajdę kogoś innego na pańskie miejsce!

Podobał mi się jego upór.

— Sporo kosztują. Sto dziennie plus kosztą.

— Mam dość, żeby zapłacić panu przynajmniej za tydzień. — Sięgnął po

portfel i tak mocno walnął nim o bar, że barman zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem. — Chce pan zaliczkę?

— Nie ma pośpiechu — powiedziałem. — Masz zdjęcie Dolly?

Wyjął z portfela wycinek z gazety i podał mi go z ociąganiem, jakby to był jakiś skarb nie do oszacowania. Pewnie rozkładał go i składał wiele razy; świadczyły o tym liczne przetarcia. Wycinek zawierał tekst i reprodukcję fotografii.

„Wśród szczęśliwych młodych małżeństw spędzających poślubny weekend w Surf House — głosił podpis pod zdjęciem — są pan i pani Alexandrostwo Kincaidowie z Long Beach”. Alex i jego młoda żona uśmiechali się do mnie w mętym świetle. Ona miała uroczą okrągłą twarzyczkę i spojrzenie osoby nieobnoszącej się ze swoją inteligencją, za to wyrażające cierpkie poczucie humoru.

— Kiedy je zrobiono?

— W sobotę, trzy tygodnie temu, kiedy przyjechaliśmy do Surf House. Robią fotografie każdemu. Naszą wydrukowali w niedzielnym porannym wydaniu. Chwała Bogu, że ją wyciąłem. To jedyne zdjęcie Dolly, jakie mam.

— Możesz zamówić odbitki.

— U kogo?

— U tego, kto zrobił to zdjęcie.

— Że też na to nie wpadłem. Pójdę z tym do hotelowego fotografa. Jak pan myśli, ile zamówić?

— Co najmniej dwa lub trzy tuziny. Lepiej za dużo niż za mało.

— To będzie kosztować.

— Wiem. I ja też.

— Próbuje się pan wymigać od roboty?

— Nie potrzebuję jej, za to przydałoby mi się odpocząć.

— To do diabła z panem.

Nadal trzymałem wycinek, więc chciał mi go wyrwać. Marny papier rozerwał się. Patrzyliśmy na siebie jak wrogowie, każdy ze swoją połówką wizerunku szczęśliwych młodożeńców.

Alex wybuchnął płaczem.

ROZDZIAŁ 2

Podczas lunchu zgodziłem się pomóc mu odnaleźć żonę. Obietnica i kurczak w cieście sprawiły, że rozpogodził się i wcinał łąpczywie. Pewnie nie pamiętał, kiedy ostatni raz miał coś w ustach.

Udaliśmy się do Surf House, każdy własnym samochodem. Hotel stał nad morzem w dobrej dzielnicy miasta; jego hiszpańskie ogrody były upstrzone bungalowami wynajmowanymi po sto dolarów za dobę. Szerokie, ozdobione zielenią schody opadały tarasowo do prywatnej przystani. Między pomostami kołysały się jachty i łodzie motorowe. W oddali, za rogalem cypla, który nadał Pacific Point imię, białe żagle napierały na niski, szary mur mgły.

Recepcjonista w ciemnym wełnianym garniturze był bardzo uprzejmy, ale okazało się, że to nie on miał zmianę w tamtą niedzielę, która mnie interesowała. Latem zastępował go student, który już wrócił do swojego college'u na wschodnim wybrzeżu. Przykro mu, ale nic nie wie o brodatym gościu pani Kincaid ani o tym, dlaczego nagle opuściła hotel.

— Chciałbym się zobaczyć z fotografem hotelowym. Kręci się tu dzisiaj?

— Tak, proszę pana. Pewnie jest na dworze, przy basenie.

Znaleźliśmy go. Był chudym żwawym człowieczkiem z ciężkim aparatem

huśtającym się na szyi, ubranym w ciemny garnitur z kamizelką. Wśród gości w kolorowych strojach plażowych i kostiumach kąpielowych wyglądał jak przedsiębiorca pogrzebowy. Z przejściem obfotografowywał kobietę w średnim wieku, wyglądającą dość komicznie w bikini. Jej rozlazły obnażony pępek przypominał pusty oczodół.

Kiedy fotograf skończył swoje koszmarne zajęcie, odwrócił się z uśmiechem do Alexa.

— Cześć. Jak tam żonka?

— Nie widziałem jej ostatnio — odparł ponuro Alex.

— To nie wyście spędzali tu miesiąc miodowy kilka tygodni temu? Nie robiłem wam zdjęcia?

Alex zapadł w milczenie. Patrzył na tłum roznegliżowanych wczasowiczów niczym upiór, próbujący sobie przypomnieć, jak to jest być człowiekiem. Powiedziałem:

— Chcielibyśmy dostać parę odbitek tego zdjęcia. Pani Kincaid zaginęła. Jestem prywatnym detektywem. Nazywam się Archer.

— Fargo. Simmy Fargo. — Obdarzył mnie krótkim uściskiem dłoni i spojrzeniem jak mrugnięcie migawki. — Jak to zaginęła? Co się jej przytrafiło?

— Sami tego nie wiemy. Drugiego września opuściła hotel taksówką. Od tej pory mąż jej szuka.

— Bolesna sprawa — mruknął Fargo. — Pewnie chcielibyście puścić odbitki w obieg. Ile wam trzeba?

— Trzy tuziny?

Gwizdnął i klepnął się w wąskie, pomarszczone czoło.

— Czułem, że szykuje się ciężki weekend, i miałem nosa. Jest piątek. Mogę wam trachnąć te fotki na poniedziałek. Ale pewnie przydałyby się na wczoraj?

— Wystarczy na dziś.

— Przykro mi. — Wzruszył ramionami; aparat podskoczył mu na pierśsiach.

— To ważne, Fargo. Co by pan powiedział, gdybyśmy obniżyli wymagania do tuzina, za dwie godziny?

— Chciałbym wam pomóc. Ale mam robotę. — Powoli, jakby wbrew sobie, odwrócił się i spojrzał na Alexa — Powiem wam, co zrobię. Zadzwońię do

żony i ona trachnie wam te fotki. Tylko nie wystawcie mnie do wiatru jak tamten facet.

— Jaki tamten? — spytałem.

— Wielgachny facet z brodą. Zamówił odbitkę tego samego zdjęcia i w ogóle się więcej nie pokazał. Jak chcecie, dam ją wam od ręki.

Alex obudził się z transu. Złapał Fargo za ramiona i potrząsnął nim.

— Więc widział go pan. Kto to jest?

— Myślałem, że może go znacie. — Fargo uwolnił się z uścisku i cofnął o krok. — Tak po prawdzie, wydawał mi się znajomy. Przysiągłbym, że kiedyś robiłem mu zdjęcie. Ale nie mogłem go skojarzyć. Za dużo gąb się tu przewija.

— Przedstawił się?

— Musiał. Nie przyjmuję anonimowych zamówień. Zobaczę, może znajdę wam jego nazwisko, he?

Poszliśmy za nim do hotelu, labiryntem korytarzy do zagraconej ślepej kłitki. Zadzwoił do żony, a potem pogrzebał w stosie papierów na biurku i wyciągnął z niego kopertę. W środku, między dwoma kartonikami marszczonego papieru, była błyszcząca odbitka. Na kopercie napisano ołówkiem: „Chuck Begley. Piwnica Win”.

— Teraz pamiętam — stwierdził Fargo. — Mówił mi, że pracuje w Piwnicy Win. To monopolowy niedaleko stąd. Kiedy Begley się nie zgłosił, zadzwoniłem tam. Oświadczyli, że już u nich nie pracuje. — Powiódł po nas wzrokiem. — To Begley coś wam mówi?

Powiedzieliśmy, że nie.

— Może go pan opisać, Fargo?

— Mogę opisać to, czego nie zakrywała szczecina, znaczy się broda. Włosy miał tak samo siwiejące jak broda, bardzo gęste i kędzierzawe. Siwe brwi, szare oczy, prosty nos, łuszczący się od słońca. Nie prezentował się źle jak na starszego faceta, tylko zęby miał zaniedbane. I chyba w swoim czasie parę razy zaliczył niezły łomot. Ale osobiście nie chciałbym mu podpaść. To wielki facet i wyglądał na bardzo nieokrzesanego.

— Jak wielki?

— Trzy, cztery cale wyższy ode mnie. To znaczy, że miałby sześć stóp i cal albo dwa. Nosił sportową koszulę z krótkimi rękawkami i zauważyłem, że był mocno umięśniony w ramionach.

— Jak się wystawiał?

— Normalnie. Ani jak gość po Harvardzie, ani jak człowiek z ulicy.

— Mówił, po co mu to zdjęcie?

— Tłumaczył, że z przyczyn sentymentalnych. Kiedy zobaczył je w gazecie, przypomniało mu kogoś. Pewnie nielicho mu na nim zależało. Gazeta wyszła w niedzielę rano, a on był u mnie już koło południa.

— Zaraz potem musiał spotkać się z twoją żoną — powiedziałem Alexowi. Zwróciłem się do Fargo: — Dlaczego gazeta wykorzystwała właśnie to zdjęcie?

— Podrzuciłem im cały plik. Nie mam pojęcia, czemu wzięli to, a nie inne. Press często wykorzystuje moje zdjęcia, bo pracowałem dla nich. — Uniósł zdjęcie do jarzeniowej lampy, a potem podał mi. — Dobrze wyszło, pan Kincaid i jego żona są ładną parą.

— Bardzo dziękuję — ironicznie skwitował tę uwagę Alex.

— To był komplement, przyjacielu.

— Ależ oczywiście.

Wziąłem odbitkę z rąk Fargo i wyprowadziłem Alexa z pracowni, zanim zrobiła się dla niego za ciasna. Wzbierał w nim gorzki żal, który łatwo zamieniał się w gniew. To nie był tylko żal za jednodniową żoną, żałował również siebie. Chyba nie wiedział, czy jest mężczyzną, czy nie.

Nie mogłem winić go za to, co czuł, ale przeszkadzał mi w pracy. Kiedy w szeregu moteli kilka przecnic wcześniej znalazłem Piwnicę Win, zostawiłem go w jego czerwonym sportowym autku.

W sklepie z alkoholem panował przyjemny chłód. Byłem jedynym potencjalnym klientem i sprzedawca wyszedł mi na przywitanie.

— Czy mogę służyć szanownemu panu?

Nosił gładką kamizelkę, miał trochę bełkotliwy głos, rozmazany wzrok i zaczerwienione oblicze człowieka, który pije od rana do późnej nocy.

— Chciałbym zobaczyć się Chuckiem Begleyem.

Zrobił zboląłą, urażoną minę i rzekł tonem pełnym rozżalenia:

— Musiałem zwolnić Chucka. Jeździł z dostawami i nie zawsze trafiały, gdzie powinny.

— Jak dawno go pan zwolnił?

— Kilka tygodni temu. Pracował u mnie tylko miesiąc. Nie nadawał się do tego rodzaju pracy. Mówiłem mu nieraz, że to nie na jego zdolności. Chuck Begley to całkiem bystry człowiek, trzeba tylko, żeby się doprowadził do porządku, wie pan.

— Nie wiem.

— Myślałem, że jest pan jego znajomym.

Pokazałem mu odbitkę swojej licencji.

Chuchnął mi w twarz miętą.

— Policja go ściga?

— Może. Dlaczego pan tak myśli?

— Kiedy się u mnie pojawił, zastanawiałem się, dlaczego człowiek jego pokroju bierze zajęcie posłańca na niepełny etat. Za co go ścigają?

— Nie mam pojęcia. Może mi pan podać jego adres domowy?

— Chyba tak. — Podrapał się po pożyczowanym nosie, obserwując mnie spod oka. — Niech pan nie mówi Begleyowi, że dałem panu namiar. Nie chcę, żeby potem się na mnie wyżył.

— Nie powiem mu.

— Przesiaduje masę czasu u jednej mojej klientki. Można by powiedzieć, że ma u niej darmową gościnę. Za żadne skarby nie chciałybym przysporzyć jej kłopotów. Ale z drugiej strony — rozmyślał na głos — skoro Begley jest ścigany, to wyświadczam jej przysługę, pomagając go ująć. Mam rację?

— Możliwe. Gdzie mieszka ta pani?

— Przy Shearwater Beach siedemnaście. Nazywa się Madge Gerhardi. Pojedzie pan na południe autostradą. Po jakichś dwóch milach będzie zjazd na Shearwater. Tylko niech pan nie mówi jej ani jemu, że to ja pana wysłałem. Może być?

— Może. — Zostawiłem go z jego butelkami.

ROZDZIAŁ 3

Zaparkowaliśmy auta przed podjazdem i przekonałem Alexa, żeby się nie pokazywał i poczekał na mnie. Shearwater Beach okazało się czymś w rodzaju drogich slumsów, szeregiem kilkudziesięciu wolno stojących domków. W wąskich prześwitach między nimi migotały niebieskie refleksy. Za spiczastymi dachami, daleko nad wodą, rozpostarła połyskujące skrzydła rybitwa; krążyła, szukając żeru.

Numer siedemnasty prosił się o farbę, wsparty na palach jak inwalida na kulach. Zastukałem w łuszczące się szare drzwi. Z drugiej strony rozległo się powolne szuranie, jakby odgłos wleczonego ciała. Drzwi otworzył brodaty mężczyzna.

Miał około pięćdziesiątki. Nosił czarną, rozpiętą pod szyją koszulę, z której sterczała głowa jak kamień wygładzony przez deszcze i wiatry. Słońce odbijało mu się w oczach jak w odłamkach miki. Paznokcie zaciśnięte na krawędzi drzwi były obgryzione do żywego mięsa. Zauważył moje spojrzenie i zwinął dłoń.

— Szukam zaginionej dziewczyny, panie Begley. — Zdecydowałem się na natarcie wprost. — Jeśli stała się ofiarą przestępstwa, być może jest pan ostatnią osobą, która widziała ją żywą.

Potań kłykciami policzek. Jego twarz z lekko nabrzmiałymi workami pod oczami i cienką szramą na skroni, rozdzielona bliznami szwów jak

odrysowanymi przy miniaturowej linijce, nosiła oznaki kłopotów, niektórych wyciśniętych pięścią. Oznaki dawnych kłopotów i zapowiedź przyszłych.

— Chybaś pan zwariował. Nawet nie znam żadnej dziewczyny.

— Znasz mnie — upomniała go kobieta stojąca za nim.

Wyłoniła się nad ramieniem mężczyzny i oparła o nie, czekając na kogoś, kto poparłby to jej pochlebstwo pod własnym adresem. Była mniej więcej w wieku Begleya, a może starsza, bardzo wyzywająca, w szortach i trykocie wiązonym na szyi. Jej włosy, zniszczone wieloma farbowaniami i tlenieniami, sterczały we wszystkich kierunkach jak słomiana peruka klauna. Oczy między wypacykowanymi na granatowo powiekami miały koloryt dżinu.

— Obawiam się mocno, że pan się myli — powiedziała z wyrazistym akcentem ze wschodniego wybrzeża, z którego natychmiast zrezygnowała.

— Przysięgam na wszystkie świętości, że Chuck nie ma nic wspólnego z żadną dziewczyną. Ma swoje milutkie kochanie i świata poza nim nie widzi. — Objęła go za szyję białym pulchnym ramieniem. — Prawda, kocie?

Begley był unieruchomiony między kobietą i mną. Pokazałem mu błyszczącą odbitkę nowożeńców.

— Zna pan tę dziewczynę, prawda? Po mężu nazywa się Kincaid. Dolly Kincaid.

— W życiu o niej nie słyszałem.

— Świadkowie mówią co innego. Twierdzą, że odwiedził ją pan w Surf House trzy tygodnie temu. Zobaczył pan jej zdjęcie w gazecie i zamówił odbitkę u fotografa hotelowego.

Kobieta zacisnęła mu ramię na szyi, bardziej jak zapaśnik niż kochanka.

— Co to za jedna, Chuck?

— Nie mam pojęcia. — Ale zamruczał pod nosem: — No i znów się zaczęło.

— Co znów się zaczęło?

Ta kobieta kradła mi kwestie.

— Czy mógłbym porozmawiać z panem Begleyem na osobności? — spytałem.

— Chuck nie ma przede mną tajemnic. — Spojrzała na niego z dumą, trochę nadwątloną niepokojem. — Prawda, kocie? Zamierzamy wziąć ślub, prawda, kocie?

— Mogłabyś przestać z tym kotem? Choć na pięć minut? Dobrze?

Cofnęła się, gotowa do płaczu. Czerwone usta, wygięte w podkówkę, ułożyły się w smętny grymas klauna.

— Proszę, wracaj do środka — powiedział. — Daj mi pogadać z face-tem.

— To mój dom. Mam prawo wiedzieć, co się w nim dzieje.

— Pewnie, że masz prawo, Madge. Ale ja też mam jakieś przywileje przez zasiedzenie. Wracaj do środka i napij się kawy.

— Masz kłopoty?

— Nie. Oczywiście, że nie. — W jego głosie była jednak rezygnacja.

— Spadaj, co? Jak grzeczna dziewczynka.

To chyba wreszcie na nią podziałało. Odeszła korytarzem, marudząc i oglądając się. Begley zamknął drzwi i oparł się o nie.

— Teraz może mi pan powiedzieć prawdę — rzekłem.

— Niech będzie, poszedłem spotkać się z nią w hotelu. To był głupi impuls. Nie dowodzi, że jestem mordercą.

— Nikt tego nie sugeruje poza panem.

— Pomyślałem, że oszczędzę panu kłopotów. — Rozłożył ręce jak do natychmiastowego ukrzyżowania. — Dorozumiewam się, że jesteś pan miejscowa władza.

— Współpracuję z nimi — powiedziałem z nadzieją. — Nazywam się Archer. Nie wyjaśnił pan, w jakim celu przyszedł pan do pani Kincaid. Jak dobrze ją pan znał?

— Wcale jej nie znałem. — Opuścił ręce, podkreślając gestem słowa. Broda zasłaniała mu kąciki ust i nie wiedziałem, co wyrażają. Szare oczy były nieprzeniknione. — Myślałem, że ją znam, ale nie.

— Nie rozumiem.

— Myślałem, że to może moja córka. Na tym gazetowym zdjęciu było całkiem duże podobieństwo, dopiero na żywo przekonałem się, że się wałnałem. Człowiek może się przecież wałnać, nie? Wieki nie widziałem córki.

— Jak nazywa się pańska córka?

Zawahał się.

— Mary. Mary Begley. Nie mieliśmy kontaktu ponad dziesięć lat. Byłem poza krajem, na drugim końcu świata. — Powiedział to tak, jakby miał na myśli niewidoczną stronę księżycy.

— Pańska córka musiała bardzo młoda, kiedy ją pan opuścił.

— No. Miała dziesięć czy jedenaście lat.

— I musiał ją pan bardzo lubić — dodałem — żeby zamówić czyjeś zdjęcie tylko dlatego, że przypominało panu córkę.

— Lubilem ją.

— W takim razie czemu nie wrócił pan po to zdjęcie?

Zapadł w długie milczenie. Uświadomiłem sobie, że ten człowiek w jakiś dziwny sposób przypomina mi spokojne, starzejące się zwierzę.

— Obawiałem się, że Madge będzie zazdrosna — powiedział. — Tak się składa, że ona mnie utrzymuje.

Podjeżdżałem, że użył tego urągliwego stwierdzenia jako zasłony dymnej. Ale mógł kierować nim jakiś głębszy motyw. Niektórzy ludzie przez całe życie szukają sposobów, by ukarać się za to, że przyszli na świat. Begley nosił stygmat człowieka ściągającego na siebie kłopoty.

— Co pańskim zdaniem przydarzyło się pani Kincaid? — zapytał. Było to zimne i sztywne pytanie, wyzbyte jakiegokolwiek ciekawości.

— Miałem nadzieję, że pan coś wie na ten temat. Zaginęła prawie trzy tygodnie temu. Nie podoba mi się to. To prawda, że młode kobiety często znikają, ale nie podczas miesiąca miodowego... nie kiedy kochają swoich mężów.

— Ona go kocha, co?

— On tak myśli. Jak się czuła, kiedy się pan z nią spotkał? Czy była załamana?

— Nie powiedziałbym. Była zaskoczona moim widokiem.

— Bo nie widziała pana od bardzo dawna?

Parsknął rozdrażniony.

— Nie próbuj mnie pan łąpać za słówka. Wyjaśniłem przecież, że to nie była moja córka. Nie miała pojęcia, kim jestem.

— O czym pan z nią rozmawiał?

—Nie rozmawialiśmy. — Zamilkł na chwilę. — Może spytałem ją o parę rzeczy.

—Na przykład?

—Kto był jej ojcem. Kto matką. Skąd pochodzi. Powiedziała, że z Los Angeles. Miała na imię Dolly. Jej panięskie nazwisko było... było... zapomniałem. Jej rodzice nie żyli. To chyba wszystko.

—Sporo czasu zajęło panu wydobyć z niej tych paru informacji.

—Byłem u niej tylko pięć czy dziesięć minut, może piętnaście.

—Recepcjonista powiedział, że godzinę.

—Pomylił się.

—A może to pan się pomylił, panie Begley? Bywa, że czas mija bardzo szybko.

Uchwycił się tej wątpliwej wymówki.

—Może faktycznie zatrzymałem się dłużej, niż mi się zdawało. Teraz sobie przypominam, chciała, żebym został i poznał jej męża. — Wzrok mu nie drgnął, ale pojawiło się w nim kłamliwe lśnienie. — Nie przychodził i nie przychodził, więc sobie poszedłem.

—Czy sugerował pan, że znów ją odwiedzi?

—Nie. Nie była ciekawa mojej historii.

—Opowiedział jej pan swoją historię?

—Opowiedziałem jej o swojej córce, dokładnie tak jak panu.

—Nie rozumiem. Powiedział pan, że był pan poza krajem dziesięć lat.

Gdzie?

—Przeważnie w Nowej Kaledonii. Pracowałem tam w kopalni chromu. Zamknęli ją na wiosnę i odwieźli nas do kraju.

—I teraz szuka pan córki?

—Pewnie, że dobrze byłoby ją znaleźć.

—Żeby była druhną na pańskim weselu? — Chciałem się przekonać, jak mocne ukłucie wytrzyma.

Przyjął je bez słowa.

—Co się stało z pańską żoną?

—Umarła. — Jego wzrok drgnął. — Słuchaj pan, musimy w tym wszystkim grzebać? Człowiek zaznał już dość nieszczęść, kiedy stracił

bliskich, żeby jeszcze musiał znosić, jak ktoś je wywleka i ciska mu w twarz. — Nie potrafiłem ocenić, czy jego litość nad samym sobą była udawana; to uczucie zawsze do pewnego stopnia jest udawane.

— Bardzo panu współczuję z powodu utraty rodziny — powiedziałem. — Ale czego się pan spodziewał, opuszczając kraj na dziesięć lat?

— To nie był mój wybór. Jak by się panu podobało, gdyby został pan porwany i nie mógł wrócić?

— Taka jest pańska historia? Niezbyt prawdopodobna.

— Moja historia jest jeszcze bardziej niesamowita, ale nie będziemy w nią wchodzić. Zresztą i tak byś pan w nią nie uwierzył. Nikt inny nie uwierzył.

— Zawsze może mnie pan sprawdzić.

— To zabrałoby cały dzień. Ma pan ważniejsze rzeczy do roboty niż rozmawianie ze mną.

— Takie jak...

— Powiedział pan, że pewna młoda dama zaginęła. Ruszaj pan i znajdź ją.

— Miałem nadzieję, że mi pan pomoże. Wciąż mam tę nadzieję, panie Begley.

Opuścił wzrok na nogi. Nosił drewniane klapki.

— Powiedziałem panu wszystko, co o niej wiem. Przede wszystkim nigdy nie powinienem był chodzić do tego hotelu. Niech będzie, popełniłem błąd. Nie możecie powiesić człowieka za mały błąd w ocenie sytuacji.

— Wspomniał pan raz o morderstwie i raz o wieszaniu. Ciekaw jestem czemu.

— To tylko taki sposób wyrażania się. — Ale jego pewność siebie ulatywała dziurką po moim ukluciu. Spytał, podnosząc głos: — Myśli pan, że ją zamordowałem?

— Nie. Nie myślę. Kiedy był pan u niej, wydarzyło się albo padło w rozmowie coś takiego, co mogło popchnąć ją do nagłego wyjazdu. Niech się pan zastanowi, co by to mogło być?

Powoli, może bezwiednie, uniósł głowę i spojrział w słońce. Jego szyja była biała i pomarszczona. Sprawiało to takie wrażenie, jakby nosił maskę,

zakrywając go całkowicie przed moim wzrokiem, jak aktorzy w antycznych greckich tragediach.

— Nie. Nic takiego nie padło.

— Doszło do jakiegoś zatargu między wami?

— Nie.

— Czemu wpuściła pana do siebie?

— Pewnie była ciekawa mojej historii. Rozmawiałem z nią przez telefon z recepcji, powiedziałem, że przypomina moją córkę. To był tylko głupi impuls. Kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem, że się pomyliłem.

— Czy zrobił pan coś, żeby znowu się z nią spotkać?

— Nie. Ale chyba bym chciał.

— Czy czekał pan na nią przed hotelem albo zgodził się spotkać z nią na stacji autobusowej?

— Nie. Na czym chcesz mnie pan przyłapać? Czego pan chcesz?

— Tylko prawdy. Nie jestem usatysfakcjonowany tym, co z pana wyciągnąłem.

Powiedział w nagłym wybuchu furii:

— Wyciągnąłeś pan tyle, co... — Uświadomił sobie, że może powiedzieć coś, czego potem będzie żałował, i przełknął resztę zdania.

Potem odwrócił się i wszedł do środka, zatraskując drzwi. Poczekałem chwilę i dałem sobie spokój. Wróciłem piaszczystym podjazdem do naszych aut.

Blondynka, Madge Gerhardi, siedziała obok Alexa w jego czerwonym porsche. Alex uniósł oczy. Bił z nich blask.

— Pani Gerhardi ją widziała. Widziała Dolly.

— Z Begleyem?

— Nie, nie z nim. — Madge otworzyła drzwi i z trudem wysiadła z autka. — Byłam w warsztacie samochodowym, który specjalizuje się w serwisowaniu zagranicznych wozów. Pojechałam do nich, żeby mi przesmarowali zwrotnice w moim MG. Ta dziewczyna była tam z jakąś zgrzybiałą babą. Odjechały starym brązowym rollsem. Dziewczyna prowadziła.

— Jest pani pewna, że to ona? — Jeszcze raz pokazałem jej zdjęcie.

Pochyliła się nad nim i stanowczo kiwnęła głową.

— Jestem pewna, chyba że ma siostrę bliźniaczkę. Wpadła mi w oko, bo była olśniewająca.

— Czy wie pani, kim była tamta starsza kobieta?

— Nie, ale mechanik w warsztacie powinien panu to powiedzieć. — Podała nam adres i zaczęła się wycofywać. — Lepiej wróć do domu. Przesmyknęłam się plażą i Chuck zacznie zachodzić w głowę, gdzie się podziewam.

ROZDZIAŁ 4

Mechanik leżący na wózku pod jaguarem wytoczył się na środek warsztatu. Kiedy wstał, zobaczyłem, że to pulchny włoski typ z napisem „Mario” wyhaftowanym na kombinezonie. Entuzjastycznie pokiwał głową, gdy spytałem go o starego rollsa i starszą panią.

— To pani Bradshaw. Doglądam jej rollsa od dwunastu lat, od dnia w którym go kupiła. Jeździ jak nowy. — Spojrzał z zadowoleniem na usmarowane ręce, jak chirurg wspominający serię trudnych, ale zakończonych sukcesem operacji. — Niektóre z tych dziewcząt, co je najmuje do szoferowania, nie wiedzą, jak się obchodzić z dobrym autem.

— Znacie dziewczynę, która teraz ją wozi?

— Nie żeby z nazwiska. Pani Bradshaw ma niezły przerób tych dziewcząt do szoferowania. Przeważnie bierze je z college’u. Jej syn jest dziekanem i nie dopuszcza do tego, żeby mamuśka sama prowadziła. Reumatyzm ją pogiął i myślę, że musiała kiedyś zaliczyć niewąską krakę.

Przerwałem rozwlekłą opowieść Maria i pokazałem mu odbitkę.

— To ta dziewczyna?

— No. Była tu wtedy z panią Bradshaw. Jest nowa. Jak powiedziałem, pani Bradshaw ma niezły przerób tych swoich dziewczuszek. Lubi postawić na swoim, a te babeczki z college’u nie za bardzo chcą słuchać. Ja osobiście zawsze

się z nią dogadywałem...

— Gdzie ona mieszka?

Alex robił wrażenie niespokojnego i ten niepokój w pewnej mierze udzielił się mechanikowi.

— Czego od niej chcecie?

— Ona mnie nie obchodzi. Ale ta dziewczyna to moja żona.

— Drzecie ze sobą koty?

— Nie w tym rzecz. Muszę z nią porozmawiać.

Mario uniósł wzrok ku krytemu blachą falistą dachowi warsztatu

— Żona rozwiodła się ze mną parę lat temu. Od tamtej pory złapałem wagę. Człowiek nie ma tej samej motywacji.

— Gdzie mieszka pani Bradshaw? — spytałem.

— Przy Foothill Drive, niedaleko stąd. Skręćcie w pierwszą w prawo i dojedziecie. Możecie sprawdzić numer domu w książce telefonicznej, leży na biurku. Jest na jej syna. Roy Bradshaw.

Podziękowałem mu. Położył się na wózku i wsunął pod jaguara. Książka telefoniczna była pod telefonem, na sponiewieranym biurku w kącie. Znalazłem wpis: Roy Bradshaw, Foothill Drive 331.

— Moglibyśmy stąd zadzwonić — powiedział Alex.

— Zawsze lepiej osobiście.

Mimo terenów przygotowanych pod zabudowę i czystego przemysłu, rozwijającego się wokół, Pacific Point zachowało swoją tożsamość. Foothill Drive było obsadzone drzewami, zakurzone i w jakiś sposób bezczasowe. Ludzie mieszkali tu od dawien dawna za kamiennymi murami bez zaprawy, które przetrwały trzęsienia ziemi, lub żywopłotami, które przeżyły pokolenia ogrodników.

Wysoki cyprysowy żywopłot posesji numer 331 całkowicie zasłaniał dom od strony drogi. Skręciłem w otwartą żelazną bramę, mając Alexa za sobą. Minęliśmy małą białą stróżówkę dzielonymi drzwiami i okiennicami, zatoczyliśmy łuk podjazdem i ujrzeliśmy biały dom w kolonialnym stylu.

Kobieta w szerokim słomkowym kapeluszu, zawiązanym pod brodą, klęczała przed domem, zasłonięta do ramion kwiatami. W urękawiczonych

dłoniach trzymała nożyce. Kiedy zamilkły silniki naszych aut, tylko szcęk ostrzy naruszał ciszę.

Uniosła się niezdarnie i podeszła ku nam, upychając pod kapeluszem kosmyki siwych włosów. Była tylko starą kobietą w zabrudzonych tenisówkach, ale jej bezkształtne ciało przemieszczało się ciężko i władczo w luźnych niebieskich ogrodniczkach, jakby pamiętało, że kiedyś było silne i zgrabne. Rysy jej twarzy zapadły się pod ciężarem zmarszczek i lat, niemniej jednak czarne oczy były czujne jak ptaki lub zwierzęta, nieoczekiwani mieszkańcy ruin.

— Pani Bradshaw? — spytał skwapliwe Alex.

— Jestem Bradshaw. Czego panowie sobie życzyacie? Jak widzicie, jestem bardzo zajęta. — Zatoczyła łuk nożycami. — Nigdy nie dopuszczam nikogo do przycinania moich róż. A one i tak umierają, biedactwa. — W jej głosie zaszeleścił żal.

— Moim zdaniem są przepiękne — powiedziałem pełnym otuchy tonem. — Panu Kincaidowi i mnie jest bardzo przykro, że pani przeszkadzamy. Ale jego żona zginęła i mamy powody przypuszczać, że pracuje u pani.

— U mnie? Nie zatrudniam nikogo poza meksykańskim małżeństwem. Mój syn — dodała z odcieniem dumy — wyznacza mi skromny budżet.

— Nie ma pani panny do towarzystwa, która panią wozi?

Uśmiechnęła się.

— Zupełnie o niej zapomniałam. Pracuje tylko dorywczo. Jak jej tam? Molly? Dolly? Te dziewczęce imiona wylatują mi z głowy.

— Dolly — powiedziałem i pokazałem jej zdjęcie. — Czy to Dolly?

Zdjęła ogrodniczą rękawicę, sięgając po zdjęcie. Artretyzm wykrzywił jej palce.

— Sądzę, że tak. Ale wcale mi nie powiedziała, że jest mężatką. Gdybym wiedziała, nigdy bym jej nie najęła, to za duże obciążenie. Lubię, żeby moje małe wypadły były ściśle wedle rozkładu.

Alex przerwał ten potok gadaniny.

— Gdzie ona teraz jest?

— Skąd mogę wiedzieć? Na dziś skończyła zajęcia u mnie. Mogła pójść do college'u, a może jest w stróżówce. Pozwalam moim dziewczętom korzystać ze stróżówki. Czasem nadużywają tego przywileju, ale ta jak do tej pory tego nie zrobiła. — Czarne oczy spojrzały ostro na Alexa. — Mam nadzieję, że teraz, kiedy pan się pokazał, to się nie zmieni.

— Nie spodziewam się, żeby dalej...

Przerwałem mu pośpiesznie:

— Idź, sprawdź, czy jest w stróżówce. — Znów zwróciłem się do pani Bradshaw: — Jak długo ona jest u pani?

— Jakies dwa tygodnie. Semestr zaczął się dwa tygodnie temu.

— Czy uczy się w college'u?

— Tak. Biorę stamtąd wszystkie moje panny do towarzystwa, chyba że potrzebuję stałej opieki, jak ostatniego lata, kiedy mój syn był za granicą. Mam nadzieję, że nie stracę Dolly. Jest o wiele bystrzejsza od tych, które przeważnie mi się trafiają. Ale jeśli odejdzie, to chyba znajdą się inne. Kiedy pożyje pan tak długo jak ja, zrozumie pan, że młodzi zawsze opuszczają starych...

Odwróciła się do swoich róż, płonących w słońcu czerwienią i żółcią. Sprawiała wrażenie, jakby szukała sformułowania, którym mogłaby skończyć myśl. Nic nie przyszło jej do głowy. Zapytałem:

— Jakiego nazwiska używa?

— Uleciało mi z głowy. Zwracam się do nich po imieniu. Mój syn mógłby panu powiedzieć.

— Zastałem go w domu?

— Roy przebywa teraz w college'u. Tak się składa, że jest tam dziekanem.

— Czy ten college jest daleko stąd?

— Widać go z miejsca, w którym pan stoi.

Powykręcana dłoń zacisnęła się na moim łokciu i odwróciła mnie łagodnie. Między drzewami widniała miedziana kopuła małego obserwatorium. Starsza pani pochyliła się do mojego ucha i spytała ciekawskim tonem:

— Co wydarzyło się między pańskim młodym przyjacielem a jego żoną?
— Przyjechali tu na miesiąc miodowy i opuściła go. Próbuję się dowiedzieć, dlaczego to zrobiła.

— Co za dziwne maniery — stwierdziła. — Mnie nigdy do głowy by nie przyszło tak się zachować w czasie miesiąca miodowego, darzyłam mojego męża zbyt wielkim szacunkiem. Ale dzisiejsze dziewczęta są inne, nieprawdaż? Lojalność i szacunek znaczą dla nich tyle co nic. Czy pan jest żonaty, młody człowieku?

— Byłem.

— Rozumiem. Czy jest pan ojcem tego chłopca?

— Nie. Nazywam się Archer. Jestem prywatnym detektywem.

— Doprawdy? I co pan o tym sądzi? — Wskazała nożycami stróżówkę.

— Jeszcze nie wiem, co sądzić. Mogła go zostawić z dziewczęcym kaprysu. A może miała jakieś poważne powody. Tylko ona mogłaby to wyjaśnić. Przy okazji, pani Bradshaw, czy Dolly wspominała kiedyś o człowieku nazwiskiem Begley?

— Begley?

— Wielki mężczyzna z krótką siwą brodą. Odwiedził ją w Surf House w dniu, w którym opuściła męża. Możliwe, że to jej ojciec.

Zwilżyła pomarszczone usta purpurowym koniuszkiem języka.

— Nie wspomniała mi o nim. Nie zachęcam tych dziewcząt, by mi się zwierzały. Może powinnam.

— W jakim nastroju była ostatnio Dolly?

— Trudno powiedzieć. Ona wciąż jest taka sama. Cicha. Żyje we własnym świecie.

Pojawił się Alex. Kroczył szybko łukiem podjazdu. Miał rozjaśnioną twarz.

— To na pewno ona. Znalazłem jej rzeczy w szafie.

— Nikt nie pozwolił panu zaglądać do stróżówki — skarciła go pani Bradshaw.

— To jej dom, no nie?

— Tak się składa, że mój.

— Ale ona może z niego korzystać, prawda?

— Ona może. Pan nie.

Co jak co, ale kłótnia z pracodawcą Dolly nie była Alexowi potrzebna. Wkroczyłem między nich, wziętem go pod łokieć i po raz drugi odciągnąłem na bok, ratując z kłopotów.

— Zjeżdżaj — powiedziałem, kiedy wsiadł do swojego auta. — Bruździsz mi.

— Ale ja muszę ją zobaczyć.

— Zobaczysz. Jedź i wynajmij nam pokoje w motelu Mariner's Rest. Jest na odcinku między Surf House i...

— Wiem, gdzie jest. Ale co z Dolly?

— Pojadę do college'u i porozmawiam z nią. Jeśli będzie miała ochotę, sprowadzę ją.

— Czemu ja nie mogę jechać do college'u? — spytał jak rozpuszczone dziecko.

— Bo nie chcę, żebyś jechał. Dolly ma własne życie. Może ci się to nie podobać, ale nie masz prawa ładować się do niego z buciorami i robić, co ci się żywnie podoba. Zobaczmy się w motelu.

Odjechał szybko i w gniewie, startując z poślizgiem. Pani Bradshaw wróciła między swoje róże. Bardzo uprzejmie spytałem ją, czy mogę przejrzeć rzeczy Dolly. Powiedziała, że tylko Dolly może o tym decydować.

ROZDZIAŁ 5

Kampus był oazą żywej zieleni u stóp brązów jesieni pokrywających już góry. Większość budynków była nowa i bardzo nowoczesna, ozdobiona ażurowymi betonowymi ekranami i subtropikalnymi roślinami. Bosy chłopak siedzący pod przydrożną palmą musiał się oderwać od Salingera, by wskazać mi budynek administracji.

Zajechałem na parking za budynkiem, między gruchoty z nalepkami wydziałów. Wśród nich wyróżniał się nowy czarny thunderbird. Było już późne popołudnie, początek długiego uczelnianego weekendu. Szklana budka informacji przy wejściu do budynku była pusta, podobnie jak korytarze.

Bez kłopotu znalazłem dziekanat. Wyłożony boazerią sekretariat zagospodarowano rozkładanymi duńskimi sofami i blond sekretarką, która siedziała przy maszynie do pisania, strzegąc zamkniętych drzwi w głębi. Miała bladą pociągłą twarz, zmęczone niebieskie oczy, które pracowały zbyt długo w świetle jarzeniówek, i podejrzliwy ton głosu.

— Czym mogę panu służyć?

— Chciałbym się spotkać z dziekanem.

— Obawiam się, że dziekan Bradshaw jest bardzo zajęty. Może ja bym panu pomogła?

— Może. Usiłuję nawiązać kontakt z jedną z waszych studentek. Nazywa się Dolly McGee albo Dolly Kincaid.

— Więc jak? — spytała z lekką irytacją.

—Z domu McGee, po mężu Kincaid. Nie wiem, którego nazwiska używa.

—Jest pan rodzicem? — spytała delikatnie.

—Nie, nie jestem jej ojcem. Ale mam istotny powód, aby się z nią zobaczyć.

Spojrzała na mnie, jakbym wyznał, że jestem królem handlu białymi niewolnikami.

—Trzymamy się zasady, że nie udzielamy informacji o studentkach nikomu poza rodzicami.

—Mężom też nie?

—Jest pan jej mężem?

—Reprezentuję go. Myślę, że lepiej pani zrobi, pozwalając mi porozmawiać na jej temat z dziekanem.

—Nie mogę tego zrobić — odparła tonem ucinającym wszelką dyskusję.

—Dziekan Bradshaw ma konferencję z kierownikami wydziałów. W jakiej sprawie chce się pan zobaczyć z panną McGee?

—Osobistej.

—Rozumiem.

Znaleźliśmy się w impasie. Powiedziałem w nadziei, że ją rozchmurzę:

—Trzymamy się zasady nieudzielania informacji.

Zrobiła obrażoną minę i wróciła do stukania na maszynie.

Stałem i czekałem. Za drzwiami dziekana narastały i ciche głosy. Najczęściej padało słowo budżet. Po chwili sekretarka powiedziała:

—Niech pan spróbuje porozmawiać z dziekan Sutherland, może jest u siebie. Pani Sutherland opiekuje się studentkami. Ma gabinet po drugiej stronie korytarza.

Te drzwi stały otworem. Kobieta za nimi należała do tego rodzaju pozabawionych wieku, sterylnych istot, które wyglądają staro po dwudziestce i młodo po czterdziestce. Kasztanowe włosy zwinęła w kok z tyłu głowy. Jej jedynym ustępstwem na rzecz wyglądu była lekka warstwa różowej szminki na cienkich drobnych usteczkach.

A jednak była niebrzydka. Miała delikatne rysy. Front jej bluzki wzdymał się nad biurkiem jak żagiel, kuszący wiatr.

— Wejść — powiedziała z surowością, do której się już przyzwyczaiłem. — Na co pan czeka?

Jej ładne oczy działały hipnotycznie. Patrząc w nie, miało się wrażenie, że spogląda się w piękny rdzeń lodowca, czysty zielony lód przepojony zimnym ostrym światłem.

— Siadać — powiedziała. — O co panu chodzi?

Zeznałem, kim jestem i po co przyszedłem.

— Ale w naszym kampusie nie ma Dolly McGee ani Dolly Kincaid.

— W takim razie musi używać jeszcze innego nazwiska. Wiem, że studiujecie u was. Ma pracę, prowadzi samochód matki dziekana Bradshawa. — Pokazałem jej moją odbitkę.

— Ależ to Dorothy Smith. Czemu zapisała się pod fałszywym nazwiskiem?

— To właśnie chciałby wiedzieć jej mąż.

— Czy to ten człowiek na zdjęciu?

— Tak.

— Wygląda na miłego chłopca.

— Ona chyba doszła do odmiennego wniosku.

— Jestem ciekawa dlaczego. — Wzrok spoczywający dotychczas na mnie powędrował gdzieś dalej i wiedziałem, że zostanę poczęstowany kłamstwem. — Zupełnie nie rozumiem, jak udało jej się zapisać pod fałszywym nazwiskiem, chyba że przedstawiła podrobione dokumenty. — Nagle wstała. — Proszę na chwilę wybaczyć, panie Archer.

Poszła do sąsiedniego pokoju, w którym rzędy szafek z aktami stały jak las trumien, i wróciła z tekturową teczką. Rozłożyła ją na biurku. Zawartość teczek nie była zbyt obszerna.

— Rozumiem — powiedziała do siebie. — Przyjęto ją tymczasowo. Jest notatka, mówiąca, że kopie jej dokumentów są w drodze.

— Do kiedy ją przyjęto?

— Do końca września. — Spojrzała na biurkowy kalendarz. — To daje jej dziewięć dni na dostarczenie dokumentów. Ale wytłumaczyć się będzie musiała znacznie wcześniej. Nie pochwalamy tego rodzaju matactw. A wyglądała na taką szczerą dziewczynę. — Kąciki jej ust opadły.

— Zna ją pani osobiście, dziekan Sutherland?

— Z zasady kontaktuję się ze wszystkimi nowymi dziewczętami. Zrobiłam, co się dało, dla dobra pani czy panny Smith-Kincaid. Dokładniej mówiąc, załatwiłam jej dorywcze zajęcie w bibliotece.

— I pracę u pani Bradshaw?

Skinęła głową.

— Dowiedziała się, że jest taka możliwość, i zarekomendowałam ją. — Spojrzała na zegarek. — Może tam teraz jest.

— Nie. Właśnie przyjechałam od pani Bradshaw. A tak przy okazji, ten wasz dziekan nieźle sobie żyje. Myślałem, że uczelniane pensje są bardzo niskie.

— Są bardzo niskie. Dziekan Bradshaw pochodzi ze starej zamożnej rodziny. Jak zareagowała jego matka? — Zrobiła niecierpliwy gest, który jakoś objął i mnie.

— Chyba się niezbyt przejęła. To inteligentna staruszka.

— Cieszę się, że tak ją pan ocenia — powiedziała, jakby sama inaczej oceniała panią Bradshaw. — No cóż, chyba nie pozostaje mi nic innego, jak sprawdzić, czy pani Smith-Kincaid jest w bibliotece.

— Może sam tam pójde. Będę mógł jej zadać kilka pytań.

— To nie najlepszy pomysł. Lepiej rozmówię się z nią pierwsza i spróbuję się dowiedzieć, co dzieje się w jej małej główce.

— Nie chcę jej przysparzać kłopotów.

— Nie przysporzył pan i nie przysparza żadnych kłopotów. Kłopot był i jest bez pana. Pan go tylko odkrył. Jestem panu za to wdzięczna.

— Czy w ramach tej wdzięczności pozwoliłaby mi pani pierwszemu zamienić kilka słów z Dolly? — spytałem, starannie dobierając słowa.

— Obawiam się, że nie.

— Mam duże doświadczenie w prowadzeniu rozmów zmierzających do wyciągnięcia prawdy z ludzi.

Niepotrzebnie to powiedziałem. Kąciki jej ust znów opadły. Biust z kuszącego stał się groźny.

— Ja też mam doświadczenie, wieloletnie doświadczenie. Jestem dyplomowanym

psychologiem szkolnym. Gdyby był pan tak uprzejmy zaczekać na zewnątrz, zaraz spróbuję do niej zadzwonić do biblioteki. — Wychodząc, wypuściła ostatnią strzałę: — I proszę nie próbować mnie ubiec, kiedy będzie tu szła.

— Nie śmiałym, panno Sutherland.

— Dziekan Sutherland, jeśli łaska.

Wyszedłem i zająłem się lekturą tablicy ogłoszeń obok informacji. Pełne humoru zapowiedzi studenckich rozrywek, potańcówek, spotkań, wieczorów poetyckich i lunchów służących szlifowaniu francuszczyzny tylko mnie zasmuciły. Po części dlatego, że moje nadzieje na ukończenie college'u się nie ziściły, a po części dlatego, że właśnie sam zniszczyłem podobne nadzieje Dolly.

Dwoje młodych ludzi, dziewczyna w okularach w rogowej oprawie i młody wielkolud w swetrze sportowego reprezentanta college'u, weszło wolnym krokiem do budynku i oparło się o ścianę. Ona tłumaczyła mu Achillesa, argument Zenona z Elei przeciwko ruchowi. Według Zenona Achilles goniący żółwia nie miał żadnych szans go złapać. Ponieważ dystans między nimi jest nieskończoną liczbą odcinków, kiedy Achilles pokonuje połowę drogi, żółw w tym czasie się od niego odsuwa. W ten sposób zawsze będzie dzieliła ich jakaś odległość, wprawdzie niewielka, ale nie do pokonania.

Młodzieniec pokiwał głową.

— Kojarzę.

— Ale to nie tak! — krzyknęła dziewczyna. — Podział przestrzeni w nieskończoności jest tylko teoretyczny. Tak naprawdę nie ma wpływu na ruch.

— Nie mogę się w tym połapać, Heidi.

— Połapiesz się, połapiesz. Wyobraź sobie, że jesteś na boisku. Stoisz na dwudziestym jardzie, a żółw czołga się przed tobą na trzydziestym.

Przestałem ich słuchać.

Schodami prowadzącymi do szklanych drzwi wchodziła ciemnowłosa dziewczyna w gładkiej spódniczce i swetrze na guziki. Była to Dolly. Zanim pchnęła drzwi, przez chwilę się o nie wsparła. Od momentu, w którym Fargo zrobił jej zdjęcie, bardzo się zmieniła. Cerę miała ziemistą, włosy dawno

nierozczesywane. Niepewne, niewidzące spojrzenie ciemnych oczu tylko prześliznęło się po mnie.

Ruszyła do gabinetu dziekan Sutherland, ale nagle zatrzymała się jak wryta. Gwałtownie zawróciła, ruszyła z powrotem do drzwi wejściowych. Znów przystanęła, między mną i dwójką filozofów, i roztrząsała coś w myślach. Jej nieco surowa uroda i zamysłone oczy robiły wrażenie. Kolejny raz zawróciła i podreptała korytarzem na spotkanie z losem.

Drzwi gabinetu zamknęły się za nią. Po chwili przespacerowałem się obok nich i usłyszałem szmer kobiecych głosów, ale nie zdołałem nic zrozumieć. Z biura dziekana Bradshawa, Mieszczącego się po drugiej stronie korytarza, wyłoniło się gremium kierownicze. Mimo okularów, zaczątków łysiny i akademickiego przygarbienia wyglądali jak mali chłopcy wypuszczeni na przerwę.

Do budynku weszła ostrzyżona na chłopczycę kobieta, ścigając wzrok wszystkich. Jej popielatoblond włosy lśniły nad opaloną twarzą. Zbliżyła się do mężczyzny stojącego samotnie w drzwiach dziekanatu.

Wydawał się mniej zainteresowany nią niż ona nim. Jego przystojna twarz była łagodna i melancholijna, z rodzaju tych, które budzą macierzyńskie uczucia kobiet. Chociaż kędzierzawe kasztanowe włosy posiwiały mu na skroniach, wyglądał niczym student college'u, który dwadzieścia lat po dyplomie uniósł wzrok znad książki i przekonał się, że osiągnął wiek średni.

Dziekan Sutherland uchyliła drzwi swojego gabinetu i dała znak mężczyźnie.

— Może mi pan poświęcić chwilę, doktorze Bradshaw? Wynikła poważna sprawa. — Była błada i ponura jak niechętny kat.

Przeprosił rozmówczynię. Para dziekanów zamknęła się razem z Dolly. Kobieta o lśniących włosach patrzyła na drzwi, marszcząc brwi. Potem otakowała mnie wzrokiem, jakby szukała zastępstwa za Bradshawa. Miała obiecujące usta, ładne nogi i niecierpliwość drapieźnika. Ubierała się z klasą.

—Szuka pan kogoś?
—Tylko czekam.
—Na Leworękiego* czy Godota? To różnica.
—Na Godota Leworękiego. Buszuje.
—A, buszujący w zbożu?
—W kukurydzy. Woli bourbona.
—Ja też — powiedziała. — Sprawia pan na mnie raczej wrażenie człowieka czynu niż intelektualisty, panie...
—Archer. Oblałem egzamin?
—To zależy od oceniającego.
—Myślałem sobie, że może powinienem wrócić do szkoły. Kiedy panią zobaczyłem, uznałem, że to niegłupia myśl, a poza tym czuję się strasznie zapóźniony, kiedy znajomi intelektualści rozmawiają o Jacku Kerouacu, Eugenie Burdicku i innych wielkich pisarzach, do czytania których nie mogę się zmusić. A tak poważnie, czy gdybym chciał wrócić na studia, poleciłaby mi pani ten college?

Rzuciła mi kolejne z taksujących spojrzeń.

—To nie miejsce dla pana, Archer. Myślę, że czułby się pan bardziej swojsko na jakiejś wielkowiejskiej uczelni w rodzaju Berkeley czy Uniwersytetu Chicago. Sama chodziłam do tego ostatniego. Ta uczelnia i tamte to zupełnie różne światy.

—Pod jakim względem?

—Pod niezliczonymi względami. Po pierwsze, tutejszy wskaźnik wyrafinowania jest bardzo niski. Dawniej to był college wyznaniowy i morale pozostało na poziomie epoki wiktoriańskiej. — Jakby demonstrując, że sama ma znacznie nowocześniejsze poglądy, przestąpiła z nogi na nogę, kołysząc biodrami. — Podobno kiedy Dylan Thomas przyjechał tu z wizytą... ale może lepiej nie wchodźmy w to. *De mortuis nil nisi bene*.

—Uczy pani łaciny?

—Nie, łacinę znam słabo, a grekę jeszcze słabiej. Próbuję uczyć języków nowożytnych. Przy okazji, nazywam się Helen Haggerty. Jak mówiłam, tak

* Postać ze sztuki Clifforda Odetsa (1906—1983), która nie pojawia się na scenie.

naprawdę nie polecałabym panu Pacific Point. Poziom rośnie tu z każdym rokiem, ale dokoła wciąż pełno zmurszałego drewna. Sam pan może się przekonąć. Rzuciła ironiczne spojrzenie w kierunku wejścia, przy którym grupka jej kolegów skrupulatnie roztrząsała niedawne spotkanie z dziekanem.

— Mężczyzna, z którym pani rozmawiała, to dziekan Bradshaw, prawda?

— Tak. To z nim chciał się pan spotkać?

— Między innymi.

— Proszę się nie zrażać jego nieprzystępnym wyglądem. To dobry naukowiec... jedyny członek wydziału, który zrobił doktorat na Harvardzie... i może doradzić panu lepiej niż ja. Ale proszę mi powiedzieć, serio chce pan wrócić do college'u? Nie żartuje pan sobie ze mnie?

— Może trochę.

— Mógłby pan skuteczniej pożartować przy drinku. Sama też chętnie bym się napiła, najlepiej bourbona.

— To miła propozycja. — I nagła, pomyślałem. — Możemy ją przesunąć na później? Teraz akurat muszę czekać na Godota Leworękiego.

Wyglądała na bardziej zawiedzioną, niż miała do tego prawo. Rozstaliśmy się w nienagannych, pełnych wzajemnej podejrzliwości stosunkach.

Fatalne drzwi, które miałem pod obserwacją, w końcu się otworzyły. Dolly wyszła tyłem, wylewnie dziękując pani dziekan i panu dziekanowi i wręcz dygając. Ale kiedy się odwróciła i ruszyła do wyjścia, zobaczyłem bladą twarz i zaciśnięte usta.

Ruszyłem za nią, czując się trochę głupio. Sytuacja przypominała mi wycinek młodości, kiedy włóczyłem się za pewną dziewczyną, towarzysząc jej w drodze z gimnazjum do domu. Nigdy nie zdobyłem się na odwagę, by podejść do niej i zapytać, czy pozwoli mi ponieść książki. Zacząłem identyfikować Dolly z tamtą niedosiężną dziewczyną, której twarzy nawet nie pamiętałem.

Szybko przeszła chodnikiem przecinającym kampus i dotarła do schodów biblioteki. Zrównałem się z nią.

— Pani Kincaid?

Zatrzymała się gwałtownie, jakbym ją postrzelił. Odruchowo podtrzymałam ją. Wyrwała mi się i otworzyła usta, jakby chciała wezwać pomocy. Ale nie odezwała się słowem. Studenci wokół nas nie zwrócili uwagi na jej bezgłośny krzyk.

— Bardzo chciałbym zamienić z panią parę słów, pani Kincaid.

Ściągnęła w tył włosy tak mocnym ruchem, że jedno oko zrobiło się skośne jak u Eurozjatkki.

— Kim pan jest? — spytała.

— Przyjacielem pani męża. Alex przeżył przez panią trzy ciężkie tygodnie.

— Pewnie tak — powiedziała, jakby dopiero teraz sobie to uświadomiła.

— Sama też musiała pani przeżyć ciężki okres, jeśli Alex jest pani bliski. A jest?

— Słucham? — Nadal była oszołomiona.

— Pytam, czy Alex jest pani bliski?

— Nie wiem. Nie miałam czasu o tym myśleć. Nie chcę o tym dyskutować, z panem ani z nikim innym. Czy naprawdę jest pan przyjacielem Alexa?

— Myślę, że mogę tak powiedzieć. On nie rozumie pani postępowania. To młody człowiek i jest bardzo załamany.

— Tak, to moja specjalność. Rujnowanie ludziom życia.

— Może pani to zmienić. Czemu tego nie skończyć i nie spróbować jeszcze raz? Alex czeka na panią w mieście.

— Niech czeka do sądnego dnia, nie wrócę do niego.

Jej młody głos był zaskakująco silny i niski, niemal chrapliwy. W oczach miała coś, co mi się nie podobało. Były szeroko otwarte, suche i zastygłe; oczy, które zapomniały, jak się płacze.

— Czy Alex skrzywdził panią w jakiś sposób?

— On muchy by nie skrzywdził. Musi pan o tym wiedzieć, jeśli naprawdę jest pan jego przyjacielem. To miły, nieszkodliwy chłopak i to nie ja chcę go skrzywdzić. — Dodała ze świadomą teatralnością: — Niech mu pan powie, że może sobie pogratulować, że cudem się wywinął.

— To wszystko, co pani ma do przekazania mężowi?

— Nie jest moim mężem, nie naprawdę. Niech mu pan powie, żeby wystąpił o unieważnienie małżeństwa. Niech mu pan powie, że nie jestem gotowa zapuścić korzeni. Niech mu pan powie, że postanowiłam ukończyć naukę.

W jej ustach brzmiało to tak, jakby miała zamiar samotnie lecieć na Księżyc i nie wracać.

Wróciłem do budynku administracji. Nawierzchnia chodnika, imitująca granitowe płyty, była płaska i gładka, ale miałem wrażenie, że zapadam się w głębokie do kolan nory króliczego wzgórza. Drzwi dziekan Sutherland były zamknięte i kiedy zapukałem, jej „wejść” było bezdzwięczne i padło dopiero po chwili.

Nadal gościł u niej dziekan Bradshaw, jeszcze bardziej niż poprzednio przypominający studenta college’u, którego włosy w jedną noc przyprószyła siwizna.

Ona była zarumieniona i miała w oczach szmaragdowy blask.

— Brad, to pan Archer, detektyw, o którym ci mówiłam — powiedziała.

Uścisnął mi rękę mocno, nieustępliwie.

— Przyjemnie mi pana poznać. Prawdę mówiąc — powiedział, siląc się na uśmiech — w tych okolicznościach to raczej dwuznaczna przyjemność. Wielka szkoda, że musiał pan przybyć do naszego kampusu.

— Ktoś musi wykonywać moją pracę — powiedziałem trochę usprawiedliwiającym tonem. — Pani Kincaid opuściła męża i należy mu się jakieś wyjaśnienie. Czy coś pani powiedziała?

Dziekan Sutherland przybrała swoją ponurą minę.

— Ona do niego nie wraca. Podczas nocy poślubnej dowiedziała się czegoś tak potwornego...

Bradshaw podniósł rękę.

— Zaczekaj chwilę, Lauro. To, co ci wyznała, okrywa tajemnica zawodowa. Przecież nie chcemy, żeby ten jegomość pobiegł z tym do jej męża. Biedna dziewczyna już jest dość wystraszona.

— Wystraszona z powodu męża? Trudno mi w to uwierzyć — powiedziałem.

— Nie odsłoniła przed panem serca — oświadczyła z uczuciem Laura

Sutherland. — Jak pan myśli, czemu to biedne dziecko posłużyło się zmyślonym nazwiskiem? Była śmiertelnie przerażona, że on ją tu wysłodzi.

— Niepotrzebnie wpadasz w melodramatyczny ton. — Głos Bradshawa brzmiał raczej pobłażliwie. — Ten chłopiec nie może być aż tak zły.

— Nie słyszałeś jej, Brad. Otworzyła przede mną serce jak kobieta przed kobietą i wyjawiała mi rzeczy, których ci nie opowiedziałam i nawet nie zamierzam opowiedzieć.

— Może kłamała — wtrąciłem.

— Absolutnie nie! Potrafię odróżnić kłamstwo od prawdy. I radzę panu wrócić do jej męża, gdziekolwiek on tam jest, i powiedzieć mu, że jej pan nie znalazł. Wtedy będzie bezpieczniejsza i szczęśliwsza.

— Wydaje mi się dość bezpieczna. Ale z pewnością nie jest szczęśliwa. Chwilę z nią rozmawiałem.

Bradshaw skłonił ku mnie głowę.

— Co powiedziała? — zapytał.

— Nic sensacyjnego. Nie oskarżała o nic Kincaida. Przeciwnie, oskarżyła siebie o to zerwanie. Mówi, że chce kontynuować naukę.

— To dobrze.

— Czy pozwoli pan jej zostać?

Bradshaw skinął głową.

— Postanowiliśmy przymknąć oko na to jej małe oszustwo. Wierzymy, że młodym ludziom należy się pewna pobłażliwość, tak długo, dopóki ich postępowanie nie koliduje z prawami innych. Może zostać, przynajmniej na razie, i posługiwać się pseudonimem, jeśli ma taki kaprys. — Dodał z oschłym akademickim poczuciem humoru: — „To, co zowiem różą...”* , wie pan.

— Zamierza natychmiast dostarczyć swoje dokumenty — dodała dziekan Sutherland. — Twierdzi, że skończyła dwuletni college i zaliczyła semestr na uniwersytecie.

* „...Pod inną nazwą równie by pachniało” — słowa Julii z Romea i Julii, akt II, sc. 2. tłum. J. Paszkowski.

— Co planuje studiować?

— Robi magisterium z psychologii. Według profesor Haggerty ma talent w tej dziedzinie.

— Skąd profesor Haggerty o tym wie?

— Jest jej opiekunką. Dolly interesuje się szczególnie mocno psychologią osób upośledzonych i członków rodzin patologicznych.

Z jakiegoś powodu pomyślałem o brodatej głowie Chucka Begleya i oczach nieprzeniknionych jak u posagu.

— Kiedy rozmawialiście państwo z Dolly, czy mówiła coś o człowieku nazwiskiem Begley?

— Begley? — Spojrzeli po sobie, a potem na mnie. — Kto to jest Begley? — spytała Sutherland.

— Możliwe, że jej ojciec. W każdym razie w jakiś sposób przyłożył rękę do tego, że opuściła męża. Tak przy okazji... Nie wierzyłbym zbyt w perwersyjne skłonności jej męża, czy jakieś inne dewiacje, o które go oskarża. To chłopak bez zarzutu i szanuje ją.

— Ma pan prawo do własnej opinii — powiedziała Laura Sutherland takim tonem, jakbym nie miał tego prawa. — Ale proszę wstrzymać się od wszelkich pochopnych działań. Dolly to wrażliwa młoda kobieta, która przeszła głęboki wstrząs. Wyświadczy pan przysługę jej i panu Kincaidowi, trzymając jedno z dala od drugiego.

— Zgadzam się — dodał z powagą Bradshaw.

— Kłopot w tym, że zostałem wynajęty, żeby ich połączyć. Ale przemyszę to i porozmawiam z Alexem.

ROZDZIAŁ 6

Nowy czarny thunderbird zaparkowany za budynkiem uczelni nie stał już pusty. Za jego kierownicą siedziała Helen Haggerty. Złożyła dach i przestawiła auto obok mojego, jakby chcąc podkreślić różnicę ich wyglądu. Światło późnego popołudnia kładło się skosem nad górami, efektownie podkreślając blask jej włosów, zębów i oczu.

— Witam ponownie.

— Ja również — odpowiedziałem. — Czekają na mnie?

— Tylko jeśli jest pan leworęki.

— Jestem oburęczny.

— To mnie nie dziwi. Tylko oburęcznego gracza stać na naprawdę zaskakujące zagranie.

— Doprawdy?

— Wiem, kim pan jest. — Poklepała złożoną gazetę leżącą na skórzanym fotelu pasażera. Nagłówek głosił dużymi czcionkami: „Pani Perrine uniewinniona”. — To niesłychanie podniecające. Gazeta przypisuje panu zasługę oczyszczenia jej z zarzutów. Ale nie jest całkiem jasne, jak pan to zrobił.

— Zwyczajnie. Powiedziałem prawdę i najwyraźniej ława przysięgłych dała mi wiarę. W czasie domniemanej kradzieży, popełnionej przez panią Perrine w Pacific Point, miałem ją pod ścisłą obserwacją w Oakland.

—A czemu ją pan śledził? Bo popełniła inną kradzież?

—To nieuczciwe posądenie.

Złożyła usta w wyrazie udawanego żalu, który aż za dobrze podkreślał jej urodę.

—Wszystkie ciekawe fakty są natury poufnej. Ale tak się przypadkiem składa, że sprawdzono, czy potrafię dotrzymać tajemnicy, i wyszło na to, że można mi zaufać. Więcej, mój ojciec jest policjantem. Więc proszę wsiadać i opowiedzieć mi wszystko o pani Perrine.

—Nie mogę tego zrobić.

—Wobec tego mam lepszy pomysł — powiedziała, dodając do słów swój sztuczny olśniewający uśmiech. — Czemu nie miałby pan wpaść do mnie na drinka?

—Proszę wybaczyć, ale mam pracę do wykonania.

—Pracę detektywistyczną?

—Tak to nazwijmy.

—Nie przesadzajmy. — Jej ciało wykonało subtelny ruch, dołączając się do zaproszenia. — Pracuj, pracuj, a garb sam ci wyrośnie. Chyba nie chce pan dać mi kosza i jeszcze dostać garba. Poza tym mamy pewną sprawę do omówienia.

—Sprawa Perrine jest zamknięta. Mam jej serdecznie dość, nie chcę do niej wracać.

—Miałam na myśli sprawę Dorothy Smith. Czy nie po to przyjechał pan do kampusu, żeby dowiedzieć się czegoś o Dorothy Smith?

—Skąd pani o tym wie?

—Z plotek. W college'ach działa najszybsza plotkarska sieć informacji. Tylko zakłady karne są lepsze pod tym względem.

—Zna pani zakłady karne?

—Nie z autopsji. Ale nie kłamałam, kiedy mówiłam, że mój ojciec jest policjantem. — Jej twarz poszarzała i skurczyła się boleśnie. Zasłoniła grymas kolejnym uśmiechem. — Naprawdę są rzeczy, które nas łączą. Czemu nie miałby pan do mnie wpaść?

—W porządku. Pojadę za panią. To zaoszczędzi pani kłopotu, nie będzie pani musiała mnie odwozić.

—Cudownie.

Prowadziła tak szybko, jak ruszyła, wykonując nagłe nerwowe ruchy i całkowicie ignorując przepisy ruchu drogowego. Na szczęście niewiele aut i przechodniów poruszało się po kampusie. Góry i długie cienie pomniejszały budynki, które teraz wyglądały nierealnie jak filmowe dekoracje.

Helen Haggerty mieszkała przy końcu Foothill Drive, na stoku, w domu z aluminium, szkła i czarnej emaliowanej stali. Dach kolejnego domu unosił się ćwierć mili poniżej, wśród karłowatych dębów. Stojąc w pokoju dziennym, przy centralnie umieszczonym kominku, miało się z jednej strony niebieską ścianę gór, z drugiej szarą przepaść oceanu. Przybrzeżna mgła napięrała na ląd.

—Podoba się panu moje orle gniazdko?

—Bardzo.

—Niestety tak naprawdę nie jest moje, tylko je wynajmuję, ale mam wobec niego pewne nadzieje. Proszę usiąść. Czego się pan napije? Ja dzinu z tonikiem.

—Z przyjemnością poproszę o to samo.

Wyfroterowana kafelkowa podłoga była prawie niezastawiona meblami. Przeszedłem się po dużym pokoju, spoglądając przez jedną ze szklanych ścian. Na patio leżał dziki gołąb z opalizującym kołnierzem na skręconym karku. Zarys sylwetki z rozpostartymi skrzydłami odcisnął się na zakurzonej szkle, w miejscu, w które uderzył.

Usiadłem na fotelu z wyplatany siedzeniem, prawdopodobnie przyniesionym z patio. Helen Haggerty przyniosła nasze napitki i ulokowała się na płóciennym szeslongu, gdzie słońce znów ją odnalazło, mieniąc się we włosach i lśniąc na gładkich opalonych nogach.

—Tak naprawdę to mieszkam tu na walizkach — powiedziała. — Nie posłałam po meble, bo nie wiem, czy chcę je dalej mieć. Może je zmagazynuję i zacznę od nowa, i do diabła z przeszłością. Zaskakujący Leworęki Lew, myślisz, że to dobry pomysł?

—Może mnie pani nazywać, jak pani wygodnie. Chciałbym poznać pani przeszłość.

— Ha! Nigdy ci się to nie uda. — Przez chwilę spoglądała na mnie surowo i popijała swój dzin. — Możesz mi mówić Helen.

— W porządku, Helen.

— Tak to oficjalnie mówisz. Nie jestem z natury oficjalna, ty też nie. Czemu mielibyśmy być wobec siebie oficjalni?

— Przede wszystkim dlatego, że mieszkasz w szklanym domu — powiedziałem, uśmiechając się. — Rozumiem, że niezbyt długo.

— Miesiąc. Niecały miesiąc. Ale wydaje mi się, że dłużej. My, nauczyciele akademicy, jesteśmy strasznymi koczownikami. To mi nie odpowiada. Chciałabym osiedlić się na stałe. Starzeję się.

— Nie widać tego.

— Co za galanteria. Starzeję jak na kobietę. Mężczyźni nigdy się nie starzeją.

Teraz, kiedy ściągnęła mnie tu, gdzie chyba chciała mnie ściągnąć, tak bardzo nie przypierała mnie do muru, chociaż nie przestała nade mną pracować. Wolałbym, żeby dała sobie z tym spokój, bo było w niej coś fajnego. Wypiłem swój dzin z tonikiem. Przyniosła mi drugi, z szybkością i sprawnością zawodowej kelnerki. Nie mogłem się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, że przebywamy ze sobą, bo każde z nas chce wykorzystać drugie.

Podając drugą szklaneczkę, pozwoliła mi zajrzeć za dekollet. Skórę miała gładką i opaloną, jak daleko sięgał mój wzrok. Siadła na szezlongu, tak układając biodra, bym mógł podziwiać jej wciętą talię. Słońce po raz ostatni rozbiły się żółcią, obejmując pokój w posiadanie.

— Mam zsunąć zasłony? — spytała.

— Mnie słońce nie przeszkadza. Zresztą niebawem się ściemni. Miałaś mi opowiedzieć o Dolly Kincaid, alias Dorothy Smith.

— Doprawdy?

— Wspomniałaś o niej. Rozumiem, że jesteś jej opiekunką na uczelni.

— I to dlatego jesteś mną zainteresowany, n'est-ce pas? — Jej ton był żartobliwy.

— Zainteresowałem się tobą, zanim się dowiedziałem, że coś wiąże cię z Dolly.

— Naprawdę?

— Naprawdę. W innym wypadku by mnie tu nie było.

— Jesteś tu, bo zwabiłam cię magicznym zaklęciem: „Dorothy Smith”. A tak w ogóle, co ona robi w tym kampusie? — Zabrzmiało to tak, jakby była o nią zazdrosna.

— Miałem cichą nadzieję, że ty mi to wyjaśnisz.

— Doprawdy?

— Dolly udziela sprzecznych wyjaśnień, zapewne zaczerpniętych z romantycznej beletrystyki...

— Nie wydaje mi się — powiedziała. — Zgadza się, jest romantyczna, to jedna z tych romantycznych idealistek, których odruchy zawsze wyprzedzają o krok lub dwa świadome decyzje. Rozumiem ją, sama taka byłam. Ale wydaje mi się, że ma też jakieś prawdziwe kłopoty, potworne kłopoty.

— Jaką historyjkę ci przedstawiła?

— To nie była żadna historyjka. To była wredna prawda. Przejdziemy do tego później, jeśli będziesz grzecznym chłopcem. — W gasnącym świetle poruszyła się wężowym ruchem odaliski i przełożyła swoje gładkie nogi. — Jak daleko sięga pańska odwaga, panie Lew?

— Mężczyźni nie mówią o tym, jak daleko sięga ich odwaga.

— Jesteś żywym zbiorem maksym — stwierdziła z jakąś złowrogą złośliwością. — Potrzebuję odpowiedzi serio.

— Zawsze możesz mnie przeegzaminować z odwagi.

— Mogę. Przydałby mi się... to znaczy, potrzebuję mężczyzny z prawdziwego zdarzenia.

— To propozycja matrymonialna, zawodowa, czy też chodzi jeszcze o kogoś innego?

— Ty jesteś tym mężczyzną, którego mam na myśli. Co byś powiedział na to, gdybym ci wyznała, że w ten weekend mam zostać zabita?

— Doradziłbym ci, żebyś wyjechała.

Przechyliła się ku mnie bokiem. Miała piersi tak jędrne, że prawie jej nie opadały.

— A zabierzesz mnie stąd?

— Mam wcześniejsze zobowiązania.

— Jeśli masz na myśli tego nieopierzonego pana Kincaida, to mogę ci zapłacić lepiej niż on — zaproponowała. Nie potrafiła się powstrzymać, żeby nie dodać: — Nie wspominając o korzyściach dodatkowych.

— Ta plotkarska sieć informacji działa dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czy Dolly też jest źródłem twoich informacji?

— Jest jednym z nich. Mogę opowiedzieć takie rzeczy o tej dziewczynie, że włosy ci dęba staną.

— Śmiało. Zawsze chciałem mieć jeża.

— Czemu miałbym to zrobić? Nie oferujesz nic w zamian. Nawet nie traktujesz mnie poważnie. Nie jestem przyzwyczajona, żeby mnie spławiano.

— Nie bierz tego tak osobiście. Po prostu jestem flegmatykiem. Zresztą do czego miałbym ci być potrzebny? Biegną stąd drogi w trzech kierunkach: do Meksyku, na pustynię i do Los Angeles, a ty masz dobry, szybki samochód.

— Jestem zbyt zdenerwowana, żeby pokonać nawet niewielki dystans.

— Przestraszona?

Skinęła głową.

— W takim razie umiesz robić dobrą minę do złej gry.

— Pozostało mi tylko robić miny.

Twarz miała zamkniętą i mroczną, a może to jedynie słońce opuściło pokój. Tylko jej włosom udało się zatrzymać blask. Za zboczami jej ciała czerniały góry.

— Kto chce cię zabić, Helen?

— Dokładnie nie wiem. Ale grożono mi.

— Jak?

— Przez telefon. Nie rozpoznałam głosu. Nie mogę powiedzieć, czy to kobieta, czy mężczyzna, czy ktoś pozbawiony płci. — Zadrzała.

— Czemu ktoś miałby ci grozić?

— Nie wiem — odparła, unikając mojego wzroku.

— Pogrożki pod adresem nauczyciela to żadna nowina. Zwykle na

pogrożkach się kończy. Miałś jakieś spięcia z tutejszymi szurniętymi?

— Nawet nie znam tu ludzi. Oczywiście poza pracownikami college'u.

— Może uczysz kogoś niezrównoważonego.

Pokręciła przecząco głową.

— To żadne studenckie wygłupy. To poważna sprawa.

— Skąd wiesz?

— Mam swoje sposoby.

— Czy to ma jakiś związek z Dolly Kincaid?

— Może. Nie jestem pewna. To zawiłana sytuacja.

— Opowiedz mi o tej zawiłanej sytuacji.

— To sięga wstecz — odparła. — Aż do Bridgeton.

— Bridgeton?

— Miasta, w którym się urodziłam i wychowałam. Miasta, w którym wszystko się wydarzyło. Uciekłam, ale pejzaż koszmarów zawsze cię dogoni. Moje senne koszmary wciąż toczą się po ulicach Bridgeton. Ten głos w telefonie grożący śmiercią był tchnieniem Bridgeton. To był głos Bridgeton przemawiający z przeszłości.

Mówiła od siebie, w kleszczach koszmaru na pograniczu snu i jawy, ale jej opis brzmiał fałszywie. Nadal nie wiedziałam, czy ją traktować serio.

— Jesteś pewna, że nie opowiadasz bzdur z terazniejszości?

— Nic nie zmyślam — powiedziała. — Bridgeton mnie zabije. Tak naprawdę zawsze wiedziałam, że to nastąpi.

— Miasta nie zabijają ludzi.

— Nie znasz tego dumnego miasta, w którym się urodziłam. A pod względem zabójstw ma wyjątkowy tytuł do chwały.

— Gdzie leży to Bridgeton?

— W stanie Illinois, na południe od Chicago.

— Mówisz, że tam wszystko się wydarzyło. Co masz na myśli?

— Wszystko ważne... się skończyło, zanim zdałam sobie sprawę, że się zaczęło. Ale nie chcę w to wchodzić.

—Niezbýt będę mógł ci pomóc, póki tego nie zrobisz.

—Nie wierzę, że w ogóle masz zamiar mi pomóc. Ty tylko chcesz wycisnąć ze mnie informacje.

To była prawda. Nie zależało mi na niej tak, jak sobie tego życzyła. Nie ufałem jej w pełni. Zgrabne ciało jakby zawierało dwie różne osoby, jedną wrażliwą i nieupozowaną, drugą twardą i nieuchwytną.

Wstała i podeszła do szklanej ściany wychodzącej na góry. Stały się lawendowe i śliwkowe, z czarnymi niebieskościami w rozpadlinach i u podstawy. Przez cały wieczór góry, niebo i miasto były skapane w niebieskościach.

—Die blau Stunde* — rzekła w jakiejś mierze do siebie. — Dawniej uwielbiałam tę porę dnia. Teraz wywołuje we mnie koszmarnie dreszcze.

Wstałem i stanąłem za nią.

—Sama się doprowadzasz do rozstroju nerwowego — powiedziałem.

—Widzisz mnie na wskroś.

—Widzę, że jesteś inteligentną kobietą. Więc rób to, co przystoi inteligentnej kobiecie. Jeśli źle się tu czujesz, wyjedź. Albo zostań i podejmij środki ostrożności. Poproś o ochronę policyjną.

—Jesteś pełen błyskotliwych rad, które nie wymagają od ciebie żadnego zaangażowania. Wczoraj po tym telefonie poprosiłam o ochronę. Szeryf przysłał podwładnego. Ten powiedział, że takie telefony są powszechne i zwykle to nastolatki.

—Czy to mógł być nastolatek?

—Nie sędzę. Ale funkcjonariusz powiedział, że oni czasami zmieniają głos. Powiedział, żebym się nie przejmowała.

—Więc się nie przejmuj.

—Nic na to nie poradzę. Boję się, Lew. Zostaniesz ze mną?

Odwróciła się i wsparła o moją pierś, przytulając się na próbę. Tak naprawdę nie czułem wobec niej nic prócz litości. Próbowwała mnie wykorzystać, używając w tym celu swojego ciała.

* Niebieska godzina (nazwa obrazu Maxa Ernsta).

—Muszę się zwijać — powiedziałem. — Mówiłem ci na początku, że mam wcześniejsze zobowiązanie. Ale jeszcze wpadnę.

—Wielkie dzięki!

Odsunęła się ode mnie tak gwałtownie, że uderzyła o szklaną ścianę jak ptak.

ROZDZIAŁ 7

Zjeżdżałem w gęstniejącym mroku, kierując się ku Mariner's Rest i wmawiając sobie na różne sposoby, że postąpiłem właściwie. Kłopot w tym, że w sytuacji, z której się właśnie wywikłałem, nie można było postąpić właściwie. Zawsze popełniałeś grzech — udziału bądź zaniechania.

Młodziutki recepcjonista w marynarskiej czapce ze złotym sznurem, wyglądający tak, jakby nigdy nie postawił nogi na pokładzie, powiedział mi, że Alex Kincaid wynajął pokój i wyszedł. Pojechałem na kolację do Surf House. Oświetlona reflektorami fasada wielkiego hotelu przypomniła mi Fargo i wszystkie bezużyteczne odbitki, które zamówiłem.

Był w ciemni, obok swojej dziupli. Kiedy wyszedł, miał na nosie prostokątne ciemne okulary, chroniące przed światłem. Nie widziałem jego oczu, ale usta miały nieprzyjazny grymas. Sięgnął po grubą manilową kopertę leżącą na biurku i wcisnął mi ją.

— Myślałem, że wam się śpieszy z tymi odbitkami.

— Śpieszyło. Pojawiły się nowe okoliczności. Znaleźliśmy ją.

— Więc już nie są wam potrzebne? Moja żona siedziała w tej parówce pół po południa, żebyście dostali na czas te odbitki.

— Wezmę je. Jeśli nie przydadzą się mnie, to może Kincaidowi. Ile?

— Dwadzieścia pięć dolarów, w tym podatek. Dokładnie dwadzieścia cztery dziewięćdziesiąt sześć.

Dałem mu dwie dziesiątki i piątkę i jego usta przeszły trzy fazy złagodnienia.

— Schodzą się? — zapytał.

— Jeszcze nie wiem.

— Gdzieś ją pan znalazł?

— Uczy się w tutejszym college'u. Ma robotę, prowadzi auto starszej pani nazwiskiem Bradshaw.

— Tej od rollsa?

— Właśnie. Zna ją pan?

— Tak bym tego nie nazwał. Ona i jej syn zwykle jadają niedzielny lunch w sali restauracyjnej. Niezła z niej żółta. Kiedyś sfotografowałem ich z ukrycia, licząc, że zamówią jakieś odbitki. Zagroziła, że weźmie laskę i rozwali mi aparat w drzazgi. Miałem ochotę powiedzieć starusze, że sam o mało nie pękł, jak uwieczniałem jej gębę.

— Ale nie powiedział pan?

— Nie stać mnie na takie luksusy. — Rozłożył poplamione odczynnikami ręce. — To miejscowa instytucja i jeszcze bym wyleciał z roboty.

— Rozumiem, że jest nadziana.

— Rzecz nie tylko w tym. Jej syn jest ważną figurą w kręgach uniwersyteckich. Sprawia wrażenie całkiem miłego gościa, mimo tego hardwardzkiego akcenciku. Więcej, to on ją uspokoił, kiedy chciała rozwalić moją leicę. Ale to jakoś nie pasuje, żeby przystojny facet po czterdziestce wciąż trzymał się spódnicy mamuśki.

— To zdarza się w najlepszych rodzinach.

— No, zwłaszcza w tych najlepszych. Widuję masę smutnych mamin-synków czekających na pieniądze, ale zanim im coś skapnie, jest za późno. Bradshaw przynajmniej miał dość jaj, żeby wyjechać i znaleźć robotę. — Fargo popatrzył na zegarek. — Jak już mowa o robocie, to mam za sobą dwanaście godzin zasuwania i perspektywę dwóch godzin wywoływania. Cześć.

Ruszyłem w kierunku hotelowej kawiarni. Fargo dopędził mnie korytarzem. W okularach jego twarz wyglądała jak maska robota, dziwnie kontrastująca z podrygującymi rękami i nogami.

— Prawie zapomniałem pana spytać. Dowiedziałeś się pan czegoś o tym Begleyu?

— Rozmawiałem z nim dobrą chwilę. Niewiele mi wyjawił. Mieszka z pewną kobietą przy Shearwater Beach.

— Kim jest szczęśliwa wybranka? — spytał.

— Nazywa się Madge Gerhardi. Zna ją pan?

— Nie, ale myślę, że wiem, kim on jest. Gdybym mógł się mu jeszcze raz przyjrzeć...

— Niech pan pojedzie i sprawdzi.

— Nie mogę teraz. Powiem panu, na kogo on mi wygląda pod tą całą szczecina, tylko musisz mi pan obiecać, że się na mnie nie powołasz. Jest coś takiego jak przypadkowe podobieństwo, a oskarżenie o pomówienie to ostatnia rzecz, na której mi zależy.

— Obiecuję nie powoływać się na pana.

— Trzymam za słowo. — Wziął głęboki oddech, jak nurek zbierający siły, by dotrzeć na samo dno. — On wygląda mi na Thomasa McGee, faceta, który jakieś dziesięć lat temu zamordował żonę w Indian Springs. Zrobiłem zdjęcie McGee, kiedy byłem raczkującym reporterem, ale nigdy go nie opublikowali. Nigdy nie rozdmuchują tych spraw z Valley.

— Jest pan pewien, że to on zamordował żonę?

— No, to była oczywista sprawa. Nie mam czasu wdawać się w szczegóły, a na dodatek upłynęło tyle czasu, że człowiek już niczego nie jest pewny. Ale większość speców od prawa mówiła, że przysięgli powinni orzec morderstwo pierwszego stopnia. Gil Stevens przekonał ławę, żeby uznała to za morderstwo drugiego stopnia, co wyjaśnia, jakim cudem facet wyszedł szast-prast.

Przypominając sobie opowieść Begleya o dziesięciu latach po drugiej stronie świata, na niewidocznej stronie Księżyca, pomyślałem, że dziesięć lat wcale nie przeleciało mu szast-prast.

Mgła gęstniała wzdłuż Shearwater Beach. Szedł przyplływ; fale ryczały pod domami, tłukąc o pale. W chłodnym powietrzu wisiał zapach jodu.

Madge Gerhardi otworzyła drzwi i spojrzała na mnie bez wyrazu. Cienie na powiekach nie mogły ukryć opuchlizny.

—Pan jesteś ten detektyw, no nie?

—Tak. Mogę wejść?

—Wchodź pan, jak chcesz. Ale nic panu z tego nie przyjdzie. On odszedł.

Zgadłem to już po jej wyglądzie osieroconego dziecka. Poszedłem za nią zatęchłym korytarzem do wysokiego głównego pokoju z belkami u sufitu. Pająki nie próżnowały w kątach tak mrocznych, jakby mgła upodobała je sobie i wślizgnęła się do środka. Ratanowe meble rozlatywały się na łączeniach. Szklanki, a także puste i częściowo puste butelki stały na stolikach i podłodze, sugerując, że zabawa trwała od kilku dni i znów może ruszyć pełną parą, jeśli nie zachowam ostrożności.

Kobieta kopnęła pustą butelkę po drodze do kanapy, na którą opadła.

—To pańska wina — poskarżyła się. — Zaczął się pakować zaraz po pańskiej wizycie.

Siadłem na ratanowym fotelu naprzeciwko niej.

—Czy powiedział, dokąd się udaje? — spytałem.

—Mnie nie powiedział. Za to powiedział, że nie powinnam się spodziewać go z powrotem, że wszystko skończone. A tak w ogóle czemu musiał go pan wystraszyć? Nigdy nikogo nie skrzywdził.

—Łatwo go wystraszyć.

—Jest bardzo wrażliwy. Ma za sobą ciężki okres. Wiele razy mówił, że zależy mu tylko na cichym zakątku, w którym mógłby spisać swoje doświadczenia. Píše autobiograficzną powieść o swoich doświadczeniach.

—Doświadczeniach w Nowej Kaledonii?

—Nie myślę, żeby Chuck w ogóle postawił nogę w Nowej Kaledonii — powiedziała z zaskakującą szczerością. — Wziął tę sprawę z kopalnią chromu ze starego numeru tego... no... „National Geographic”. Nie myślę, żeby w ogóle wyjeżdżał z kraju.

—Gdzie był?

— W pudle — odparła krótko. — Wiesz pan o tym, inaczej byś go nie nachodził. Myślę, że to okropne świństwo, kiedy człowiek spłacił dług społeczeństwu i udowodnił, że stać go na poprawę...

Cytowała Begleya, wyrażała gniew Begleya, ale nie potrafiła podtrzymać tego gniewu lub też nie pamiętała cytatu. Rozejrzała się po zaniedbanym pokoju, mgliście zaniepokojona, jakby zaczęła podejrzewać, że poprawa Begleya nie była całkowita.

— Pani Gerhardi, czy opowiedział pani, za co siedział?

— Nie wdawał się w szczegóły. Któs go wieczoru przeczytał mi kawałek ze swojej książki. Ten bohater był w pudle i myślał o przeszłości, o tym, że wrobili go w morderstwo, którego nie popełnił. Spytałam go, czy ten bohater to on. Nie odpowiedział mi. Zrobił się ponury i zapadł w to swoje grobowe milczenie.

Zamilkła. Podłoga pod naszymi stopami drżała. Morze ciskało się o pale jak ślepe bezmyślne siły zniszczenia. Kobieta zapytała:

— Czy Chuck siedział w pudle za morderstwo?

— Dziś wieczorem powiedziano mi, że dziesięć lat temu zamordował żonę. Nie znalazłem potwierdzenia tego faktu. Mogłaby to pani zrobić?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Jej twarz wydłużyła się, jakby była z surowego ciasta, opadającego pod własnym ciężarem.

— To musi być pomyłka.

— Mam nadzieję. Poza tym powiedziano mi, że naprawdę nazywa się Thomas McGee. Czy kiedykolwiek używał tego imienia i nazwiska?

— Nie.

— Ale to wiąże się z innym faktem — powiedziałem, głośno myśląc.

— Ta dziewczyna, którą odwiedził w Surf House, używała tego samego nazwiska, zanim wyszła za mąż. Powiedział, że przypomina jego córkę. Myślę, że jest jego córką. Czy kiedykolwiek mówił o niej?

— Nigdy.

— A przyprowadził ją tutaj?

— Nie. Może to jego córka, ale nie przyprowadził jej tu. — Sięgnęła po pustą butelkę, którą wcześniej kopnęła, postawiła ją i opadła z powrotem na kanapę, jakby wyczerpana tą czynnością.

— Jak długo Begley czy McGee mieszkał z panią?

— Kilka tygodni, to wszystko. Mieliśmy wziąć ślub. Samotnie się tutaj mieszka bez mężczyzny.

— Mogę to sobie wyobrazić.

Zaczerpnęła trochę energii ze współczucia w moim głosie.

— Oni po prostu odchodzą. Próbuję umilić im życie, ale oni odchodzą. Powinam była zostać z pierwszym mężem. — Patrzyła w dawno minioną przeszłość. — Traktował mnie jak królową, ale ja byłam młoda i głupia. Taka byłam mądra, że go rzuciłam.

Słuchaliśmy morza pod domem.

— Myśli pan, że Chuck odszedł do tej dziewczyny, do córki, jak ją pan nazywasz?

— Wątpię — powiedziałem. — Jak odszedł, pani Gerhardi? Odjechał samochodem?

— Nie pozwoliłby mi się odwieźć. Powiedział, że pójdzie do rogu i złapie autobus do Los Angeles. Na rogu jest przystanek na żądanie. Wziął walizkę, poszedł drogą, i tyle go widziałam. — Wydawała się równocześnie odczuwać żal i ulgę.

— Kiedy mniej więcej?

— Około trzeciej.

— Czy miał jakieś pieniądze?

— Musiał coś mieć na autobus. Pewnie niewiele. Coś tam mu dawałam, ale brał ode mnie tylko tyle, ile potrzebował, i zawsze na zasadzie pożyczki. Miał oddać, kiedy wydadzą mu tę książkę o jego doświadczeniach. Tak mówił. Ale nie przejmowałam się tym, czy mi kiedyś odda. Dobrze mi z nim było.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Chuck to bystry facet. Nie obchodzi mnie, co takiego zgotowało mu życie. Człowiek może zmienić się na lepsze. Ani razu nie dał mi w kość. — Posunęła się do jeszcze większej szczerości: — To ja dawałam mu w kość. Mam problem alkoholowy. On pił ze mną tylko dla

towarzystwa. Nie chciał, żebym piła sama. — Zamrugła, skupiając na mnie spojrzenie swoich oczu koloru dżinu. — Ma pan ochotę na kropelkę?

— Nie, dzięki. Muszę się zwijać. — Podniosłem się i stanąłem nad nią. — Na pewno nie powiedział pani, gdzie się wybiera?

— Wiem tyle, że do Los Angeles. Obiecał, że się odezwie, ale się nie spodziewam. To skończone.

— Gdyby napisał albo zatelefonował, da mi pani znać?

Skinęła głową. Wręczyłem jej moją wizytówkę i powiedziałem, gdzie się zatrzymałem. Kiedy wyszedłem, przekonałem się, że mgła dotarła już do drogi.

ROZDZIAŁ 8

Jadąc do Bradshawa, znów wpadłem do motelu. Recepcjonista powiedział mi, że Alex nadal się nie pokazał. Nie byłem zaskoczony, widząc czerwone porsche parkujące pod żywołotem Bradshawa przy drodze.

Księżyc szybował nad drzewami. Pozwoliłem więc moim myślom pozszybować razem z nim, wyobraziłem sobie, że Alex dogadał się ze swoją młodą żoną i zaszyli się w stróżówce, otwierając przed sobą serca. Odgłos dziewczęcego płaczu zniweczył ten miły obrazek. To zresztą nie był nawet płacz, raczej głośne, straszne, prawie nieludzkie zawodzenie. Falało natrętnie, jak miauczenie rannego kota.

Drzwi stróżówki były lekko uchylone. Blask rozlewał się wokół framugi jak łyzy wyciśnięte przez płacz. Otworzyłem je szeroko.

— Wynoś się stąd — powiedział Alex.

Siedzieli na opuszczanym łóżku w maleńkim pokoju dziennym. Obejmował ją ramieniem, ale to nie była sielska scena. Wyglądało na to, że ona z nim walczy, usiłując wyrwać się z uścisku. To raczej była scena z domu opieki, jak wtedy gdy pielęgniarka trzyma miotającego się pacjenta, czasem całymi godzinami, zamiast nałożyć mu kaftan bezpieczeństwa.

Miała rozerwaną bluzkę i prawie odsłoniętą pierś. Wykręciła głowę, ukazując przesłoniętą rozczochranymi włosami twarz.

Była szara, bez wyrazu, i pozostała bez wyrazu, kiedy dziewczyna wrzasnęła do mnie:

— Wynocho!

— Myślę, że lepiej będzie, jak zaczekam — powiedziałem do obojga.

Zamknąłem drzwi i przeszedłem przez pokój. Falowanie płaczu dziewczyny zamierało. To nie był naprawdę płacz. Oczy w poszarzałej twarzy były suche i zastygłe. Ukryła je w ramieniu męża.

Jego twarz była lśniąca i blada.

— Co się stało, Alex?

— Zupełnie nie wiem. Czekałem na nią. Przyszła dopiero kilka minut temu. Nie udało mi się wydobyć z niej nic sensownego. Coś ją potwornie zdenerwowało.

— Jest w szoku — powiedziałem, widząc, że sam jest go bliski. — Czy uczestniczyła w wypadku?

— Coś w tym rodzaju.

Jego głos przeszedł w bełkot. Miał niewidzący wzrok, jakby szukał sił, by poradzić sobie z tym nowym problemem.

— Czy jest ranna, Alex?

— Nie wydaje mi się. Przybiegła drogą, a potem znów chciała wybiec. Walczyła jak wściekła, kiedy próbowałem ją zatrzymać.

Jakby chcąc zademonstrować swoją dzielność, uwolniła ręce i zaczęła tłuc go po piersiach. Na rękach miała krew i zostawiała czerwone smugi na jego koszuli.

— Puść mnie — prosiła. — Chcę umrzeć. Zasłużyłam na to.

— Ona krwawi, Alex.

Pokręcił przecząco głową.

— To nie krew Dolly. Zabito jej przyjaciółkę.

— Wszystko to jest moja wina — powiedziała płaskim głosem.

Złapał ją za przeguby i przytrzymał. Widziałem, jak jego chłopięce rysy twardnieją w rysy mężczyzny.

— Uspokój się, Dolly — skarcił ją. — Mówisz bzdury.

— Tak? Ona leży tam we krwi, i to moja zasługa.

— Alex, o kim ona mówi? — spytałem.

— O jakiejś Helen. Nigdy o niej nie słyszałem.

Ale ja tak.

Dziewczyna zaczęła monotony, rwany monolog, tak szybki i bezładny, że z trudnością za nią nadążałem. Była diabłem, a wcześniej jej ojciec był diabłem, i ojciec Helen też, i połączyło je morderstwo, krew połączyła je siostrzanym węzłem, i zdradziła swoją siostrę, i wydała ją na śmierć.

— Co zrobiłaś Helen?

— Powinnaś była trzymać się od niej z daleka. One umierają, kiedy się z nimi zaprzyjaźniam.

— To zwariowane gadanie — rzekł łagodnie Alex. — Nigdy nikogo nie skrzywdziłaś.

— Co ty o mnie wiesz?

— Wszystko, co mi potrzebne. Kocham cię.

— Nie mów tak. Kiedy to słyszę, zaraz chcę się zabić. — Siedziała sztywno wyprostowana w kręgu jego ramion. Spojrzała na swoje zakrwawione ręce i wybuchła kolejnym strasznym suchym szlochem. — Jestem morderczynią.

Alex popatrzył na mnie. W oczach miał głęboką czerń.

— Rozumie pan coś z tego? — spytał.

— Nie za wiele.

— Chyba pan nie myśli, że ona zabiła tę Helen? — Mówiliśmy nad jej głową, jakby była głucha lub utraciła zmysły, i Dolly słuchała nas w otępieniu.

— Nawet nie wiemy, czy ktoś został zabity — powiedziałem. — Twoja żona bardzo się o coś obwinia, ale nie wiadomo, czy słusznie. Dzisiaj wieczorem dowiedziałem się trochę o jej przeszłości, tak mi się przynajmniej wydaje. — Siadłem na nędznym brązowym łóżku obok i spytałem Dolly: — Jak się nazywa twój ojciec?

Wydawała się nie słyszeć pytania.

— Thomas McGee?

Skinęła gwałtownie głową, jakby ktoś uderzył ją w ciemność.

— To kłamliwy potwór — oświadczyła. — I ze mnie też zrobił potwora.

— Jak?

Odpowiedziała kolejnym lejącym się jak struga zdaniem, trzymając odwróconą głowę:

—Zastrzelił ją i zostawił leżącą we krwi, ale ja powiedziałam ciotce Alice i policjantom i sąd się nim zajął, ale teraz znów zrobił to samo.

—Zabił Helen?

—Tak, i ja jestem za to odpowiedzialna. Umarła przeze mnie.

Brzmiało to, jakby obwinianie się sprawiało jej dziwną przyjemność. Szara, zmęczona cera, suchy szloch, słowotok i nagłe chwile milczenia były oznakami nerwowego załamania. Pod tanią melodramatycznością jej samooskarżeń wyczuwałem coś cennego i kruchego, czemu groziło zniażdżenie na zawsze.

—Lepiej już nie ciągnijmy jej za język — powiedziałem. — Wątpię, czy w tej chwili potrafi odróżnić prawdę od kłamstwa.

—Czy potrafisz? — spytała zjadliwym tonem. — Wszystko, co pamiętam, jest prawdą, i pamiętam wszystko od samego początku, kłótnie i bicie, i potem on w końcu ją zastrzelił, i załała się krwią...

Przerwałem jej.

—Zamknij się, Dolly, albo zmień płytę. Potrzebujesz lekarza. Macie jakiegoś lekarza w mieście?

—Nie. Nie potrzebuję lekarza. Wezwijcie policję. Chcę zeznawać.

Pomyślałem, że bawi się z nami i ze swoim „ja”, odgrywając niebezpieczne sztuczki na urwistej krawędzi rzeczywistości, ryzykując upadek w otchłań mgły.

—Chcesz zeznać, że jesteś potworem — powiedziałem.

To nie poskutkowało. Odparła rzeczowo:

—Jestem potworem.

Najgorsze było to, że zmieniała się fizycznie na moich oczach. Chaos, który się w niej miotał, zmieniał kształt jej ust i szczęk. Patrzyła na mnie tępo zza firanki włosów. Z trudnością rozpoznawałem dziewczynę, z którą tego dnia rozmawiałem na stopniach biblioteki.

Odwróciłem się do Alexa.

—Znasz tu jakichś lekarzy? — spytałem.

Pokręcił przecząco głową. Włosy mu sterczały, jakby jego żona raziła

niczmy prąd elektryczny. Ani na chwilę nie wypuszczał jej z uścisku.

—Mógłbym zadzwonić do taty, do Long Beach.

—To dobry pomysł, ale na potem.

—Nie możemy zabrać jej do szpitala?

—Musi mieć prywatnego lekarza, który by jej strzegł.

—Przed czym?

—Policją albo szpitalem dla obłąkanych. Nie chciałbym, żeby zabrała ją na oficjalne przesłuchanie, dopóki nie sprawdzę, co z Helen.

Dziewczyna zajęczała:

—Nie chcę iść do szpitala dla obłąkanych. Miałam tu lekarza, dawno temu. — Była na tyle zdrowa psychicznie, że czuła strach, i na tyle się bała, że była gotowa nam ulec.

—Jak się nazywa?

—Godwin. Doktor James Godwin. Jest psychiatrą. Miałam u niego wizyty, kiedy byłam mała.

— Czy w stróżówce jest telefon?

—Pani Bradshaw pozwala mi korzystać ze swojego.

Zostawiłem ich i poszedłem podjazdem do głównego budynku. Zapach mgły dotarł już nawet tam. Spływała z gór, z księżycy, unosiła się z morza.

Wielki biały dom był cichy, ale w niektórych oknach płonęło światło. Nacisnąłem dzwonek. Za masywnymi drzwiami delikatnie zadzwieczał gong. Na progu ukazała się duża Murzynka w bawełnianej wzorzystej sukience. Trądzik pozostawił blizny na skórze jej kości policzkowych, ale nie zniszczył urody, chociaż była to nieco wulgarna uroda. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, oświadczyła, że pana Bradshawa nie ma w domu, a pani Bradshaw właśnie kładzie się spać.

—Chcę tylko skorzystać z telefonu. Jestem znajomym młodej pani ze stróżówki.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem. Zastanawiałem się przez chwilę, czy dziki, bezrozumny wygląd Dolly nie udzielił się i mnie.

—To ważne — powiedziałem. — Ona potrzebuje lekarza.

—Jest chora?

— Bardzo chora.
— Nie powinien pan zostawiać jej samej.
— Nie jest sama. Jest przy niej mąż.
— Ale ona nie jest mężatką.
— Nie będziemy o tym dyskutować. Mogę zadzwonić do lekarza czy nie?

Niechętnie ustąpiła mi drogi i przeprowadziła obok krętych schodów do pełnego książek gabinetu, w którym biurkowa lampa płonęła jak nocna latarnia. Wskazała aparat stojący obok lampy i zajęła stanowisko przy drzwiach jak strażnik.

— Mógłbym zostać na chwilę sam? Przeszukać będzie mnie można przy wyjściu.

Prychnęła i znikła mi z oczu. Chciałem zadzwonić do Helen, ale nie znalazłem jej w książce telefonicznej. Na szczęście udało mi się znaleźć doktora Godwina. Wybrałem numer. Głos, który w końcu mi odpowiedział, był tak cichy i bezbarwny, że nie umiałbym powiedzieć, czy należy do mężczyzny, czy kobiety.

— Czy mogę rozmawiać z doktorem Godwinem?

— Tu Godwin. — Wydawał się znużony faktem, że jest, kim jest.

— Nazywam się Lew Archer. Właśnie rozmawiałem z pewną dziewczyną, która utrzymuje, że była pańską pacjentką. Jej panieńskie nazwisko brzmi McGee. Na imię ma Dolly lub Dorothy. Nie jest w najlepszym stanie.

— Dolly? Nie widziałem jej dziesięć czy jedenaście lat. Co jej dolega?

— Wydaje mi się, że lepiej będzie, jak sam ją pan przebada. Łagodnie ujmując, histeryzuje, mówi bez ładu i składu o jakimś morderstwie.

Jęknął. Drugim uchem usłyszałem panią Bradshaw, wołającą ochryple z góry schodów:

— Co się tam wyprawia na dole, Mario?

— On mówi, że ta Dolly jest chora.

— Jaki on?

— Skąd mam wiedzieć? Jakiś pan.

— Czemu mi nie powiedziałaś, że jest chora?

— Przecie mówię.

Doktor odezwał się wątłym, zgaszonym głosem, jak duch szepczący z przeszłości:

— Nie jestem zaskoczony wypłynięciem tych zaszłości. Jako bezbronne dziecko stała się świadkiem brutalnego morderstwa, popełnionego w jej rodzinie. Była na progu dojrzewania i już bardzo przewrażliwiona.

Próbowałem przebić się przez jego medyczny żargon:

— Ojciec zabił matkę, zgadza się?

— Tak. — Zabrzmiało to jak westchnienie. — Biedne dziecko znalazło ciało. Zmusili ją do zeznawania w sądzie. Pozwalamy na takie barbarzyństwa... — Przerwał i spytał innym, ostrym tonem: — Skąd pan dzwoni?

— Z domu Roya Bradshawa. Dolly jest w stróżówce z mężem. To przy Foothill Drive...

— Wiem, gdzie to jest. Tak się składa, że właśnie wróciłem z uroczystej kolacji, na której był też dziekan Bradshaw. Mam jeszcze jedną wizytę i zaraz po niej zjawiam się u was.

Rozłączyłem się i przez chwilę siedziałem nieruchomo w skórzanym obrotowym fotelu Bradshawa. Ściany książek wokół, wypełnionych przeszłością, odgradzały Bradshawa od świata i jego katastrof. Z niechęcią pomyślałem, że muszę wstać.

Pani Bradshaw czekała w holu. Maria znikła. Starsza pani oddychała głośno, jakby płacąc za chwilę wzburzenia. Przyciskała front różowego wełnianego szlafroka do sflaczałych piersi.

— Co dolega tej dziewczynie?

— Ma kryzys nerwowy.

— Pokłóciła się z mężem? Z niego taka gorąca głowa, że trudno ją winić.

— To znacznie starsza sprawa. Właśnie dzwoniłem do doktora Godwina, psychiatry. Była jego pacjentką.

— Chce pan powiedzieć, że jest... — Postukała się napuchłymi kłykciami w pożyczowaną skroń.

Na podjeździe zatrzymało się auto i nie musiałem udzielać odpowiedzi na to pytanie. Frontowymi drzwiami wszedł Roy Bradshaw. Mgła pozlepiała i poskręcała mu włosy, wąska twarz była ożywiona. Zesztywniał, zobaczywszy nas u stóp schodów.

— Jesteś późno — powiedziała oskarżycielskim tonem pani Bradshaw. — Wychodzisz sobie na wystawne kolacje i zostawiasz mnie tutaj, zdaną na własne siły. A tak w ogóle, gdzie się podziewałeś?

— Byłem na bankiecie wychowanków. Przecież pamiętasz. Wiesz, jak ciągną się te spotkania, i obawiam się, że również dołożyłem się do ogólnego nudziarstwa. — Zawahał się, uświadamiając sobie, że chodzi o coś poważniejszego niż zaborczość starej kobiety. — Co się dzieje, matko?

— Ten człowiek twierdzi, że ta mała ze stróżówki zwariowała. Czemu pozwalasz, żeby przysyłano mi pacjentkę domu dla obłąkanych?

— Nie ja ją przysłałem.

— A kto?

Próbowałem przerwać te idiotyzmy, ale żadne z nich mnie nie słyszało. Byli zajęci grą w emocjonalny ping-pong, ciągnącą się zapewne od czasu, gdy Roy Bradshaw był dzieckiem.

— Albo Laura Sutherland, albo Helen Haggerty — odparł Bradshaw.

— Profesor Haggerty jest jej opiekunką, więc to zapewne ona.

— Bez względu na to, która z nich to zrobiła, masz ją poinstruować, że następnym razem musi uważać. Skoro sam nie dbasz o moje osobiste bezpieczeństwo...

— Bardzo dbam o twoje bezpieczeństwo. Naprawdę dbam o twoje bezpieczeństwo. — Mówił wysiłonym głosem, jednocześnie zły i skrępowany całą sytuacją. — Nie miałem pojęcia, że z tą dziewczyną jest coś nie tak.

— Przeszła szok — wtrąciłem. — To pewnie świeża sprawa. Właśnie zadzwoniłem po lekarza. Doktora Godwina.

Bradshaw powoli odwrócił się w moim kierunku. Twarz miał miękka i pustą jak śpiący chłopiec.

— Znam doktora Godwina — powiedział. — Co jej się stało?

— To nie jest jasne. Chciałbym pomówić z panem na osobności.

Pani Bradshaw oświadczyła drżącym głosem:

— To mój dom, młody człowieku.

Zwracała się do mnie, ale równocześnie strzelała z bata właścicielki, przypominała Bradshawowi, kto rządzi w domu. Poczuł ukąszenie.

— Ja też tu mieszkam. Mam obowiązki wobec ciebie i staram się je wypełniać jak należy. Mam również obowiązki wobec studentów.

— Ty i twoi ukochani studenci. — W jej czarnych oczach była pogarda. — Proszę bardzo, rozmawiajcie. Ja wyjdę na dwór.

Ruszyła ku drzwiom frontowym, otulając szlafrok wokół starczego ciała, jak wyrzucona za próg podczas zamieci. Bradshaw ruszył za nią. Zaczęły się przyciągania i wyrywania, potem było uspokajanie i finalny uścisk na dobranoc, od którego odwróciłem wzrok, i w końcu ciężko wspięła się po schodach z pomocą syna.

— Nie powinien pan zbyt surowo oceniać mojej matki — powiedział Bradshaw, zszedłszy na dół. — Starzeje się i każdy kryzys dużo ją kosztuje. To naprawdę szczodra dusza, wiem o tym doskonale.

Powstrzymałem się od wygłaszania swoich opinii. Znał tę kobietę lepiej ode mnie.

— A więc, panie Archer, może przejdziemy do mojego gabinetu?

— Zaoszczędzilibyśmy czas, gdybyśmy porozmawiali po drodze.

— Po drodze?

— Chcę, żeby zabrał mnie pan do domu Helen Haggerty, jeśli wie pan, jak tam dotrzeć. Nie jestem pewien, czy po ciemku znajdę drogę.

— O co chodzi, na Boga? Chyba nie bierze pan na serio mojej matki? Ona po prostu mówi, żeby słyszeć swój głos.

— Wiem. Ale są jeszcze słowa Dolly. Twierdzi, że Helen Haggerty nie żyje. Dolly miała zakrwawione ręce. To też o czymś świadczy. Myślę, że lepiej zrobimy, udając się tam, by sprawdzić, czyja to krew.

Przełknął głośno ślinę.

— Tak. Oczywiście. To niedaleko stąd. A przecinką jeszcze bliżej, kilka minut marszu. Ale nocą będzie szybciej autem.

Pojechaliśmy jego samochodem. Poprosiłem, by zatrzymał się przy stróżówce, i zajrzałem do środka. Dolly leżała na łóżku, odwrócona do ściany. Alex przykrył żonę kocem. Stał przy niej, opuściwszy ręce.

— Doktor Godwin jest w drodze — poinformowałem go półgłosem.
— Zatrzymaj ją tu, aż wrócę, dobrze?

Skinął głową, ale ledwo mnie widział. Patrzył w siebie, w głębie, które zaczął dostrzegać dopiero dziś wieczorem.

ROZDZIAŁ 9

Samochód Bradshawa zaopatrzony był w pasy bezpieczeństwa i dziekan kazał mi je zapiąć, zanim ruszyliśmy. Powiedziałem mu o wynurzeniach Dolly tyle, ile moim zdaniem powinien wiedzieć. Wyraził współczucie. Poradziłem mu zostawić samochód przy skrzynce pocztowej u początku podjazdu Helen. Kiedy wysiadaliśmy, doleciał mnie jęk rogu mgłowego. Był odpływ.

Dalej przy drodze parkował na wygaszonych światłach inny samochód, ciemny kabriolet, którego kształt ledwo rozpoznawałem w zapadającym mroku. Powinienem go przeszukać, ale poganiało mnie poczucie winy i niecierpliwa chęć sprawdzenia, czy Helen żyje.

Światła domu rozmywały się w górze, między drzewami. Ruszyliśmy ostrymi zakosami żwirowanego podjazdu. Nad naszymi głowami przeleciał puchacz, nisko i bezgłośnie jak strzęp sunącej mgły. Zajaśniał gdzieś w szarzącym mroku, wezwał swoją połowicę i otrzymał odpowiedź. Dwa niewidzialne ptaki zdawały się szczydzić z nas smutnymi odległymi głosami, przypominającymi rogi mgłowe.

Wyżej rozległ się miarowy chrzęst żwiru. Po chwili stał się głośniejszy i przeszedł w wyraźny odgłos kroków. Dotknąłem rękawa Bradshawa i obaj znieruchomieliśmy. Nad nami wyłoniła się sylwetka mężczyzny. Był w płaszczu i kapeluszu z opuszczonym rondem, zakrywającym twarz.

— Dobry wieczór — przywitałem go.

Nie odpowiedział mi. Musiał być młody i śmiały. Runął prosto na nas, potrącając mnie w ramię i odrzucając Bradshawa w krzaki. Próbowałem zatrzymać intruza, ale siła rozpędu poniosła go w dół.

Biegłem do drogi, słysząc tupot jego kroków, i dojrzałem tylko, jak wsiada do kabrioletu. Ryknął silnik i zapłonęły światła pozycyjne. Zanim kabriolet skoczy! w ciemność, rozpoznałem tablice rejestracyjne stanu Nevada i pierwsze cztery elementy napisu. Wróciłem do auta Bradshawa i zapisałem je w notatniku: „FT37”.

Kolejny raz wspiałem się pod górę. Bradshaw dotarł już do domu. Siedział na stopniach przed drzwiami. Twarz miał poszarzałą i spoconą. Światło padające z otwartych drzwi rzucało na płaskie kamienie jego przygarbiony cień.

— Ona naprawdę nie żyje, panie Archer — rzekł.

Zajrzałem do środka. Helen leżała na boku, przy drzwiach.

Krew wypłynęła z czoła okrągłą raną po kuli i rozlała się na płytkach. Czerwona plama ścinała się przy brzegach, jak szron na ciemnej kałuży. Dotknąłem smutnej twarzy. Już lodowaciała. Na moim zegarku była dziewiąta siedemnaście.

Między drzwiami i plamą krwią widniał niewyraźny rdzawy odcisk ręki. Kiedy go dotknąłem, poczułem, że jest świeży, wciąż lepki. Z grubszą odpowiadał rozmiarom ręki Dolly. Dziewczyna mogła upaść przypadkowo, ale przeleciało mi przez głowę, że starała się jak mogła, by oskarżono ją o morderstwo. Co niekoniecznie znaczyło, że jest niewinna.

Bradshaw słał się w drzwiach jak rekonwalescent.

— Biedna Helen — wymamrotał. — Co za potworność. Czy przypuszcza pan, że ten facet, który się na nas rzucił...

— Powiedziałbym, że ona nie żyje od przynajmniej dwóch godzin. Oczywiście mógł wrócić, żeby zatrzeć ślady albo odzyskać broń. Zachowywał się podejrzenie.

— Bez wątplenia.

— Czy Helen Haggerty kiedykolwiek wspomniała Nevadę?

Wyglądał na zaskoczonego.

— Nie wydaje mi się — odparł. — Dlaczego pan o to pyta?

- Samochód naszego przyjaciela miał tablice rejestracyjne tego stanu.
- Rozumiem. No cóż, podejrzewam, że musimy zawiadomić policję.
- Będą niezadowoleni, jeśli tego nie zrobimy.
- Zadzwoń pan? Nie mogę się pozbierać.
- Lepiej będzie, jeśli pan zadzwoni, Bradshaw. Pracowała w pańskim college’u, więc pan ma większe szanse ograniczyć skandal do minimum.
- Skandal? Nawet o tym nie pomyślałem.

Z wyraźną niechęcią podszedł do telefonu w głębi pokoju. Szybko zlustrował inne pomieszczenia. Pierwszy pokój był pustawy, stał w nim tylko kuchenny taboret i zwykły stół, służący do pracy. Na blacie leżał plik testów z nieregularnych czasowników francuskich. Wokół było pełno książek: francuskie i niemieckie słowniki i podręczniki do gramatyki i zbiory poezji i prozy. Otworzyłem pierwszą z brzegu. Miała pieczętkę: „Profesor Helen Haggerty, Maple Park College, Maple Park, Illinois”.

Drugi pokój urządzone z bardzo wybredną elegancją, nowymi meblami w stylu francuskiej prowincji — dywany z owczej wełny na wypolerowanej płytkowej podłodze, miękkie i ciężkie ręcznie tkane zasłony na wielkich oknach. W szafie rząd sukienek i spódniczek z metkami Magnin i Bullocks, poniżej rząd dobranych nowych butów. Komodę wypełniały swetry i bielizna osobista, ale nie znalazłem nic naprawdę osobistego. Żadnych listów, żadnych zdjęć.

W łazience wykładzina i trójkątna wanna, wpuszczona w podłogę. Apteczka dobrze zaopatrzona w różne kosmetyki i pastylki nasenne. Te ostatnie przepisane przez doktora Otto Schrenka, wydane w Thomson Drug Store w Bridgeton, stan Illinois, 17 czerwca tego roku.

Wysypałem łazienkowy kosz na wykładzinę. Pod stosami zmiętych wacików znalazłem list nadany pocztą lotniczą, z nadrukiem Bridgeton, Illinois, wysłany tydzień temu do pani Helen Haggerty. Brak adresu zwrotnego, w środku pojedyncza kartka podpisana jednym słowem: Matka.

Droga Helen

To miło z twojej strony, że wysłałaś mi kartkę ze słonecznej Kalifornii, mojego ulubionego stanu, chociaż lata minęły, odkąd tam byłam. Twój ojciec wciąż obiecuje, że pojedzie tam ze mną na wakacje, ale zawsze coś wyskoczy i nici z wyjazdu. Nieważne. Ma trochę lepsze ciśnienie i jest za co dziękować Bogu. Cieszę się, że dobrze się miewasz. Bardzo bym chciała, żebyś jeszcze raz przemyślała swój rozwód, ale podejrzewam, że klamka zapadła. Szkoda, że ty i Bert nie mogliście zostać razem. To na swój sposób dobry człowiek. Ale pewnie kiedy oglądamy się w przeszłość, czas nakłada nam różowe okulary.

Twój ojciec oczywiście wciąż jest wściekły. Nie pozwala mi wspomnieć o tobie. Przede wszystkim tak naprawdę wcale nie wybaczył ci, że odeszłaś z domu, a pewnie nie wybaczył i sobie, że też się o to postarał. Do kłótni trzeba dwojga. Wciąż mam nadzieję, że się pogodzicie, zanim on umrze. Wiesz, Helen, ojciec nie młodnieje i ja też. Jesteś mądrą dziewczyną, wyedukowaną, i gdybyś chciała, mogłabyś napisać do niego taki list, żeby przestał się gnębić tamtymi sprawami. W końcu jesteś jego jedyną córką, ale nie cofnęłaś tamtych słów, że jest zdeprawowanym gliną. Policjantowi ciężko przełknąć takie słowa, szczególnie od własnego dziecka, i wciąż go ranią, chociaż minęło ponad dwadzieścia lat. Napisz, proszę.

Z powrotem włożyłem list do kosza, razem z innymi śmieciami. Potem umyłem ręce i wróciłem do pokoju dziennego. Bradshaw, nawet sam, siedział w sztywnej oficjalnej pozie, zajmując fotel z wyplatany siedzeniem. Pomyślałem, że chyba nigdy dotychczas nie widział trupa. Dla mnie nie była to pierwszozna, ale czułem się wyjątkowo podle. Tej tragedii mogłem zapobiec.

Mgła gęstniała. Podeszła pod szklaną ścianę, tak że miałem niesamowite wrażenie, iż świat pozostał gdzieś daleko, a Bradshaw i ja suniemy w kosmicznej pustce, niedobrani towarzysze podróży, zamknięci w rękawie wraz z trupem kobiety.

—Co powiedział pan policji?

—Rozmawiałem z samym szeryfem. Będzie tu niebawem.

Podałem tylko niezbędne minimum. Nie wiedziałem, czy mówić coś o pani Kincaid, czy nie.

— Będziemy musieli wyjaśnić, skąd wiedzieliśmy, że należy szukać ciała. Ale nie musi pan powtarzać niczego, co powiedziała Dolly. Z pana punktu widzenia to wyłącznie pogłoski.

— Czy uważa pan, że może być uznana za podejrzaną?

— Jeszcze nie wiem. Zobaczmy, co doktor Godwin powie o jej stanie psychicznym. Mam nadzieję, że zna się na swojej robocie.

— Jest najlepszym psychiatrą w mieście. Tak się akurat składa, że widzieliśmy się dziś wieczorem. Siedział ze mną przy stole honorowym na bankiecie, dopóki go nie wywołano.

— Wspomniał, że się spotkaliście.

— Tak. James Godwin i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. — Chyba to stwierdzenie podziałało na niego krzepiąco.

Rozejrzałem się za czymś, na czym mógłbym usiąść, ale był tylko płócienny szeslong Helen. Przykucnąłem na piętach. Ten dom był dziwnie urządony, jednocześnie nędznie i rozrzutnie, jakby mieszkały w nim dwie różne kobiety. Księżniczka i żebraczka.

Kiedy podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Bradshawem, przytaknął mi, mówiąc:

— Uderzyło mnie to, kiedy odwiedziłem ją wcześniej. Najwyraźniej lubiła wydawać pieniądze na błahostki.

— Skąd miała fundusze?

— Dała mi do zrozumienia, że ma prywatne źródło dochodu. Wiadomo, że nie mogłaby ubierać się tak, jak się ubierała, dysponując pensją młodszego wykładowcy.

— Znał pan dobrze profesor Haggerty?

— Nie. Tak naprawdę to towarzyszyłem jej tylko podczas jednej czy dwóch uroczystości w college'u i podczas otwarcia jesiennego sezonu w filharmonii. Okazało się, że dzielimy upodobanie do Hindemitha. — Złożył dłonie w daszek. — Jest... była bardzo efektowną kobietą. Ale nie zbliżyliśmy się do siebie pod żadnym względem. Nie zachęcała do tego.

Uniosłem brwi. Bradshaw zarumienił się lekko.

— Na litość boską, nie miałem na myśli zbliżenia seksualnego. Była zupełnie nie w moim typie. Chodziło mi o to, że unikała wszelkich uwag na tematy osobiste.

— Skąd do was przyszła?

— Z jakiegoś małego college'u na Środkowym Zachodzie, chyba Maple Park. Kiedy zwróciliśmy się do niej z propozycją zatrudnienia, już tam nie pracowała. Mieliśmy sytuację awaryjną, bo doktor Farrand dostał zawału. Na szczęście Helen była wolna. Nie mam pojęcia, co teraz będzie z naszym wydziałem języków nowożytnych. Semestr już się rozpoczął.

Mówił to takim tonem, jakby miał uraz do zmarłej, że pozwoliła sobie opuścić stanowisko. Chociaż przejmowanie się problemami college'u było z jego strony całkiem naturalne, w tej sytuacji nie podobało mi się. Powiedziałem, celowo wbijając mu szpilę:

— Pana i pański college zapewne czekają poważniejsze kłopoty niż znalezienie nowego wykładowcy.

— Co pan ma na myśli?

— Helen Haggerty nie była tuzinkową osobą. Dziś po południu spędziliśmy razem trochę czasu. Między innymi wyznała mi, że grożono jej śmiercią.

— To straszne — bąknął, jakby tego rodzaju pogróżki były w jakiś sposób potworniejsze niż samo morderstwo. — Kto, na Boga...

— Nie miała pojęcia i ja też nie mam. Myślałem, że może pan coś wie. Czy miała jakichś wrogów?

— Nikt nie przychodzi mi na myśl. Ale nie znałem dobrze Helen.

— Tak się złożyło, że ja w krótkim czasie poznałem ją całkiem dobrze. Wywnioskowałem, że poznała życie, i to nie tylko na seminariach i koleżeńskich herbatkach. Czy przejrzał pan jej życiorys, zanim ją pan zatrudnił?

— Niezbyt dokładnie. To była awaryjna sytuacja, jak powiedziałem, i rozwiązanie jej w żadnym wypadku nie należało do moich kompetencji. Szef wydziału Helen, doktor Geisman, odniósł bardzo korzystne wrażenie po zapoznaniu się z opiniami na jej temat i przydzielił jej stanowisko.

Delikatnie odżegnywał się od odpowiedzialności. Zapisałem Geisma na w notatniku.

— Należało zapoznać się z jej życiorysem — powiedziałem. — Okazuje się, że była zamężna i świeżo rozwiedziona. Chciałbym również dowiedzieć się czegoś więcej o jej relacjach z Dolly. Wygląda na to, że znały się dosyć blisko.

— Nie sugeruje pan chyba stosunków lesbijskich? Mieliśmy... — Zdecydował się nie kończyć zdania.

— Niczego nie sugeruję. Szukam informacji. Jak doszło do tego, że profesor Haggerty stała się naukowym opiekunem Dolly?

— Przypuszczam, że w normalny sposób.

— Jak normalnie pozyskuje się opiekuna?

— To zależy. Pani Kincaid była studentką starszego roku, a takim osobom zwykle pozwalamy na samodzielny wybór opiekuna, byle tylko miał z nią zajęcia.

— W takim razie Dolly prawdopodobnie sama wybrała profesor Haggerty i nawiązała z nią przyjaźń?

— Miała ku temu wszelką sposobność. Oczywiście to mógł być zwykły przypadek.

Jakby dotarł do nas sygnał na tej samej fali, odwróciliśmy się i spojrzeliśmy na ciało Helen Haggerty. W odległym kącie pokoju wydawało się drobne i samotne. Nasz wspólny lot w chmurnej przestrzeni trwał długi czas. Spojrzałem na zegarek. Była dopiero dziewiąta trzydzieści jeden, od naszego przybycia minęło czternaście minut. Odnosiło się wrażenie, że czas zwolnił bieg, dzieląc się w nieskończoność, jak przestrzeń Zenona z Elei lub chwile po zażyciu marihuany.

Bradshaw z wyraźnym wysiłkiem oderwał wzrok od ciała. Zapłacił za to krótkie spojrzenie utratą resztek chłopięcego wyglądu. Pochylił się ku mnie, mrużąc w głębokim zdziwieniu oczy i wykrzywiając usta.

— Nie rozumiem tamtego wyznania pani Kincaid — rzekł. — Czy naprawdę chciała się przyznać do tego... morderstwa?

— Funkcjonariusze policji czy prokuratury mogliby tak potraktować jej słowa. Na szczęście nie było przy nas ani jednych, ani drugich. Słyszałem wiele samooskarżeń, zgodnych z prawdą i wydumanych. Uważam,

że jej daleko odbiegało od prawdy.

—No a krew?

—Dolly mogła się pośliznąć i upaść w kałużę.

—Czy w takim razie nie uważa pan, że powinniśmy wspomnieć o tych sprawach szeryfowi?

—To zależy od tego, czy pewne nagięcie faktów przeszkadza panu, czy nie.

Po jego minie widać było, że mu przeszkadza, ale rzekł z ociąganiem:

—Zachowamy to dla siebie, przynajmniej na razie. Przecież była naszą studentką, chociaż niedługo.

Bezwiednie użył czasu przeszłego, ale ja to zauważyłem i ogarnęło mnie przygnębienie. Myślę, że obaj poczuliśmy ulgę, słysząc auto szeryfa wspinające się na wzgórze. Towarzyszyło mu ruchome laboratorium. W ciągu kilku minut specjalista od daktyloskopii, zastępca koronera i fotograf zawładnęli pokojem i zmienili jego charakter. Stał się bezosobowy i ponury, jak każde miejsce morderstwa. Umundurowani funkcjonariusze w jakiś dziwny sposób popełnili drugą, ostateczną zbrodnię, usuwając koszmarną aurę wokół Helen, zamieniając zmarłą w kawał mięsa do laboratoryjnej analizy i eksponat sądowy. Podskakiwałem za każdym błyskiem flesza.

Szeryf Herman Crane był zwalistym mężczyzną ubranym w cywilny brązowy garnitur z gabardyny. Jediną mundurową częścią jego garderoby był kapelusz z szerokim rondem i plecioną skórzaną opaską. Przemawiał z góry jak urzędnik, a zachowywał się z przyciężką swobodą zawodowego polityka, który nie wie, co bardziej mu się opłaci — przypodobać się rozmówcy czy go zastraszyć. Traktował Bradshawa z hałaśliwą uniżonością, jakby ten był wrażliwą rośliną o nieokreślonej cenie, niemniej jednak zasługującą na uwagę.

Mnie traktował z zawodową podejrzliwością, jak to zawsze gliny. To, że pozwalałem sobie na samodzielność myślenia, w ich oczach już zakrawało na przestępstwo. Mimo to udało mi się go nakłonić do wysłania wozu patrolowego w pościg za kabrioletem z Nevady. Szeryf Crane narzekał na poważne braki kadrowe w swoim wydziale i nie myślał, aby na

tym etapie sprawy wskazane były blokady drogowe. Na tym etapie sprawy zdecydowałem się nie udostępniać mu wszystkich znanych mi informacji.

Usiedliśmy, on na szezlongu, ja na fotelu z wyplatany siedzeniem, i odbyliśmy rozmowę, stenografowaną przez jego pracownika. Powiedziałem, że Dolly Kincaid, żona mojego klienta, znalazła ciało swojego opiekuna naukowego, profesor Haggerty, i zgłosiła ten fakt mnie. Doznała ciężkiego szoku i jest pod opieką lekarską.

Zanim szeryf przystąpił do wyciskania ze mnie dalszych szczegółów, zrelacjonowałem mu dokładnie, a w każdym razie na tyle dokładnie, na ile potrafiłem, moją rozmowę z Helen i groźby pod jej adresem. Wspominałem, że oficjalnie zgłosiła te pogroźki. Chyba przyjął to jako krytykę pod swoim adresem.

— Jak powiedziałem, mamy braki kadrowe. Nie daję rady zatrzymać ludzi z doświadczeniem. Los Angeles wabi ich pensjami, na które nas nie stać, i obietnicami złotych gór. — Wiedział, że jestem z Los Angeles, i poniekąd dawał mi do zrozumienia, że to ja jestem winien brakom kadrowym w wydziale szeryfa w Pacific Point. — Gdybym postawił człowieka na straży każdego domu, do którego był głupi telefon, nie zostałyby mi nikt do roboty.

— Rozumiem.

— Cieszę się, że pan rozumie. Tylko ja czegoś nie rozumiem... jak doszło do tej rozmowy?

— Profesor Haggerty nawiązała ze mną znajomość i poprosiła mnie, żebym ją odwiedził.

— O której to było?

— Nie patrzyłem na zegarek. Tuż przed zachodem słońca. Przebywałem tu około godziny.

— O co jej chodziło?

— Chciała, żebym został jako jej osobista ochrona. Żałuję, że tego nie zrobiłem. — Samo to, że mogłem wyrazić skruchę, poprawiło mi nastrój.

— Znaczy się, twierdzi pan, że chciała wynająć pana jako ochroniarza?

— Taki był jej zamiar. — Nie było sensu relacjonować słownych za-
wiłości między mną i Helen, z których nic nie wynikło.

— Skąd wiedziała, że pan zajmuje się ochroną?

— Dokładnie biorąc, nie zajmuję się ochroną. Wiedziała, że jestem
detektywem, przeczytała o mnie w gazecie.

— Pewnie — mruknął. — Tego przedpołudnia był pan świadkiem w
sprawie Perrine. Może powinienem panu pogratulować, bo babie się
upiekło.

— Nie musi się pan wysilać.

— Nie zamierzam. Była winna jak wszyscy diabli i pan to wie, i ja to
wiem.

— Ława przysięgłych miała inne zdanie — powiedziałem ze spoko-
jem.

— Przysięgłych można omotać, a świadków kupić. Nagle jest pan
bardzo aktywny w tutejszych kręgach przestępczych, panie Archer. —
Te słowa miały ciężar ukrytej groźby. Wskazał lekceważącym gestem
ciało. — Ta kobieta, ta profesor Haggerty, to na pewno nie była pańska
przyjaciółka?

— Do pewnego stopnia staliśmy się przyjaciółmi.

— W godzinę?

— Można się zaprzyjaźnić w godzinę. Poza tym rozmawialiśmy wcze-
śniej w college'u.

— A wczoraj nie? Nie rozmawiał pan z nią wczoraj?

— Nie. Poznałem ją dzisiaj.

Bradshaw, który kręcił się przy nas, na różne sposoby demonstrując
niepokój, powiedział:

— Mogę potwierdzić prawdziwość tego oświadczenia, szeryfie, jeśli
zaoszczędzi to panu czasu.

Crane podziękował mu i wrócił do rozmowy ze mną.

— Więc wasz kontakt dotyczył spraw czysto zawodowych?

— Mniej więcej. Nie byłem jednak zainteresowany jej propozycją. —
Łagodnie mówiąc, nieco rozmiąłem się z prawdą, ale cokolwiek bym
powiedział Crane'owi, zabrzmiałoby to głupio.

— Nie był pan zainteresowany jej propozycją. Dlaczego?

— Miałem inną sprawę.

— Jaka?

—Zatrudnił mnie pan Kincaid, żebym odnalazł jego żonę. Opuściła go.

—Przed południem coś mi się obilo o uszy na ten temat. Dowiedział się pan, czemu go opuściła?

—Nie. Moim zadaniem było ją odnaleźć. I odnalazłem.

—Gdzie?

Zerknąłem na Bradshawa. Niechętnie skinął głową.

—Jest studentką college'u — powiedziałem.

—A teraz, jak pan mówi, jest pod opieką lekarza? Którego lekarza?

—Doktora Godwina.

—Tego psychiatry, co? — Szeryf zdjął nogę z nogi i konfidencjonalnie pochylił się ku mnie. — Po co jej psychiatra? Dostała bżuma?

—Histeryzowała. Pomyślałem, że niegłupio będzie zadzwonić po psychiatrę.

—Gdzie teraz jest?

Znów poszukałem wzrokiem Bradshawa.

—U mnie — powiedział. — Moja matka zatrudniała ją jako szofera.

Szeryf wstał, energicznie machnąwszy rękami w tył.

—Jedźmy tam i porozmawiajmy z nią — rzekł.

—Obawiam się, że to niemożliwe — oświadczył Bradshaw.

—Kto tak uważa?

—Ja, ale jestem pewien, że lekarz będzie tego samego zdania.

—Jasna sprawa. Godwin mówi to, co każą mu pacjenci. Za coś mu przecież płacą. Już wcześniej miałem z nim kłopoty.

—Wiem. — Bradshaw pobałdł, ale pozostał równie opanowany i stanowczy jak dotychczas. — Daleko panu do profesjonalizmu, szeryfie, i mam poważne wątpliwości, czy pojmuje pan kodeks etyczny doktora Godwina.

Crane poczerwieniał po tej zniewadze. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Bradshaw mówił dalej:

—Mam również bardzo poważne wątpliwości, czy obecnie pani Kincaid może lub powinna być przesłuchiwana. Czemu to miałoby służyć? Gdyby miała coś do ukrycia, nie pobiegłaby z tymi okropnymi wieściami

do najbliższego prywatnego detektywa. Z pewnością nie powinniśmy poddawać tej dziewczyny okrutnej karze tylko dlatego, że wypełniła swój obywatelski obowiązek.

— Jakiej okrutnej karze? Wcale nie chcę oskarżać jej o morderstwo trzeciego stopnia.

— Mam nadzieję i ufam, że nie zamierza pan zbliżyć się do tego biednego dziecka dziś wieczór. To byłaby w mojej opinii okrutna kara, szeryfie, i jestem przekonany, że mówię w imieniu oświeconej opinii tego powiatu.

Crane otworzył usta, żeby postawić się Bradshawowi, ale chyba zdał sobie sprawę, że próba pokonania dziekana w szermierce słownej jest skazana na klęskę, i nie odezwał się. Wyszedłem z Bradshawem. Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu pozostałych osób, powiedziałem:

— Zrobił pan kawał dobrej roboty, usadzając szeryfa.

— Nie cierpię tego napuszonego gaduły. Na szczęście ma swoją piętę achillesową. Stracił wiele głosów podczas ostatnich wyborów. Wielu ludzi w tym powiecie, w tym doktor Godwin i ja, chciałoby, żeby zbrojne ramię prawa było skuteczniejsze i nie działało na oślep. Ale jeszcze nic straconego.

Sytuacja w stróżówce wyglądała identycznie jak poprzednio. Dolly nadal leżała na łóżku, twarzą do ściany. Bradshaw i ja zatrzymaliśmy się w drzwiach. Alex podszedł do nas z opuszczoną głową, by zamienić parę słów.

— Doktor Godwin wyszedł do głównego budynku zatelefonować. Uważa, że Dolly chwilowo powinna znaleźć się w domu opieki.

Dolly powiedziała monotonnym głosem:

— Słyszę, co mówicie. Równie dobrze możecie mówić głośno. Chcecie się mnie pozbyć.

— Cicho, kochanie. — To było odważnie powiedziane.

Dziewczyna zamilkła. Leżała zupełnie nieruchomo. Alex wyprowadził nas na dwór, zostawiając drzwi otwarte, tak że cały czas miał żonę na oku. Powiedział przyciszonym głosem:

— Doktor Godwin nie chce ryzykować, że targnie się na życie.

— Jest aż tak źle? — spytałem.

— Ja tak nie myślę. I pewnie doktor Godwin też nie. Mówi, że po prostu należy podjąć zwykłe środki ostrożności. Powiedziałem mu, że mógłbym z nią pobyc, ale on uważa, że nie powinienem sam się tym zajmować.

— Nie powinien pan — powiedział Bradshaw. — Musi pan zachować siły na jutrzejszy dzień.

— Na jutro... — Alex kopnął zardzewiałą skrobaczkę do butów, umocowaną przy wejściu. — Lepiej zadzwonię do taty. Jutro jest sobota, powinien móc przyjechać.

Od strony domu rozległ się odgłos kroków. Z mgły wynurzył się wielki mężczyzna w kurtce ze skóry aligatora. Jego łysa głowa lśniła w świetle z wnętrza stróżówki.

— Witaj, Roy — przywitał ciepło Bradshawa. — Z przyjemnością wysłuchałem twojego przemówienia, przynajmniej tyle, ile było mi dane. Jeszcze zrobisz z nas Ateny Zachodu. Na nieszczęście pacjentka wyciągnęła mnie w środku twojej mowy. Chciała wiedzieć, czy może bezpiecznie sama obejrzeć film według Tennessee Williamsa. Ale tak naprawdę chodziło o to, bym jej towarzyszył i uchronił przed złymi myślami. — Odwrócił się do mnie. — Pan Archer? Jestem doktor Godwin.

Wymieniliśmy uścisk dłoni. Jego przenikliwe spojrzenie długo spoczywało na mojej twarzy, jakby zamierzał namalować z pamięci mój portret. Miał dużą twarz o grubych rysach i oczach zapalających się i gasnących jak lampy. Mimo że bił od niego autorytet, zachowywał się skromnie.

— Cieszę się, że mnie wezwaliście. Panna McGee... pani Kincaid potrzebuje czegoś na uspokojenie. — Zajrzał za próg. — Mam nadzieję, że czuje się już lepiej.

— Jest o wiele spokojniejsza — przyznał Alex. — Nie uważa pan, że gdybym z nią tu został, miałaby wystarczającą opiekę?

Godwin zrobił współczującą minę. Miał bardzo ruchliwe usta jak aktor.

— To nie byłoby rozsądne, panie Kincaid. Zarezerwowałam dla niej łóżko w domu opieki, z którym współpracuję. Nie wolno nam narażać jej życia na najmniejsze ryzyko.

— Ale czemu miałaby próbować się zabić?

— Biedna dziewczyna, jest ogromnie przybita. Nigdy nie lekceważę gróźb samobójczych, choćby to były tylko mgliste sugestie.

— Doszedłeś do tego, dlaczego jest tak przybita? — spytał Bradshaw.

— Nie chciała rozmawiać. Jest bardzo zmęczona. Mogę poczekać z tym do jutra rana.

— Mam nadzieję, że będziesz miał okazję z nią pomówić — powiedział Bradshaw. — Szeryf chce ją przesłuchać w sprawie o morderstwo. Zrobiłem, co mogłem, żeby go powstrzymać.

Ruchliwa twarz Godwina spoważniała.

— Więc faktycznie popełniono morderstwo? Kolejne morderstwo?

— Dziś wieczorem zastrzelono w domu jedną z naszych nowych wykładowczyń, Helen Haggerty. Wygląda na to, że właśnie pani Kincaid znalazła ciało.

— Ma potwornego pecha. — Godwin spojrzał na nisko wiszące niebo. — Czasem odnoszę wrażenie, że bogowie odwrócili się od niektórych ludzi.

Poprosiłem go, by wytłumaczył, co ma na myśli. Potrząsnął głową i rzekł:

— Jestem zbyt zmęczony, żeby opowiedzieć panu krwawą sagę rodziny McGee. Miłosiernym zrządzeniem losu duża część tamtych wydarzeń uleciała mi z pamięci. Czemu nie zajrzy pan do archiwów sądowych?

— Przypominanie tamtych wydarzeń to niezbyt dobry pomysł w tych okolicznościach.

— Niewątpliwie. Sam pan widzi, jaki jestem zmęczony. Zanim za-
dbam o moich pacjentów i ułożę ich do snu, zostaje mi tylko tyle energii,
aby wrócić do domu i położyć się spać.

— Niemniej jednak musimy porozmawiać, doktorze.

— O czym?

Niechętnie poruszałem ten temat w obecności Alexa, ale nie miałem wyboru, więc rzekłem, nie spuszczając z niego wzroku:

— O tym, że pani Kincaid mogła popełnić to drugie morderstwo i że może zostać o nie oskarżona. Tak się zachowuje, jakby sama tego chciała.

— Była chwilowo niepoczytalna i nie możecie wykorzystać tego, co powiedziała — oświadczył Alex, broniąc żony.

Godwin położył dłoń na jego ramieniu.

— Spokojnie, panie Kincaid — rzekł. — Teraz do niczego nie dojdziemy. Każdemu z nas najbardziej potrzeba długiego snu, zwłaszcza pańskiej żonie. Proszę towarzyszyć mi do domu opieki. Pańska pomoc może okazać się nieodzowna. Pan — to było do mnie — może pojechać za mną i zabrać z powrotem pana Kincaida. Zresztą i tak powinien pan się dowiedzieć, gdzie jest dom opieki, ponieważ spotkam się tam z panem jutro rano po ósmej, kiedy już uda mi się porozmawiać z panią Kincaid. Zapamiętał pan?

— Jutro rano o ósmej.

Odwrócił się do Bradshawa.

— Roy, na twoim miejscu poszedłbym sprawdzić, jak czuje się pani Bradshaw. Dałem jej środek uspokajający, niemniej jest wzburzona. Może to tylko świadoma gra z jej strony, ale jest przekonana, że otaczają ją maniackalni mordercy. Zapewne potrafisz przemówić jej do rozsądku skuteczniej ode mnie.

Godwin sprawiał wrażenie mądrego i przewidującego człowieka. Niewątpliwie miał wielki autorytet. Każdy z nas zastosował się do jego polecenia.

Zrobiła to również Dolly. Wciśnięta między lekarza i Alexa, wyszła do auta. Bez oporu, bez słowa kroczyła jak skazaniec prowadzony do komory egzekucyjnej.

ROZDZIAŁ 10

Godzinę później siedziałem na podwójnym łóżku mojego motelowego pokoju. Na razie nie mogłem nic więcej zdziałać, może tylko narobić zamieszania, gdybym udał się po informacje do miejscowych władz. Ale patrząc na gipsową ścianę, wciąż widziałem, jak ścigam Begleya-McGee i chwytam człowieka z Nevady.

Siłą woli uciekłem od pełnych przemocy obrazów i myślałem o Zenonie z Elei, który orzekł, że Achilles nigdy nie dogoni żółwia. To była krzepiąca myśl, jeśli się było żółwiem, a może nawet jeśli było się Achillesem.

W torbie miałem butelkę whisky. Kiedy ją wyjmowałem, pomyślałem o Arniem Waltersie, moim koledze z Reno, który pomógł mi się uporać z niejedną flaszką. Zamówiłem międzymiastową do jego biura, które zbiegiem okoliczności mieściło się we frontowym pokoju jego domu. Arnie był u siebie.

—Agencja Detektywistyczna Waltersa — powiedział niechętnym tonem człowieka odbierającego telefon o północy.

—Tu Lew Archer.

—Och. Świetnie. Tak naprawdę wcale nie chciałem iść spać. Tylko przymierzałem piżamę.

—Nie sil się na ironię, to nie twoja najmocniejsza strona. Proszę tylko o małą usługę. Przy najbliższej sposobności odpłacę tą samą monetą. Nagrywasz?

Usłyszałem trzask włączanego urządzenia i opowiedziałem Arniemu o śmierci Helen.

— Kilka godzin po oddaniu strzału człowiek, który mnie interesuje, wyszedł z domu zamordowanej i odjechał czarnym albo ciemnym kabrio, chyba nowym modelem fordą, z tablicami Nevady. Pierwsze cztery znaki to chyba...

— Chyba?

— Tu jest mgła i ciemno. Pierwsze cztery znaki to prawdopodobnie: F, T, trzy, siedem. Obiekt był młody i atletyczny, mniej więcej pięć stóp jednaście cali, ubrany w ciemny płaszcz i fedorę z opuszczonym rondem. Nie udało się mi dojrzeć twarzy.

— Byłeś ostatnio u okulisty?

— Stać cię na lepszy tekst, Arnie. Spróbuj.

— Słyszałem, że teraz państwo funduje starszkom darmowy test na jaskrę.

Arnie był starszy ode mnie, ale nie lubił, kiedy mu się to wytykało.

— Co cię dręczy? — spytałem. — Masz kłopoty z żoną?

— Żadnych kłopotów — zaprzeczył radośnie. — Czeka na mnie w łóżku.

— Uściskaj Phyllis w moim imieniu.

— Uściskam ją we własnym imieniu. Gdybym na coś trafił, co wydaje się nieprawdopodobne po twoich fragmentarycznych informacjach, jak się z tobą skontaktować?

— Zatrzymałem się w motelu Mariner's Rest w Pacific Point. Ale lepiej zostaw wiadomość telefonistce centrali w Hollywood.

Powiedział, że tak zrobi. Kiedy odłożyłem słuchawkę, usłyszałem ciche pukanie do drzwi. Okazało się, że to Alex. Na piżamę miał nałożone spodnie.

— Słyszałem, że pan rozmawia.

— Telefonowałem.

— Nie chciałem przeszkadzać.

— Skończyłem. Wejdz, napijemy się.

Wszedł ostrożnie, jakby pokój był pełen min-pułapek. W ciągu ostatnich kilku godzin jego ruchy stały się niepewne. Bose stopy bezszelestnie dotykały wykładziny.

W szafce łazienkowej stały dwie szklanki owinięte w pergamin. Rozwinąłem je i napełniłem. Siedzieliśmy twarzą w twarz na podwójnym łóżu, jak lustrzane odbicia rozdzielone niewidzialną szklaną ścianą, popijając bez żadnych toastów.

Byłem świadom różnic między nami, zwłaszcza młodości Alexa i jego braku doświadczenia. W tym wieku wszystko sprawia ból.

— Myślałem o telefonie do taty — zaczął. — Teraz nie wiem, dzwonić czy nie.

Zapadła kolejna cisza.

— Nie będzie głęził: „A nie mówiłem”, ale tak właśnie pomyśli — powiedział po chwili. — Głupcy pośpieszają, gdzie anioły baczenie dają, i te wszystkie mądrości.

— Myślę, że ta maksyma ma tyle samo sensu, co jej przeciwieństwo — stwierdziłem. — Anioły pośpieszają, gdzie głupcy baczenie dają.

Zrozumiał przytyk.

— Uważa mnie pan za głupca?

— Świetnie dałeś sobie radę.

— Dziękuję — odparł sztywno. — Nawet jeśli to nie całkiem prawda.

— Ależ prawda. Musiałeś sporo z siebie dać.

Whisky i tchnienie ludzkiego ciepła rozpuściły szklaną ścianę między nami.

— Najgorzej się czułem, kiedy odstawiałem ją do tego domu opieki — przyznał mi się. — To miejsce jak z piekła Dantego. Ci pacjenci płaczą i jęczą. Dolly jest wrażliwą dziewczyną. Nie mam pojęcia, jak to zniesie.

— Lepiej żeby była tam niż gdzie indziej, na przykład żeby samotnie błąkała się w tym stanie.

— Myśli pan, że nie jest przy zdrowych zmysłach, prawda?

— To, co myślę, nie ma znaczenia. Jutro poznamy opinię eksperta. Nie ulega wątpliwości, że na razie nie jest panią samej siebie. Ale znam ludzi, którzy mieli większe odchylenia od normy i wracali do równowagi.

— Więc myśli pan, że wy dobrze?

Uczepił się tego, co powiedziałem, jak rozhuśtanego trapezu, i poszybował

ku nadziei. Uważałem, że nierozsądnie jest mydlić mu oczy, i powiedziałem:

— Bardziej martwi mnie, co powiedzą specjaliści od prawa niż od psychiatrii.

— Chyba pan nie wierzy, że naprawdę zabiła tę swoją przyjaciółkę... Helen? Wiem, że tak powiedziała, ale to niemożliwe. Niech pan zrozumie, ja znam Dolly. Ona wcale nie jest agresywna. Należy do ludzi, którzy naprawdę szanują życie. Nawet pająka by nie zabiła.

— Możliwe, Alex, myślę tak samo jak ty. Chciałem, żeby Godwin od początku brał to pod uwagę. Jest w stanie wiele zrobić dla twojej żony.

Powtórzył z nabożnym zachwytem:

— Dla mojej żony.

— Prawnie jest twoją żoną. Ale nikt nie powiedziałby, że jesteś jej coś dłużny. Masz nawet wymówkę do rozwodu i możesz z niej skorzystać.

Whisky w jego szklance zachlupotała. Myślę, że ledwo się powstrzymał, żeby nie chlusnąć mi nią w twarz.

— Nie zamierzam rzucać Dolly — powiedział. — Jeśli pan uważa, że powinienem ją rzucić, to idź pan do diabła.

Do tej chwili lubiłem go, choć z zastrzeżeniami.

— Ktoś musiał uświadomić ci ten fakt. Wielu by z niego skorzystało.

— Nie jestem jednym z wielu.

— Widzę.

— Tato pewnie nazwałby mnie głupcem, ale nie dbam o to, czy jest winna morderstwa. Zostaję przy niej.

— To będzie kosztowało.

— Chce pan więcej pieniędzy, czy tak?

— Mogę zaczekać. Godwin też. Myślałem o przyszłości. Poza tym jest bardzo możliwe, że jutro będziesz potrzebował adwokata.

— Do czego? — Był dobrym chłopcem, ale niezbyt szybko myślącym.

— Biorąc pod uwagę to, co się dzisiaj wydarzyło, musisz zrobić wszystko, żeby Dolly sama nie wpędziła się w kłopoty gadaniem. A to oznacza, że

trzeba będzie umieścić ją poza zasięgiem władz, w miejscu, w którym zaopiekują się nią jak trzeba. Dobry adwokat mógłby tu wiele zdziałać. Ale adwokaci prowadzący sprawy kryminalne zwykle nie lubią czekać na zapłatę.

— Naprawdę uważa pan, że grozi jej takie niebezpieczeństwo... że prawo może być wobec niej tak okrutne? Czy tylko próbuje pan wbić mi sztylet w serce?

— Rozmawiałem dziś wieczorem z miejscowym szeryfem i nie podobał mi się błysk w jego oczach, kiedy doszliśmy do tematu Dolly. Crane nie jest głupi. Wiedział, że coś przed nim ukrywam. Przycisnie ją do muru, kiedy tylko dogrzebie się historii jej rodziny.

— Co to za historia?

— Ojciec Dolly zamordował jej matkę. — Spadło na niego już dość ciosów i okrucieństwem było dokładać kolejny, niemniej jednak lepiej było, że dowiadywał się o tym ode mnie, niż miałby to zrobić jakiś koszmarny głos, odzywający się spod wygniecionej poduszki o trzeciej nad ranem. — Wygląda na to, że był sądzony i skazany przez miejscowy sąd. Szeryf prawdopodobnie zbierał materiał dowodowy potrzebny oskarżeniu.

— To prawie tak, jakby historia się powtarzała. — W głosie Alexa był lęk i zdumienie. — Czy dobrze słyszałem, że ten Chuck Begley, ten człówek z brodą to naprawdę jej ojciec?

— Na to wygląda.

— To przez niego wszystko się zawaliło — powiedział, w równej mierze do siebie, co do mnie. — To po jego wizycie Dolly mnie opuściła. Jak pan myśli, co takiego wydarzyło się między nimi, że zdecydowała się na ten krok?

— Nie wiem, Alex. Może nawrzeszczał na nią za to, że świadczyła przeciwko niemu? Tak czy inaczej, przywołał przeszłość. Nie potrafiła jednocześnie udźwignąć starego ciężaru i świeżych obowiązków małżeńskich, więc cię zostawiła.

— Wciąż nie mogę tego pojąć — powiedział. — Jak ktoś taki jak Dolly mógł mieć takiego ojca?

— Nie znam się na genetyce. Ale wiem z doświadczenia zawodowego,

że większość zabójców to nie kryminaliści z krwi i kości. Zamierzam dowiedzieć się więcej o Begleyu McGee i jego zbrodni. Podejrzewam, że nie ma sensu pytać, czy Dolly kiedykolwiek mówiła ci o tym?

—Nigdy nie powiedziała słowa o rodzicach, poza tym, że oboje nie żyją. Teraz rozumiem czemu. Nie winię jej za to kłamstwo... — Urwał i poprawił się: — Chciałem powiedzieć, za to, że nie opowiedziała mi o pewnych sprawach.

—Wyrównała to dziś wieczorem.

—No. To był wieczór, niech cię. — Pokiwał głową, jakby wciąż wchłaniał te rewelacje. — Niech pan powie mi szczerze, panie Archer... Czy pan wierzy w to, co powiedziała? Że jest odpowiedzialna za śmierć tamtej kobiety? I swojej matki?

—Nie pamiętam nawet połowy jej słów.

—To nie jest odpowiedź.

—Może jutro poznamy pełniejsze odpowiedzi. Świat jest skomplikowany. A ludzki umysł to jego najbardziej zagmatwana część.

—Niezbyt mnie pan pociesza.

—To nie moja robota.

Skrzywił się i powoli wstał, mówiąc:

—No cóż, musi się pan przespać, a mnie czeka telefon. Dzięki za drinka. — Odwrócił się z ręką na gałce u drzwi. — I za rozmowę.

—Zawsze do usług. Będziesz dzwonił do ojca?

—Nie. Postanowiłem, że nie.

Nie wiedzieć czemu, ucieszyło mnie to. Osiągnąłem ten wiek, że mogłem być jego ojcem, a fakt, iż nie miałem syna, jakoś wiązał się z moimi uczuciami.

—Do kogo zamierzasz dzwonić? A może to sprawa osobista?

—Dolly prosiła mnie, żebym spróbował porozumieć się z jej ciotką Alice. Nie bardzo mi się do tego spieszy. Nie wiem, co jej powiedzieć. Do dzisiejszego wieczoru nawet nie wiedziałem, że ma ciotkę.

—Pamiętam, że ją wspomniała. Kiedy poprosiła cię o ten telefon?

— Gdy już się zegnaliśmy w domu opieki. Chciała, żeby ciotka przyjechała i spotkała się z nią. Nie wiem, czy to dobry pomysł, czy nie.

— To będzie zależało od ciotki. Czy mieszka w mieście?

— Mieszka w Valley, w Indian Springs. Dolly powiedziała, że jej nazwisko jest w książce telefonicznej powiatu. Panna Alice Jenks.

— Sprawdźmy.

Znalazłem nazwisko i numer w książce telefonicznej, zamówiłem międzymiastową i podałem słuchawkę Alexowi. Usiadł na łóżku, patrząc na aparat, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

— Co mam jej powiedzieć?

— Będziesz wiedział co. Kiedy skończysz, chcę z nią porozmawiać.

Ze słuchawki zachrypiało:

— Tak, kto dzwoni?

— Tu Alex Kincaid. Czy panna Jenks...? Nie znamy się, panno Jenks, ale kilka tygodni temu ożeniłem się z pani siostrzenicą... Pani siostrzenicą, Dolly McGee. Jesteśmy małżeństwem od kilku tygodni i Dolly jest w ciężkim stanie... Nie, to wyłącznie na podłożu emocjonalnym. Jest załamana. Chce się z panią zobaczyć. Przebywa w Domu Opieki Whitmore w Pacific Point. Opiekuje się nią doktor Godwin.

Przerwał. Miał pot na czole. Przez jakiś czas tylko słuchał.

— Mówi, że nie może jutro przyjechać — rzekł do mnie i kontynuował do słuchawki: — Może dałoby się w niedzielę...? Tak, świetnie. Może pani skontaktować się ze mną w motelu Mariner's Rest albo... Alex Kincaid. Cieszę się, że się spotkamy.

— Pozwól, że z nią porozmawiam — powiedziałem.

— Jeszcze tylko chwilkę, panno Jenks. Dżentelmen, który jest tu ze mną, pan Archer, ma pani coś do powiedzenia. — Przekazał mi słuchawkę.

— Witam, panno Jenks.

— Witam, panie Archer. I pozwoli pan, że zapytam, kim pan jest, żeby dzwonić o pierwszej w nocy? — Pod jej opryskliwością wyczuwałem głębsze emocje. Ta kobieta robiła wrażenie bardzo poruszonej i zirytowanej,

choć umiała się opanować.

— Jestem prywatnym detektywem. Proszę wybaczyć, że budzę panią w związku z tą sprawą, ale chodzi o coś więcej niż o załamanie psychiczne pani siostrzenicy. Zamordowano tu pewną kobietę.

Słychać było, jak wciąga gwałtownie oddech, ale nic nie powiedziała.

— Pani siostrzenica jest ważnym świadkiem morderstwa, a może nawet była w nie zamieszana. Tak czy inaczej, będzie potrzebowała wsparcia. O ile wiem, pani jest jej jedyną krewną, poza ojcem...

— Jego może pan wyłączyć. On się nie liczy. Nigdy się nie liczył, a jeśli już, to tylko w negatywny sposób. — Po chwili spytała chrapliwym głosem bez wyrazu: — Kto został zabity?

— Przyjaciółka i opiekun naukowy pani siostrzenicy, Helen Haggerty.

— Nigdy nie słyszałam o tej kobiecie — powiedziała jednocześnie niecierpliwie i z ulgą.

— Usłyszysz pani o niej bardzo dużo, jeśli los siostrzenicy nie jest pani obojętny. Czy pani jest dla niej kimś bliskim?

— Byłam, zanim odstrychnęła się ode mnie. Wychowywałam ją po śmierci matki — powiedziała i znów zapytała płaskim głosem: — Czy Tom McGee ma coś wspólnego z tym nowym zabójstwem?

— Może mieć. Przebywa tu lub przebywał.

— Wiedziałam! — zawołała z ponurym triumfem. — Nie powinni byli go wypuszczać. Powinni wsadzić go do komory gazowej za to, co zrobił mojej siostrze.

Napływ emocji odebrał jej głos. Czekałam, aż ponownie przemówi. Kiedy to nie nastąpiło, powiedziałem:

— Bardzo chciałbym dowiedzieć się od pani szczegółów tamtej sprawy, ale to raczej rozmowa nie na telefon. Naprawdę bardzo nam zależy, żeby pani jutro przyjechała. Pani obecność może przynieść wiele dobrego.

— Nie dam rady. W żaden sposób. Nie ma co wiercić mi dziury w brzuchu. Jutro po południu mam bardzo ważną konferencję. Kilku urzędników

stanowych przyjedzie z Sacramento i pewnie będą siedzieć do wieczora.

— A przed południem?

— Przed południem muszę się przygotować. Przechodzimy na nowy stanowo-powiatowy program opieki społecznej. — W jej głosie zabręczała histeria, histeria starej panny, która w ostatniej chwili musi zmienić plany. — Jeśli nie przygotuję się jak należy, mogę stracić posadę.

— Nie możemy do tego dopuścić, panno Jenks. Jak daleko jest z Indian Springs do Pacific Point?

— Siedemdziesiąt mil, ale mówię panu, nie dam rady.

— Ja dam. Poświęci mi pani godzinę przed południem, powiedzmy koło jedenastej?

Zawahała się.

— Tak, jeśli to ważne. Wstanę godzinę wcześniej i przygotuję dokumenty. Będę w domu o jedenastej. Ma pan adres? To tuż przy głównej ulicy Indian Springs.

Podziękowałem jej, pozbyłem się Alexa i poszedłem do łóżka, nastawiając budzik w głowie na wpół do siódmej.

ROZDZIAŁ 11

Alex nadal spał, kiedy rano byłem gotów do wyjazdu. Nie budziłem go, po części dlatego, że tak było mi wygodnie, a po części dlatego, że sen był wobec niego łaskawszy niż to, co czekało go na jawie.

Na dworze była gęsta mgła. Jej wilgotne zwały okryły Pacific Point, zamieniając miasto w forpocznię morza. Wyruszyłem z motelu w szary świat pozbawiony perspektywy, niespodziewanie dotarłem do autostrady, wjechałem na nią i znalazłem się wśród par reflektorów, przepływających obok mnie jak głębinowe ryby. Przebiłem się na wschodnią stronę, zupełnie nie widząc miasta.

Ostatnie kilkadziesiąt godzin spędziłem przeważnie z ludźmi, których zawód polegał na mówieniu. Teraz przyjemnie było sięść przy ladzie robotniczego baru, którego klienci odzywali się tylko wtedy, kiedy chcieli coś zamówić albo po prostu pożartować z kelnerką. Sam trochę z nią pożartowałem. Nazywała się Stella i była tak sprawna, że biła na głowę każdy automat. Powiedziała z olśniewającym uśmiechem, że taki ma cel w życiu.'

Mój cel był blisko drogi, przy ruchliwej ulicy przelotowej, przy której stały głównie apartamentowce. Ich spłowiałe pastelowe fasady i nieliczne obstrzępione palmy przed frontem stwarzały nastrój zaniedbania.

Dom opieki był parterowym budynkiem z beżową elewacją, zajmującym większą część wąskiej, głębokiej działki. Zadzwoniłem do drzwi dokładnie o ósmej. Doktor Godwin musiał czekać za progiem. Odblokował rygiel i osobiście wpuścił mnie do środka.

— Jest pan punktualnym człowiekiem, Archer.

Jego zmienne oczy miały tym razem kamienną barwę poranka. Kiedy się odwrócił, zamykając drzwi, zauważyłem, że jest mocno przygarbiony. Miał na sobie świeży biały kitel.

— Zechce pan usiąść? Równie dobrze możemy tu porozmawiać.

Znajdowaliśmy się w małej poczekalni lub saloniku. Usiadłem w zniszczonym fotelu. Było ich kilka, zwróconych ku milczącemu telewizorowi w kącie. Zza wewnętrznych drzwi dolatywał brzęk talerzy i rześkie głosy pielęgniarek zaczynających dzień.

— To pańska firma, doktorze?

— Mam w niej udział. Leczę większość tutejszych pacjentów. Właśnie zacząłem kurację elektrowstrząsami. — Wyglądził front kitla. — Czuję się mniej znachorem, gdybym wiedział, dlaczego elektrowstrząsy poprawiają nastrój ludziom przeżywającym załamanie. Tak wiele naszej nauki czy sztuki jest wciąż w fazie empirycznej. Ale pacjenci rzeczywiście czują się po nich lepiej — powiedział z nagłym uśmiechem, zbyt nagłym, żeby dotarł do uważnych, oczekujących oczu.

— A Dolly?

— Tak, myślę, że czuje się nieco lepiej. Oczywiście nie mamy leków stawiających na nogi w jedną noc. Chcę mieć ją pod obserwacją przynajmniej tydzień. Tutaj.

— Czy nadaje się do przesłuchania?

— Nie chcę, żeby pan ją przesłuchiwał, pan czy ktokolwiek inny, związany choćby w najmniejszym stopniu z... ze światem zbrodni i kary. — Jakby chcąc złagodzić swoją odmowę, opadł na fotel koło mnie i poprosił o papierosa i ogień.

— Czemu nie?

— Nie przepadam za sposobem egzekwowania prawa w obecnej prymitywnej postaci, kiedy zastawia się pułapki na chorych ludzi, a potem

traktuje ich w sądach, jakby byli zdrowi. Od długiego czasu walczę z tą sytuacją. — Oparł majestatyczną łusą głowę na oparciu fotela i wydmuchnął dym ku sufitowi.

—Z tego, co pan mówi, wynika, że Dolly grozi niebezpieczeństwo ze strony stróżów prawa.

—Mówiłem ogólnie.

—Co odnosiło się szczególnie do Dolly. Nie musimy bawić się w żadne gierki, doktorze. Jesteśmy po tej samej stronie. Nie zakładam, że ta dziewczyna jest czemukolwiek winna. Myślę natomiast, że ma informacje, które mogą mi pomóc wyjaśnić okoliczności morderstwa.

—Ale co, jeśli jest winna? — spytał, sondując mnie wzrokiem.

—Wtedy będę chciał współpracować z panem, aby doprowadzić do zmiany zarzutów, znalezienia okoliczności łagodzących i łaskawego potraktowania jej przez sąd. Niech pan pamięta, że pracuję dla jej męża. Czy jest winna?

—Nie wiem.

—Rozmawiał pan z nią dziś rano?

—Głównie mówiła ona. Ja nie zadaję zbyt wielu pytań. Czekam i słucham. W sumie człowiek więcej dowiaduje się w ten sposób. — Rzucił mi wymowne spojrzenie, jakby sugerujące, że powinienem zacząć stosować tę samą metodę.

Czekałem i słuchałem. Nic się nie wydarzyło. W drzwiach pojawiła się otyła kobieta o czarnych włosach, opadających na bawełniany szlafrok. Wyciągnęła ręce ku lekarzowi.

Podniósł dłoń jak znużony monarcha i rzekł:

—Witam, Neli.

Posłała mu jasny, bolesny uśmiech i wycofała się tyłem, bez słowa, jak lunaticzka. Jej wyprostowane ramiona znikły ostatnie.

—Byłoby dobrze, gdyby powiedział mi pan, co Dolly miała do powiedzenia dziś rano.

—I możliwe, że byłoby to też niebezpieczne. — Godwin zgasił papierosa w niebieskiej ceramicznej popielniczce domowej roboty. — Między nami jest różnica. To, z czego zwierza mi się pacjent, jest okryte tajemnicą

zawodową. To, czego pan się dowiaduje, nie. Jeśli podczas rozprawy odmówi pan ujawnienia informacji, może pan zostać skazany za obrazę sądu. Ja w takiej samej sytuacji jestem chroniony prawem.

— Już odsiedziałem swoje za obrazę sądu. I policja nie wydusi ze mnie niczego, czego nie będę chciał jej powiedzieć. To gwarantowane.

— Bardzo dobrze. — Godwin kiwnął głową, ucinając ten temat. — Martwię się o Dolly i spróbuję panu wytłumaczyć, dlaczego tak jest, unikając zawodowego żargonu. Będzie pan mógł złożyć obiektywny obraz, podczas gdy ja zrekonstruuję subiektywny.

— Miało być bez zawodowego żargonu, doktorze.

— Przepraszam. Najpierw to, co było wcześniej. Jej matka, Constance McGee, za namową swojej siostry Alice, którą słabo znam, przyprowadziła do mnie córkę. Dolly miała wtedy dziesięć lat. Nie była radosnym dzieckiem. Więcej, zanosilo się na to, że całkowicie zamknie się w sobie, i były ku temu powody. Takie powody zawsze się znajdują. Jej ojciec, McGee, okazał się nieodpowiedzialnym i gwałtownym człowiekiem, który nie potrafił sprostać rodzicielskim obowiązkom. Wciąż miewał zmienne nastroje, psuł córkę i karał, stale kłócił się z żoną i w końcu opuścił ją lub został opuszczony. Wolałbym leczyć jego zamiast Dolly, ponieważ to on był głównym źródłem kłopotów w rodzinie. Ale był nieosiągalny.

— Czy kiedykolwiek spotkał się pan z nim?

— Nawet nie pojawił się na rozmowę — powiedział z żalem Godwin.

— Gdybym mógł do niego dotrzeć, może zdołałbym zapobiec morderstwu. Może nie. Z tego, co mi o nim powiedziano, wynika, że był człowiekiem zupełnie nieprzystosowanym do życia w rodzinie, potrzebującym pomocy i kompletnie jej pozbawionym. Rozumie pan moją gorycz, kiedy mówię o przepaści między psychiatrią i prawem. Tacy ludzie jak McGee robią, co im się żywnie podoba, nie spotykając się z żadnymi prewencyjnymi działaniami, aż popełnią zbrodnię. Wtedy oczywiście są stawiani przed sądem i osadzani na dziesięć czy dwadzieścia lat. Ale nie w szpitalu. W więzieniu.

— McGee jest teraz na wolności. Przebywał tu, w mieście. Wiedział pan o tym?

— Dolly powiedziała mi dziś rano. To jedno z wielu poważnych źródeł stresu, którego jest ofiarą. Sam pan rozumie, jakiego niepokoju i poczucia winy może doświadczać dziecko wychowane w niestabilnym, za to pełnym przemocy otoczeniu. Poczucie winy często rodzi się wtedy, kiedy dziecko w odruchu samoobrony zmuszone jest zwrócić się przeciwko rodzicom. Psychiatra, z którym pracowałem, pomógł Dolly wyrazić swoje uczucia, zachęcając ją do lepienia figurek z gliny, zabaw z lalkami i tak dalej. Sam nie bardzo mogłem przyjść jej z pomocą, ponieważ dzieci nie mają mentalnego bagażu, nadającego się do analizy. Ale starałem się wejść w rolę spokojnego, cierpliwego ojca, zapewnić trochę stabilizacji, której brakowało jej od urodzenia. I całkiem dobrze dawała sobie radę, aż wydarzyła się katastrofa.

— Chodzi panu o morderstwo?

Pokiwał smutnie głową, mówiąc:

— Pewnej nocy McGee, rozjuszony i rozżalony zarazem, przyszedł do domu ciotki Dolly w Indian Springs, w którym przebywały, i strzelił Constance w serce. Dolly była sama z matką. Usłyszała strzał i widziała uciekającego McGee. Potem znalazła ciało.

Nadal kiwał głową jak wielkim głuchym dzwonem. Spytałem:

— Jak zareagowała?

— Nie wiem. Jedną z dziwacznych przeszkód w mojej pracy jest to, że często wykonuję publiczną funkcję, nie mając możliwości działania funkcjonariusza publicznego. Nie mogę wyjść i ściągnąć pacjenta siłą. Dolly nigdy więcej nie pokazała się u mnie. Nie miała już matki, która przywoziłaby ją do mnie z Valley, a panna Jenks, jej ciotka, jest kobietą bardzo zapracowaną.

— Ale czy nie powiedział pan, że to właśnie Alice Jenks pierwsza zasugerowała leczenie Dolly?

— Zgadza się. Ona również za nie zapłaciła. Być może po tych wszystkich nieszczęściach w rodzinie uznała, że dłużej jej na to nie stać.

W każdym razie nie spotkałem Dolly aż do wczorajszej nocy. Z jednym wyjątkiem. Poszedłem do sądu w dniu, w którym zeznawała przeciwko McGee. Więcej, w prywatnej rozmowie z sędzią powiedziałem, że nie powinien na to pozwolić. Ale była głównym świadkiem, mieli pozwolenie jej ciotki i przepuszczono biedne maleństwo przez tryby maszyny prawa. Wyglądała jak bezkrwisty mały robot zagubiony we wrogim świecie dorosłych.

Dygotał rozemocjonowany. Wsunął ręce pod kitel, szukając papierosów. Poczęstowałem go, podałem mu ogień i sam zapaliłem.

— Co zeznała w sądzie?

— Jej wystąpienie było bardzo krótkie i proste. Podejrzewam, że zostało starannie wyreżyserowane. Usłyszała strzał, wyrzała przez okno swojej sypialni i zobaczyła ojca uciekającego z bronią w rękę. Poza tym spytano ją, czy McGee groził Constance, że wyrządzi jej krzywdę cielesną. Groził. To było wszystko.

— Jest pan pewien?

— Tak. Nie opieram się wyłącznie na pamięci, jak to mówią. W tamtym czasie zrobiłem notatki i dziś rano zajrzałem do nich.

— Dlaczego?

— Są częścią jej biografii, niewątpliwie zasadniczą częścią. — Wydmuchnął dym i ostrożnie przyjrzał mi się przez jego kłęby.

— Czy teraz opowiada coś innego? — spytałem.

Na jego twarzy zamigotała gra sprzecznych emocji. Był człowiekiem wrażliwym, a Dolly — jego pacjentką-córką, utraconą na wiele lat.

— Opowiada absurdalną historię — wybuchnął. — Nie tylko nie mogę w nią uwierzyć, nie mogę także uwierzyć, że ona w nią wierzy. Nie jest aż tak chora.

Przerwał, głęboko zaciągając się papierosem i próbując zapanować nad sobą. Czekałem i nadśluchiwałem. Tym razem pociągnął dalej:

— Teraz twierdzi, że nie widziała McGee tamtej nocy i że tak naprawdę

nie miał nic wspólnego z morderstwem. Mówi, że kłamała przed sądem, bo tak chcieli różni dorośli.

— Czemu tak mówi?

— Nawet nie usiłuję jej zrozumieć. Po dziesięciu latach przerwy utraciliśmy więź, która nas łączyła. I oczywiście nie przebaczyła mi tego, co uważa za zdradę, mianowicie że nie zaopiekowałem się nią po tamtej katastrofie. Ale co miałem zrobić? Nie mogłem pojechać do Indian Springs i porwać jej z domu ciotki.

— Panu zależy na pańskich pacjentach, doktorze.

— Tak, zależy mi. Dzięki temu wciąż jestem na ostatnich nogach. — Zgasił papierosa. — Tak przy okazji, tę popielniczkę zrobiła Neli. Całkiem niezła jak na pierwsze podejście.

Zamruczałem coś potwierdzająco. Z głębi budynku doleciała oszalała skarga starego człowieka, zagłuszając gasnący brzęk talerzy.

— Ta jej historia może wcale nie jest absurdalna — powiedziałem. — Jest coś na jej poparcie. Kiedy McGee odwiedził córkę drugiego dnia jej pobytu z mężem w Pacific Point, powiedział jej coś tak wstrząsającego, że zupełnie straciła równowagę psychiczną.

— Ma pan przenikliwy umysł, panie Archer. Tak właśnie było. Wygłosił długą tyradę na temat swojej niewinności. Nie wolno panu zapominać, że Dolly kochała ojca, chociaż w sposób niejednoznaczny. Potrafił ją przekonać, że myli się co do przeszłości, że był niewinny, a ona zawiła. Dziecięce wspomnienia ulegają potężnemu oddziaływaniu emocji.

— Chodzi panu o to, że była winna krzywoprzysięstwa?

— Morderstwa. — Pochylił się ku mnie. — Dziś powiedziała mi, że sama zabiła matkę.

— Z rewolweru?

— Językiem. To właśnie było absurdalne. Dolly utrzymuje, że zabiła matkę i przyjaciółkę, Helen, i na dodatek posłała ojca do więzienia, i że to wszystko wina jej trującego języka.

— Czy wytłumaczyła, co przez to rozumie?

— Jeszcze nie. To świadczy o poczuciu winy, które może tylko powierzchownie wiązać się z tymi morderstwami.

— Twierdzi pan, że obwinia się o te morderstwa, by dać upust poczuciu winy, mającemu inną przyczynę?

— Mniej więcej. To dość typowy mechanizm. Wiem na pewno, że nie zabiła matki i że kłamie na temat ojca. Jestem przekonany, że McGee jest winny.

— Sądy się mylą, nawet w sprawach o morderstwo.

Powiedział z maskowaną arogancją:

— Wiem o tej sprawie więcej, niż wyszło w sądzie.

— Od Dolly?

— Z różnych źródeł.

— Byłbym zobowiązany, gdyby mi je pan przedstawił.

Przysłonił oczy powiekami.

— Nie mogę tego zrobić. Muszę szanować zaufanie moich pacjentów. Ale może mi pan wierzyć na słowo, że to Thomas McGee zabił Constance McGee.

— W takim razie czemu Dolly tak jednoznacznie obwinia się o ten czyn?

— Jestem pewien, że z czasem rozwiążemy i ten problem. Prawdopodobnie na jej świadomości zaważył uraz wobec rodziców. To naturalne, że chciała ich ukarać za fatalny, nieudany związek. Całkiem możliwe, że fantazjowała o śmierci matki, uwięzieniu ojca, zanim te wyobrażenia przybrały realny kształt. Kiedy mściwe marzenia tego biedactwa się ziściły, ogarnęło ją potworne poczucie winy. To naturalny odruch. Tyrada McGee wzbudziła w niej dawne emocje, a ten straszliwy wypadek zeszłej nocy... — Zabrakło mu słów i na znak bezradności rozłożył ręce na ciężkich udach.

— Zastrzelenie Haggerty to nie był wypadek, doktorze. Przed wszystkim znikła broń.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Miałem na myśli znalezienie ciała przez Dolly, co z pewnością nastąpiło przypadkiem.

— Zastanawiam się nad tym. Dolly wini siebie również za to morderstwo. Trudno wytłumaczyć jej zachowanie w kategoriach dziecięcych urazów.

— Nie próbowałem tego robić. — Zirytował się i lekko skarcił mnie z pozycji zawodowca: — Nie ma żadnej potrzeby, by zgłębiał pan sytuację pod kątem psychiatrycznym. Proszę trzymać się faktów, ja zajmę się

stroną subiektywną. — Złagodził trochę ton, filozofując: — Obiektywne i subiektywne, świat zewnętrzny i wewnętrzny, oczywiście korespondują ze sobą. Ale czasem trzeba śledzić te równoległe linie niemal w nieskończoność, zanim odkryje się miejsce przecięcia.

— Więc trzymajmy się faktów. Dolly powiedziała, że zabiła Helen Haggerty swoim trującym językiem. Czy to wszystko, co wyznała na ten temat?

— Powiedziała więcej, znacznie więcej, w bardzo zawikłany sposób. Według niej, przyjażniąc się z panną Haggerty, doprowadziła w jakiś sposób do jej śmierci.

— Przyjażniły się?

— Myślę, że tak, chociaż dzieliło je dwadzieścia lat wieku. Dolly zaufała jej, zwierzyła się ze wszystkiego, i panna Haggerty również otworzyła przed nią serce. Wygląda na to, że miała poważne problemy emocjonalne związane z ojcem i nie mogła się oprzeć, żeby nie porównać ich z kłopotami Dolly. Spowiadały się jedna przed drugą z dręczących je myśli. To nie była zdrowa sytuacja — zakonkludował sucho.

— Czy Dolly mówiła coś o ojcu Helen?

— Chyba uważa, że to zdeprawowany policjant, zamieszany w morderstwo, ale to może być czysta fantazja, przetworzony wizerunek jej własnego ojca.

— To nie fantazja. Ojciec Helen był policjantem i córka uważała go za człowieka zdeprawowanego.

— Skąd, na Boga, wie pan o tym?

— Przeczytałem list od jej matki na ten temat. Chciałbym porozmawiać z rodzicami Helen.

— A w czym problem?

— Mieszkają w Bridgeton, w stanie Illinois.

Strzelałem na chybił trafił, ale przecucie mówiło mi, że ten strzał może okazać się celny. Prowadziłem sprawy, które otwierały się stopniowo, jak rozpadliny w twardym gruncie teraźniejszości, sięgające w głąb pokładów czasu. Być może zabójstwo Helen wiązało się z tajemniczym zabójstwem w Illinois, które wydarzyło się przed dwudziestu laty, przed przyjściem na świat Dolly. Takie były moje pobożne życzenia, nie

zdradziłem ich jednak doktorowi Godwinowi.

— Proszę wybaczyć, ale nie mogę panu bardziej pomóc — powiedział lekarz. — Poza tym muszę już iść, obchód powinien zacząć się jakiś czas temu.

Usłyszałem zbliżający się samochód. Odgłos pracy silnika urósł i zgasł. Trzasnęły otwierane i zamykane drzwiczki. Na ścieżce prowadzącej do domu rozległy się kroki mężczyzny. Zanim naciśnięto dzwonek, Godwin otworzył drzwi, poruszając się zwinnie mimo okazałej postury.

Nie widziałem, kim jest nowo przybyły, ale musiał to być nieproszony gość, bo Godwin zeszytniał, pełen wrogości.

— Dzień dobry, szeryfie — powiedział.

Crane zgrywał równego faceta:

— Ładny mi dzionek, żeby go pokręciło, sam pan wiesz. Wrzesień to niby nasz najlepszy miesiąc, ale ta cholerna mgła jest tak gęsta, że zamknęli lotnisko.

— Nie przyjechał pan tu chyba dyskutować o pogodzie.

— Zgadza się. Nie po to. Słyszałem, że przebywa tu osoba ukrywająca się przed wymiarem sprawiedliwości.

— Od kogo pan to słyszał?

— Mam swoje źródła.

— Lepiej niech pan utnie im fundusze, szeryfie. Podają panu błędne informacje.

— Ktoś na pewno podaje mi błędne informacje, doktorze. Czy zaprzecza pan, że pani Dolly Kincaid z domu McGee jest w tym budynku?

Godwin się zawahał. Jego grube szczęki stały się jeszcze grubsze.

— Jest tu — rzekł.

— Minutę temu powiedział pan, że jej nie ma. Co pan kombinuje, doktorku?

— A co pan kombinuje? Pani Kincaid nie ukrywa się przed prawem. Przebywa tu, bo jest chora.

— Ciekaw jestem na co. Nie może znieść widoku krwi?

Godwin wywinął wargi. Wyglądał, jakby miał zamiar splunąć szeryfowi w twarz. Z miejsca, w którym siedziałem, nie widziałem Crane'a i

nie próbowałem go zobaczyć. Uznałem, że lepiej nie pokazywać mu się na oczy.

— Nie tylko pogodę mamy parszywą, doktorku. Ostatniej nocy w mieście popełniono parszywe morderstwo. Chyba o nim też pan wie. Pani Kincaid pewnie wszystko panu wyznała.

— Oskarża pan ją? — spytał Godwin.

— Tego bym nie powiedział. W każdym razie jeszcze nie.

— To niech pan sływa.

— Nie ma pan prawa tak do mnie mówić.

Godwin nie ruszył się z miejsca, ale trząśił się przy każdym słowie, jakby pracował w nim silnik na wysokich obrotach.

— W obecności osoby trzeciej zarzucił mi pan, że udzielam schronienia kobiecie ukrywającej się przed wymiarem sprawiedliwości. Mogę oskarżyć pana o zniesławienie i, na Boga, zrobię to, jeśli nie przestanie pan napastować mnie i moich pacjentów.

— Nie to miałem na myśli. — Crane spuścił trochę z tonu. — Ale tak czy inaczej, mam prawo przesłuchać świadka.

— Może za jakiś czas. Obecnie pani Kincaid jest pod wpływem mocnych środków uspokajających. Nie mogę pozwolić, żeby przesłuchiowano ją wcześniej niż za tydzień.

— Za tydzień?

— W najlepszym przypadku. Stanowczo nie radzę panu naciskać w tej sprawie. Jestem gotów udać się do sądu i oświadczyć, że policyjne przesłuchanie Dolly Kincaid zagraża teraz jej zdrowiu, a może i życiu.

— Nie wierzę w to.

— Nie obchodzi mnie, w co pan wierzy.

Godwin zatrzaskał drzwi i oparł się o nie, dysząc jak biegacz. Dwie ubrane na biało pielęgniarki, które zaglądały przez wewnętrzne drzwi, dawały znaki, że mają jakąś sprawę. Odesłał je.

Powiedziałem z nieukrywanym podziwem:

— Pięknie jej pan bronił.

— Wyrządzili jej wystarczającą krzywdę, kiedy była dzieckiem. Zrobię wszystko, żeby nie posunęli się dalej.

— Skąd wiedzieli, że tu jest?

— Nie mam pojęcia. Zwykle mogę ufać personelowi, że będzie trzymać

gęby na kłódkę. — Spojrzał na mnie ostro. — Nie mówił pan o tym nikomu?

— Nikomu z wymiaru sprawiedliwości. Alex wspomniał tylko Alice Jenks, że Dolly tu jest.

— Może nie powinien tego robić. Panna Jenks długo pracowała dla powiatu. To stara znajoma Crane'a.

— Chyba nie doniosłaby na własną siostrzenicę?

— Nie wiem, na co ją stać. — Godwin zdarł z siebie kitel i cisnął na fotel, w którym poprzednio siedział. — No i jak, wypuścić pana?

Zabrzączał kluczami jak więzienny strażnik.

ROZDZIAŁ 12

Kiedy znalazłem się w połowie drogi do przełęczy, pojawiło się słońce. Mgła była jak spienione morze, wcinające się w górzyste wysepki. Gdy zatrzymałem się chwilę na przełęczy, w dali ujrzałem prawdziwe góry.

Rozległa dolina poniżej była pełna światła. Bydło pasło się na stokach, wśród soczystych dębów. Sznur przepiórek przemaszerował drogą przed moim autem jak mali żołnierze na lekkim rauszu, kiwający pióropuszcami na hełmach. W powietrzu unosiła się woń świeżo skoszonego siana i miałem wrażenie, że w tym sielskim pejzażu nic nie zmieniło się od stu lat.

Indian Springs nie rozwiało tego wrażenia, chociaż stały w nim stacje benzynowe i przydrożne bary oferujące hamburgery i taco. Czuło się trochę atmosfery starego zachodu i widziało więcej niż trochę starego, spieczonego słońcem ubóstwa zachodu. Przedwcześnie postarzałe kobiety pilnowały zbrązowiałych dzieci, stojąc w progu sypiących się lepianek. Większość włóczęgów na głównej ulicy nosiła wielkie kapelusze i miała indiańskie rysy twarzy. Obwisłe przewieszki nad głowami przechodniów reklamowały klasyczne rodeo.

Alice Jenks mieszkała w jednym z najlepszych domów przy najlepszej ulicy. Przynajmniej wyglądała na najlepszą. Dom był piętrowy, biały, o drewnianej konstrukcji, z głębokimi werandami na obu kondygnacjach, odsunięty od ulicy, z gładkim zielonym trawnikiem. Wszedłem na trawę

i oparty o pieprzowiec wachlowałem się kapeluszem. Byłem pięć minut przed czasem.

Na werandę wyszła ubrana w niebieską sukienkę władczo patrząca kobieta. Spojrzała na mnie, jakbym był włamywaczem, sprytnie podkradającym się do jej domu o jedenastej przed południem. Zeszła po schodkach i ruszyła ku mnie chodnikiem. Słońce połyskiwało w jej okularach, tak że przypominały klosze szperaczy.

Z bliska wyglądała mniej groźnie. Z niepokojem wyteżęła piwne oczy. Jej włosy były przetkane pasmami siwizny. Usta nieoczekiwanie okazały się pełne i nawet miękkie, ale były wciśnięte jak żywe stworzenie między ostre zmarszczki biegnące od nasady nosa. Sztywna niebieska sukienka, wyginająca się jak zbroja na monolitycznym biuście, miała staroświecki krój, tak że kobieta wydawała się zaniedbana. Słońce doliny zniszczyło jej skórę.

— Czy pan Archer?

— Tak. Jak się pani miewa, panno Jenks?

— Daję sobie radę. — Miała męski uścisk dłoni. — Proszę na werandę, możemy tam usiąść.

Jej kanciaste ruchy i sposób mówienia zdradzały wewnętrzne rozedrganie pod szczelnym, założonym być może we wczesnej młodości pancerzem samokontroli. Wskazała mi bujaną kanapę z płóciennym siedzeniem i oparciem i usiadła na wyplatany fotelu tyłem do ulicy. Trzech meksykańskich chłopczków przejechało w chwiejnej równowadze na jednym zniszczonym rowerze jak akrobaci.

— Nie wiem, czego pan ode mnie chce, panie Archer. Wygląda na to, że moja siostrzenica ma poważne kłopoty. Rozmawiałam dziś rano z przyjacielem, który był w sądzie...

— Szeryfem?

— Tak. Myśli, że Dolly ukrywa się przed nim.

— Czy pani powiedziała Crane'owi, gdzie ona jest?

— Tak. A nie powinnam była?

— W te pędy przykłusował do domu opieki, żeby ją przesłuchać. Doktor Godwin nie wpuścił go do niej.

— Doktor Godwin jest specjalistą od brania spraw we własne ręce. Nie sędzę, żeby należało trzymać pod kloszem ludzi, którzy mają kłopoty, i odnosi się to też do moich bliskich. Zawsze byliśmy rodziną przestrzegającą prawa i jeśli Dolly coś ukrywa, powinna to wyjawić. Niech prawda wyjrzy na światło dzienne, a gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

To było kazanie, co się zowie. Panna Jenks zapewne odgrzewała stare argumenty wytoczone przeciwko Godwinowi, kiedy nie chciał dopuścić do przesłuchania Dolly.

— Nawet wióry mogą sprawić wiele bólu, kiedy skaleczą tego, kogo kochamy.

Przyglądała mi się, zaciskając swoje miękkie usta, jakbym oskarżał ją o słabość charakteru.

— Jak to „tego, kogo kochamy”?

Miałem tylko godzinę i zupełnie nie wiedziałem, jak dotrzeć do tej kobiety.

— Zakładam, że kocha pani Dolly.

— Nie widywałam jej ostatnio... chyba zwróciła się przeciwko mnie... ale zawsze była mi bliska. To nie znaczy — głębokie zmarszczki powróciły w kąci jej ust — że będę osłaniać jej każde naganne postępowanie. Sprawuję publiczną funkcję...

— Czym dokładnie pani się zajmuje?

— Zarządzam opieką socjalną w regionie — oświadczyła i niespokojnie obejrzała się na pustą ulicę, jakby ktoś mógł się zjawić i pozbawić ją posady.

— Opieka nad ludźmi zaczyna się od bliskich.

— Poucza mnie pan, jak powinnam się zachowywać? — Nie czekała na odpowiedź. — Niech pan posłucha, nie musi pan tego robić. Jak pan myśli, kto zajął się małą, kiedy małżeństwo siostry się rozpadło? Oczywiście ja. Zajmowałam się nią i potem, kiedy siostra już nie żyła, wychowałam Dolly, jakby była moją własną córką. Dostawała najlepsze ubrania, najlepsze jedzenie, chodziła do najlepszych szkół. Kiedy zachciało jej się niezależności, nie stawiałam jej na drodze. Dałam pieniądze, żeby mogła wyjechać i uczyć się w Los Angeles. Co więcej mogłam zrobić?

— W tej chwili może pani przyjąć, że jest niewinna. Dolly ma do tego

prawo. Nie wiem, co szeryf pani naopowiadał, ale jestem pewny, że plótł kompletne bzdury. Jej twarz stężała.

— Szeryf Crane nie popełnia błędów.

Znów miałem wrażenie dwoistości, rozmowy na dwóch poziomach. Pozornie rozmawialiśmy o uwikłaniu Dolly w sprawę Haggerty, ale w istocie spieraliśmy się o winę McGee, chociaż żadne z nas nie wymówiło jego nazwiska.

— Wszyscy policjanci popełniają błędy — powiedziałem. — Wszyscy ludzie popełniają błędy. Jest nawet możliwe, że pani, szeryf Crane, sędzia, dwunastu przysięgłych i wszyscy inni popełnili błąd w sprawie Thomasa McGee i skazali niewinnego człowieka.

Roześmiała mi się w twarz, ale bez wesołości.

— To śmieszne, nie znał pan Toma McGee. Był zdolny do wszystkiego. Niech pan spyta w mieście, kogo pan chce. Stałe pił, a kiedy przychodził do domu, tłukł żonę. Nieraz musiałam odpędzać go z bronią w rękę, a dziecko tuliło mi się do nóg. Nieraz po tym, jak Constance go zostawiła, przychodził do tego domu, walił pięścią w drzwi i mówił, że wywlecze ją za włosy za próg. Ale nie dopuściłam do tego. — Gwałtownie potrząsnęła głową i kosmyk szarych jak żelazo i skręconych jak druty włosów opadł jej na policzek.

— Czego chciał?

— Chciał panowania. Chciał dyrygowania. Ale nie miał prawa do Connie. My, Jenksowie, jesteśmy najstarszą rodziną w mieście. Ci McGees z drugiej strony rzeki to biała hołota, do dziś przeważnie żyją z zasiłku. A on był jednym z najgorszych z całej tej bandy, ale moja siostra nie mogła tego wiedzieć, kiedy przyszedł zalecać się do niej w tym swoim białym marynarskim mundurze. Ożenił się z nią, chociaż ojciec sprzeciwiał się temu ze wszystkich sił. Tom sprokurował jej kilkanaście lat piekła, a w końcu ją zastrzelił. Niech mi pan nie mówi, że był niewinny. Nie znał go pan.

Mała sójka na pieprzowcu usłyszała ostry, obsesyjny ton Alice Jenks i podniosła głos, lamentując nad swoim losem. Spytałem, przekrzykując ptaka:

— Czemu zabił pani siostrę?

— Z czystej diabelskiej nieprawości. Jeśli nie mógł czegoś mieć, chciał to zniszczyć. To proste. Nieprawda, że był inny mężczyzna. Była mu wierna do dnia śmierci. Chociaż mieszkali osobno, moja siostra się nie zbrukała.

— Kto mówił, że był inny mężczyzna?

Spojrzała na mnie. Krew odpłynęła jej z twarzy. Utraciła pewność siebie, którą daje słuszny gniew.

— Krążyły plotki — powiedziała słabym głosem. — Ohydne, brudne plotki. Zawsze są, kiedy między męża i żonę wsączy się zła krew. Sam Tom McGee mógł je rozpuścić. Wiem, że jego adwokat uczeplił się tej fantazji, że był inny mężczyzna. A ja mogłam tylko siedzieć tam i słuchać, kiedy próbował zniszczyć dobre imię mojej siostry, po tym, jak jego klient zniszczył jej życie. Ale sędzia Gahagan, instruując przysięgłych, dał jasno do zrozumienia, że to tylko wyssana z palca historyjka, nie oparta na faktach.

— Kto był adwokatem McGee'?

— Ten stary lis, Gil Stevens. Ludzie idą do niego tylko wtedy, kiedy są winni, a on bierze wszystko, co mu przynoszą, i załatwia im wolność.

— Ale nie załatwił wolności McGee.

— Praktycznie załatwił. Dziesięć lat to żadna cena za morderstwo pierwszego stopnia. To powinien być pierwszy stopień. McGee powinien iść do gazu.

Ta kobieta była nieprzejednana. Zdecydowanym ruchem poprawiła niesforny lok. Jej siwiejące ondulowane włosy układały się w identyczne falki jak morze na dawnych stalorytach. Pomyślałem, że to jej nieprzejednanie może płynąć z pewności siebie, ale też i z lęku podszytego niepewnością, poczuciem winy, świadomością omyłki. Wahałem się, czy powtórzyć jej słowa Dolly, że kłamstwem wpędziła ojca do więzienia. Zostawiłem to na pożeganie.

— Interesują mnie szczegóły morderstwa. A może rozmowa na ten temat będzie dla pani zbyt bolesna?

— Zniosłam nie taki ból. Co pan chce wiedzieć?

— Po prostu jak to się stało.

— Nie było mnie tu. Miałam spotkanie Cór Tej Ziemi. Tamtego roku byłam prezeską koła. — To wspomnienie pomogło jej zebrać siły.

— Ale i tak na pewno wie pani więcej niż ktokolwiek inny.

— Bez wątpienia. Poza Tomem McGee — przypomniała mi.

— I Dolly.

— Tak, i Dolly. Była wtedy w domu z Constance. Mieszkały ze mną od kilku miesięcy. Było po dziewiątej i mała poszła już do łóżka. Constance siedziała na dole z przyborami krawieckimi. Była znakomitą krawcową i szyła dziecku większość ubranek. Tamtej nocy kroiała jej sukienkę. Cała została poplamiona krwią. Zrobili z niej eksponat w sądzie.

Panna Jenks najwyraźniej nie mogła zapomnieć tamtej rozprawy. Patrzyła gdzieś daleko, jakby ów sądowy rytuał wciąż powtarzał się w jej głowie.

— Jakie były okoliczności zabójstwa?

— To wydarzyło się całkiem po prostu. On podszedł do drzwi frontowych. Wywabił ją na dwór.

— Dziwne, że mu się to udało, mimo że wcześniej tak ją traktował.

Odrzuciła moje wątpliwości lekkim gestem dłoni, mówiąc:

— Jak chciał, potrafił zwabić ptaka z drzewa. W każdym razie pokłócili się. Podejrzewam, że jak zwykle zażądał, żeby do niego wróciła, a ona odmówiła. Dolly słyszała, jak krzyczeli na siebie coraz głośniej.

— Gdzie była?

— Na górze, we frontowej sypialni. Spała tam z matką. — Panna Jenks wskazała szalunkowy sufit werandy. — Mała obudziła się. Usłyszała kłótnię, potem strzał. Podeszła do okna i zobaczyła go, wybiegającego na ulicę z narzędziem zbrodni w ręce. Zeszła na dół i znalazła matkę we krwi.

— Czy jeszcze żyła?

— Była martwa. Umarła natychmiast, dostała kulę w serce.

— Z czego strzelono?

— Szeryf sądzi, że z krótkiej broni średniego kalibru. Nigdy jej nie znaleźli. McGee pewnie cisnął ją do morza. Aresztowali go następnego dnia w Pacific Point.

—Opierając się na słowach Dolly?

—Była jedynym świadkiem, biedne dziecko.

Wyglądało to tak, jakbyśmy porozumieli się bez słów, że ograniczymy się tylko do mówienia o przeszłości Dolly. Może unikanie jej obecnego problemu pozwoliło nam spokojnie rozmawiać. Spytałem pannę Jenks, czy mógłbym rozejrzeć się po domu.

—Nie rozumiem po co.

—Przedstawiła mi pani bardzo jasny opis morderstwa. Chcę spróbować porównać go ze scenerią zdarzenia.

Powiedziała z wahaniem:

—Nie mam zbyt dużo czasu i szczerze mówiąc, nie wiem, ile jeszcze potrafię tego znieść. Siostra była mi bardzo droga.

—Wiem.

—Co próbuje pan udowodnić?

—Nic. Chcę tylko zrozumieć, co się wydarzyło. To moja praca.

Praca i jej imperatywy miały swoją wagę w jej oczach. Wstała, otworzyła frontowe drzwi i wskazała mi miejsce tuż za progiem, gdzie kiedyś leżało ciało jej siostry. Oczywiście na bieżniku z frędzlami nie było śladu zbrodni sprzed dziesięciu lat. Nie został żaden ślad, z wyjątkiem niewidzialnej czerwonej smugi w głowie Dolly i możliwe, że w głowie jej ciotki.

Uderzył mnie fakt, że matka Dolly i jej przyjaciółka zostały zastrzelone na progu własnego domu z broni tego samego kalibru, być może trzymanej tą samą ręką. Nie wspomniałem o tym pannie Jenks. To tylko doprowadziłoby do kolejnego wybuchu i pomstowania na szwagra.

—Ma pan ochotę na filiżankę herbaty? — spytała nieoczekiwanie.

—Nie, dziękuję.

—Albo kawy? Piję instant. Zaraz będzie gotowa.

—W porządku. Jest pani bardzo uprzejma.

Zostawiła mnie w pokoju dziennym. Od jadalni rozdzielały go rozsuwane drzwi. Był wypełniony kanciastymi ciemnymi meblami jak z dziewiętnastowiecznego salonu. Na ścianach zamiast reprodukcji wisały makatki z szydełkowanymi napisami i jedna z nich boleśnie przypomniła

mi dom mojej babki w Martinez. Głosiła: „On jest milczącym słuchaczem każdej rozmowy”. Babka sama wyszydełkowała identyczny napis i zawiesiła makatkę w sypialni. Zawsze mówiła szeptem.

W kącie stało pianino z zasłoniętą klawiaturą. Próbowałem unieść klapę, ale była zamknięta na klucz. Na górnej pokrywie pianina, na honorowym miejscu, stała fotografia dwóch kobiet i dziecka. Jedną z kobiet była panna Jenks, młodsza, ale równie postawna i władcza. Druga była jeszcze młodsza i bardzo ładna. Miała w sobie naiwny wdzięk małomiasteczkowej piękności. Dzieckiem między nimi była Dolly w wieku mniej więcej dziesięciu lat. Trzymały ją za rączki.

Panna Jenks weszła przez rozsuwane drzwi, niosąc tacę z kawą.

— To nasza trójka — powiedziała, jakby dwie kobiety i dziewczynka tworzyły normalną rodzinę. — A to pianino siostry. Ślicznie grała. Mnie nigdy tak nie wychodziło.

Przetarła okulary. Nie wiedziałem, czy zaparowały pod wpływem wzruszenia, czy kawy. Przy kawie zrelacjonowała mi niektóre triumfy Constance. Zdobyła nagrodę w konkursie pianistycznym, inną za śpiew. W liceum radziła sobie znakomicie, zwłaszcza z francuskim, i zamierzała pójść do college’u, jak przed nią Alice, kiedy ten diabeł obrotny w gębie, Tom McGee...

Zostawiłem prawie pełną filiżankę i wyszedłem na korytarz. Czuło się tu zapach pleśni, atakującej stare domy. Mignął mi mój wizerunek w złuszczonej lustrze, obok jeleniego poroża służącego za wieszak na kapelusze. Wyglądałem jak duch z teraźniejszości, nawiedzający minione krwawe chwile. Nawet kobieta za mną wydawała się bezcielesna, jakby jej wielka postać była skorupą czy muszlą opuszczoną przez żywą istotę. Przyłapałem się na tym, że kojarzę woń pleśni z panną Jenks.

W głębi wznosiły się stopnie z gumowymi nakładkami na krawędziach. Ruszyłem ku nim, mówiąc:

— Pozwoli pani, że zajrzę do pokoju zajmowanego przez Dolly?

Szła za mną, jakby wiedziona moim rozpędem.

— Teraz to mój pokój — rzekła.

— Niczego nie ruszę.

Żaluzje były spuszczone, włączyła więc lampę u sufitu, żebym mógł się rozejrzeć. Lampa miała różowy abażur, który przepelniał pokój różowym światłem. Na podłodze leżała gęsta wykładzina z miękkich, luźnych, różowych włókien. Różowa ozdobna kapa zakrywała wielkie podwójne łożo. Ozdobna toaletka z trzema lustrami miała jedwabne różowe falbanki, podobnie tapicerowane krzesło od kompletu.

Przy oknie stał różowy szezlong, z otwartym czasopismem w nogach. Panna Jenks schyliła się i zwinęła je w rulon, bym nie dojrzał okładki. Ale jeśli się wcześniej widziało „Prawdziwe romanse”, trudno było ich nie rozpoznać.

Przeszedłem przez sypialnię, zapadając się po kostki w puszystej różowej wykładzinie, i uniosłem żaluzję frontowego okna. Zobaczyłem szeroką płaską werandę pierwszego piętra, a za balustradą drzewo pieprzowe i mój samochód zaparkowany na ulicy. Trzej meksykańscy chłopcy wrócili na rowerze: jeden na kierownicy, drugi na siodełku, trzeci na bagażniku — a z nimi rudy kundel, który dołączył do numeru.

— Nie mają prawa tak jeździć — powiedziała zza mojego ramienia panna Jenks. — Mam szczerzy zamiar zgłosić to szeryfowi. I ten pies nie powinien biegać luzem.

— Nie robi żadnej krzywdy.

— Może nie, ale dwa lata temu mieliśmy tu przypadek wścieklizny.

— Bardziej interesuje mnie, co było dziesięć lat temu. Jak wysoka była wtedy pani siostrzenica?

— Była wysoką dziewczynką jak na swój wiek. Miała ze cztery i pół stopy. A o co chodzi?

Przyjąłem odpowiednią pozycję, ukląknę. Miałem przed sobą delikatne gałęzie pieprzowca i prześwitującą przez nie sporą część samochodu, ale przestałem widzieć najbliższe otoczenie domu. Gdyby teraz ktoś wyszedł z domu, mógłbym go zobaczyć dopiero wtedy, kiedy znalazłby się przy drzewie rosnącym przynajmniej czterdzieści stóp dalej. A o dostrożeniu broni w jego ręce już kompletnie nie było mowy. Musiałby

wyjść na ulicę. Moja wizja lokalna była pośpieszna i na chybił trafił, ale wnioski z niej umocniły moje wcześniejsze wątpliwości.

Wstałem z kolan.

— Czy tamtej nocy było ciemno? — spytałem.

Panna Jenks wiedziała, o co mi chodzi.

— Tak — odparła. — Było ciemno.

— Nie widzę żadnych latarni.

— Tak. Nie mamy latarni. To biedne miasto, panie Archer.

— Czy był księżyc?

— Nie. Nie wydaje mi się. Ale siostrzenica ma znakomity wzrok. Potrafi rozpoznać ptaka...

— W nocy?

— Zawsze jest trochę światła. Poza tym wiedziałaby, jak wygląda jej ojciec. — Panna Jenks poprawiła się: — Wiedziała, jak wygląda jej ojciec.

— Czy powiedziała to pani?

— Tak. Mnie pierwszej powiedziała.

— Czy pytała ją pani szczegółowo?

— Nie, nie. Naturalnie była zupełnie załamana. Nie chciałam narażać jej na napięcia.

— Ale nie przeszkadzały pani napięcia, których doznała, zeznając o tych sprawach w sądzie.

— To było niezbędne, niezbędne, żeby oskarżenie wykazało winę. I jej nie zaszkodziło.

— Doktor Godwin uważa, że bardzo jej to zaszkodziło, że napięcia, które wtedy przeżyła, są przyczyną obecnego załamania.

— Doktor Godwin ma swoje poglądy, ja swoje. Jeśli chce pan znać moją opinię, to niebezpieczny człowiek, wichrzyciel. Nie szanuje władz, a ja nie szanuję takich ludzi.

— Dawniej go pani szanowała. Posłała pani do niego siostrzenicę na terapię.

— Teraz wiem o nim więcej niż wtedy.

— Czy mogłaby pani wyjaśnić, co panią kierowało?

— Mogę. Nie mam nic przeciwko temu. — Wciąż starała się utrzymać pozór przyjacielskiej rozmowy, chociaż oboje byliśmy świadomi, że pod

nim kipi niezgoda. — Dolly nie szło dobrze w szkole. Nie była wesoła, nie miała koleżanek. To całkiem naturalne, kiedy się miało takich rodziców... to znaczy ojca, który doprowadził ich dom do ruiny. Tu nie jest głusza — powiedziała stanowczo, jakby w gruncie rzeczy była innego zdania — i pomyślałam, że zapewnię jej przynajmniej taką pomoc. Nawet ludzie na zasiłku mają zapewnionego psychologa, jeśli pochodzą ze skonfliktowanych rodzin. Więc przekonałam siostrę, żeby zabrała ją do Pacific Point i poszła do doktora Godwina. Wtedy był najlepszym lekarzem, jakiego mieliśmy. Constance woziła ją do niego przez rok, w każde sobotnie przedpołudnie. Muszę przyznać, że dziecko wykazywało znaczną poprawę. Constance też. Wyglądała na energiczniejszą, szczęśliwszą i bardziej pewną siebie.

— Ona również przechodziła terapię?

— Chyba trochę tak i oczywiście te cosobotnie wyjazdy do miasta dobrze jej robiły. Chciała przeprowadzić się do miasta, ale nie było na to pieniędzy. Zamiast tego opuściła McGee i wprowadziła się do mnie. To pozwoliło jej trochę odetchnąć. On nie mógł tego znieść. Nie mógł znieść, że ona odzyskuje swoją godność. Zastrzelił ją jak psa przywiązanego do drzewa.

Po dziesięciu latach jej myśli nadal krążyły jak muchy wokół tamtego krwawego wydarzenia.

— Czemu nie zadbała pani o to, żeby terapia Dolly była kontynuowana? Przecież dziecko bardzo jej potrzebowało.

— To nie było możliwe. Pracuję w sobotę przed południem. Muszę poświęcić trochę czasu swoim papierkom. — Utknęła, zmieszana i zagubiona, jak to bywa z uczciwymi ludźmi, kiedy zaczynają kręcić.

— Poza tym pokłóciła się pani z Godwinem o to, czy siostrzenica powinna zeznawać w sądzie.

— Niech Godwin gada, co chce, ja nie wstydzę się swojego zdania. Powiedzenie na głos tego, co zrobił jej ojciec, nie wyrządziło Dolly żadnej szkody. Już raczej zrobiło jej dobrze. Jakoś musiała to z siebie wyrzucić.

— Ale nie wyrzuciła. Wciąż wraca do tamtego zdarzenia. — Tak jak pani,

panno Jenks, dodałem w duchu. — Ale teraz mówi co innego.

— Mówi co innego?

— Twierdzi, że nie widziała ojca w noc morderstwa. Zaprzecza, że miał z tym cokolwiek wspólnego.

— Kto to panu powiedział?

— Godwin. Właśnie z nią rozmawiał. Przyznała, że kłamała w sądzie, bo tak chcieli dorośli. — Kusiło mnie, by powiedzieć więcej, ale w porę przypomniałem sobie, że ona prawie na pewno przekaże to swojemu przyjacielowi szeryfowi.

Patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym podważył fundamenty jej wiary.

— On na pewno przekreśla jej słowa. Wykorzystuje ją, żeby udowodnić, że miał rację tam, gdzie się pomylił.

— Wątpię, panno Jenks. Godwin sam nie wierzy w to, co ona teraz mówi.

— Widzi pan! Albo zwariowała, albo kłamie. Niech pan nie zapomina, że płynie w niej krew McGee! — Natychmiast się zreflektowała, wstrząśnięta swoim wybuchem. Odwróciła wzrok, biegając nim po różowym pokoju, jakby w jakiś sposób mógł poświadczyć dziewczęcą niewinność jej intencji. — Naprawdę to wcale tak nie myślę — wyjąkała. — Kocham moją siostrzenicę. Tylko... tylko nie myślałam, że rozgrzebywanie przeszłości będzie takie ciężkie.

— Przepraszam i jestem pewien, że pani ją kocha. Skoro darzyła ją pani i darzy uczuciem, nie mogła pani wbić jej do głowy fałszywej historyjki, którą powtórzyła w sądzie.

— Kto mówi, że to zrobiłam?

— Nikt. Mówię, że nie mogła pani tego zrobić. Nie jest pani kobietą, która uczyłaby dwunastoletnie dziecko kłamstwa.

— Zgadza się — powiedziała. — Nie miałam nic wspólnego z oskarżeniem Dolly. Przyszła do mnie z nim tamtej nocy, pół godziny po całym wydarzeniu. Nigdy ani przez minutę nie wątpiłam w jej słowa. Brzmiały jak najczystsza prawda.

Ale wątpiła. Chociaż dokładnie biorąc, chyba nie kłamała. Już raczej coś ukrywała. Dobierała słowa, mówiła cichym głosem, żeby makatka w pokoju dziennym jej nie usłyszała.

Nadal nie patrzyła mi w oczy. Matowy rumieniec powoli okrył grubą szyję i twarz. Powiedziałem:

— Wątpię, żeby z tej odległości ciemną nocą była w stanie kogokolwiek zidentyfikować, nawet własnego ojca, a co dopiero dostrzec, że trzyma w dłoni narzędzie zbrodni.

— Ale policja uznała, że mówi prawdę. Uwierzyli jej i szeryf, i zastępcę prokuratora.

— Policja i prokuratura zwykle chętnie przyjmują za prawdę fakty czy pseudofakty, które pasują do ich linii dowodowej.

— Ale Tom McGee był winien. Był winien.

— Może.

— To czemu pan próbuje mnie przekonać, że nie był? — Jak to często bywa, rumieniec wstydu na jej twarzy przeszedł w rumieniec gniewu. — Nie będę tego słuchała.

— Równie dobrze może pani słuchać. W czym to pani zaszkodzi? Próbuję otworzyć tamtą starą sprawę, bo przez Dolly łączy się ze sprawą Haggerty.

— Wierzy pan, że ona zabiła pannę Haggerty? — spytała.

— Nie. A pani?

— Wygląda na to, że szeryf Crane uważa ją za główną podejrzaną.

— Czy powiedział to pani, panno Jenks?

— Nie musiał, wiem swoje. Chciał się zorientować, jak zareaguję na wiadomość, że zamierza wziąć ją na przesłuchanie.

— I jak pani zareagowała?

— Trudno mi powiedzieć, taka byłam zdenerwowana. Od jakiegoś czasu nie widziałam Dolly. Odeszła ode mnie i wzięła sobie męża za moimi plecami. Zawsze była dobrą dziewczyną, ale mogła się zmienić.

Czułem, że panna Jenks w rzeczywistości mówi o sobie samej: zawsze była dobrą dziewczyną, ale mogła się zmienić.

— Czemu nie zadzwoni pani do Crane'a i nie powie mu, żeby dał sobie spokój? Z pani siostrzenicą należy się delikatnie obchodzić.

— Nie wierzy pan, że jest winna tego morderstwa?

— Powiedziałem, że nie. Niech mu pani powie, żeby dał sobie spokój, bo inaczej przegra następne wybory.

— Nie mogę tego zrobić. Nadzoruje moją pracę w powiecie. — Ale rozważała tę myśl. Odpędziła ją. — A skoro już mowa o pracy, to poświęciłam panu cały czas, jaki miałam. Musi być po dwunastej.

Miałem już dość. To była ciężka godzina. Panna Jenks odprowadziła mnie na dół i na werandę. Kiedy się żegnaliśmy, miałem wrażenie, że chce coś jeszcze powiedzieć. Jej oczy to zdradzały. Ale z jej ust nic nie padło.

ROZDZIAŁ 13

Mgła wzdłuż wybrzeża trochę się przerzedziła, lecz nadal zakrywała słońce. Rozmyty biały blask kłuł w oczy. Recepcjonista w Mariner's Rest powiedział mi, że Alex wyjechał ze starszym mężczyzną nowym chryslerem. Czerwony sportowy wozik nadal stał na parkingu i pokój nie zmienił właściciela.

Kupiłem kanapkę w barze kilka domów dalej i zjadłem ją w pokoju. Potem przeprowadziłem parę rozmów telefonicznych, z których nic nie wynikało. Telefonistka w sądzie powiedziała mi, że po południu nie ma możliwości zapoznania się z aktami spraw; przez weekend wszystko jest pod kluczem. Zadzwoiłem do kancelarii Gila Stevensa, adwokata, który bez powodzenia bronił Toma McGee. Jego sekretarka powiadomiła mnie, że jest w Balboa. Nie, nie mogę się z nim porozumieć. Mecenas Stevens pływa jachtem dziś i jutro.

Postanowiłem wpaść do Jerry'ego Marksa, młodego adwokata, który bronił pani Perrine. Jego kancelaria mieściła się w nowym centrum handlowym, niedaleko motelu. Nieżonaty, ambitny Jerry mógł przebywać w pracy nawet w sobotnie popołudnie.

Frontowe drzwi stały otworem i wszedłem do poczekalni z klonowymi krzesłami, obitymi perkalem. Stanowisko sekretarki za szklaną taflą świeciło pustką, ale Jerry Marks był w swoim gabinecie.

— Jak się masz, Jerry?

— Dobrze.

Spojrzał na mnie ostrożnie znad książki, którą czytał, ogromnego woluminu zatytułowanego *Reguły postępowania dowodowego*. Jeszcze brakowało mu doświadczenia w sprawach kryminalnych, ale był kompetentny i uczciwy. Jego pocziwa twarz, mówiąca o przodkach ze środkowej Europy, była ciepła i rozjaśniona inteligentnym spojrzeniem piwnych oczu.

— Jak pani Perrine? — spytałem.

— Nie spotkałem się z nią, od kiedy zwolniono ją z aresztu, i nie spodziewam się rychłego spotkania. Byli klienci rzadko mnie odwiedzają. Mój widok przypomina im sąd.

— Jakbym słyszał o moich klientach. Jesteś wolny?

— No i zamierzam pozostać wolny. Obiecałem sobie, że poświęcę weekend wyłącznie nauce, czy kogoś zamordują, czy nie.

— Więc wiesz o zamordowaniu Haggerty.

— Naturalnie, całe miasto o tym huczy.

— Co słyszałeś?

— Naprawdę to tyle co nic. Ktoś w sądzie powiedział mojej sekretarce, że wykładowczyni z college'u została zastrzelona przez studentkę. Zapomniałem nazwiska tej studentki.

— Dolly Kincaid. Jej mąż jest moim klientem. Ona przebywa w domu opieki, pod okiem lekarza.

— Wariatka?

— To zależy od twojej definicji wariatki. Sytuacja jest złożona, Jerry. Wątpię, by ta dziewczyna była niepoczytalna w rozumieniu prawa. I bardzo wątpię, żeby to ona strzelała.

— Próbujesz zainteresować mnie tą sprawą — powiedział z podejrzliwością w głosie.

— Niczego nie próbuję. Naprawdę to przyszedłem po informację. Jaka jest twoja opinia o Gilu Stevensie?

— To lokalny mistrz od niepamiętnych czasów. Weź go.

— Jest poza miastem. Poważnie, jest dobrym adwokatem?

— Stevens jest najbardziej skutecznym adwokatem od spraw kryminalnych w powiecie. Musi być dobry. Zna prawo i mentalność przysięgłych.

Używa różnych staromodnych sztuczek, po które ja sam bym nie sięgnął. To prawdziwy aktor, przepełniony emocjami. Ale skuteczny. Nie pamiętam, kiedy przegrał ważną sprawę.

— Ja pamiętam. Dziesięć lat temu bronił niejakiego Toma McGee, który został skazany za zastrzelenie żony.

— Wtedy jeszcze mnie tu nie było.

— Dolly Kincaid jest córką McGee. Poza tym była kluczowym świadkiem oskarżenia na procesie ojca.

Jerry gwizdnął.

— Rozumiem, co masz na myśli, mówiąc, że to „złożona sprawa”. — Po namyśle spytał: — Kto jest jej lekarzem?

— Godwin. Wydał pełne wargi.

— Z nim bym uważał.

— O co ci chodzi?

— To na pewno dobry psychiatra, ale niezbyt użyteczny na sali sądowej. Ogromnie inteligentny człowiek, i nie kryje swojego światła pod korcem, ale czasem zachowuje się tak, jakby zjadł wszystkie rozumy. To powoduje, że ludzie się usztywniają, zwłaszcza jeśli nazywają się Gahagan i przewodniczą sądowi wyższej instancji. Więc korzystałbym z niego tylko wrywkowo.

— Nie mam wpływu na to, jak z niego korzystano wcześniej.

— Oczywiście, ale możesz ostrzec jej obrońcę...

— Byłoby dużo prościej, gdybyś ty był jej obrońcą. Nie miałem szansy porozmawiać dziś z jej mężem, ale myślę, że pójdzie za moją rekomendacją. A przy okazji: jego rodzina nie jest dotknięta ubóstwem.

— Nie myślałem o pieniądzach — powiedział zimno Jerry. — Obiecałem sobie, że posiedzę przez ten weekend nad książkami.

— Helen Haggerty powinna wybrać inny weekend na to, żeby ją zastrzelili.

Wypadło to ostrzej, niż zamierzałem. Zżerało mnie poczucie winy. Nie udało mi się nic zrobić dla Helen. Jerry przyjrzał mi się z lekkim zdziwieniem.

— Mówisz, jakbyś traktował tę sprawę jak coś osobistego.

— Jest dla mnie osobista.

— Już dobrze. Dobrze — powiedział. — Co mam zrobić?

— Na razie po prostu być w gotowości.

— Siedzę tu całe popołudnie. Potem złapiesz mnie przez telefonistkę w centrali.

Podziękowałem mu i wróciłem do motelu. Pokój Alexa wciąż był pusty. Zadzwoiłem na swój numer w Hollywood. Telefonistka przekazała mi, że odezwał się Arnie Walters. Zadzwoiłem do Reno.

Arnie był poza biurem, ale Phyllis, jego żona i współpracowniczka, odebrała telefon. Od jej energicznej kobiecości zdrzały przewody telefoniczne.

— W ogóle cię nie widuję, Lew. Słyszę tylko twój głos w słuchawce. Jakbyś już nie istniał, tylko dawno temu nagrał taśmy i teraz ktoś puszcza je od czasu do czasu.

— Jak wytłumaczysz fakt, że odpowiadam na pytania? Na przykład teraz.

— Sprawa elektroniki. Gdy czegoś nie rozumiem, zawsze mówię, że to sprawa elektroniki. W ten sposób nie muszę łamać sobie głowy. Ale kiedy cię zobaczę?

— W weekend, jeśli Arnie namierzył kierowcę tego kabrio.

— Jeszcze całkiem mu się nie udało, ale ma zamiar na właścicielkę. To niejaka Sally Burke i mieszka w samym Reno. Twierdzi, że samochód skradziono jej kilka dni temu. Ale Arnie jej nie wierzy.

— Dlaczego?

— On ma niesamowitą intuicję. Poza tym nie zgłosiła tej kradzieży. No i ma różnych dziwnych kochasiów. Arnie właśnie ich rozpracowuje.

— Dobrze.

— Rozumiem, że to ważne — powiedziała Phyllis.

— Chodzi o podwójne, może potrójne morderstwo. Moją klientką jest młoda dziewczyna z problemami emocjonalnymi. Prawdopodobnie dzisiaj lub jutro będzie aresztowana, za coś, czego prawie na pewno nie zrobiła.

— Jesteś bardzo najeżony.

— Ta sprawa załaziła mi za skórę. Poza tym nie wiem, na czym stoję.

— Nigdy wcześniej nie słyszałam, żebyś przyznawał się do tej słabości, Lew. A w ogóle zanim zadzwoniłeś, myślałam, że może zawarłabym znajomość z panią Sally Burke. Czy to dobry pomysł?

— To świetny pomysł. — Phyllis była ekswywiadowczynią Pinkertona o prezencji eksgirlaski. — Pamiętaj tylko, że pani Burke i jej kompani są bardzo niebezpieczni. Być może zeszłej nocy zabili kobietę.

— Tej kobiety, z którą akurat rozmawiasz, nie zabijają. Za bardzo mam dla kogo żyć. — Chodziło jej o Arniego.

Wymieniliśmy dalsze uprzejmości, w trakcie których usłyszałam, jak dwóch ludzi wchodzi do pokoju Alexa. Pożegnawszy Phyllis, stanąłem przy ścianie i nadstawiłem uszu. Alex i jakiś drugi mężczyzna kłócili się głośno i nie potrzebowałem mikrofonu kontaktowego, żeby się dowiedzieć, czego kłótnia dotyczy. Nieznajomy domagał się od Alexa, by wykaraskał się z bagna, w które się wpakował, i wrócił do domu.

Zapukałem do sąsiednich drzwi.

— Poczekaj, ja to załatwię — rzekł rozmówca Alexa, jakby spodziewał się policji.

Wyszedł na zewnątrz, mężczyzna mniej więcej w moim wieku, przystojny, siwawy, o wąskiej twarzy, wąskich oczkach, sterczącym podbródku. Nosił na sobie piętno zorganizowania jak uprzęż pod staromodnym szarym garniturem.

Była w nim też jakaś desperacja. Nawet nie zapytał, kim jestem, tylko oświadczył:

— Jestem Frederick Kincaid i nie macie prawa gnębić mojego syna. Nie ma nic wspólnego z tą dziewczyną i jej zbrodniami. Wyszła za niego, podając się za kogoś zupełnie innego, niż naprawdę jest. Małżeństwo nie przetrwało dwudziestu czterech godzin. Mój syn jest uczciwym chłopcem...

Alex wyszedł z pokoju i pociągnął starszego pana za rękaw. Zażenowanie ściągnęło mu twarz.

— Daj spokój, tato. To pan Archer.

— Archer, he? Rozumiem, że to pan wplątał mojego syna w to...

— Przeciwnie, sam mnie zatrudnił.

— Zwalniam pana! — Powiedział to takim tonem, jakby codziennie zwalniał co najmniej tuzin pracowników.

— Obgadajmy to — zaproponowałem.

Wynikło zamieszanie w drzwiach. Kincaid senior nie chciał, bym wszedł. Niewiele brakowało, żeby przepychanka zamieniła się w bójkę. Każdy z nas był gotów przyłożyć przynajmniej jednemu z pozostałych.

Wdarłem się za próg i usiadłem na krześle, tyłem do drzwi.

— Co się wydarzyło, Alex? — spytałem.

— Tato usłyszał o mnie w radiu. Zadzwoił do szeryfa i dowiedział się, gdzie jestem. Szeryf nas wezwał. Dopiero co wróciliśmy od niego. Znalaziono broń, z której popełniono morderstwo.

— Gdzie?

Alex nie spieszył się z odpowiedzią, jakby słowa, które miał w ustach, miały moc sprawczą. Ojciec odpowiedział za syna:

— Tam, gdzie ona ją schowała, pod materacem łóżka w tej szopie, w której mieszkała...

— To nie szopa — wtrącił Alex. — To stróżówka.

— Nie sprzeczasz się ze mną, Alex.

— Widział pan tę broń? — spytałem.

— Obaj ją widzieliśmy. Szeryf chciał, żeby Alex ją zidentyfikował. Naturalnie nie mógł tego uczynić. Nawet nie wiedział, że ona miała broń.

— Co to była za broń?

— Rewolwer Smith and Wesson, kaliber zero trzydzieści osiem, z okładzinami kolby z drewna kasztanowca. Stary, ale w bardzo dobrym stanie. Pewnie kupiła go w lombardzie.

— Czy taka jest teoria policji?

— Szeryf wspomniał o tego rodzaju możliwości.

— Skąd wie, że to jej broń?

— Znaleźli ją pod jej materacem, no nie? — Kincaid mówił tonem prokuratora wygłaszającego mowę końcową, licząc, że tym sposobem

zmusi syna do posłuszeństwa. — Kto inny mógłby go tam schować?

— Praktycznie każdy. Ostatniej nocy stróżówka stała otwarta, prawda, Alex?

— Była otwarta, kiedy tam przyszedłem.

— Daj mi mówić — powiedział ojciec. — Mam więcej doświadczenia w tych sprawach.

— Przydało się panu na cholerę i trochę. Pański syn jest świadkiem, a ja próbuję ustalić fakty.

Stał nade mną rozdygotany, z rękami na biodrach.

— Mój syn nie ma absolutnie nic wspólnego z tą sprawą — oświadczył.

— Niechże pan nie żartuje. Ożenił się z tą dziewczyną.

— To małżeństwo jest bez znaczenia, chłopięcy impuls, który nie trwał nawet jeden dzień. Załatwię, żeby je anulowali. Mówił mi, że nawet nie zostało skonsumowane.

— Nie może go pan anulować.

— Nie będzie mi pan mówił, co mam robić.

— Chyba jednak będę. Może pan tylko anulować siebie i syna. Związek małżeński to coś więcej niż łóżko czy prawne kruczki. Związek dwójki tych młodych ludzi trwa, ponieważ Alex w niego wierzy.

— Teraz chce się z niego wypisać.

— Czyżby?

— To prawda, no nie, Alex? Chcesz wrócić do domu, do mnie i do matki? Ona strasznie się o ciebie martwi. Serce znów jej skacze. — Stary Kincaid chwycił się wszystkich możliwych sposobów.

Alex spojrział na niego i na mnie.

— Nie wiem — powiedział. — Po prostu chcę postąpić, jak należy.

— W takim razie odpowiedz jeszcze na parę pytań, Alex. Czy Dolly miała przy sobie broń, kiedy przybiegła do stróżówki ostatniej nocy?

— Nie widziałem żadnej broni.

Kincaid wtrącił:

— Pewnie ukryła ją pod ubraniem.

— Zamknij się, Kincaid — powiedziałem spokojnie, nie podnosząc się z krzesła. — Nie mam pretensji do ciebie, że jesteś bezdusznym drańnięm. Najwyraźniej nic nie możesz na to poradzić. Ale protestuję przeciwko temu, że starasz się przerobić Alexa na własne kopyto. Przynajmniej zostaw mu wybór.

Wymamrotał coś i odszedł na bok. Alex rzekł, nie patrząc na żadnego z nas:

— Niech pan tak nie mówi do mojego ojca, panie Archer.

— Dobra. Miała na sobie kardigan, bluzeczkę i spódnice. Coś jeszcze?

— Nie.

— Miała torebkę?

— Nie pamiętam.

— Przypomnij sobie.

— Nie miała.

— W takim razie nie mogła ukryć przy sobie rewolweru kalibru zero trzydzieści osiem. Widziałeś, żeby chowała go pod materacem?

— Nie.

— I byłeś z nią przez cały czas, od jej powrotu do stróżówki do wyjazdu samochodem do domu opieki?

— Tak. Byłem z nią przez cały ten czas.

— W takim razie jest oczywiste, że ta broń nie należy do Dolly, a przynajmniej nie Dolly schowała ją pod materacem. Nie przychodzi ci do głowy, kto mógłby to zrobić?

— Nie.

— Powiedziałeś, że to była broń, z której popełniono morderstwo. Jak to ustalili? Nie mieli czasu na próby balistyczne.

Kincaid odezwał się z kąta pokoju, w którym tkwił naburmuszony:

— Kaliber rewolweru pasuje do rany i ostatnio wystrzelono z niego jeden pocisk. To logiczne, że użyła tej broni.

— Wierzysz w to, Alex?

— Nie wiem.

— Czy przesłuchali Dolly?

—Zamierzają przesłuchać. Szeryf mówił coś, że poczekają do poniedziałku, aż zrobią próby balistyczne.

Jeśli wierzyć Alexowi, to miałem trochę czasu. Był skołowany po napięciach nocy i przedpołudnia, wieńczących niepewności ostatnich trzech tygodni. Prawie śłaniał się na nogach.

—Myślę, że wszyscy powinniśmy poczekać — powiedziałem — zanim osądzimy twoją żonę. Nawet jeśli popełniła morderstwo, w co bardzo wątpię, to jesteś jej winien wszelką pomoc i wsparcie.

—Nic nie jest jej winien — oświadczył Kincaid. — Zupełnie nic. Oszukała go, żeby za niego wyjść. W kółko go okłamywała.

Dla kontrastu trzymałem głos i nerwy na wodzy.

—Nadal potrzebuje opieki lekarskiej i adwokata. Mam na miejscu dobrego adwokata, który czeka, żeby zająć się sprawą, ale sam nie mogę go zatrudnić.

—Sporo bierzesz w swoje ręce, no nie?

—Ktoś musi wziąć na siebie odpowiedzialność. Na razie sporo jej wała się tu luzem. Nie uniknie się odpowiedzialności, wpęczając do dziury i zakopując się po uszy. Dziewczyna jest w tarapatkach, a czy się to panu podoba, czy nie, jest członkiem pańskiej rodziny.

Alex chyba słuchał naszych argumentów. Nie wiedziałem tylko, czyje do niego bardziej przemawiają, ojca czy moje. Starszy Kincaid potrząsnął wąską siwą głową i rzekł:

—Jedno mogę powiedzieć ci na pewno, ona nie jest członkiem naszej rodziny. Nie zawlecze mojego syna do świata podziemia. Ty też nie. — Odwrócił się do Alexa. — Ile już zapłaciłeś temu człowiekowi?

— Paręset dolarów.

Kincaid powiedział do mnie:

—Dostałeś obfitą zapłatę, niebotyczną zapłatę. Słyszałeś, jesteś zwolniony! To prywatny pokój i jeśli dalej będziesz wzbraniał się go opuścić, wezwę kierownictwo. Jeśli ono nie da ci rady, wezwę policję.

Alex spojrział na mnie i uniósł ręce bezsilnym ruchem. Ojciec objął go ramieniem.

—Robię tylko to, co dla ciebie najlepsze, synu. Nie jesteś jednym z tej

bandy. Pojedziemy do domu i uradujemy matkę. Przecież nie chcesz wpędzić jej do grobu.

Wyszło to gładko, celnie i nie pozostawiło miejsca na dyskusję. Alex więcej na mnie nie spojrział. Wróciłem do swojego pokoju i zadzwoniłem do Jerry'ego Marksa z wiadomością, że straciłem klienta — i on również. Jerry wydawał się zawiedziony.

ROZDZIAŁ 14

Alex i jego ojciec opuścili pokój i odjechali. Nie wyszedłem pożegnać się z nimi, ale słyszałem warkot silników ich aut, szybko przytłumiony mgłą. Siedziałem i czekałem, aż supeł w żołądku zmięknie, mówiąc sobie w duchu, że powinienem lepiej sobie z nimi poradzić. Kincaid był wystraszonym człowiekiem, który cenił swój status tak, jak poprzednie pokolenia swoje dusze.

Podjechałem Foothill do domu Bradshawa. Dziekan prawdopodobnie był kolejnym kurkiem na kościele, ale miał pieniądze i okazał Dolly pewne współczucie, przekraczające urzędowe zainteresowanie sprawą. Nie zamierzałem ciągnąć śledztwa sam. Potrzebowałem zleceniodawcy, najlepiej takiego, który miał coś do powiedzenia w tej okolicy. Alice Jenks jako tako spełniała te wymagania, ale nie chciałem takiego klienta.

Stróżówki pilnował podwładny szeryfa. Nie pozwolił mi zajrzeć do środka, ale nie miał nic przeciwko temu, bym podjechał do głównego budynku. Drzwi otworzyła Latynoska, Maria.

— Czy doktor Bradshaw jest w domu?

— Nie, proszę pana.

— Gdzie mogę go znaleźć?

Wzruszyła ramionami, mówiąc:

— Nie wiem. Widzi mi się, że wyjechał na cały weekend, tak mówiła pani Bradshaw.

— Dziwne. Chciałbym porozmawiać z panią Bradshaw.

— Sprawdzę, czy nie jest zajęta.

Nie czekając na zaproszenie, wszedłem do środka i usiadłem na złocym krześle w holu wejściowym, podczas gdy Maria poszła na górę. Wróciła z wieścią, że pani Bradshaw zaraz mnie przyjmie.

Minęło przynajmniej pół godziny, zanim zeszała, kulejąc. Uczeszała siwe włosy, uróżwiała policzki i włożyła suknię wykończoną koronkowym kołnierzykiem, spiętym brylantową broszą. Kiedy zrobiła mi wątpliwą przyjemność, podając dłoń, zastanowiłem się, czy wszystko to na moją cześć.

Starsza pani wydawała się zadowolona, że mnie widzi.

— Jak pan się ma, panie... panie Archer, prawda? Modliłam się, żeby ktoś wpadł z wizytą. W tej mgłę człowiek czuje się tak osamotniony, a kiedy straciłam kierowcę... — Urwała, jakby słysząc rosnącą nutę narzekania w swoim głosie. — Co z dziewczyną? — spytała krótko.

— Zajęto się nią. Doktor Godwin uważa, że ma się lepiej niż w nocy.

— To dobrze. Z pewnością się pan ucieszy — rzekła z żywym ironicznym spojrzeniem — wiedząc, że sama też czuję się nieco lepiej niż w nocy. Mój syn poinformował mnie rano, że, jak on to mówi, znów dałam przedstawienie. Szczerze mówiąc, byłam poruszona. Noce nie są dla mnie najłaskawsze.

— To była ciężka noc dla wszystkich.

— I jestem samolubną starą kobietą. Czy nie tak pan myśli?

— Ludzie nie zmieniają się bardzo wraz z wiekiem.

— Ta wypowiedź nosi wszystkie znamiona obelgi. — Ale uśmiechała się niemal zalotnie. — Daje pan do zrozumienia, że zawsze taka byłam.

— Jeśli tak jest, wie pani o tym dużo lepiej niż ja.

Roześmiała się szeroko. Nie był to śmiech pełen radości, ale nie brakowało w nim poczucia humoru.

— Jest pan śmiałym młodym człowiekiem, do tego bystrym. Lubię

bystrych młodych ludzi. Zapraszam do gabinetu i dopilnuję, żeby podano panu drinka.

— Dziękuję, ale nie mogę zostać...

— W takim razie ja tu usiądę. — Opadła ostrożnie na złocone krzesło.

— Moje moralne wartości może nie zeszły na psy. Moje możliwości fizyczne na pewno tak. Ta mgła fatalnie działa na mój artretyzm. — Ostrożnie potrząsnęła głową i dodała: — Ale nie powinnam narzekać. Obiecałam synowi, że w pokucie za ostatnią noc przetrzymam cały dzień, nie narzekając ni słowem.

— I jak się pani spisuje?

— Nie za dobrze — odparła ze swoim kwaśnym pomarszczonym uśmiechem. — To jak stawianie pasjansa, zawsze się trochę oszukuje. A może pan nie oszukuje?

— Nie stawiam pasjansów.

— Niewiele pan traci, ale mnie pomagają przetrwać dzień. No cóż, nie będę pana zatrzymywała, jeśli ma pan sprawy zawodowe.

— Mam sprawę zawodową do doktora Bradshawa. Wie pani, gdzie mogę się z nim skontaktować?

— Roy dziś rano poleciał do Reno.

— Do Reno?

— Nie hazardować się, zapewniam pana. Nie ma w sobie krzty hazardzisty. Prawdę mówiąc, czasem wydaje mi się, że jest przesadnie ostrożny. Roy to trochę maminsynek, nie uważa pan? — Spojrzała na mnie z wieloznaczną ironią, wcale niezakłopotana słabościami charakteru syna ani tym, że w jakiejś mierze są jej dziełem.

— Jestem trochę zaskoczony, że wyjechał w środku tej sprawy o morderstwo.

— Ja też czułam się zaskoczona, ale nie było mowy, żeby go zatrzymać. Proszę nie sądzić, że przed czymś ucieka. Na uniwersytecie stanowym Nevada mają konferencję dziekanów małych uczelni. Zaplanowano ją kilka miesięcy temu i wyznaczono Roya na jednego z głównych mówców. Uznał, że obowiązek nakazuje mu jechać. Wie pan, uwielbia być na świeczniku... zawsze miał w sobie żyłkę aktora... ale odpowiedzialność, która za tym idzie, to już inna para kaloszy.

Byłem rozbawiony, zaintrygowany i trochę oburzony trzeźwością jej osądu. Chyba się dobrze bawiła. Wolała konwersację od pasjansa.

Pani Bradshaw uniosła się z trzaskiem starych kości, oparła na moim ramieniu i rzekła:

— Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby poszedł pan do gabinetu. Tu są przeciagi. Przypadł mi pan do gustu, młody człowieku.

Nie wiedziałem, czy cieszyć się z tego powodu, czy smucić. Uśmiechnęła się szeroko, patrząc mi prosto w oczy, jakby odczytywała moje wątpliwości.

— Niech się pan nie boi, nie zjem pana. — Położyła akcent na ostatnich słowach, jakby już wcześniej schrupała syna.

Przeszliśmy do gabinetu i zajęliśmy miejsca naprzeciwko, na wysokich skórzanych fotelach. Zadzwoniła na Marię i kazała przynieść mi drinka. Potem rozsiała się wygodnie i przesunęła wzrokiem po regałach. Rzędy książek widocznie przypomniały jej pozycję Bradshawa.

— Proszę mnie źle nie zrozumieć. Kocham głęboko syna i jestem z niego dumna. Jestem dumna z jego prezencji i jego rozumu. Ukończył Harvard *summa cum laude* i kontynuował karierę akademicką, broniąc pracy doktorskiej, którą oceniono bardzo wysoko. Niebawem zostanie rektorem jednego z wielkich uniwersytetów lub prezesem zarządu wielkiej fundacji.

— To jego ambicje czy pani?

— Dawniej moje, dla jego dobra. W miarę jak rosły ambicje Roya, moje malały. Są w życiu przyjemniejsze cele niż szczyt niebotycznej drabiny kariery. Nie pożegnałam się całkiem z nadzieją, że się ożeni. — Uniosła brew, spoglądając na mnie lśniącem starczym okiem. — Wie pan, wcale nie jest taki nieczuły na kobiece wdzięki.

— Jestem tego pewien.

— Żeby nie skłamać, zaczynałam już oswajać się z myślą, że jest zainteresowany panną Haggerty. Nigdy nie widziałam, by poświęcał tyle uwagi innej kobiecie. — Urwała, tak że zabrzmiało to jak pytanie. — Wspomniał, że zaprosił ją kilka razy. Ale dodał, że nigdy nie byli sobie bliscy,

w żaden sposób. Jego reakcja na jej śmierć to potwierdziła.

— To znaczy?

Wycisnąłem z ludzi dość informacji, żeby wiedzieć, co się dzieje, kiedy ktoś wyciska je ze mnie.

— Nie poleciałby do Reno dziś rano, bez względu na wagę tej konferencji, gdyby naprawdę zależało mu na Helen Haggerty. Siedziałby tu, w Pacific Point, próbując dojść, kto ją załatwił.

— Wydaje się pan mocno zawiedziony jego nieobecnością.

— Liczyłem na to, że pani syn mi pomoże. Wydawał się autentycznie przejęty losem Dolly Kincaid.

— Jest przejęty. Oboje jesteście przejęci. Prawdę mówiąc, przy śniadaniu Roy prosił mnie, żebym zrobiła, co się tylko da, dla tej dziewczyny. Ale co ja mogę dla niej zrobić? — Rozłożyła pomarszczone dłonie, demonstrując bezradność.

Weszła Maria, pobrząkując lodem w szklance, bezceremonialnie wciśnęła mi ją do ręki i spytała swoją chlebobawczynię, czy chce coś jeszcze. Nie chciała. Pociągałem drinka, zastanawiając się, czy gdyby pani Bradshaw została moją klientką, potrafiłbym dać sobie z nią radę. Nie wątpiłbym miała pieniądze. Brylanty mrugające na jej szyi kupiłyby moje usługi na kilka lat.

— Może pani mnie wynająć — powiedziałem.

— Wynająć pana?

— Jeśli naprawdę chce pani coś zrobić dla Dolly, a nie tylko siedzieć i wygłaszać deklaracje bez pokrycia. Może byśmy się dogadali.

— Dogadywałam się w różnych sytuacjach, kiedy pan był w kołysce, panie Archer. Czyżby dawał pan do zrozumienia, że nie potrafię dogadywać się z ludźmi?

— Chyba to ja nie potrafię. Właśnie zwolnił mnie Alex Kincaid, przy znacznej współpracy ojca. Nie chcą mieć nic wspólnego z Dolly i jej kłopotami teraz, gdy sprawy potoczyły się w złym kierunku.

Jej czarne oczy błysnęły, kiedy powiedziała:

— Od razu przejrzałam tego chłopaka. To maminsynek.

— Nie mam środków, żeby ciągnąć tę sprawę w pojedynkę. Zresztą to nie

jest dobre rozwiązanie. Potrzebuję kogoś, kto by mnie wspierał, najlepiej kogoś liczącego się w okolicy i... będę szczerzy... z zasobnym kontem w banku.

— Ile by mnie pan kosztował?

— To zależy od czasu trwania sprawy i tego, co wyniknie. Biorę sto dziennie i koszty. Poza tym mam zespół detektywów w Reno, pracujący nad śladem, który może się okazać bardzo istotny.

— Ślad w Reno?

— Tam się zaczął, zeszłej nocy.

Opowiedziałem jej o mężczyźnie w kabriolecie, należącym do pani Sally Burke, kobiety mającej wielu kochasiów. Pochyliła się z rosnącą ciekawością i spytała:

— Czemu policja nie rozpracowuje tego śladu?

— Może rozpracowuje. Jeśli tak, nie wiem o tym. Wygląda na to, że zadowolili się tezą, że to Dolly jest winna, i wszystko inne przestało ich interesować. Tak jest prościej.

— Ta teza do pana nie przemawia?

— Nie.

— Mimo że w łóżku Dolly znaleziono broń?

— Więc pani o tym wie?

— Dziś rano szeryf Crane pokazał mi ten rewolwer. Chciał wiedzieć, czy go rozpoznaję. Oczywiście, że go nie rozpoznałam. Nie cierpię samego widoku broni. Nigdy nie pozwoliłam Royowi trzymać w domu podobnego okropieństwa.

— I nie ma pani pojęcia, czyj był ten rewolwer?

— Nie, ale szeryf chyba był przekonany, że to rewolwer Dolly i że to ona popełniła morderstwo.

— Nic na to nie wskazuje. Przecież gdyby Dolly była morderczynią i posłużyła się właśnie tym rewolwerem, nie ukryłaby go w stróżówce, chyba że w ostateczności. Jej mąż zaprzecza, jakoby go tam umieściła, a przebywał z nią nieprzerwanie, od kiedy wróciła. To tym bardziej wyklucza tezę, że ta broń była narzędziem morderstwa.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Potrzebne będą testy balistyczne, a zaplanowano je dopiero na poniedziałek. Jeśli szczęście mi dopisze, to do tej pory może

uda mi się rzucić więcej światła na całą sytuację.

— Czy ma pan własną teorię, panie Archer?

— Uważam, że korzenie tej sprawy sięgają w przeszłość jeszcze przed urodzeniem Dolly. To nie Dolly groziła śmiercią panie Haggerty. Helen rozpoznałaby jej głos, były bliskimi przyjaciółkami. Myślę, że Dolly przyszła do niej prosić o radę. Nie wiedziała, czy ma wracać do męża, czy nie. Natknęła się na ciało i doznała szoku. Wciąż nie może z niego wyjść.

— Dlaczego?

— Na razie nie wiem. Muszę lepiej poznać jej przeszłość. Chcę również poznać przeszłość panny Haggerty.

— To może być ciekawe — powiedziała, jakby rozważała obejrzenie podwójnego seansu filmowego. — Ile to wszystko może mnie kosztować?

— Postaram się, żeby kwota była jak najmniejsza. Ale może sięgnąć dwóch, trzech, a nawet czterech tysięcy.

— To raczej droga pokuta.

— Pokuta?

— Za mój egoizm, dawny, obecny i przyszły. Zastanowię się nad tym, panie Archer.

— Ile pani potrzebuje czasu na zastanowienie?

— Proszę odezwać się wieczorem. Roy zatelefonuje do mnie w porze kolacji... telefonuje każdego wieczoru, kiedy jest na wyjeździe... a w żadnym wypadku nie udzielię panu odpowiedzi, dopóki nie przedyskutuję z nim wszystkiego. Jesteśmy o wiele bardziej oszczędni, niż pan myśli

— dodała z naciskiem, bawiąc się brylantami na szyi.

ROZDZIAŁ 15

Podjechałem pod ociekającymi wilgocią drzewami do domu Helen Haggerty. Dwaj ludzie szeryfa płaczący się przy drzwiach frontowych nie wpuścili mnie za próg ani nie odpowiedzieli na żadne moje pytanie. To nie był dobry dzień.

Udałem się do budynku administracji kampusu. Chciałem porozmawiać z Laurą Sutherland, ale jej gabinet był zamknięty. Wszystkie pokoje biurowe były zamknięte. Budynek stał pusty, jeśli nie liczyć siwiuteńskiego mężczyzny w roboczym stroju, który zmywał szerokim mopem korytarz. Wyglądał jak Ojciec Czas i przeżyłem koszmarną chwilę, kiedy przeleciało mi przez głowę, że ściera ostatnie ślady Helen.

W odruchu samoobrony wyjąłem notatnik i sprawdziłem, jak nazywa się kierownik wydziału języków nowożytnych. Doktor Geisman. Sprzątacznik wiedział, gdzie jest jego gabinet.

— To w nowym budynku humanistyki, tam — poinformował mnie, wskazując kierunek. — Ale w sobotę po południu go nie będzie.

Mylił się. Znalazłem Geismana w biurze wydziału, na parterze humanistyki, siedzącego ze słuchawką w jednej ręce i ołówkiem w drugiej. Widziałem go dzień wcześniej, wychodzącego z narady u Bradshawa, tęgiego mężczyznę w średnim wieku, z grubymi szklami niedoskonale maskującymi niespokojne oczka.

— Chwileczkę — rzucił mi i powiedział do telefonu: — Przykro mi, że nie może nam pani pomóc, pani Bass. Zdaję sobie sprawę z pani obowiązków rodzinnych i, oczywiście, wynagrodzenie nie jest wielkie jak na starszego wykładowcę.

Miał obcą wymowę, chociaż bez akcentu. Jego angielszczyzna była pozbawiona jakichkolwiek naleciałości, jak kolejny wyuczony język.

— Jestem doktor Geisman — powiedział po odłożeniu słuchawki i skreśleniu nazwiska z listy, którą miał przed sobą. — Czy pan doktor de Falla?

— Nie. Nazywam się Archer.

— Jakie są pańskie kwalifikacje? Czy ma pan tytuły naukowe?

— Jestem po uniwersytecie sporych ciągów.

Nie odpowiedział na mój żart.

— Jak zapewne pan wie, zmarł członek naszego grona pedagogicznego i musiałem poświęcić sobotę na szukanie zastępstwa. Jeśli spodziewa się pan, że potraktuję serio pańskie zgłoszenie...

— Panie doktorze, zgłaszam się tylko po kilka drobnych informacji. Jestem prywatnym detektywem, prowadzę śledztwo w sprawie śmierci profesor Haggerty i interesuje mnie, jak tu wylądowała.

— Nie mam czasu znowu w to wszystko wchodzić. W poniedziałek są zajęcia, które ktoś musi poprowadzić. Jeśli ten doktor de Falla się nie pojawi albo okaże się, że nie można go ściągnąć, nie wiem, co zrobię. — Zerknął na zegarek. — O wpół do siódmej muszę być na lotnisku w Los Angeles.

— Może mi pan poświęcić pięć minut, to doprawdy niewiele.

— Doskonale. Pięć minut. — Stuknął w szkiełko zegarka. — Chce pan wiedzieć, jak panna Haggerty się tu znalazła? Nie mam pojęcia. Wiem tyle, że pewnego dnia pojawiła się w moim gabinecie i poprosiła o posadę. Słyszała o zawale profesora Farranda. To nasza druga awaria w ostatnim miesiącu.

— Kto jej o tym powiedział?

— Nie wiem. Pewnie dziekan Sutherland. Pytana o referencje od kogoś z naszego college'u, powołała się na dziekan Sutherland. A sprawa

profesora Farranda była ogólnie znana, wspomniano o niej w gazecie.

— Czy mieszkała tu, zanim zgłosiła się do pana?

— Tak sądzę. Tak, mieszkała tu. Powiedziała, że ma już dom. Lubiła go i chciała w nim pozostać. Bardzo zależało jej na tym stanowisku. Szczerze mówiąc, miałem co do niej pewne wątpliwości. Zrobiła magisterium na Uniwersytecie Chicago, ale brakowało jej pełnych kwalifikacji. Szkoła, w której uczyła, w Maple Park, jest na niższym poziomie niż nasza. Ale dziekan Sutherland powiedziała mi, że zależy jej na tym stanowisku, i na nieszczęście przyjąłem ją.

— Rozumiem, że miała prywatne dochody.

Ściągnął wargi i potrząsnął głową, mówiąc:

— Damy dysponujące prywatnym dochodem nie biorą po cztery godziny zajęć z francuskiego i niemieckiego plus obowiązki opiekuna naukowego za pensję w wysokości niecałych pięciu tysięcy dolarów. Być może chodziło o alimenty. Powiedziała mi, że ma kłopoty ze ściąganiem alimentów. — Jego szkła błysnęły, kiedy podniósł głowę. — Wiedział pan, że jest świeżo rozwiedziona?

— Słyszałem o tym. Wie pan, gdzie przebywa jej były mąż?

— Nie. Nigdy nie zamieniłem z nią więcej niż parę słów. Podejrzewa go pan?

— Nie mam do tego podstaw. Ale kiedy zostaje zabita kobieta, zazwyczaj szuka się mężczyzny, który miał powód ją zabić. Miejscowi stróże prawa myślą inaczej.

— Nie zgadza się pan z nimi?

— Nie wykluczam innych możliwości, doktorze.

— Rozumiem. Mówi się, że podejrzana jest jedna z naszych studentek.

— Też o tym słyszałem. Zna ją pan?

— Nie. Na szczęście nie była wpisana na żadne zajęcia naszego wydziału.

— Dlaczego „na szczęście”?

— Mówi się, że jest niezrównoważona psychicznie. — Krótkowzroczne oczy za grubymi szklami były bezbronne jak otwarte ostrzygi. — Jeśli administracja stosowałaby odpowiednie procedury sprawdzające,

nie mielibyśmy w kampusie podobnych studentów, zagrażających naszemu życiu. Ale my tu jesteście bardzo zapóźnieni pod pewnymi względami. — Znów stuknął w szkiełko zegarka. — Pańskie pięć minut minęło.

— Jeszcze jedno pytanie, doktorze. Czy nawiązał pan kontakt z rodziną Helen Haggerty?

— Tak, dziś rano zadzwoniłem do jej matki. Dziekan Bradshaw prosił mnie o podjęcie się tego obowiązku, chociaż właściwie to jego działka. Matka, pani Hoffman, przylatuje tu dzisiaj i mam ją odebrać na lotnisku w Los Angeles.

— O wpół do siódmej?

Skinął głową z rozżaleniem.

— Wygląda na to, że nikt inny nie jest wolny. Obaj nasi dziekani są poza miastem...

— Dziekan Sutherland też?

— Dziekan Sutherland też. Wyjechali sobie i zostawili wszystko na moich barkach. — Szkła mu się zapociły, kiedy rozczulił się nad sobą. Zdjął je i przetarł. — Jest mgła, a tak źle widzę, że męczę się za kierownicą. Mam bardzo słaby wzrok i bez okularów nie odróżniłbym pana od samego Boga.

— Nie ma zbyt wielkiej różnicy.

Nałożył szkła, zobaczył, że powiedziałem to żartem, i wydał z siebie krótki szczekliwy śmiech.

— Jaką linią przylatuje pani Hoffman, doktorze?

— United, z Chicago. Obiecałem, że spotkam się z nią przy ladzie bagażowej United.

— Pozwoli pan, że ja to zrobię.

— Mówi pan poważnie?

— Będę miał okazję z nią porozmawiać. O której mam ją tu dostarczyć?

— Zarezerwowałem jej pokój w hotelu Pacific. Mógłbym się tam z panem spotkać, powiedzmy o ósmej.

— Świetnie.

Wstał, obszedł biurko i gorąco uściśnął mi dłoń. Kiedy opuszczałem budynek, z mgły wysunął się bokiem drobny starszy mężczyzna w czarnym kapeluszu i zzieleniałym czarnym płaszczu. Miał czarne, może

wypomadowane wąsy, płonące czarne oczy i wypieki na wpadniętych policzkach.

—Doktor de Falla?

Skinął głową. Przytrzymałem mu drzwi. Zerwał kapelusz z głowy i ukłonił się.

—*Merci beaucoup*.

W butach na gumowych podeszwach sunął bez szmeru jak pająk. Doznałem kolejnego koszmarne skojarzenia. Minął mnie Doktor Śmierć.

ROZDZIAŁ 16

Jadąc wzdłuż wybrzeża, byłem skazany na powolne poruszanie się, ale zanim dotarłem na lotnisko, mgła się podniosła. Zmierzch gęstniał nad ziemią. Zaparkowałem samochód przy hali United. Na bilecie parkingowym wręczonym mi przez obsługę była dokładnie szósta dwadzieścia pięć. Przeciąłem jezdnię, wszedłem do ogromnego jasnego budynku i znalazłem karuzelkę z bagażami, obleżoną przez podróżnych.

Z boku tłumu, przy walizce, stała kobieta wyglądająca jak wysuszona, starsza Helen. Miała na sobie czarny płaszcz z wyleniałym futrzanym kołnierzem, czarny kapelusz, czarne rękawiczki i czarną sukienkę.

Tylko upiornie rude włosy nie pasowały do okoliczności, które ją tu sprowadziły. Oczy miała podpuchnięte i wydawała się oszołomiona, jakby nie bardzo wiedziała, co się z nią dzieje.

— Pani Hoffman?

— Tak. Jestem Earlowa Hoffman.

— Nazywam się Archer. Kierownik wydziału pani córki, doktor Geisman, prosił mnie, żebym panią odebrał.

— To bardzo miło z jego strony — powiedziała ze słabym żalonym uśmiechem. — I z pańskiej.

Wziąłem jej walizkę, małą i lekką.

— Ma pani ochotę coś zjeść albo się napić? — spytałem. — Tu jest znakomita restauracja.

—Och, nie, dzięki. Jadłam obiad w samolocie. Kotlet szwajcarski. To był bardzo ciekawy lot. Nigdy wcześniej nie leciałam. Ale wcale się nie bałam.

Była kompletnie zagubiona. Rozglądała się wokół po ostrych świątłach i ludziach. Policzki jej sztywniały, jakby miała znów zacząć płakać. Ująłem ją pod wątłe ramię i wyprowadziłem z budynku do auta, kolejny raz przecinając jezdnię. Objechaliśmy parking i dostaliśmy się na autostradę.

—Zupełnie inaczej to wszystko wyglądało, kiedy byłam tu wcześniej. Cieszę się, że zdecydował się pan po mnie wyjechać. Zgubiłabym się — powiedziała bezradnie.

—Jak dawno pani tu była?

—Prawie dwadzieścia lat temu. Kiedy Hoffman służył w marynarce, jako bosman w straży przybrzeżnej. Dostał przydział do San Diego i Helen już uciekła... wyjechała z domu, i pomyślałam sobie, że przeprowadzka dobrze nam zrobi. Ponad rok mieszkaliśmy w San Diego, było bardzo miło. — Oddychała ciężko, jakby osunęła się w przeszłość i teraz usiłowała się wdrapać na krawędź teraźniejszości. Spytała ostrożnie: — Pacific Point jest całkiem blisko San Diego, prawda?

—Jakieś pięćdziesiąt mil.

—Tak? — Po kolejnej pauzie spytała: — Czy pan jest z college'u?

—Tak się składa, że jestem detektywem.

—Co pan powie? Mój mąż też jest detektywem. Służy w policji Bridgeton od trzydziestu czterech lat. W przyszłym roku idzie na emeryturę. Rozmawialiśmy o przeprowadzce na starość do Kalifornii, ale po tym, co się stało, pewnie wyjdą z tego nici. On udaje, że się nie przejmuje, ale to nieprawda. Myślę, że przejmuje się tak samo jak ja. — Jej głos unosił się nad szumem autostrady jak duch rozmawiający sam ze sobą.

—Szkoda, że nie mógł przylecieć dziś z panią.

—Mógł, gdyby chciał. Mógł wziąć wolne. Myślę, że się bał, że tego nie zniesie. I musi mieć wzgląd na swoje ciśnienie. — Znów się zawahała. — Czy prowadzi pan śledztwo W sprawie zamordowania mojej córki?

—Tak.

— Doktor Geisman powiedział przez telefon, że ma pan podejrzaną, jakąś młodą dziewczynę. Co pchnęło studentkę do zabicia swojej wykładowczyni? Pierwszy raz słyszę coś takiego.

— Nie sądzę, żeby ona to zrobiła, pani Hoffman.

— Ale doktor Geisman powiedział, że to praktycznie pewne. — Smutek w jej głosie przeszedł w mściwą nienawiść.

— Może. — Nie zamierzałem się sprzeczać z kimś, kto mógł okazać się cennym świadkiem. — Badam inne wątki i niewykluczone, że mogłaby mi pani pomóc.

— Czemu pan tak sądzi?

— Pani córce grożono śmiercią. Powiedziała mi o tym, zanim ją zastrzelono. Ktoś do niej telefonował. Nie rozpoznała głosu, ale powiedziała coś dziwnego. Że brzmiał jak głos Bridgeton.

— Bridgeton? Tam właśnie mieszkamy.

— Wiem o tym, pani Hoffman. Helen powiedziała, że poczuła tchnienie Bridgeton. Czy choć trochę domyśla się pani, o co jej chodziło?

— Nie cierpiała Bridgeton. Od czasów liceum winiła to miasto za wszystkie swoje niepowodzenia. Nie mogła się doczekać, kiedy wyrwie się w szeroki świat.

— Rozumiem, że uciekła z domu.

— Tak bym tego nie ujęła — powiedziała, chociaż prawie tak to ujęła. — Po prostu znikła pewnego lata i przepracowała je całe. Zatrudniła się w jednej chicagowskich gazet. Potem zapisała się na uniwersytet i dała mi znać, gdzie jest. Tylko jej ojciec... — Przerwała. — Dawniej pomagałam jej z pieniędzy, które miałam na utrzymanie domu, dopóki mąż nie przeszedł do marynarki.

— Na czym polegały nieporozumienia między nią i ojcem?

— To miało związek z jego pracą. Przynajmniej o to poszła ostatnia wielka bitwa między nimi.

— Kiedy Helen nazwała go zdeprawowanym policjantem?

Odwróciła się całym ciałem, żeby na mnie spojrzeć.

— Helen powiedziała to panu, co? Czy był pan jej... jej chłopakiem albo kimś w tym rodzaju?

— Byliśmy przyjaciółmi. — Okazało się, że mogę to powiedzieć z całkowitym przekonaniem. Spędziliśmy razem jedną gniewną godzinę, ale jej śmierć rzuciła na tę godzinę światło, które nie dawało mi spokoju.

Pani Hoffman pochyliła się, pilnie wpatrując w moją twarz.

— Co jeszcze panu powiedziała?

— Że jej kłótnia z ojcem dotyczyła morderstwa.

— To kłamstwo. To znaczy, nie chodzi o to, że Helen kłamała, ale była w błędzie. Sprawa Deloneya to był najzwyczajniejszy wypadek. Prędzej śmierci mogłabym się spodziewać niż tego, że Helen wystąpiłaby przeciw własnemu ojcu.

To był zły czas na wspomnianie o śmierci. Gwałtownie zasłoniła usta dłonią w czarnej rękawiczce. Przez chwilę siedziała cicho, zgarbiona, ni to kobieta, ni wysuszony świerszcz, już niezdolny zagrać.

— Proszę powiedzieć mi o sprawie Deloneya, pani Hoffman.

— Nie wiem, po co bym miała panu o tym mówić. Nigdy nie mówię o sprawach, które mąż prowadził. Nie lubi, jak to robię.

— Ale jego tu nie ma.

— W pewien sposób jest. Jesteśmy ze sobą od bardzo dawna. Poza tym to przeszłość.

— Przeszłość zawsze wiąże się z teraźniejszością. Tamta sprawa może mieć jakiś związek ze śmiercią Helen.

— Jakim cudem? To było ponad dwadzieścia lat temu i rozwiązanie okazało się zupełnie banalne. Helen tylko dlatego tak się tym przejęła, że wydarzyło się w naszym domu. Pan Deloney czyścił broń. Wypaliła i zabiła go. Ot, cała historia.

— Jest pani tego pewna?

— Hoffman tak powiedział, a Hoffman nie kłamie. — Zabrzmiało to jak nieraz używane zaklęcie.

— Dlaczego Helen myślała, że jej ojciec kłamał?

— Ubzdurała coś sobie, najzwyczajniej w świecie. Powiedziała, że rozmawiała ze świadkiem, który widział, jak ktoś strzelał do pana Deloneya, ale mówię, że to się jej przyśniło. Żaden świadek nigdy się nie zgłosił i Hoffman powiedział, że żadnego świadka być nie mogło. Pan

Deloney chciał przeczyścić naładowaną broń i strzelił sobie w twarz. Helen musiała coś zmyślić. Durzyła się trochę w panu Deloneyu. Był przystojnym mężczyzną, a wie pan, jakie są młode dziewczyny.

— Ile miała wtedy lat?

— Dziewiętnaście. To było tego lata, kiedy opuściła dom.

Zrobiło się zupełnie ciemno. W dali, po prawej, od chmur odbijały się światła Long Beach, jak gasnąca łuna pożaru. Tam spędziłem swoją chmurną młodość.

— Kim był pan Deloney?

— Luke Deloney był przedsiębiorcą budowlanym. Świetnie mu szło w Bridgeton i w całym stanie. Był właścicielem naszego budynku i innych w mieście. Pani Deloney nadal jest ich właścicielką. Są warte dużo więcej niż kiedyś, a nawet wtedy był prawie milionerem.

— Deloney miał żonę?

— Tak, ale niech pan nie wyciąga pochopnych wniosków. Kiedy to się stało, znajdowała się wiele mil dalej, w ich rezydencji. Pewnie, że miasto huczało od plotek, ale ona była niewinna jak niemowlę. Pochodziła z bardzo dobrej rodziny. To jedna ze sławnych siostr Osborne z Bridgeton.

— Czemu były sławne?

— Ich ojciec był senatorem Stanów Zjednoczonych. Pamiętam, kiedy chodziłam do podstawówki, jeszcze przed pierwszą wojną światową, polowali z ogarami, odziani w czerwone fraczki. Ale zawsze byli bardzo demokratyczni.

— To dobrze o nich świadczy. — Z powrotem nakierowałem ją na sprawę Deloneya. — Mówi pani, że Deloney został zastrzelony w budynku, w którym mieliście swoje mieszkanie?

— Tak. Mieliśmy mieszkanie na parterze. Płaciliśmy za nie marne kilka centów, bo ściągaliśmy komorne dla pana Deloneya. Apartament na górze, penthouse, trzymał dla siebie. Używał go jako prywatnego gabinetu, urządzał w nim bibki dla strażaków, kiedy przychodzili z kontrolą, i tak dalej. Przyjaźnił się z wieloma grubymi rybami z kongresu stanowego. Cały czas przewijali się przez nasz dom — powiedziała takim tonem, jakby oglądanie polityków było jakimś przywilejem.

—I zastrzelił się w swoim apartamencie.

—Nieumyślnie się zastrzelił — poprawiła mnie. — To był wypadek.

—Jakim człowiekiem był Deloney?

—Był, jak się to mówi, **self-made manem**. Pochodził z tej samej dzielnicy co Hoffman i ja i dlatego dostaliśmy to zajęcie, ściągaliśmy dla niego komorne. W czasie kryzysu był z tego zastrzyk gotówki nie do pogardzenia. Luke Deloney sam dał sobie radę z kryzysem. Wziął kredyt, żeby rozkręcić ten interes budowlany, szybko spłacił, co trzeba, i ożenił się z najstarszą córką senatora Osborne'a. Mógł naprawdę wysoko zejść. Kiedy zmarł, był jeszcze całkiem młodym człowiekiem.

—Mówi pani, że Helen się nim interesowała?

—Nie na serio, tego bym nie powiedziała. Wątpię, czy zamienili ze sobą nawet dwa słowa. Ale wie pan, jakie są młode dziewczyny, wystarczy, że zobaczą dojrzałego mężczyznę, z pozycją, a już im się coś roi. Nikt z naszej okolicy nie zaszedł tak wysoko jak on, a Helen zawsze była bardzo ambitna. To śmieszne, bez racji winiła swojego ojca, że jest nieudacznikiem, a kiedy wreszcie wzięła się do szukania męża, wybrała Berta Haggerty'ego, takiego nieudacznika, jakiego świat nie widział.

Mówiła o wiele swobodniej, ale bez ładu i składu. To było całkiem normalne. Śmierć córki roztrząsała jej życie jak głębinowy ładunek wybuchowy. Przerwałem jej:

—Załóżmy, że istnieje jakiś związek między śmiercią Helen i sprawą Deloneya... Czy nie przychodzi pani do głowy, na czym on mógłby polegać?

—Nie, Helen musiała sobie coś uroić. Zawsze miała do tego zacięcie.

—Ale według niej był świadek, który widział, jak strzelano do Deloneya.

—Mówiła głupstwa.

—Dlaczego?

—Chodzi panu o to, dlaczego mówiła takie rzeczy swojemu ojcu? Żeby mu dopiec. Między nimi zawsze była zła krew, od tamtej chwili, kiedy Hoffman po raz pierwszy podniósł na nią rękę. Kiedy tylko zaczęli

skakać sobie do oczu, nie było takiej rzeczy, której by mu nie powiedziała.

— Czy podała nazwisko tamtego świadka?

— Jakim cudem mogłaby je podać? Nie było żadnego świadka. Jej ojciec wezwał ją, żeby podała to nazwisko. Przyznała, że nie potrafi i że tylko tak gadała.

— Naprawdę?

— Nie miała wyjścia. Hoffman ją zmusił. Ale nigdy nie cofnęła obelgi, którą cisnęła mu w twarz.

— Czy jest możliwe, że sama była tym świadkiem?

— Przecież zdaje pan sobie sprawę, że to wariactwo. Jak mogła być świadkiem czegoś, co nigdy się nie wydarzyło? — Ale pewny ton jej głosu uległ załamaniu, zabrzmiała w nim ostra, wysiłona nuta.

— Deloney nie żyje, proszę pamiętać. Ona również. To jakby potwierdza wersję, którą przedstawiła znajomym, zanim zginęła.

— Chodzi panu o to, co mówiła o Bridgeton?

— Tak.

Znów zamilkła. Minęliśmy nabrzeża portowe i wjechaliśmy w strefę mgły. Obawiałem się, że wpadnę w zator, i zwolniłem. Pani Hoffman wciąż się oglądała, jakby czuła na plecach oddech Bridgeton.

— Mam nadzieję, że Hoffman nie pije — powiedziała po chwili. — To mu szkodzi na ciśnieniu. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś mu się przytrafiło.

— Jedno z was musiało przyjechać.

— Pewnie tak. W każdym razie Bert siedzi przy nim. Jest, jaki jest, ale na pewno nie ma pociągu do kieliszka.

— Eksmąż Helen siedzi przy pani mężu?

— Tak. Dziś rano przyjechał z Maple Park i podwiózł mnie na lotnisko. To dobry chłopak. Nie powinnam nazywać go chłopcem, jest dorosłym czterdziestoletnim mężczyzną, ale zawsze wydawał mi się młodszy niż w rzeczywistości.

— Uczy w Maple Park?

— Zgadza się, tylko że nie ma magisterium. Próbował lata całe i nic. Uczy dziennikarstwa, angielskiego i pomaga wydawać szkolną gazetkę.

Dawniej był dziennikarzem, dzięki temu Helen go poznała.

— Kiedy miała dziewiętnaście lat?

— Ma pan dobrą pamięć. Dogadałby się pan z Hoffmanem. Hoffman ma pamięć jak słoń. Zanim przysła wojna i Bridgeton jeszcze się nie rozwinęło, znał każdy dom w mieście. Każdą fabrykę, każdy skład, każdą rezydencję. Pokazało mu się pierwszy lepszy dom na pierwszej lepszej ulicy i wiedział, kto go zbudował i kto jest jego właścicielem. Wiedział, kto w nim teraz mieszka, kto mieszkał dawniej, ile ma dzieci, ile zarabia. Wszystko, co tylko by pana interesowało. Nie przesadzam, niech pan spyta pierwszego lepszego kolegę Hoffmana z komendy. Przepowiadali mu wielką przyszłość, ale nigdy nie awansował wyżej porucznika.

Zastanawiałem się, dlaczego wielka przyszłość Hoffmana nigdy nie nadeszła. Pani Hoffman podała mi częściowe wytłumaczenie, chyba zbyt wygodne, aby mogło być prawdziwe:

— Helen odziedziczyła po nim pamięć. Jedno było odbiciem drugiego, ale żadne nie chciało się do tego przyznać. I byli sobie bliscy, mimo tych wszystkich zgrzytów. Serce mu pękło, kiedy Helen wyjechała z domu i już nie wróciła. Nigdy o nią nie pytał, ale stale przesiaduje zasępiony. Zmienił się nie do poznania.

— Czy od razu wyszła za Berta Haggerty'ego?

— Nie, zwodziła go pięć czy sześć lat. Część tego czasu był poza krajem, w wojsku. Dzielnie spisał się na wojnie... Wielu mężczyzn dzielnie spisało się na wojnie, chociaż wcześniej były z nich fajtlapy, i kiedy skończyli wojować, znów stali się fajtlapami. Ale Bert przez jakiś czas miał jeszcze wiarę w siebie. Chciał napisać książkę, założyć własną gazetę, zabrać Helen do Europy na miesiąc miodowy. Faktycznie pojechali do Europy, z funduszu dla rezerwistów. Dopomogłam im trochę, żeby mieli na tę podróż. Ale tylko tyle wynikło z jego planów, nic więcej. Nigdy nie umiał skupić się na jednym, a kiedy w końcu zrobił, co trzeba, było za późno. Ostatniego lata doszli do miejsca, w którym ich drogi się rozeszły. Nie podobało mi się to, ale trudno mi winić Helen. Od kiedy

wzięli ślub, zawsze jej szło lepiej niż jemu. I jedno mogę powiedzieć o Helen, zawsze miała klasę.

— Zgadzam się.

— Ale może powinna trzymać się Berta. Kto wie? Może by do tego nie doszło. Jak to mówią, niechby pił, niechby bił, ale był.

Kiedy wjeżdżaliśmy do Pacific Point, powiedziała:

— Czemu Helen nie umiała znaleźć sobie chłopca jak się patrzy? Jaki ten świat pokręcony. Miała rozum, prezencję i do tego klasę, ale porządnego mężczyzny nie umiała znaleźć.

Czułem jej wzrok na mojej twarzy, próbujący odszukać zatopiony kontynent życia jej córki.

ROZDZIAŁ 17

Hotel Pacific stał na rogu, tuż powyżej równika zamożności, dzielącego główną ulicę na część prosperującą i niezbyt prosperującą. W sobotni wieczór hotelowy hol był prawie pusty. Stojąca lampa oświetlała czterech grających w brydża starszków. Poza nimi w zasięgu wzroku jedyną ludzką istotą był doktor Geisman — o ile w ogóle mieścił się w tej kategorii.

Wstał z marnego fotela, obitego zielonym plastikiem, i sztywno przywitał panią Hoffman.

— Widzę, że przybyła pani zdrowa i cała. Jak się pani miewa?

— Dobrze, dziękuję.

— Nieoczekiwane odejście pani córki było dla nas poważnym ciosem.

— Dla mnie również.

— Co gorsza, musiałem poświęcić cały dzień na szukanie zastępcy. I nic. To najbardziej fatalna pora roku na rekrutację personelu nauczającego.

— Bardzo współczuję.

Zostawiłem ich, próbujących ożywić martwą konwersację, i poszedłem do baru na drinka. Przy ladzie siedziała klientka, wymieniając żale ze smętnym tłustym barmanem. Miała włosy ufarbowane na czarno, z zielonym połyskiem, jak pewien gatunek kaczek.

Rozpoznałem tę damę — zauważyłbym panią Perrine z tysiąca jardów — i zacząłem się wycofywać. Odwróciła się i przywoździła mnie wzrokiem do podłogi.

— Miło pana spotkać. — Zrobiła szeroki gest, omal nie przewracając już opróżnionej szklanki, i wyjaśniła barmanowi: — To mój kumpel, pan Archer. Nalej mojemu kumpłowi drinka.

— Czego się pan napije?

— Bourbona. Płacę za siebie. A co pije dama?

— Poncz plantatorski* — powiedziała. — I dzięki za damę. Prawdę mówiąc, dzięki za wszystko. Świętuję od rana.

Wolałbym, żeby tego nie robiła. Granitowa fasada, którą utrzymywała podczas rozprawy, uległa erozji i spoza niej wyrzała ruina jej życia. Nie znałem wszystkich tajemnic pani Perrine, ale znałem teczki w policyjnych archiwach dwudziestu miast, poświęcone jej osobie. Nie popełniła przestępstwa, o które oskarżono ją w Pacific Point, ale grasowała od Acapulco do Seattle i od Montrealu do Key West, naciągając ludzi. Barman odszedł, kuśtykając, by przygotować nam drinki. Usiadłem obok.

— Powinna pani wybrać inne miasto na świętowanie — zasugerowałem.

— Wiem. Ta dziura to cmentarz. Czułam się jak ostatni żywy człowiek, póki pan tu nie wdepnął.

— Nie to miałem na myśli, pani Perrine.

— Do diabła, mów mi Bridget, jesteś moim kumplem, zasłużyłeś sobie na to.

— W porządku, Bridget. Policji nie spodobało się twoje uniewinnienie, powinnaś się tego spodziewać. Zwiną cię za byle drobiazg.

— Nie wychyłam się. Mam własne pieniądze.

— Myślę o tym, co jeszcze możesz wywinąć, jak będziesz dalej świętować. W tym mieście nie wolno ci ryzykować przejścia na drugą stronę ulicy nie po pasach.

* Rum z sokiem z cytryny (lub limonki), syropu z trzciny cukrowej, wody lub wody mineralnej, gorzkiej wódki i grenadyny.

Rozważyła ten problem. Podrygujące zmarszczki oddawały wysiłek umysłu.

— Tu możesz mieć rację. Rano myślałam, żeby skoczyć do Vegas. Mam przyjaciółkę w Vegas.

Barman przyniósł nasze drinki. Pani Perrine pociągnęła łyk i skrzywiła się, jakby alkohol nagle przestał jej smakować. Jej wzrok spoczął na lustrze za barem.

— O rany — powiedziała. — To ja? Wyglądam, jakby Pan Bóg się na mnie wściekł.

— Weź kąpiel i prześpij się.

— Łatwo powiedzieć, prześpij się. W nocy jestem samiutka. — Odruchowo zmierzyła mnie poządlwym wzrokiem.

Nie była w moim typie. Dopilem drinka i położyłem na ladzie dwa dolarowe banknoty.

— Dobranoc, Bridget. Nie przejmuj się. Muszę zatelefonować.

— Jasna sprawa. Do zobaczenia w szkółce niedzielnej.

Kiedy odszedłem, chromy barman powrócił na swoje stanowisko koło niej. Pani Hoffman i doktora Geismana nie było już w holu. Znalazłem telefony w zakątku za recepcją i zadzwoniłem do domu Bradshawa.

Zanim dzwonek zdążył drugi raz zadzwonić, w słuchawce zabrzmiał drżący głos starszej pani:

— Roy? Czy to ty, Roy?

— Tu Archer.

— Miałam nadzieję, że to będzie Roy. O tej porze zawsze do mnie dzwoni. Chyba nie podejrzewa pan, że mu się coś stało?

— Nie. Nie podejrzewam.

— Czytał pan gazetę?

— Nie.

— Jest wzmianka, z której wynika, że Laura Sutherland poleciała z nim na tę konferencję do Reno. Roy nie powiedział mi o tym. Podejrzewa pan, że jest zainteresowany Laurą?

— Trudno mi powiedzieć.

— To piękna młoda kobieta, nie sądzi pan?

Zastanowiłem się, czy nie wypita trochę wina do kolacji, że opowiada takie głupstwa.

— Nie mam zdania na ten temat, pani Bradshaw. Dzwonię dowiedzieć się, czy jest pani skłonna podjąć temat, który poruszyliśmy w rozmowie po południu.

— Obawiam się, że to niemożliwe. Bez zgody Roya nie powinnam tego robić. Wie pan, w naszej rodzinie on dysponuje pieniędzmi. A teraz proszę, panie Archer, żeby się pan rozłączył. W każdej chwili spodziewam się telefonu Roya.

Odłożyła słuchawkę. Wyglądało na to, że mój czar przestał działać na bezbronne staruszki. Poszedłem do toalety i przyjrzałem się sobie w lustrze nad rzędami umywalk. Ktoś napisał ołówkiem na ścianie: „Zasil Fundusz Zdrowia Psychicznego, bo cię zabiję”.

Wszedł mały meksykański gazeciarz i przyłapał mnie, jak szczerzę się do swojego odbicia w lustrze. Udałem, że sprawdzam zęby. Wyglądał na dziesięć lat i zachowywał się jak miniaturowy dorosły.

— Przeczytaj o morderstwie — zaproponował.

Kupiłem od niego miejscową gazetę. Główny artykuł miał nagłówek: „Wykładowczyni college’u zastrzelona” i podtytuł: „Zapowiedź przesłuchania tajemniczej studentki”. Dolly została już osądzona i skazana. „Wpisała się na listę studentów pod fałszywym nazwiskiem”. Jej przyjaźń z Helen określono jako „dziwny związek”. Trzydziestka ósemka znaleziona w jej łóżku była „narzędziem zbrodni”. Dolly miała za sobą „niejasną przeszłość” — zabójstwo Constance McGee — i „uniknęła policji”.

Nie wspomniano o żadnym innym podejrzanym. Ani słowa o człowieku z Reno.

Zamiast zrobić coś konstruktywnego, podarłem gazetę na kawałki i wrzuciłem do kosza. Potem wróciłem do telefonu. Telefonistka doktora Godwina chciała wiedzieć, czy to nagły wypadek.

— Tak. Chodzi o pacjenta doktora Godwina.

— Czy pan jest tym pacjentem?

— Tak — skłamałem, zastanawiając się, czy to oznacza, że potrzebuję pomocy.

Telefonistka powiedziała łagodniejszym głosem:

— Doktor ostatni raz dzwonił z domu.

Podawała numer, ale nie zadzwoniłem. Chciałem porozmawiać z Godwinem osobiście. Znalazłem adres w książce telefonicznej i udałem się przez miasto.

Trafiłem na jeden z dużych domów na krawędzi małego płaskowyzu, z którego pewnie zwykle rozciągał się widok na port i miasto. Dzisiaj posesja była wysepką we mgle.

Zza frontonu z polnych kamieni płynął duet z Cyganerii, od słuchania którego pękało serce.

Drzwi otworzyła ładna kobieta demonstrująca peniuar z brokatu i na wpół zawodowy uśmiech, który z czasem osiada na twarzach żon lekarzy. Chyba wiedziała, kim jestem.

— Przykro mi, panie Archer. Jeszcze przed chwilą mąż był w domu. Akurat dla relaksu słuchaliśmy muzyki. Nagle zadzwonił jakiś młody człowiek, małżonek jednej z pacjentek, i mąż zgodził się spotkać z nim w domu opieki.

— Czy to nie Alex Kincaid?

— Myślę, że tak, panie Archer. — Wyszła za próg, olśniewająca i bardzo kobieca w swym peniuarze. — Mój mąż opowiadał mi o panu. Rozumiem, że pracuje pan nad tą kryminalną sprawą, w którą on też się zaangażował.

— Tak.

Dotknęła mojego ramienia, mówiąc:

— Martwię się o niego. Za bardzo bierze sobie to do serca. Chyba uznał, że zawiódł tę małą, i uważa, że jest odpowiedzialny za wszystko, co ją spotkało. — Spojrzenie pięknych migdałowych oczu spoczywało na mnie, szukając pocieszenia.

— Nie jest za to odpowiedzialny — odparłem.

— Powie mu to pan? Mnie nie posłucha. Słucha bardzo niewielu ludzi. Wygląda jednak na to, że darzy pana szacunkiem, panie Archer.

— Odwzajemniam ten szacunek. Ale wątpię, by interesowało go, co sądzę na temat jego odpowiedzialności. Ma bardzo silną osobowość i porywczą naturę, łatwo też wpada w gniew.

— Mnie pan to mówi? — spytała retorycznie. — Pewnie nie mam prawa prosić pana o zajmowanie się cudzymi problemami. Ale on tak szafuje swoim zdrowiem dla dobra pacjentów... — Przyłożyła dłoń do piersi i

odwróciła ją wnętrzem ku górze, wyrażając tym gestem bezradność.

— Chyba czerpie z tego radość życia.

— Ja nie. — Skrzywiła się. — Żono lekarza, lecz się sama, tak?

— Wszystko wskazuje na to, że czerpie pani z życia pełnymi garściami — powiedziałem. — Przy okazji, piękny peniuar.

— Dziękuję panu. Jim kupił mi go latem w Paryżu.

Zostawiłem ją uśmiechniętą mniej zawodowo i pojechałem do domu opieki. Czerwone porsche Alexa stało przy chodniku przed wielkim, gładko otynkowanym domem. Poczułem łomot krwi w uszach. Wszystko jeszcze mogło się ułożyć.

Latynoska pielęgniarka w niebiesko-białym stroju otworzyła mi drzwi i wpuściła do frontowego pomieszczenia, każąc poczekać na doktora Godwina. Neli i kilkoro innych ubranych w szlafroki pacjentów oglądało serial telewizyjny o parze prawników, ojcu i synu. Nie zwracali na mnie uwagi. Byłem tylko prawdziwym, chwilowo bezrobotnym detektywem. Ale miałem nadzieję, że ten stan niebawem się zmieni.

Siadłem z boku. Odcinek był dobrze wyreżyserowany i dobrze grany, ale nie mogłem skupić się na akcji. Zacząłem obserwować czwórkę ludzi, oglądających telewizję. Somnambuliczka Neli, o czarnych włosach, opadających na plecy jak splątane smutki, trzymała w dłoniach zrobioną przez siebie niebieską ceramiczną popielniczkę. Młody człowiek o rozwichrzonej brodzie i buntowniczym spojrzeniu wyglądał jak pedantyczny krytyk wszystkiego. Mężczyzna o przerzedzonych włosach trząsał się z podniecenia i nie przestał się trząść podczas reklamy. Staruszka miała przezroczystą twarz, przez którą jej życie przeświecało jak świeczka, która niebawem zgaśnie. Wystarczyło popatrzeć na tych ludzi z pewnego dystansu, by sobie wyobrazić, że to trzy pokolenia jednej rodziny: babka, ojciec, matka i syn, spędzający w domu sobotni wieczór.

W drzwiach ukazał się doktor Godwin i skinął na mnie palcem. Udałem się za nim korytarzem, w smudze gęstniejącego szpitalnego odoru, do małego ciasnego gabinetu. Lekarz zapalił lampę na biurku i zajął swój

fotel. Ja usiadłem na jedynym krześle.

— Czy Alex Kincaid jest z żoną?

— Tak. Zadzwoił do mnie do domu i bardzo chciał ją zobaczyć, chociaż nie pokazał się przez cały dzień. Chciał również porozmawiać ze mną.

— Czy wspominał coś o tym, że chce ją zostawić?

— Nie.

— Mam nadzieję, że zmienił zdanie. — Opowiedziałem Godwinowi o spotkaniu z Kincaidem seniorem i wspólnym odjeździe ojca i syna.

— Nie może pan go zbyt surowo osądzać za chwilowy brak lojalności wobec żony. Jest młody i w silnym stresie. — Zmienne oczy Godwina tym razem zapłonęły. — Zarówno dla niego, jak i Dolly ważne jest to, że zdecydował się wrócić.

— Jak ona się miewa?

— Myślę, że jest spokojniejsza. Dziś wcale nie chciała rozmawiać, przynajmniej ze mną.

— Czy pozwoli pan, że ja spróbuję?

— Nie.

— Zaczynam żałować, że wciągnąłem pana w tę sprawę, doktorze.

— Już mi to mówiono, w dodatku mniej grzecznie — powiedział z upartym uśmiechem. — Ale kiedy w coś się angażuję, robię to na sto procent i będę dalej robił, co w mojej mocy.

— Jestem tego pewien. Czytał pan dzisiaj popołudniówkę?

— Przejrzałem.

— Czy Dolly wie, co się dzieje poza zakładem? Na przykład zna tę historię o znalezieniu broni?

— Nie.

— Nie sądzi pan, że należałoby jej o tym powiedzieć?

Rozłożył dłonie na porysowanym blacie.

— Staram się uprościć jej problemy, a nie dodawać kolejne. Ostatniego wieczoru znalazła się pod tak silną presją, zarówno ze strony terażniejszości, jak i przeszłości, że była na krawędzi załamania nerwowego. Nie chcemy, żeby do niego doszło.

— Uchroni ją pan przed przesłuchaniem na policji?

— Kiedyś musi do niego dojść. Najlepszą ochroną byłoby uniewinnienie.

— Pracuję nad tym. Dziś przed południem rozmawiałem z ciotką Dolly, Alice, i obejrzałem miejsce zamordowania Constance McGee. Jestem święcie przekonany, że nawet gdyby Tom McGee zabił żonę, w co wątpię, to Dolly nie mogłaby go zidentyfikować, kiedy wychodził z domu. Innymi słowy, jej zeznania w sądzie były fałszywe.

— Przekonała pana o tym Alice Jenks?

— Nikt nie musiał mnie przekonywać. Wystarczyło przeprowadzić wizję lokalną. Panna Jenks robiła, co mogła, by przekonać mnie o czymś wręcz przeciwnym, o winie McGee. Nie byłbym zdziwiony, gdyby to ona była główną sprężyną tajnej zмовы przeciwko niemu.

— On był winny.

— Już pan to mówił. Jestem ciekaw, co każe panu w to wierzyć.

— Obawiam się, że nie mogę tego powiedzieć. W grę wchodzi tajemnica lekarska.

— Wobec Constance McGee?

— Formalnie biorąc, pani McGee nie była moją pacjentką. Ale nie da się leczyć dziecka, nie lecząc rodziców.

— I zwierzała się panu?

— Naturalnie, do pewnego stopnia. Przeważnie rozmawialiśmy o jej problemach rodzinnych. — Godwin starannie dobierał słowa. Miał twarz bez wyrazu. W świetle lampy jego łysa czaszka lśniła jak metalowa kopa w blasku księżycy.

— Siostrze Constance McGee, Alice, wymknęło się coś ciekawego. Powiedziała, że w życiu Constance nie było innego mężczyzny. Nie pytałem jej o to. Sama udzieliła mi tej informacji.

— Ciekawe.

— Też tak sędzę. Czy bezpośrednio przed zamordowaniem Constance była zakochana w innym mężczyźnie?

Godwin prawie niedostrzegalnie skinął głową.

— Kto to był?

— Nie zamierzam zdradzać panu jego nazwiska. On już dość wycierpiał. — Cień udręki przesunął się przez jego twarz. — Ujawniłem panu tak wiele, ponieważ chcę, by pan zrozumiał, że McGee miał motyw i niewątpliwie był winny.

— Myślę, że został wrobiony, tak jak jest wrabiana Dolly.

— Zgadząmy się co do tego drugiego. Czemu nie możemy zgodzić się co do pierwszego?

— Ponieważ popełniono trzy morderstwa i wszystkie są ze sobą związane. Są związane subiektywnie, jak by pan to określił, w umyśle Dolly. I wierzę, że są również związane obiektywnie. Być może popełniła je ta sama osoba.

Godwin nie spytał mnie, co to za osoba. Może i dobrze. Mówiłem mętnie i nie miałem podejrzanego.

— Jakie trzecie morderstwo ma pan na myśli?

— Zabójstwo Luke'a Deloneya, człowieka, o którym po raz pierwszy dowiedziałem się dziś wieczorem. Odebrałem matkę Helen Haggerty z lotniska w Los Angeles i rozmawiałem z nią w drodze do Pacific Point. Według niej Deloney postrzelił się przy czyszczeniu broni. Ale Helen twierdziła, że został zamordowany i że знаła świadka. Sama mogła nim być. W każdym razie pokłóciła się na ten temat z ojcem. Jest policjantem i wygląda na to, że prowadził dochodzenie w tamtej sprawie. Helen uciekła z domu. To zamknięta sprawa, sprzed dwudziestu lat.

— Serio myśli pan, że ma związek z obecną sprawą?

— Tak myślała Helen. Jej śmierć świadczy, że miała rację.

— Wobec tego co pan zamierza zrobić?

— Chciałbym dziś nocą polecieć do Illinois i porozmawiać z ojcem Helen. Ale nie stać mnie na wykładanie własnych pieniędzy.

— Nie może pan do niego zadzwonić?

— Mogę. Tyle że doświadczenie podpowiada mi, że przyniosłoby to więcej szkody niż pożytku. Pan Hoffman może okazać się twardym orzechem do zgryzienia.

Po dłuższym namyśle Godwin oświadczył:

— Zastanowię się, czy pana nie wesprzeć.

— Jest pan szczodrym człowiekiem.

— Ciekawym — poprawił mnie. — Niech pan pamięta, że żyję z tą sprawą ponad dziesięć lat. Dałbym wiele, żeby się skończyła.

— Niech pan pozwoli, że najpierw porozmawiam z Alexem i spytam go, czy również jest gotów wyłożyć pieniądze.

Godwin pochylił głowę i nie podniósł jej, wstając. Nie kłaniał mi się. Był to raczej nawykowy ukłon, jakby doktor czuł ciężar gwiazd i pytał je, czy zechcą przejąć część tego brzemienia, które spoczywa na ludzkich barkach.

— Wygonię go stąd. Dość się nasiedział.

Znikł w korytarzu. Kilka minut później zjawił się Alex. Szedł z nieobecny wyrazem twarzy, niczym człowiek kroczący podziemnym tunelem, ale był pogodny jak nigdy.

Przystanął w drzwiach, mówiąc:

— Doktor Godwin powiedział, że pan tu jest.

— Jestem zaskoczony twoim widokiem.

Przykrość i zażenowanie odbiły się na jego twarzy. Niecierpliwie stał je dłonią. Wszedł do gabinetu, zamykając za sobą drzwi i opierając się na nich.

— Dziś zrobiłem z siebie głupca. Próbowałem czmychnąć jak tchórz.

— Trzeba odwagi, żeby się do tego przyznać.

— Niech pan nie ubiera mojego zachowania w ładne słówka — powiedział ostro. — Naprawdę, postąpiłem do kitu. To śmieszne, ale gdy tato się zdenerwuje, dzieją się ze mną dziwne rzeczy. Jakbym przejmował jego wibracje: kiedy on się rozsypuje, ja też się rozsypuję. Nie żebym go winił.

— Ja go winię.

— Proszę, nie. Nie ma pan do tego prawa. — Zmarszczył brwi. — W firmie mówi się o zainstalowaniu komputerów do prowadzenia większości operacji biurowych. Tato obawia się, że nie dostosuje się do zmian, i chyba dlatego boi się wszystkiego.

— Przemysłałeś to i owo.

— Musiałem. Obudził mnie pan, kiedy powiedział, że mogę sam się anulować. Tak się właśnie czułem, kiedy wróciłem do domu z tatą... jakbym przestał być mężczyzną. — Odsunął się od drzwi i stał w miejscu,

kiwając się w przód i w tył i lekko kołysząc rękami przy bokach. — To cudowne, wie pan? Człowiek naprawdę może podejmować decyzje we własnej duszy. Może się zdecydować być taki albo inny.

Jedyny kłopot w tym, że decyzje trzeba podejmować w każdej godzinie życia, pomyślałem. Ale to będziesz musiał odkryć sam.

— Jak twoja żona?

— Chyba naprawdę się ucieszyła, że mnie widzi. Rozmawiał pan z nią?

— Doktor Godwin mi nie pozwolił.

— Mnie też nie, dopóki mu nie obiecałem, że nie będę jej zadawał żadnych pytań. Pilnowałem się, ale wyszedł temat rewolweru. Dolly słyszała, jak dwie pielęgniarki rozmawiały o artykule w jakiejś gazecie...

— W miejscowym piśmidle. Co miała do powiedzenia na ten temat?

— To nie jej rewolwer. Ktoś musiał go wepchnąć pod jej materac. Kazała mi go opisać i powiedziała, że wygląda na rewolwer ciotki Alice. Trzymała go na swoim nocnym stoliczku. Kiedy Dolly była małą dziewczynką, robił na niej wielkie wrażenie. — Westchnął głęboko. — Zapewne widziała, jak ciotka groziła nim ojcu. Nie chciałem, żeby zagłębiała się w to wszystko, ale nie mogłem jej powstrzymać. Po chwili znów się uspokoiła.

— Przynajmniej przestała się winić za śmierć Helen Haggerty.

— Akurat. Nie przestała. Wciąż mówi, że to jej wina. Wszystko jej wina.

— Jakim sposobem?

— Nie wyjaśniła. Zabroniłem jej poruszać ten temat.

— Chcesz powiedzieć, że doktor Godwin zabronił ci poruszać ten temat.

— Zgadza się. On tu rządzi. Chyba wie o Dolly dużo więcej, niż ja kiedykolwiek się dowiem.

— Rozumiem z tego, że zamierzacie pozostać mężem i żoną? — spytałem.

— Musimy. Dziś zdałem sobie z sprawę z jednego. Mąż nie może rzucić

żony ani żona męża, kiedy zaczynają się tarapaty. Myślę, że Dolly też zdała sobie z tego sprawę. Nie pokazała mi drzwi ani nic w tym rodzaju.

—O czym jeszcze rozmawialiście?

—O niczym ważnym. Przeważnie o innych pacjentach. Jest taka jedna starsza pani ze złamanym biodrem, która nie chce leżeć w łóżku. Dolly trochę się nią opiekuje. — Wyraźnie przywiązywał do tego wagę. — Chyba sama nie jest tak bardzo chora — dodał pytającym tonem.

—Będziesz musiał poruszyć to z doktorem.

—On zbyt dużo nie mówi. Jutro chce poddać ją testom psychologicznym. Powiedziałem mu, żeby brał się do roboty.

—Ja też mogę brać się do roboty?

—Naturalnie. Miałem nadzieję, że to dla pana oczywiste. Niech pan robi wszystko, żeby załatwić tę sprawę. Podpiszę z panem umowę...

—To niekonieczne. Ale będziesz musiał wyłożyć pieniądze.

—Ile?

—Parę tysięcy, może dużo więcej.

Opowiedziałem mu o wątku dotyczącym człowieka z Reno, nad którym pracowali Arnie i Phyllis Waltersowie, i o sprawie z Bridgeton, którą chciałem zbadać. Poradziłem mu też, żeby z samego rana porozmawiał z Jerrym Marksem.

—Czy pan Marks będzie dostępny w niedzielę?

—Tak. Już ci go zarezerwowałem. Oczywiście będziesz musiał dać mu zaliczkę.

—Mam trochę bonów oszczędnościowych — powiedział z namysłem — i mogę wziąć pożyczkę pod polisę ubezpieczeniową. Na razie sprzedam auto. Jest zapłacone i oferowano mi za nie dwa i pół tysiąca. Sportowe rajdy i te wszystkie wygłupy zaczęły mi już wychodzić bokiem. To dobre dla szczeniaków.

ROZDZIAŁ 18

Rozległ się dzwonek u wejścia. Szybki tupot nóg za drzwiami gabinetu świadczył, że nie tylko my go usłyszeliśmy. Było późno jak na odwiedziny. Wyszedłem z gabinetu i ruszyłem Korytarzem za pielęgniarką. Czworo pacjentów nadal patrzyło w ekran telewizyjny, jakby to było okno na świat za murami.

Wieczorny gość przestał dzwonić do drzwi. Zaczął do nich łomotać.

— Chwileczkę! — zawołała pielęgniarka. Wsunęła klucz do zamka, otworzyła go i uchyliła drzwi. — Kto tam? Pani do kogo?

To była Alice Jenks. Próbowała wepchnąć się do środka, ale pielęgniarka zablokowała swoim białym butem drzwi.

— Chcę zobaczyć się z moją siostrzenicą, Dolly McGee.

— Nie mamy takiej pacjentki.

— Teraz nazywa się Dolly Kincaid.

— Odwiedziny tylko za pozwoleniem pana doktora.

— Czy Godwin jest tu?

— Chyba tak.

— Zawołaj go.

Ujawnił się latynoski temperament dziewczyny.

— Nie będziesz mi rozkazywać! — wyszczała. — I nie drzyj się. Tu są ludzie, którzy chcą mieć ciszę i spokój.

— Zawołaj doktora Godwina.

—Bez obaw, zaraz zawołam. Ale będziesz musiała poczekać na dworze.

—Z przyjemnością.

Wkroczyłem między kobiety, zanim pielęgniarka zamknęła drzwi, i zapytałem Alice Jenks:

—Mogę chwilę z panią porozmawiać?

Przyjrzała mi się zza zaparowanych szkieł, mówiąc:

—Więc pan też tu jest.

—Też tu jestem.

Wyszedłem w światło lampy nad wejściem i usłyszałem, jak drzwi zamykają się za mną. Powietrze wydawało się chłodne po cieplarnianym zaduchu domu opieki. Panna Jenks miała na sobie grube palto z futrzanym kołnierzem, które w mroku dodawało masywności jej sylwetce. Na futrze i siwiejących włosach lśniły krople wilgoci.

—Czego pani chce od Dolly?

—Nie pański interes. To moja krewna, nie pana.

—Dolly ma męża. Reprezentuję go.

—Może pan sobie iść i reprezentować go w innym powiecie. Pan i jej mąż obchodzie mnie tyle co zeszłoroczny śnieg.

—Ale nagle obchodzi panią Dolly. Czy ma to jakiś związek z artykułem w gazecie?

—Może ma, a może nie ma. — W jej języku znaczyło to tak. Powiedziała usprawiedliwiająco: — Dolly obchodziła mnie, od kiedy przysłała na świat. Wiem dużo lepiej niż obcy, co dla niej dobre.

—Doktor Godwin nie jest obcy.

—To prawda. A szkoda.

—Mam nadzieję, że nie myśli pani o tym, by ją stąd zabrać.

—Może nie myślę, a może myślę. — Wyjęła z torebki chusteczkę higieniczną i przetarła nią szkła. Dostrzegłem w torebce złożoną gazetę.

—Panno Jenks, czy czytała pani opis rewolweru, który znaleziono w łóżku Dolly?

Szybko założyła okulary, jakby chcąc ukryć zaskoczenie.

—Naturalnie, że czytałam.

—Czy nie wydał się pani znajomy?

— Wydał się. Tak wyglądał rewolwer, który miałam dawno temu, więc przyjechałam do sądu obejrzeć go. Wygląda całkiem jak mój.

— Przyznaje to pani?

— Czemu miałabym nie przyznać? Nie widziałam go na oczy od dziesięciu lat.

— Może to pani udowodnić?

— Oczywiście. Został ukradziony z mojego domu przed zastrzeleniem Constance. Wtedy szeryf Crane teoretyzował, że to może z tej broni strzelał McGee. Wciąż tak myśli. McGee łatwo mógł ją zabrać. Wiedział, gdzie jest. W mojej sypialni.

— Nie powiedziała mi pani tego przed południem.

— Nie pomyślałam o tym. Zresztą to była tylko teoria. Pana interesowały fakty.

— Interesuje mnie jedno i drugie, panno Jenks. Jak obecnie wygląda teoria policji? Że to McGee zabił pannę Haggerty i próbuje zrobić swoją córkę?

— To przecież możliwe. Człowiek, który potrafił zabić własną żonę...

— Głos uwiązał jej w gardle.

— I policja chce się posłużyć córką McGee, żeby znów go przygwoździć?

Nie odpowiedziała mi. W środku zapłonęło światło i rozległ się odgłos kroków. W końcu otworzyły się drzwi i pokazał się w nich Godwin. Na nasz widok potrząsnął kluczami i uśmiechnął się ponuro.

— Proszę wejść, panno Jenks.

Weszła po betonowych schodkach. Godwin usunął z frontowego pomieszczenia wszystkich poza Alexem, który siedział na krześle przy ścianie. Ja zająłem miejsce z boku, w kącie przy wyłączonym telewizorze.

Stała przed Godwinem twarzą w twarz, w butach na obcasach i palcie prawie równie wysoka, równie zwałista i równie zawzięta w swojej dumie jak on.

— Nie pochwalam tego, co pan robi, doktorze Godwin — rzekła.

— Co takiego robię? — Usiadł na poręczy fotela, zakładając nogę na nogę.

— Pan wie, o czym mówię. O mojej siostrzenicy. O trzymaniu jej tu w zamknięciu, o lekceważeniu legalnych władz.

— Nie ma mowy o lekceważeniu władz. Staram się wykonywać moje obowiązki, szeryf stara się wykonywać swoje. Czasem wchodzimy w konflikt. To niekoniecznie świadczy, że szeryf Crane ma rację, a ja nie.

— Według mnie świadczy.

— Nie jestem zaskoczony. Nie zgadzaliśmy się uprzednio, w podobnej sprawie. Wtedy pani i pani przyjaciel szeryf dopięliście swego, z krzywdą dla pani siostrzenicy.

— Zeznawanie nie przyniosło jej żadnej krzywdy. Prawda to prawda.

— A uraz psychiczny to uraz psychiczny. Zmuszając do zeznań, wyrażono jej nieobliczalną krzywdę. Skutki tego trwają do dziś.

— Chciałabym sama się o tym przekonać.

— Żeby móc złożyć pełny raport szeryfowi?

— Prawi obywatele pomagają policji — oświadczyła sentencjonalnie.

— Ale nie jestem tu z namowy szeryfa. Przyjechałam pomóc mojej siostrzenicy.

— Jak pani zamierza jej pomóc?

— Chcę zabrać ją do siebie, do domu.

Godwin wstał, kręcąc przecząco głową.

— Nie zatrzyma mnie pan. Byłam opiekunką Dolly, od kiedy jej matka umarła. Prawo jest po mojej stronie.

— Nie sądzę — powiedział zimno Godwin. — Dolly jest pełnoletnia i przebywa tu z własnej woli.

— Chciałabym sama ją o to zapytać.

— Nie będzie jej pani o nic pytać.

Kobieta postąpiła ku niemu, wysuwając głowę.

— Ma się pan za małego cynowego bożka, rządzącego życiem mojej rodziny, co? Mówię, że nie ma pan prawa trzymać jej tu siłą i robić z nas wszystkich potworów. Muszę dbać o swoją pozycję w powiecie. Spędziłam ten dzień z bardzo ważnymi ludźmi z Sacramento.

— Chyba nie nadążam za pani logiką. Ale proszę nie podnosić głosu.

— Sam mówił tym powolnym, monotonnym głosem, który po raz pierwszy

usłyszałem w telefonie dwadzieścia cztery godziny temu. — I pozwoli pani, że kolejny raz zapewnię ją, iż pani siostrzenica jest tu z własnej woli.

— Zgadza się — powiedział Alex, wchodząc w werbalne pole ogniowe. — Wydaje mi się, że nie miałem przyjemności pani poznać. Jestem Alex Kincaid, mąż Dolly.

Zignorowała jego wyciągniętą dłoń.

— Myślę, że powinna tu zostać — kontynuował. — Mam zaufanie do pana doktora, podobnie moja żona.

— W takim razie żał mi pana. Mnie też omotał, dopóki się nie dowiedziałam, co się wyprawia w tej jego pracy.

Alex spojrzął pytająco na Godwina. Lekarz wyciągnął dłonie i odwrócił je, jakby sprawdzał, czy pada deszcz. Powiedział do panny Jenks:

— Jak mniemam, studiowała pani socjologię.

— A jeśli tak, to co?

— Od kobiety z pani wykształceniem i doświadczeniem spodziewałem się bardziej profesjonalnej postawy wobec praktyki psychiatrii.

— Ja nie mówię o praktyce psychiatrii. Mówię o praktykowaniu innych rzeczy.

— Jakich innych rzeczy?

— Nie będę sobie brukała języka nazywaniem ich po imieniu. Ale niech pan nie myśli, że nie wiedziałam, co czuje i robi moja siostra. Pamiętam to i owo... jak sztafirowała się w sobotę rano, przed przyjazdem do miasta. A potem zachciało jej się przeprowadzki, żeby być bliżej.

— Bliżej mnie.

— Tak mi powiedziała.

Twarz Godwina zbieła, jakby uciekła z niej cała krew, czerniąc jeszcze bardziej oczy.

— Jest pani głupią kobietą, panno Jenks, i mam pani dość. Proszę wyjść.

— Zostanę tu, póki nie zobaczę mojej siostrzenicy. Chcę wiedzieć, co pan z nią wyczynia.

— To nie przyniosłoby jej nic dobrego. W pani obecnym stanie nikomu nie przyniesie pani nic dobrego. — Obszedł ją, podchodząc do drzwi,

otworzył je i czekał, trzymając rękę na gałce. — Dobranoc.

Nie odwróciła się, by na niego popatrzeć. Stała ze spuszczoną głową, trochę oszołomiona gniewem, który przeszedł przez nią jak burza.

— Chce pani, żeby wyprowadzono panią siłą?

— Niech pan spróbuje. Skończy pan w sądzie.

Ale coś jakby wstyd zaczęło napływać do jej twarzy. Jej usta zadygotały jak ranne zwierzątko. Zdradzały więcej, niż miałyby ochotę wyznać.

Wziąłem ją za ramię i powiedziałem:

— Chodźmy, pani Jenks.

Pozwoliła mi zaprowadzić się do drzwi. Godwin zamknął je za nią.

— Nie mam cierpliwości do głupców — rzekł.

— Ale mnie okaże pan trochę cierpliwości, co, doktorze?

— Spróbuję, Archer. — Wziął głęboki oddech i wypuścił go z westchnieniem. — Chce pan wiedzieć, czy w jej insynuacji jest prawda?

— Ułatwia mi pan zadanie.

— Czemu nie? Kocham prawdę. Szukam jej całe życie.

— Dobra, czy Constance McGee kochała pana?

— Podejrzewam, że w pewien sposób tak. Pacjentki często zakochują się w swoich lekarzach, szczególnie mojego kierunku. Jej przypadek nie miał charakteru chronicznego.

— To pytanie może się wydać panu głupie, ale czy pan ją kochał?

— Dam panu głupią odpowiedź, Archer. Oczywiście, że ją kochałem. Kochałem ją tak, jak lekarz kocha swoich pacjentów, jeśli jest coś wart. To miłość bardziej macierzyńska niż erotyczna. — Położył wielkie dłonie na piersiach i rzekł z głębi swojej istoty: — Chciałem jej służyć. Nie bardzo mi się udało.

Zamknął mi tym usta.

— A teraz, dżentelmeni, musicie mi wybaczyć, mam poranny obchód. — Zabrzęczał kluczami.

Alex spytał mnie na ulicy:

— Wierzy mu pan?

— Tak, dopóki nie znajdę dowodu na to, że kłamie, jeśli w ogóle kłamie. Nie mówi wszystkiego, co wie, ale ludzie rzadko otwierają serca przed obcymi, co dopiero lekarze. Bardziej cenię jego słowo niż słowo Alice Jenks.

Zanim wsiadł do samochodu, odwrócił się do mnie, wskazując na dom opieki. Gładka prostokątna fasada rysowała się we mgle jak bunkier, naziemna część ukrytej fortecy.

— Myśli pan, że ona jest tam bezpieczna, panie Archer?

— Bezpieczniejsza niż na ulicy, w więzieniu albo na oddziale chorób psychicznych, maglowana przez policyjnego psychiatrę.

— Albo u ciotki?

— Albo u ciotki. Panna Jenks jest jedną z tych prawych niewiast, które nie pozwolą, żeby jej jedno ucho dowiedziało się tego, co usłyszało drugie. To prawdziwa tygrysica.

Alex nadal patrzył na dom.

Głęboko w środku budynku znów odezwał się dziki głos starca, który słyszałem dziś rano. Zgasł jak krzyk odlatującej mewy, uniesiony wiatrem.

— Chciałby zostać z Dolly i ochraniać ją — powiedział Alex.

Był dobrym chłopcem.

Przypomniałem mu o pieniądzach. Dał mi prawie wszystko, co miał w portfelu. Kupiłem za to bilet lotniczy do Chicago i z powrotem. Nie czekałem długo na nocny rejs.

ROZDZIAŁ 19

Zjechałem z płatnej autostrady, okrążającej Bridgeton, i skierowałem mój wynajęty samochód na obrzeże miasta, między wolne działki pod zabudowę. Przed sobą miałem jak ucięte piłą drapacze chmur dzielnicy biurowej; całą przestrzeń po prawej zajmowały fabryki. Był niedzielny poranek, tylko jeden komin pluł dymem w błękitne niebo.

Zatrzymałem się na stacji benzynowej, żeby uzupełnić bak i poszukać Earla Hoffmana w książce telefonicznej. Kiedy spytałem pracownika stacji, jak dotrzeć na Cherry Street, ulicę Hoffmana, wskazał w kierunku fabryk.

Cherry Street zamieszkiwała klasa średnia. Solidne piętrowe domy, nadgryzione degrengoladą rozpełzającą się z centrum, jeszcze jako tako się trzymały. Dom Hoffmana był z brudnej białej cegły, jak inne, ale frontową werandę odmalowano zapewne za mojego życia. Przy krawężniku stał stary chevrolet coupe.

Dzwonek nie działał. Zapukałem w ramę siatkowych drzwi chroniących przed owadami. Wewnętrzne drzwi otworzył stary młody człowiek ze słabo zarysowanym podbródkiem i spojrzał na mnie smutno przez siatkę.

— Pan Haggerty?

— Tak.

Powiedziałem mu, kim jestem, skąd jestem i czym się trudnię.

— Poznałem pańską żonę... była żoną... na krótko przed tym, jak została zabita.

— To potworna sprawa.

Stał roztargniony, zapomniawszy zaprosić mnie do środka. Miał zastrygłe senne spojrzenie, jakby większą część nocy spędził na nogach. Na głowie nie miał śladu siwizny, ale jego jednodniowy zarost lśnił bielą. Małe oczy żarzyły się jak u kogoś, kto nieustannie cierpi i jest tego świadomy.

— Mogę wejść, panie Haggerty?

— Nie wiem, czy to taki dobry pomysł. Earl jest całkiem załamany.

— Myślałem, że od dawna był z córką na wojennej stopie.

— Zgadza się. Pewnie dlatego jest mu jeszcze ciężej. Kiedy gniewasz się na kogoś, kogo kochasz, podświadomie oczekujesz dnia pojednania. Ale teraz o żadnym pojednaniu nie może już być mowy.

Mówił o swoim teściu, ale również o sobie. Poruszał bezcelowo pustymi, luźno zwisającymi dłońmi. Palce prawej ręki miał mocno poplamione nikotyną.

— Przykro mi, że pan Hoffman nie czuje się dobrze — powiedziałem.

— Obawiam się, że mimo to będę musiał z nim porozmawiać. Nie przyjechałem z Kalifornii dla przyjemności.

— Nie. Oczywiście. O czym chce pan z nim porozmawiać?

— O jego córce. Może uda mi się zrozumieć, dlaczego została zamordowana.

— Myślałem, że sprawa jest już wyjaśniona.

— Nie.

— Czy ta studentka została oczyszczona z podejrzeń?

— Właśnie jest oczyszczana — odparłem, celowo nie wdając się w szczegóły. — Mogę potem to wszystko panu naświetlić. W tej chwili bardzo zależy mi na rozmowie z panem Hoffmanem.

— Jeśli pan nalega. Oby tylko udało się panu wyciągnąć z niego coś sensownego.

Zrozumiałem, co miał na myśli, kiedy przeprowadził mnie przez dom do, jak to nazwał, „dziupli Earla”. Stało w niej biurko z żaluzjowym zamknięciem, fotel i kozetka. Przez mgłą oparów whisky i tytoniowego

dymu dostrzegłem wielkiego starego mężczyznę w pomarańczowej piżamie, rozciągniętego na kozetce, z kanapowym wałkiem pod głową. Mocna lampa do czytania oświetlała jego twarz. Oczy mu pływały, ale usiłowały skupić się na czasopiśmie w pomarańczowych okładkach, niemal identycznego koloru jak piżama. Ścianę za kozetką udekorowano wiatrówkami, dubeltówkami i bronią krótką.

— Wołam wspomnieniem dni dawnych cienie — wychrypiał.

Starzy gliniarze tak się nie wyrażają, a Earl Hoffman wyglądał na starego gliniarza w każdym calu. Był masywnie zbudowany, jak zawodowy futbolista lub zapaśnik, który zszedł na psy. Kiedyś złamano mu nos. Miał siwawe, krótko obcięte włosy i usta jak wygięty łom.

— Piękny wiersz, prawda. Bert? — powiedziały żelazne usta.

— Chyba tak.

— Kim jest twój przyjaciel, Bert?

— To pan Archer z Kalifornii.

— Z Kalifornii, co? Właśnie tam stuknięto moją biedną małą Helen.

Zapłakał albo czknął. Potem usiadł na krawędzi kozetki, ciężko stawiając na podłodze nagie stopy.

— Zna... znał pan moją córeczkę Helen?

— Znałem.

— Czy to nie wybitne? — Wstał, chwiejąc się i ściskając mi dłoń. Trzymał się jej jak podpórki. — Helen była wybitną dziewczyną. Właśnie czytałem jeden z jej wierszy. Napisała go, kiedy jeszcze chodziła do college'u. Tu, pokażę panu.

Z wielkim mozolem zaczął szukać pisemka w pomarańczowej okładce, chociaż leżało przed jego nosem, tam gdzie je upuścił. Nazywało się „Bridgeton Blazer” i wyglądało na szkolne wydawnictwo.

Haggerty schylił się po nie i podał mu je ze słowami:

— Proszę, nie trudź się, Earl. Zresztą i tak to nie Helen go napisała.

— Nie napisała go? Jasne, że napisała. Są jej inicjały. — Hoffman przekartkował czasopismo. — Widzisz?

— Ona tylko przetłumaczyła Verlaine'a.

—Nigdy nie słyzałem o facecie. — Hoffman odwrócił się do mnie, wciskając mi czasopismo. — Proszę, niech pan przeczyta. Przekona się pan, jaki niezwykły dar miała moja biedna mała Helen.

Przeczytałem:

Długie, wichrowe.
Wiolonczelowe
Westchnienie,
Dźwięk monotony,
Serce bezbronne
W jesieni.

Wszystko przepada
W godzinie bladej.
Tułacze/
Wołam wspomnieniem
Dni dawnych cienie
I płaczę.

Idę w zagładę —
Złe wichry ślady
Zatarły —
W tę, w tamtą stronę,
Jak liść strącony.
Umarły*.

H.H.

Hoffman popatrzył na mnie jednym z pływających oczu.

— Czy to nie piękna poezja, panie Arthur?

— Piękna.

— Żebym tylko potrafił ją zrozumieć. Pan ją rozumie?

— Chyba tak.

— Więc niech pan to zatrzyma. Na pamiątkę biednej małej Helen.

* Tłum. K. Jeżewska.

— Nie mogę tego zrobić.

— Pewnie, że pan może. Niech pan to zatrzyma. — Wyrwał mi z ręki czasopismo, zwinął je i wcisnął do kieszeni mojej marynarki, ziejąc whiskey w twarz.

— Niech pan to zatrzyma — szepnął za moim ramieniem Haggerty.
— Lepiej mu się nie stawiać.

— Słyszał pan, co powiedział Bert. Lepiej mi się nie stawiać.

Hoffman lekko wyszczerzył się do mnie. Zacisnął lewą pięść, ocenił wzrokiem, czy zrobił to dość mocno, a potem uderzył się w pierś. Stawiając szeroko nogi, podszedł do biurka z żaluzjowym zamknięciem i otworzył je. W środku były butelki i jedna brudna szklanka. Napełnił ją do połowy bourbonem i wypił prawie do dna. Jego zięć mruknął coś pod nosem, ale nie zrobił nic, by go powstrzymać.

Spora miarka wycisnęła pot na twarzy Hoffmana. Chyba go trochę otrzeźwiła. Skupił na mnie wzrok.

— Napije się pan?

— No dobrze. Z wodą i lodem proszę. — Normalnie nie piję przed południem, ale to nie była normalna sytuacja.

— Przynieś wody i lodu, Bert. Pan Arthur chce się napić. Może ty jesteś za wielkim waźniakiem, żeby ze mną wypić, ale panu Arthurowi to nie przeszkadza.

— Nazywam się Archer.

— Przynieś dwie szklanki — powiedział ze swoim głupawym uśmiechem do Haggerty'ego. — Pan Archer chce się napić. Siadaj pan — zwrócił się do mnie. — Daj nogom odpocząć. Opowiedz mi pan o biednej małej Helen.

Usiedliśmy na kanapie. Szybko opisałem mu okoliczności morderstwa, opowiedziałem o pogroźkach, które je poprzedziły, i o słowach Helen, że czuje na plecach oddech Bridgeton.

— Co to miało znaczyć? — Grymas uśmiechu, który zastygł mu na twarzy jak szminka klauna, bardziej kojarzył mi się z trupią czaszką o rozdziawionych szczękach niż z cyrkiem.

— Przebyłem długą drogę, żeby sprawdzić, czy pomoże mi pan rozwiązać tę zagadkę.

— Ja? Czemu przyjechał pan do mnie? Nigdy nie wiedziałem, co chodzi jej po głowie, nigdy mi tego nie zdradziła. Była dla mnie za inteligentna.

— Jego agresywność przeszła w pijacką litość nad samym sobą. — Zaharowywałem się na śmierć, żeby miała naukę, na którą mnie samego nigdy nie było stać, ale ona nie poświęciła nawet chwili swojemu biednemu staremu ojcu.

— Rozumiem, że bardzo się pokłóciliście i opuściła dom.

— Powiedziała panu, he?

Skinąłem głową. Wcześniej postanowiłem nie mieszać w to pani Hoffman. Jej mąż należał do tego rodzaju mężczyzn, którzy nie wyobrażali sobie, by żona mogła ich w czymkolwiek uprzedzić.

— Powiedziała panu, jak wyzwała mnie od zdeprawowanych policjantów i faszystów, kiedy ja tylko wypełniałem swoje zawodowe obowiązki? Jest pan gliniarzem i wie pan, jak to jest, kiedy własna rodzina cię nie poważa. — Zerknął na mnie z ukosa. — Jest pan gliniarzem, no nie?

— Byłem.

— Z czego się pan teraz utrzymuje?

— Prowadzę prywatne śledztwo.

— Dla kogo?

— Człowieka nazwiskiem Kincaid, nie zna go pan. Znałem trochę pańską córkę i jestem osobiście zainteresowany znalezieniem mordercy. Myślę, że rozwiązanie tej sprawy może znajdować się w Bridgeton.

— Nie wiem, jakim sposobem. Helen od dwudziestu lat nie postawiła nogi w tym mieście, aż do ostatniej wiosny. Pokazała się w domu tylko po to, żeby powiedzieć matce, że się rozwodzi. Z nim. — Wskazał w głąb domu, skąd dobiegały odgłosy tłuczenia lodu.

— Zamieniła z panem choć słowo?

— Pokazała mi się na oczy tylko raz. Rzuciła: „dzień-dobry-jak-się-masz”, i tyle. Powiedziała matce, że odchodzi od Berta, i nie dała sobie tego wyperswadować. Bert nawet wyjechał za nią do Reno, żeby przekonać ją do powrotu, ale wszystko na nic. Za słaby z niego mężczyzna, żeby utrzymać kobietę przy sobie.

Hoffman dopił drinka i postawił szklanekę na podłodze. Długą chwilę

trwał pochylony i zacząłem się obawiać, że zwymiotuje albo zemdleje na moich oczach. Ale się wyprostował i zamruczał, że chce mi pomóc.

— Świetnie. Kim był Luke Deloney?

— Moim przyjacielem. Przed wojną był ważną figurą w mieście. Opowiedziała panu o nim, co?

— Pan może mi opowiedzieć więcej, poruczniku. Słyszałem, że ma pan pamięć jak słoń.

— Helen tak panu powiedziała?

— Tak. — To kłamstwo nic mnie nie kosztowało, nawet odrobiny wyrzutów sumienia.

— Przynajmniej okazała trochę szacunku swojemu ojcu, he?

— Wiele szacunku.

Odetchnął z ogromną ulgą. Była chwilowa jak wszystko co dobre, kiedy człowiek pije na serio, by zabić pamięć. Ale na chwilę odetchnął. Uwierzył, że córka przyznała mu trochę racji w ich gorzkim, trwającym całe życie sporze.

— Luke urodził się w dziewięćset trzecim przy Spring Street — recytował starannie — w domu numer sto dwadzieścia jeden, po wschodniej stronie, dwie przecznice od miejsca, w którym mieszkałem, kiedy byłem mały. Znałem go z podstawówki. Należał do tego typu dzieciaków, które nie wydadzą centa z tego, co dostają za rozwożenie gazet, bo zbierają na prezenty walentynkowe dla całej klasy. On faktycznie kupował innym dzieciom te duperelki. Dyrektor brał go na różne lekcje, żeby pokazać, jak umie liczyć w pamięci. Miał łeb, trzeba mu to przyznać. Przeskoczył dwie klasy. Straszny ambicjoner.

Stary Deloney był majstrem od wylewek cementowych, a po pierwszej wojnie światowej wszyscy w budownictwie rzucili się na cement. Luke kupił sobie z zaoszczędzonych pieniędzy gruszkę i otworzył własny interes. W latach dwudziestych powiodło mu się jak mało komu. W najlepszym okresie w całym kraju pracowało dla niego ponad pół tysiąca ludzi. Nawet wielki kryzys nie podciął mu skrzydeł. Nie wiadomo do czego miał większą smykałkę, do polityki czy budownictwa. W tamtych czasach można było liczyć tylko na zamówienia publiczne, więc na wielką skalę zaczął startować w przetargach federalnych i stanowych. Ożenił

się z córką senatora Osborne'a, co wcale mu nie zaszkodziło.

— Słyszałem, że pani Deloney nadal żyje.

— Pewnie, że żyje. Mieszka w domu, który senator zbudował w dziewięćset pierwszym przy Glenview Avenue, po północnej stronie. Pod numerem sto trzy, jak sądzę. — Bardzo się starał udowodnić, że jego reputacja człowieka o niezwyklej pamięci jest w pełni zasłużona.

Zanotowałem w głowie ten adres. Rozległo się dzwonienie szklanek i do pokoju wszedł Bert Haggerty z cynową tacą, na której stał lód, woda i szklanki. Uprzątnąłem biurko i postawił na nim tacę. Pochodziła z lokalu, Bridgeton Inn.

— Długo ci to zajęło — wycedził Hoffman.

Haggerty zeszytniał. Wydawało się, że jego oczy podjechały bliżej nosa.

— Nie mów tak do mnie, Earl. Nie jestem służącym.

— Jak ci się nie podoba, to wiesz, co możesz zrobić.

— Zdaję sobie sprawy, że jesteś spięty, ale jest granica...

— Kto jest spięty? Ja nie jestem spięty.

— Pijesz od dwudziestu czterech godzin.

— I co z tego? Mężczyzna ma prawo utopić swoje smutki. Ale głowa pracuje mi jak zegarek. Spytał pana Arthura. Pana Archera.

Haggerty roześmiał się, bez wesołości, falsetem. Ten śmiech zabrzmiał dziwnie wyzywająco, więc próbowałem zatrzeć to wrażenie, siląc się na uprzejmość pod adresem gospodarza.

— Porucznik trochę wprowadzał mnie w dawne dzieje. Ma pamięć jak słoń.

Ale dobry nastrój Hoffmana prysł. Dźwignął się ciężko z kanapy i podszedł do mnie i Haggerty'ego. Przewiercał nas wzrokiem, jednym okiem jednego, drugim drugiego. Czułem się jak w klatce z chorym niedźwiedziem i jego dozorcą.

— Co cię tak śmiesz, Bert? Może mój smutek? Ona by żyła, gdybyś był na tyle mężczyzną, żeby ją zatrzymać. Czemu nie przywiozłeś jej z Reno do domu?

— Nie możesz winić mnie za wszystko, Earl — zaprotestował dotknięty do żywego Haggerty. — Dogadywałem się z nią lepiej niż ty. Gdyby nie miała obsesji na punkcie ojca...

— Nie wstawiaj mi takich gadek, ty wszawy intelektualisto. Zdechłaku. Zdechły intelektualisto. Nie ty jeden na świecie potrafisz sklecić parę słów do kupy. I przestań mi earlować. Nie jesteśmy spokrewnieni. Nigdy nie zostalibyśmy spokrewnieni, gdybym miał coś do powiedzenia na ten temat. Nawet nie jesteśmy spokrewnieni, a ty przychodzisz do mojego domu i szpiegujesz, sprawdzasz, co robię w moich czterech ścianach. Kim ty jesteś, starą babą czy co?

Haggerty'emu odebrało mowę. Popatrzył na mnie bezradnie.

— Złamię ci kark — zagroził mu teść.

Wszedłem między nich.

— Nie używajmy przemocy, poruczniku. To by źle wyglądało w protokole.

— Ten wszawy gnojek mnie oskarżył. Powiedział, że jestem pijany. Powiedz mu pan, że się myli. Każ mu przeprosić.

Odwrociłem się, puszczając do Haggerty'ego oko.

— Porucznik Hoffman jest trzeźwy, Bert. Nie takiej butelce da radę. Lepiej wyjdź, zanim się coś wydarzy.

Był zadowolony, że może wyjść. Poszedłem za nim na korytarz.

— To trzeci albo czwarty raz — poskarżył się półgłosem. — Wcale nie chciałem go rozjuszyć.

— Niech się trochę uspokoi. Siądę z nim. Potem chciałbym zamienić z panem parę słów.

— Zaczekam na zewnątrz, w moim aucie.

Wróciłem do klatki z niedźwiedziem. Hoffman siedział na brzegu kanapy, obejmując głowę rękami.

— Wszystko poszło w diabły raz-dwa — powiedział. — Ta ciota Bert Haggerty działa mi na nerwy. Po co w ogóle się tu kręci? — Jego nastrój znowu uległ zmianie. — Ale za to pan mnie nie opuścił. Śmiało, zrób se pan drinka.

Zmieszałem lekkiego drinka i wróciłem z nim do kanapy. Nie proponowałem niczego Hoffmanowi. Być może w winie jest prawda, ale z whisky żłopanej w takich ilościach, jakie pochłaniał Hoffman, mógł się tylko zrodzić rój wymaginyowanych szczurów, wspinających po nogach.

— Opowiadał pan o Luke'u Deloneyu i o tym, jak się wybijał.

Przyjrzał mi się, mrużąc oczy.

— Nie wiem, czemu tak się pan interesuje Deloneym. Nie żyje od dwudziestu dwóch lat. Dwudziestu dwóch lat i trzech miesięcy. Zastrzelił się, ale to chyba pan wie, co? — Na moment w jego oczach pojawił się przeblysł inteligencji i skupiły się na mnie.

Zapytałem ten przeblysł inteligencji:

— Czy między Helen i Deloneym coś było?

— Nie, nie interesowała się nim. Wzdychała do tamtego młodego windziarza, George'a. Powiniennem się tego domyślić, wymusiła na mnie, żebym załatwił mu robotę. Byłem wtedy jakby administratorem Apartamentów Deloneya. Luke i ja byliśmy ze sobą tak.

Próbował założyć wielki palec na wskazujący. Ześlizgiwał mu się. W końcu dopiął swego, pomagając sobie drugą ręką. Palce miał grube i cętkowane jak zleżałe parówki.

— Luke Deloney był kobieciarzem — dodał z pobłażaniem — ale nie uganiał się za córkami swoich przyjaciół. Zresztą i tak nigdy nie interesował się siksami. Jego żona musiała być od niego dziesięć lat starsza. Poza tym nie tknęłyby mojej córki. Wiedział, że bym go zabił.

— A zabił pan?

— To wszawie pytanie, szanowny panie. Gdyby nie to, że przypadkiem pana lubię, rozwaliłbym panu łeb.

— Bez urazy.

— Nie miałem nic do Luke'a Deloneya. Traktował mnie uczciwie. Zresztą powiedziałem panu, zastrzelił się.

— Samobójstwo?

— E, tam. Czemu miałby popełniać samobójstwo? Miał pieniądze, kobitki i domek myśliwski w Wisconsin. Zawiózł mnie tam więcej niż raz. Osobiście. Zastrzelił się przypadkowo. Tak weszło do akt i tak zostało.

— Jak to się wydarzyło, poruczniku?

— Czyścił swoją samopowtarzalną trzydziestkę dwójkę. Miał pozwolenie na noszenie broni... sam pomogłem mu je załatwić... bo miewał przy sobie duże sumy. Wysunął bębenek jak należy, ale musiał zapomnieć o pocisku w komorze. Wcisnął spust i trafił się w twarz.

—A gdzie?

—W prawe oko.

—Gdzie zdarzył się ten wypadek?

—W sypialni jego mieszkania. Miał do swojego prywatnego użytku penthouse w Apartamentach Deloneya. Piłem tam z nim więcej niż raz. Przedwojenną green river, chłopcze. — Klepnął mnie w kolano i zauważył, że trzymam pełną szklanę. — Golnij sobie.

Jednym haustem wychyliłem połowę. To nie była przedwojenna green river.

—Czy Deloney pił, kiedy się zastrzelił?

—No, tak myślę. Znał się na broni. Nie popełniłby tego błędu, gdyby był trzeźwy.

—Czy ktoś był z nim w apartamencie?

—Nie.

—Jest pan pewny?

—Jestem pewny. To ja nadzorowałem śledztwo.

—Czy ktoś dzielił z nim mieszkanie?

—Powiedziałbym, że nie na stałe. Luke Deloney wodził na pasku różne kobiety.

—Jakie kobiety?

—Wszelkiego autoramentu, od fląder po pewną szanowaną mężatkę z tego miasta. Ich nazwiska nie wyszły na światło dzienne wtedy i nie wyjdą teraz.

Jego głos przeszedł w warkot. Nie ciągnąłem tematu. Właściwie nie dlatego, że się bałem Hoffmana. Miałem nad nim przewagę piętnastu lat i trzeźwości. Ale gdyby się na mnie rzucił, mógłbym mu zrobić krzywdę.

—Co z panią Deloney? — spytałem.

—To znaczy...?

—Gdzie była, kiedy to wszystko się wydarzyło?

—W domu, przy Glenview. Żyli jakby w separacji. Nie miała przekonania do rozwodów.

—Ludzie, którzy nie mają przekonania do rozwodów, czasem są przekonani do morderstwa.

Hoffman wojowniczo unióś barki, mówiąc:

—Próbuje pan powiedzieć, że zatuszowałem morderstwo?

—O nic pana nie oskarżam, poruczniku.

—Lepiej pan nie próbuj. Pamiętaj, jestem gliną, po pierwsze, drugie i ostatnie. — Uniósł pięść i zakołował nią przed swoimi oczami jak przyrządem do hipnotyzowania. — Całe życie byłem dobrym gliną. Cholera, w moich najlepszych latach byłem najlepszym gliną, jakiego ta dziura kiedykolwiek widziała. Wypiję za to. — Sięgnął po szklanke. — Dołączy się pan?

Powiedziałem, że się dołączę. Zmierzaliśmy bezwiednie ku kraksie. Alkohol mógł złagodzić uderzenie lub ostatecznie pognać Hoffmana. Dopiłem drinka i podałem mu szklanke. Napełnił ją po brzegi czystą whisky. Potem napełnił swoją. Usiadł i wpatrywał się w brązowy alkohol, jakby to była studnia, w której utonęło jego życie.

—Do dna — powiedział.

—Nie tak prędko, poruczniku. Chyba nie chce się pan zabić. — Mówiąc te słowa, zdałem sobie sprawę, że może tego chcieć.

—Coś pan za jeden, druga ciota? Do dna.

Opróżnił szklanke i otrząsnął się. Trzymałem moją w dłoni. Po chwili to zauważył.

—Nie wypił pan swojego drinka. Co pan próbujesz, w konia mnie zrobić? Gardzisz moją gosinno... gościnnie... — Usta tak mu zeszytywniały, że nie potrafił wymówić tego słowa.

—Nie zamierzałem pana obrazić. Ale nie przyjechałem tu na wypitkę, poruczniku. Bardzo zależy mi na znalezieniu mordercy pańskiej córki. Zakładając, że Deloney został zamordowany...

—Nie został.

—Zakładając, że został, ten sam sprawca mógł zabić Helen. Biorąc pod uwagę wszystko, co usłyszałem, od niej i od innych ludzi, myślę, że to prawdopodobne. Pan nie?

Próbowałem zapanować nad jego umysłem, nad tą rozlazłą, sentymentalną pijaną częścią gwałtowną pijaną częścią i przytłumioną przenikliwą inteligencją.

—Sprawa Deloneya to był wypadek — powiedział dobitnie i z uporem.

—Helen tak nie myślała. Utrzymywała, że to morderstwo i że zna świadka tego morderstwa.

— Kłamała, chciała, żebym wyszedł na złego policjanta. Tylko na jednym jej zależało, żeby jej ojciec wyszedł na złego policjanta.

Podniósł głos. Siedzieliśmy i słuchaliśmy echa. Hoffman opuścił pustą szklankę na dywan i zacisnął pięść, która wydawała się jego głównym środkiem wyrazu. Byłem gotów zablokować cios, ale nie mnie go zadał.

Zaczął z wściekłością tłuc się po twarzy, uderzał w oczodoły, policzki, usta, podbródek. Ciosy pozostawiały na ziemistym ciele ciemne ślady. Rozciął sobie dolną wargę.

Powiedział przez płynącą krew:

— Spuściłem łomot mojej biednej małej córeczce. Wygnałem ją z domu. Nigdy nie wróciła.

Wielkie łzy o barwie czystego, destylowanego alkoholu lub żalu wytoczyły się spomiędzy puchnących powiek i pociekły po zmasakrowanej twarzy. Upadł bokiem na kanapkę. Nie był martwy. Serce biło mu mocno. Ułożyłem go prosto — nogi miał ciężkie jak worki z piaskiem — i wetknąłem mu pod głowę wałek. Zaczął chrapać z otwartymi, niewidzącymi oczami, skierowanymi prosto w światło.

Zasunąłem żaluzjową pokrywę biurka. Tkwił w niej klucz, więc zamknąłem alkohole i wyłączyłem światło. Klucz wzięłem ze sobą.

ROZDZIAŁ 20

Bert Haggerty siedział z zaciętą miną w coupe. Usiadłem obok niego i wręczyłem mu klucz.

— Co to?

— Klucz od barku. Lepiej niech go pan zatrzyma. Hoffman wypił już wystarczająco dużo.

— Wyrzucił pana?

— Nie. Stracił przytomność, bijąc się po twarzy. Mocno.

Haggerty wysunął ku mnie swój długi, wrażliwy nos.

— Czemu Earl zrobił coś takiego? — spytał.

— Chyba karał się za to, że zbił kiedyś córkę.

— Helen opowiedziała mi o tym. Earl traktował ją brutalnie, zanim odeszła z domu. To jedyna rzecz, której nie mogę mu wybaczyć.

— Sam nie może sobie tego wybaczyć. Czy Helen powiedziała panu, o co się kłócili?

— Ogólnikowo. Chodziło o jakieś morderstwo, popełnione tutaj, w Bridgeton. Helen wierzyła albo udawała, że wierzy, iż jej ojciec z premedytacją pozwolił ujść wolno mordercy.

— Czemu miałyby udawać, że wierzy w coś takiego?

— Moja droga zmarła żona — powiedział, wykrzywiając się przy tych słowach — miała skłonność do dramatyzowania, szczególnie za młodu.

— Jak długo znał ją pan, zanim wyjechała z Bridgeton?

— Kilka miesięcy. Poznałem ją w Chicago, na zabawie w Hyde Parku. Kiedy rzuciła dom, pomogłem jej znaleźć pracę w gazecie, jako początkującej reporterce. Ale jak mówiłem, zawsze miała skłonność do dramatyzowania i kiedy w jej życiu nie działo się nic, czym mogłaby karmić swoje emocje, prowokowała jakieś wydarzenie lub udawała, że miało miejsce. Jej ulubioną postacią była Mata Hari — zakończył, prychnąwszy śmiechem, przechodzącym w szloch.

— Więc sądzi pan, że zmyśliła to morderstwo?

— Chyba tak je wtedy traktowałem, bo z pewnością nie brałem go na serio. Teraz nie mam zdania. Czy to coś ważnego?

— To może być bardzo ważne. Czy Helen kiedykolwiek mówiła panu o Luke’u Deloneyu?

— O kim?

— O Luke’u Deloneyu, człowieku, który został zabity. Był właścicielem domu, w którym mieszkali, i zajmował w nim penthouse.

Zanim odpowiedział, zapalił papierosa. Jego pierwsze słowa były widoczne w postaci obłoczków dymu.

— Nie przypominam sobie tego nazwiska. Jeśli mówiła o tym człowieku, chyba nie zrobił na mnie wielkiego wrażenia.

— Matka Helen myśli, że jej córka kochała się w Deloneyu.

— Pani Hoffman to bardzo dobra kobieta i szanuję ją jak własną matkę, ale miewa zupełnie zwariowane pomysły.

— Skąd pan wie, że akurat ten jest zwariowany? Czy w takim razie Helen była zakochana w panu?

Zaciągnął się mocno papierosem, jak niemowlę usiłujące wysać ostatnie krople z pustej butelki. Papieros spłonął do pożółkłych palców. Nagłym gniewnym gestem odrzucił niedopałek na ulicę.

— Helen nigdy nie była we mnie zakochana. Przez chwilę byłem jej przydatny. Później byłem jej ostatnią szansą. Członkiem orszaku. Ostatnią szansą na uzupełnienie baku przed pustynią.

— Jaka pustynią?

— Pustynią miłości. Pustynią niemiłości. Ale nie wydaje mi się, aby był sens wnikać w długą i ponurą historię mojego małżeństwa. Żadne z nas nie było szczęśliwe. Kochałem ją na tyle, na ile jestem zdolny do kochania, ale ona mnie nie kochała. Proust mówi, że to wiecznie ta sama historia. Tej jesieni będę wykladał Prousta mojej najstarszej grupie, jeśli znajdę dość sił, by uczyć.

— Kogo kochała Helen?

— To zależy od tego, o którym roku mówimy. O którym miesiącu którego roku. — Nie poruszał się, ale zadawał sobie ból, okładał się po twarzy gorzkimi słowami.

— Na samym początku, zanim opuściła Bridgeton.

— Nie wiem, czy można to nazwać miłością, ale była dość mocno związana z kolegą z klasy w college'u miejskim. To był platoniczny związek, typowy dla inteligentnych młodych ludzi, przynajmniej kiedyś. Polegał głównie na wspólnym wałkowaniu swoich prac albo prac kolegów. Helen twierdziła, że nigdy nie poszła z nim do łóżka. Jestem pewny, że była dziewicą, kiedy ją poznałem.

— Jak on miał na nazwisko?

— Nie pamiętam. To klasyczny przypadek freudowskiego wyparcia.

— Może go pan opisać?

— Nigdy w życiu go nie spotkałem. Dla mnie to wyłącznie postać z opowieści. Ale na pewno nie jest tym nieuchwytnym mordercą, którego pan szuka. Helen byłaby w siódmym niebie, gdyby się wywinął. — Odszedł od bolesnych wspomnień i używał prawie żartobliwego tonu, jakby mówił o postaciach z wodewilu lub kreskówki. — A skoro mowa o morderstwie, czym chyba właśnie się zajmujemy, to miał mi pan opowiedzieć o śmierci mojej byłej żony. Teraz już jest całkiem moją byłą żoną, no nie, bezpowrotnie była?

Przerwałem tę żalną paplaninę i przedstawiłem mu historię śmierci Helen z pewnymi szczegółami, w tym także opowiedziałem o mężczyźnie z Reno i moich usiłowaniach zidentyfikowania go.

—Earl twierdzi, że latem pojechał pan do Reno, spotkać się z żoną. Czy poznał pan jakichś jej znajomych?

—A jakże. Helen wycięła mi kawał, wykorzystując w tym celu właśnie parkę znajomych. Chodziło jej o to, żebyśmy za Boga nie porozmawiali w cztery oczy. Nieważne. Uparła się, żeby nasz jedyny wspólny wieczór spędzić z Sally jakąś tam i jej udawanym bratem.

—Sally Burke?

—Chyba tak miała na nazwisko. Cały numer polegał na tym, że to ja miałem na głowie tę Burke. Helen tak to ułożyła. Burke była niebrzydka, ale nic nas nie łączyło, zresztą chciałem serio porozmawiać z Helen, nie zabawiać jakąś pindulę. Ale Helen cały wieczór przetańczyła z tym niby-bratem Sally Burke. Nigdy nie miałem przekonania do facetów, którzy tańczą jak fordanserzy.

—Proszę mi o nim więcej opowiedzieć. To może być nasz człowiek.

—No cóż, zrobił na mnie wrażenie wyjątkowo oślizgłego typu. Może po prostu nie zdawałem sobie sprawy, że jestem o niego zazdrosny. Był ode mnie młodszy, lepiej zbudowany i przystojniejszy. Na dodatek Helen słuchała jego gadaniny jak zaczarowana. Mnie wydawała się pozbawiona wszelkiej treści... Cały czas tylko o samochodach, koniach wyścigowych i zakładach. Jak taka wykształcona kobieta mogła się zainteresować takim zerem... — Zmęczył się swoimi słowami i urwał.

—Byli kochankami?

—Skąd miałbym wiedzieć? Nie zwierzała mi się.

—Ale przecież znał pan swoją żonę.

Sięgnął po kolejnego papierosa, wypalił go do połowy i rzekł:

—Raczej nie byli kochankami. Zachowywali się jak dobrzy znajomi. Oczywiście posłużyła się nim, żeby sprawić mi przykrość.

—Za co?

—Za to, że byłem jej mężem. Jej byłym mężem. Rozstaliśmy się w nieprzyjemnej atmosferze. Próbowałem ratować nasze małżeństwo, po to przyjechałem do Reno, ale ona w najmniejszym stopniu nie była zainteresowana.

— Kto zerwał wasz związek?

— Od samego początku trzymał się na wątlej nitce. — Spojrzał nad moją głową na dom, w którym Earl Hoffman leżał nieprzytomny pod ciężarem przeszłości. — I ta nitka się strzepiła. Z obopólnej winy. Ja wciąż zadreślałem Helen, a Helen nie przestawała... robić tego, co robiła.

Słuchałem i czekałem. Kościelne dzwony biły w różnych dzielnicach miasta.

— Była włóczęgą — powiedział Haggerty. — Kampusowym włóczęgą. To ja zaszczepiłem jej tego bakcyła, w ogrodach Hyde Parku, kiedy była dziewiętnastoletnią smarkułą. Potem dawała sobie radę beze mnie. Pod koniec nawet brała pieniądze.

— Od kogo?

— Naturalnie od mężczyzn, którzy mieli pieniądze. Moja żona była zdeprawowaną kobietą, panie Archer. Przyłożyłem rękę do tej deprawacji, więc nie mam prawa jej osądzać. — Jego oczy błyszczały od bólu, który pojawiał się i znikał w nim jak prawda.

Żał mi się go zrobiło. Ale żał nie powstrzymał mnie od zadania pytania:

— Gdzie pan był w piątek wieczór?

— W Maple Park, u nas... u siebie w mieszkaniu, poprawiałem prace.

— Może pan to udowodnić?

— Mam poprawione prace, które mogą być dowodem. Zostały mi oddane w piątek i zajmowałem się nimi w piątkowy wieczór. Mam nadzieję, że nie wyobraża pan sobie czegoś tak fantastycznego jak to, że poleciałem do Kalifornii i z powrotem?

— Kiedy ktoś morduje rozwódkę, pyta się eksmeża, gdzie był w porze popełnienia morderstwa. To odwrotność zasady *cherchez la femme*.

— No cóż, odpowiedziałem na pańskie pytanie. Jeśli pan chce, niech pan sprawdza, kłamie czy nie. Ale oszczędzi pan sobie wiele czasu i ambarasu, po prostu wierząc mi na słowo. Byłem z panem całkowicie szczerzy... do przesady szczerzy.

— Doceniam to.
— Teraz jednak zmienia pan front i oskarża mnie...
— Pytanie to nie oskarżenie, panie Haggerty.
— Ale zawierało tę sugestię — powiedział zirytowanym i nieco zrędlwym tonem. — Myślałem, że to ten człowiek z Reno jest pańskim podejrzanym.

— Jest jednym z nich.
— Czy jestem drugi w kolejce?
— Dajmy sobie z tym spokój, dobrze?
— Sam pan zaczął.
— Teraz kończę. Wracając do człowieka z Reno, czy przypomina pan sobie, jak się nazywał?

— Oczywiście, przedstawiono mi go, ale nie pamiętam nazwiska. Tamta kobieta mówiła na niego: „Jud”. Nie jestem pewien, czy to imię, czy przyzwisko.

— Czemu pan mówił, że to udawany brat pani Burke?
— Nie wydawali mi się bratem i siostrą. Zachowywali się raczej jak... hm... bliscy przyjaciele, którzy po prostu odgrywają role, jakie narzuciła im Helen. Popatrywali na siebie znacząco.

— Czy zechciałby pan szczegółowo opisać mi tego mężczyznę?
— Spróbuję. Nie mam zbyt dobrej pamięci wzrokowej. Jestem słuchowcem.

Po całej serii pytań stworzył jednak portret pamięciowy: wiek jakieś trzydzieści dwa lub trzy lata, wzrost prawie sześć stóp, waga około 175 funtów; muskularny, sprawny, przystojny, ale nie rzucający się w oczy; przeredzone kasztanowe włosy, piwne oczy, brak znaków szczególnych. Miał na sobie garnitur „z szarego jedwabiu lub imitacji jedwabiu i spiczaste czarne buty we włoskim stylu. Haggerty wywnioskował, że Jud ma jakieś bliżej nieokreślone zajęcie w jednym z klubów hazardowych na obszarze Reno-Tahoe.

Nadszedł czas udać się do Reno. Spojrzałem na zegarek; dochodziła jedenasta, ale przypomniałem sobie, że lecąc na zachód, zyskam na czasie. Mogłem porozmawiać w Bridgeton z wdową po Luke’u Deloneyu, jeśli udałoby mi się ją zastać, i jeszcze zdążyć do Reno na rozsądną porę.

Poszedłem do domu z Haggertym, zadzwoniłem na lotnisko O'Hare i zarezerwowałem bilet na późne popołudnie. Potem zadzwoniłem do pani Deloney. Była w domu i mogła mnie przyjąć.

Bert Haggerty ofiarował się mnie zawieźć. Poradziłem mu, żeby lepiej został z teściem, Chrapanie Hoffmana przenikało ściany jak zdławiony lament, ale w każdej chwili mógł się obudzić i zacząć szaleć.

ROZDZIAŁ 21

Glenview Avenue wiała się północną krawędzią północnej części miasta wśród tak wielkich parceli, że osiągały rozmiary wiejskich posiadłości. Drzewa rosnące przy drodze stykały się w górze konarami. Światło, sączące się przez stulone liście na rozległe trawniki, miało kolor banknotów.

Skręciłem między ceglane słupki bramy numeru 103 i niebawem zobaczyłem imponującą rezydencję ze starej czerwonej cegły. Podjazd prowadził do wysuniętego portyku. Nie wyszedłem jeszcze z samochodu, a otwały się drzwi i stanęła w nich Murzynka, pokojówka w fartusku.

— Pan Archer?

— Tak.

— Pani Deloney oczekuje pana w dolnym salonie.

Siedziała przy oknie wychodzącym na wiejski pejzaż, w którym czerwony sumak przyćmiewał inne rośliny. Włosy miała siwe i krótko obcięte. Jej suknia z błękitnego jedwabiu wyglądała na Lily Dache. Twarz była płątaniną zmarszczek, ale subtelne rysy zachowały całą swoją delikatność. Była piękna wdziękiem antycznego przedmiotu, którego klasa liczy się bardziej niż stan. Musiała głęboko pogрузić się w przeszłości, bo nie zauważyła nas, dopóki pokojówka nie zaanonsowała:

— Pan Archer, pani Deloney.

Wstała z lekkością znacznie młodszej kobiety, odkładając książkę.

Zaszczyciła mnie uściskiem dłoni i długim spojrzeniem. Jej oczy miały ten sam kolor co suknia, były żywe i inteligentne.

— Więc przebył pan całą drogę z Kalifornii, żeby się ze mną spotkać. Musi pan być zawiedziony.

— Wręcz przeciwnie.

— Nie musi mi pan schlebiać. Kiedy miałam dwadzieścia lat, wyglądałam jak wiele innych dziewcząt. Teraz mam ponad siedemdziesiąt i wyglądam po swojemu. To wyzwalający fakt. Ale proszę usiąść. Ten fotel jest najwygodniejszy. Mój ojciec, senator Osborne, przedkładał go nad wszystkie inne.

Wskazała na fotel obity czerwoną skórą, lśniącą i ściemniałą od zużycia. Sama usiadła naprzeciwko, w bujanym fotelu ze skórzanym zapiekiem, wyłożonym poduszkami. Reszta mebli była równie stara i bezpretensjonalna i w duchu zadałem sobie pytanie, czy przesiaduje w tym pokoju, by zatrzymać czas.

— Jest pan po podróży — przypomniała sobie. — Mogę zaproponować panu coś do zjedzenia lub picia?

— Dziękuję, nie.

Odesłała pokojówkę, po czym powiedziała:

— Obawiam się, że będzie pan podwójnie zawiedziony. Mogę bardzo niewiele dodać do oficjalnego raportu z samobójstwa mojego męża. Luke i ja od jakiegoś czasu nie utrzymywaliśmy bliskich kontaktów.

— Już coś pani dodała — rzekłem. — Wedle oficjalnego raportu to był wypadek.

— Bo tak to nazwano. Prawie o tym zapomniałam. Uznano, że oficjalnie najlepiej będzie nie wspominać o samobójstwie.

— Kto uznał, że tak będzie najlepiej?

— Między innymi ja. Biorąc pod uwagę pozycję mojego świętej pamięci małżonka, jego samobójstwo groziło biznesowymi i politycznymi reperkusjami w całym stanie. Nie wspominając o zwykłej ludzkiej szpetocie tego czynu.

— Niektórzy mogliby pomyśleć, że szpetniejsze było przeinaczenie faktów dotyczących ludzkiej śmierci.

— Niektórzy mogli tak myśleć — powtórzyła z miną wielkiej damy. — Ale niewielu potrafiłoby powiedzieć mi to w twarz. Zresztą nikt nie przeinaczał faktów, jedynie podretuszowano raport. Fakt, że mąż popełnił

samobójstwo, zaciążył nad całym moim życiem.

— I jest pani całkowicie pewna tego faktu?

— Całkowicie.

— Właśnie rozmawiałem z człowiekiem, który prowadził tę sprawę, porucznikiem Hoffmanem. Twierdzi, że pani mąż zastrzelił się przypadkowo, czyszcząc swój rewolwer.

— Taką wersję uzgodniliśmy. To naturalne, że porucznik Hoffman się jej trzyma. Nie rozumiem, czemu miałyby służyć pańskie próby obalenia jej po tylu latach.

— Chyba że pan Deloney został zamordowany. Wtedy służyłby ujawnieniu prawdy.

— Niewątpliwie, ale on nie został zamordowany. — Jej wzrok skierował się na mnie, prawie nie ulegając zmianie, może tylko nieznacznie ochłócił.

— Słyszałem plotki, które dotarły aż do Kalifornii, że został zamordowany.

— Kto rozsiewał te brednie?

— Córka porucznika Hoffmana, Helen. Utrzymywała, że zna świadka morderstwa. Sama mogła nim być.

Poruszenie, które zmieniło jej rysy, przeszło w zimny gniew.

— Nie miała prawa opowiadać takich kłamstw. Już ja zamknę jej usta!

— Zostały zamknięte — powiedziałem. — W piątek wieczorem ktoś zamknął jej usta bronią. Dlatego tu jestem.

— Rozumiem. Gdzie ją zabito?

— W Pacific Point. To na wybrzeżu, na południe od Los Angeles.

Jej wzrok minimalnie uciekł w bok.

— Chyba nigdy nie słyszałam o tym mieście. Naturalnie żał mi tej dziewczyny, chociaż nigdy jej nie poznałam. Ale mogę pana zapewnić, że jej śmierć nie ma nic wspólnego z moim mężem. Grubo się pan myli, Archer.

— Zastanawiam się.

— Nie ma potrzeby. Zanim Luke się zastrzelił, napisał list, który dokładnie wszystko wyjaśnia. Doręczył mi go osobiście porucznik Hoffman. Nikt poza nim i jego przełożonymi nie wiedział, że ten list

istnieje. Nie zamierzałam panu mówić, że w ogóle został napisany.

—Dlaczego?

—Ponieważ był szpetny. W gruncie rzeczy obwinał mnie i moją rodzinę o to, co Luke zamierzał uczynić. Mój mąż zabrnął w finansowe tarapaty, hazardował się na giełdzie i gdzie indziej, rozwinął interesy ponad swoje możliwości. Odmówiliśmy mu pomocy, zarówno ze względów osobistych, jak i praktycznych. Popęłił samobójstwo, chcąc się na nas zemścić. Dopiął swego, chociaż przeinaczyliśmy fakty, jak to pan określa. — Położyła dłoń na płaskiej piersi. — Cierpiałam, tak jak tego pragnął.

— Czy senator Osborne żył w tym czasie?

— Obawiam się, że nie za dobrze się pan orientuje — zadrwiła. — Ojciec zmarł czternastego grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, trzy i pół roku przed samobójstwem męża. Przynajmniej jemu oszczędzono poniżenia.

— Wspomniała pani o rodzinie.

— Miałam na myśli moją siostrę Tish i świętej pamięci wujka Scotta, naszego prawnego opiekuna. On i ja odpowiadaliśmy za nieudzielenie dalszej pomocy Luke'owi. Decyzja należała wyłącznie do mnie. Nasze małżeństwo się skończyło.

— Z jakiego powodu?

— Powód był trywialny. Nie zamierzam się nad tym rozwodzić. — Podniosła się, podeszła do okna i stała przy nim wyprostowana jak czujny wartownik. — W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku skończyło się wiele spraw stanowiących o moim życiu. Moje małżeństwo, potem życie mojego męża, potem mojej siostry. Tish umarła latem i oplakiwałam ją przez całą jesień. A teraz znów jest jesień — westchnęła. — Jesienią zawsze razem jeździłyśmy konno. Uczyłam ją dosiadać konia, kiedy miała pięć lat, a ja dziesięć. To było jeszcze w tamtym wieku.

Jej umysł pogrążył się w odleglejszych i mniej bolesnych wspomnieniach. Powiedziałam:

— Proszę mi wybaczyć, że do tego wracam, pani Deloney, ale muszę panią zapytać, czy ten list pożegnalny nadal istnieje.

Odwróciła się, usiłując wygładzić ślady smutku na twarzy. Nadaremnie.

— Oczywiście, że nie. Spaliłam go. Może mi pan wierzyć na słowo.

— Pani prawdomówność nie budzi moich wątpliwości. Ale czy jest pani absolutnie pewna, że ten list był napisany ręką pani męża?

— Tak. Doskonale znałam charakter pisma Luke'a.

— Zręczne fałszerstwo może zmylić prawie każdego.

— To absurdalne. Mówi pan językiem melodramatu.

— Czy się nam to podoba, czy nie, życie bywa melodramatyczne, pani Deloney.

— Ale kto podrabiałby list samobójcy?

— Zdarzało się, że mordercy.

Odrzuciła w tył siwą głowę i spojrzała na mnie z wysokości delikatnie zakrzywionego nosa. Przypominała ptaka, nawet brzmieniem głosu.

— Luke nie został zabity.

— Mam wrażenie, że przywiązuje pani zbyt wielką wagę do listu poźegnalnego męża, który mógł być podrobiony.

— Nie był podrobiony. Świadczy o tym jego treść. Mówiła o rzeczach, o których wiedzieliśmy tylko Luke i ja.

— Takich jak...

— Nie mam zamiaru opowiadać o nich panu ani nikomu innemu. Poza tym Luke od miesiący rozpowiadał na lewo i prawo, że się zabije, zwłaszcza gdy był na rauszu.

— Powiedziała pani, że od miesiący nie miała bliskich kontaktów z mężem.

— Nie miałam z nim kontaktów, ale miałam doniesienia od naszych wspólnych przyjaciół.

— Czy Hoffman był jednym z nich?

— Raczej nie. Nie nazwałabym go przyjacielem domu.

— Niemniej jednak w pani interesie wyciszył sprawę samobójstwa pani męża. Domniemanego samobójstwa pani męża.

— Dostał taki rozkaz. Nie miał wyboru.

— Kto mu go wydał?

— Zapewne komisarz policji. Był przyjacielem moim i Luke'a.

—Rozumiem. Tak bardzo przyjaźnił się z pani mężem, że sfałszował raport o jego śmierci.

—Raporty policyjne są fałszowane każdego dnia — powiedziała — w każdym mieście tego kraju. Niech pan oszczędzi mi morałów, Archer. Wieko trumny komisarza Robertsona zamknęło się dawno temu. Sama sprawa też jest dawno zamknięta.

—Może w pani oczach. Hoffman nie potrafi o niej zapomnieć. Znów ją przeżywa po tym, jak zamordowano jego córkę.

—Bardzo mi żal obojga. Ale w żaden sposób nie potrafię odmienić przeszłości, żeby dopasować ją do pańskich teorii. Co pan usiłuje udowodnić, Archer?

—Nic konkretnego. Usiłuję się dowiedzieć, co miała na myśli tamta kobieta, mówiąc, że czuje na plecach oddech Bridgeton.

—Niewątpliwie miała na myśli coś intymnego i osobistego. Jak to kobieta. Ale już mówiłam, nie znałam Helen Hoffman.

—Czy coś łączyło ją z pani mężem?

—Nie. Nic. I proszę mnie nie pytać, skąd jestem tego pewna. Wystarczy tego grzebania w grobie Luke'a, nie sądzi pan? Nic w nim nie ma, poza historią żałosnego samobójstwa. Można powiedzieć, że sama wykopałam Luke'owi ten grób.

—Odcinając mężowi fundusze?

—Dokładnie. Chyba nie myśli pan, że chcę się przyznać do zastrzeżenia Luke'a?

—Nie myślę — odparłem. — A chce pani?

Jej twarz zmarszczyła się w pełnym okrucieństwa uśmiechu.

—Znakomicie — rzekła. — Zastrzeliłam go. Co pan na to?

—Nic. Nie wierzę pani.

—Czemu miałabym kłamać? — Bawiła się ze mną. Roiała niedorzecznie, po dziewczęcemu, jak to czasem robią staruszki.

—Może chciała pani zastrzelić męża. Nie wątpię, że naprawdę pani chciała. Ale gdyby faktycznie go pani zastrzeliła, nie mówiłaby pani o tym.

—Czemu nie? Człowiek jest zdolny do wszystkiego. Mam wielu dobrych

przyjaciół w tym mieście, oficjalnych i nie tylko. I tak się przypadkiem składa, że byliby bardzo poruszeni, gdyby upierał się pan przy rozgrzebywaniu starych brudów.

— Czy to groźba?

— Nie, panie Archer — odparła ze swoim okrutnym uśmiechem. — Nie mam nic przeciwko panu, poza tym, że jest pan zelotą w swoim fachu. A może to według pana powołanie? Czy to naprawdę ma znaczenie, jak ludzie odchodzą? Są i ich nie ma, jak nas nie będzie wcześniej czy później. Niektórych wcześniej. I mam wrażenie, że poświęciłam panu wystarczająco dużo czasu, jaki pozostał mi na ziemi.

Zadzwoń na pokojówkę.

ROZDZIAŁ 22

Zostało mi tyle czasu do odlotu, że mogłem jeszcze raz spróbować wydobyć coś z Earla Hoffmana. Wróciłem do jego domu. Śródmiejskie ulice opustoszały w niedzielę. Pytania, które nasunęły mi się w rozmowie z panią Deloney, tkwiły w mojej głowie jak zerwane haczyki na ryby. Ich długie żyłki sięgały w przeszłość.

Byłem prawie pewien, że Deloney nie strzelił sobie w głowę ani przypadkowo, ani celowo. Byłem prawie pewien, że zrobił to ktoś inny i że pani Deloney zna sprawcę. List pożegnalny mógł być sfalszowany, błędnie odczytany lub błędnie zapamiętany. Mógł też być zmyślony. Prawdę pewnie znał Hoffman.

Kiedy skręciłem w Cherry Street, zobaczyłem idącego przecnicę dalej mężczyznę. Miał na sobie niebieski garnitur i stąpał ciężko jak stary gliniarz. Co prawda od czasu do czasu tracił równowagę, ale odzyskiwał ją. Zbliżywszy się, przekonałem się, że to Hoffman. Mankiety pomarańczowej piżamy wylaziły mu z nogawek spodni.

Jechałem za nim w kierunku południowym, coraz marniejszą okolicą. Znaleźliśmy się w dzielnicy murzyńskiej. Dorośli przechodnie obojga płci szerokim łukiem obchodzili Hoffmana. Był uzbrojoną bombą na dwóch nogach.

Te nogi nie pracowały zbyt sprawnie. Potknął się przy wyszczerbionym parkanie i upadł na kolana. Zza parkanu wyszła banda wyrostków i

szła za Hoffmanem, natrzęsając się z niego. W końcu się odwrócił, wygrażając im pięścią. Dali mu spokój, a on ruszył dalej.

Opuściliśmy murzyńską dzielnicę i znaleźliśmy się na obszarze starych dwupiętrowych domów mieszkalnych, przemienionych na pensjonaty i siedziby firm. Stało tam też kilka nowszych budynków. Jeden z nich okazał się celem Hoffmana.

Była to sześciopiętrowa, betonowa, zapuszczona budowla; w rzędach okien wisały popękane żaluzje, a poniżej widniały brązowe lizsaje, pamiątka po fali powodziowej. Hoffman wszedł frontowymi drzwiami. W betonowym nadprożu był napis: „Apartamenty Deloneya, 1928 rok”. Zaparkowałem samochód i ruszyłem za Hoffmanem.

Kiedy wszedłem do windy, zmatowiała wskazówka z brązu powoli sunęła nad jej drzwiami zgodnie z ruchem wskazówek zegara, aż utknęła na szóstce. Po chwili przestałem naciskać guzik — Hoffman pewnie zablokował drzwi — i znalazłem schody awaryjne. Zasapałem się, zanim dotarłem do metalowych drzwi prowadzących na dach.

Uchyliłem je lekko. Niedaleko gruchały gołębie, poza tym panował całkowity spokój. Część dachu, oddzielona roślinami w donicach i zieloną taflą z pleksi, służyła za taras.

Opalała się na nim para. Ona, dobrze utrzymana blondyna, leżała na brzuchu na dmuchanym materacu. Stanik jej bikini był rozpięty na plecach. On siedział na składanym krześle, obok stolika z opróżnioną do połowy butelką coli. Miał szeroką pierś, ciemne włosy i szorstki czarny zarost na klatce piersiowej i ramionach. Na małym palcu lewej ręki nosił brylantowy pierścionek i mówił z lekkim greckim akcentem.

— Więc wydaje cię się, że prowadzenie restauracji jest poniżej naszej godności? Kiedy tak mówisz, gryziesz rękę, która cię karmi. Gdyby nie moje restauracje, nie miałabyś tych swoich nerek.

— Wcale nie powiedziałam tego o prowadzeniu restauracji. Powiedziałam tylko, że ubezpieczenia to miły, czysty interes dla mężczyzny.

— To restauracje są brudne? Nie moje restauracje. Mam nawet promienniki ultrafioletowe w toaletach...

— Wyrażaj się — powiedziała.

— Właśnie się wyrażam. Słowo „toalety” wcale nie jest wulgarnie.

— W mojej rodzinie tak.

— Rzygać mi się chce od wysłuchiwania o twojej rodzinie. Rzygać mi się chce od wysłuchiwania o tym nicponiu, twoim braciszku Theo.

— Nicponiu? — Usiadła, błyskając perłową skórą na piersiach, zanim zawiązała stanik. — Theo w zeszłym roku wszedł do klubu milionerów.

— Kto wykupił mu licencję, która zaprowadziła go na szczyt? Ja. Kto załatwił mu robotę w agencji ubezpieczeniowej? Ja.

— Kolega Pana Boga. — Jej twarz przypominała piękną, pozbawioną wyrazu maskę. Nawet nie drgnęła, kiedy spytała: — Kto kręci się po domu? Rosie odesłałam po śniadaniu.

— Może wróciła.

— Na mój słuch to nie Rosie. To musi być jakiś facet.

— Może Theo przyszedł sprzedać mi instrukcję, jak wejść do klubu milionerów?

— To wcale nie jest śmieszne.

— A ja myślę, że bardzo śmieszne.

Roześmiał się, żeby to udowodnić. Przestał się śmiać, kiedy zza plek-siglasowej osłony wyłonił się Earl Hoffman. W słonecznym blasku widać było każdy siniak na jego twarzy. Pomarańczowe spodnie od piżamy całkiem zasłaniały mu buty.

Brunet wstał z krzesła i zrobił taki gest, jakby chciał odepchnąć Hoffmana.

— Spływaj. To prywatny dach.

— Nie mogę — odparł Hoffman trzeźwo i logicznie. — Zgłoszono znalezienie trupa kobiety. Gdzie on jest?

— Na dole, w piwnicy. Tam go znajdziesz. — Mężczyzna mrugnął do kobiety.

— W piwnicy? Mówili, że w apartamencie na górze. — Rozbite wargi mechanicznie zamykały się i otwierały jak u lalki brzuchomówcy, jakby

przeszłość mówiła własnym głosem. — Ruszaliście go, hę? Prawo zabrania ruszania trupa.

— Sam go sobie ruszaj. — Mężczyzna odwrócił się do kobiety, która tymczasem okryła się żółtym frotowym szlafrokiem. — Idź i zadzwoń wiesz do kogo.

— Ja jestem wiesz kto — powiedział Hoffman. — I ta kobieta zostaje. Chcę jej zadać parę pytań. Jak się pani nazywa?

— Nie twój interes — odparła.

— Wszystko jest mój interes. — Hoffman zatoczył łuk ręką i prawie stracił równowagę. — Jestem detektywem prowadzącym śledztwo w sprawie o morderstwo.

— Pokaż odznakę, detektywie.

Brunet wyciągnął rękę, ale nie zrobił kroku w kierunku Hoffmana. Żaden z nich nie zrobił kroku. Kobieta klęczała na czworakach, zadzierając piękną wystraszoną twarz do góry.

Hoffman pogrzebał w kieszeniach, wyciągnął pięćdziesięciocentówkę, popatrzył na nią bezradnie i wyrzucił ją w górę. Poleciała łukiem za parapet i zadzwoniła na chodniku, sześć piętér niżej.

— Musiałem zostawić w domu — wymamrotał.

Kobieta pozbierała się i rzuciła w kierunku apartamentu.

Hoffman szybko i niezdarnie złapał ją w pól. Nie walczyła, stała sztywna i pobladła w jego uścisku.

— Tylko nie takim gazem, kotku. Mam do ciebie parę pytań. To ty jesteś ta damulka, co sypiała z Deloneyem?

Zawołała do bruneta:

— Pozwolisz mu, żeby mówił do mnie takim tonem? Powiedz, żeby wziął ode mnie łapy.

— Weź łapy od mojej żony — zaprotestował słabo mężczyzna.

— To powiedz jej, żeby siadła i nie wierzała.

— Siadaj i nie wierzgaj — powtórzył mężczyzna.

— Zwariowałeś? On cuchnie jak wiadro bimbru. Jest zalany w trupa.

— Wiem.

— To zrób coś.

— Robię. Mówię ci, że masz go słuchać.

Hoffman uśmiechnął się do niego, jak funkcjonariusz publiczny przyzwyczajony do znoszenia niezasłużonej krytyki. Pokiereszowane usta i nieprzytomne spojrzenie sprawiły, że był to groteskowy uśmiech. Kobieta spróbowała się wyrwać. Osiągnęła tyle, że przyciągnął ją bliżej, wciskając jej brzuch w swój bok.

— Wyglądasz trochę jak moja córeczka Helen. Znasz moją córeczkę Helen?

Kobieta gorączkowo zaprzeczyła ruchem głowy. Jej włosy się rozwiały.

— Ona mówi, że był świadek zabójstwa. Byłaś tam, kiedy to się stało, kotku?

— Nawet nie wiem, o kim mówisz.

— A pewnie, że wiesz. O Luke’u Deloneyu. Ktoś nafaszerował mu oko ołowiem i próbował upozorować samobójstwo.

— Pamiętam Deloneya — powiedział mężczyzna. — Raz czy dwa podawałem mu hamburgera w knajpie taty. Umarł przed wojną.

— Przed wojną?

— Właśnie. Gdzie byłeś przez ostatnie dwadzieścia lat, detektywie?

Hoffman nie wiedział. Rozejrzał się po dachach swojego miasta, jakby to była obca okolica.

Kobieta krzyknęła:

— Puszczaj mnie, grubasie!

Jej krzyk nie zrobił na nim wrażenia, jakby docierał do niego z daleka.

— Tylko z szacunkiem do swojego ojczulka.

— Gdybyś był moim ojczulkiem, zabiłabym się.

— Nie pyskuj mi. Dość się nasłuchałem twojego pyskowania. Słyszałaś?

— Tak, słyszałam. Jesteś zwariowanym staruchem i weź ode mnie swoje brudne łapska.

Przejechała mu po twarzy paznokciami, zostawiając trzy błyszczące równoległe ślady. Wyciął jej policzek. Usiadła na żwirze. Mężczyzna złapał opróżnioną do połowy butelkę coca-coli. Brązowy płyn spłynął mu po ramieniu, kiedy natarł na Hoffmana.

Ten sięgnął za plecy, pod marynarkę, i wyjął zza pasa rewolwer. Wystrzelił nad głową mężczyzny. Gołębie zerwały się z dachu, robiąc w powietrzu wielki wir. Brunet upuścił butelkę i stał nieruchomo z rękami w górze. Pochlipująca kobieta zamilkła.

Hoffman uniósł płonący wzrok ku rozżarzonemu niebu. Gołębie zmałały w górze. Popatrzył na rewolwer. Nie spuszczać wzroku z broni, wyszedłem w światło słońca.

— Potrzebujesz jakiejś pomocy z tymi świadkami, Earl?

— Nie, dam sobie radę. Sytuacja opanowana. — Spojrzał na mnie zmrużonymi oczami. — Jeszcze raz, jak ci jest? Arthur?

— Archer. — Podszedłem do niego, pchając przed sobą swój krępy cień po nierównej żwirowej nawierzchni. — Będziesz miał z tego fajną reklamę, Earl. Rozwiązanie morderstwa Deloneya w pojedynkę.

— No. Pewnie. — W oczach miał głębokie zdziwienie. Wiedział, że mówię idiotyzmy, tak jak wiedział, że sam do tej pory zachowywał się idiotycznie, ale nie mógł się do tego przyznać, nawet przed sobą. — Ukryli ciało w piwnicy.

— To znaczy, że pewnie przyjdzie nam kopać.

— Czyście wszyscy powariowali? — zapytał brunet, nie opuszczając rąk.

— Siedź cicho — rzuciłem w jego kierunku. — Lepiej wezwij wsparcie, Earl. Ja potrzynam na muszce te typy.

Wahanie Hoffmana przeciągało się. Wreszcie oddał mi rewolwer i poszedł do apartamentu, zahaczając ciężko ramieniem o framugę.

— Kim jesteś? — spytał mężczyzna.

— Jestem jego strażnikiem. Proszę opuścić ręce.

— Czy on uciekł z domu obłąkanych?

— Jeszcze nie.

Oczy mężczyzny były jak rodzyнки wciśnięte w świeże ciasto. Pomógł wstać żonie, niezręcznie otrzepując jej szlafrok na pośladkach. Nagle rozpląkała się w jego ramionach, a on poklepywał ją po plecach dłonią z brylantem i mówił coś czułego po grecku.

Zza otwartych drzwi dobiegał głos Hoffmana, wrzeszczącego do słuchawki:

— Sześciu ludzi z łopatami i młotem pneumatycznym do betonu! Jej ciało jest pod wylewką w piwnicy. Mają dziesięć minut na dojazd, inaczej ktoś wyleci!

Słuchawka uderzyła z trzaskiem o podłogę, ale on mówił dalej. Jego głos rósł i opadał jak wiatr, porywając rozrzucone kawałki przeszłości i unosząc je w powietrznym wirze.

— On jej nie tknął. Nie zrobiłby tego córce przyjaciela. Ona też była dobrą dziewczyną, porządną córeczką swojego tatusia. Pamiętam, kiedy była malutka, często ją kąpałem. Była mięciutka jak królik. Tuliłem ją, a ona mówiła mi: tatusiu. — Głos mu się załamał. — Co jest?

Zamilkł, a potem wrzasnął. Usłyszałem, jak pada na podłogę z łomotem, od którego zatrzęsł się dach. Wszedłem do apartamentu. Siedział oparty plecami o kuchenkę, próbując zedrzeć z siebie spodnie. Machnął ręką, żebym trzymał się od niego z daleka.

— Nie podchodź. Pająki mnie oblażyły.

— Nie widzę żadnych pajaków.

— Są pod ubraniem. Czarne wdowy. Morderca podrzucił pająki, chce mnie wykończyć.

— Kto jest mordercą, Earl?

Twarz zmięła mu się od wysiłku.

— Nigdy się nie dowiedziałem, kto wykończył Deloneya. Przyszło polecenie z góry, żeby zamknąć sprawę. Co człowiek może...? — Znów wrzasnął. — Mój Boże, łażą po mnie tysiącami!

Rwał na sobie ubranie. Kiedy przyjechała policja, było w niebieskich i pomarańczowych strzępach, a nagie ciało starego zapaśnika wiło się na linoleum.

Dwaj patrolowi znali Earla Hoffmana. Żadne wyjaśnienia nie były potrzebne.

ROZDZIAŁ 23

Słońce ukryło się nagle, kiedy samolot wylądował w cieniu gór. Wcześniej przekazałem telegraficznie agencji Waltersów termin przylotu i Phyllis oczekiwała mnie na lotnisku.

Uścisnęła mi dłoń i podsunęła policzek. Jej jasnobrzoskwiniowa cera miała jedną wadę — nie przepadała za słońcem — a lśniące oczy były koloru niebieskich indiańskich paciorków.

— Wyglądasz na zmęczonego, Lew. Ale naprawdę istniejesz.

— Nawet nie mów. Tylko czuję się jeszcze bardziej zmęczony. Ty wyglądasz cudownie.

— To coraz trudniejsze, w miarę jak się starzeję. Ale z drugiej strony inne rzeczy przychodzą łatwiej. — Nie powiedziała które. W szybko znikającym świetle dnia ruszyliśmy do jej samochodu. — A w ogóle, co robiłeś w Illinois? Myślałam, że pracujesz nad sprawą w Pacific Point.

— Pracuję tu i tam. Trafiłem na przedwojenne morderstwo w Illinois, które jest chyba powiązane z obecnymi. Nie pytaj mnie, jak powiązane. Wyjaśnianie tego zabrałoby całą noc, a mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

— W każdym razie ty masz. Zostałeś umówiony na wpół do dziewiątej na kolację z panią Sally Burke. Jesteś moim starym znajomym z Los Angeles, zawód nieokreślony. To twój punkt wyjścia.

— Jak to załatwiłaś?

— Nie było trudno. Sally poluje na kolacje z wolnymi panami. Chce znów wyjść za mąż.

— Ale jak ją poznałaś?

— Wpadłam na nią w barze, w którym wysiaduje, i ostatniego wieczoru upiliśmy się razem. W każdym razie ona się upiła. Opowiadała trochę o swoim bracie Judsonie. Możliwe, że to jego szukasz.

— Jego. Gdzie mieszka?

— Gdzieś na południowym wybrzeżu. Ale wiesz, znaleźć tam kogoś to potworna robota. Arnie się za nim rozgląda.

— Zaprowadź mnie do jego siostry.

— Mówisz takim tonem, jakbyś był owieczką proszącą o zaprowadzenie do rzeźni. To naprawdę całkiem miła dziewczyna — powiedziała z kobiecą solidarnością. — Nie jest może orłem, ale dobrze życzy ludziom. Przepada za bratem.

— Jak Lukrecja Borgia.

Phyllis wsiadła do samochodu i ruszyliśmy do Reno, miasta, w którym nigdy nie spotkało mnie nic dobrego, ale nie traciłem nadziei, że ten stan rzeczy się zmieni.

Sally Burke mieszkała blisko centrum, przy Riley Street, na górze starego piętrowego domu. Phyllis przywiozła mnie tam minutę przed wpół do dziewiątej, wyciągnąwszy wcześniej obietnicę, że potem zjawię się u nich. Pani Burke czekała na górnym podejściu, w pełnej zbroi: obcisłej czarnej sukni z etolą z lisa, perłach, kolczykach i czterocalowych szpilkach. Kasztanowe włosy zrobiła w pasemka, jakby chcąc podkreślić swoją złożoną osobowość. Kiedy wdrapałem się na podest, jej piwne oczy rozświeciły się na mój widok jak oczy plantatora na widok dobrze zbudowanego Murzyna, wystawionego na sprzedaż.

Ale używała dobrych perfum i miała miły, przyjacielski, trochę spłoszony uśmiech. Przywitaliśmy się i dokonaliśmy wzajemnej prezentacji. Od razu przeszła ze mną na „ty”.

— Przepraszam, że nie zapraszam cię do środka, ale mam straszny bałagan. W niedzielę nigdy nie mam sił do porządków. Znasz tę starą piosenkę Ponura niedziela? U mnie tak tydzień w tydzień, od rozwodu.

Phyllis mówi, że też jesteś rozwiedziony.

— Phyllis ma rację.

— Rozwiedziony mężczyzna to coś innego niż rozwiedziona kobieta — powiedziała z lekką urazą. — Ale widzę, że chyba przydałby ci się ktoś, kto by się tobą opiekował.

Była jedną z najszybszych i najmniej skutecznych zawodniczek, jakie w życiu poznałem. Poczulem się naprawdę smętnie, a ona spojrzała na moje nieciekawie wyglądające ubranie, w którym spałem w samolocie. Ale z drugiej strony byłem sprawny fizycznie. Wszedłem po schodach bez pomocy.

— Gdzie zjemy? — spytała. — W Riverside jest miło.

Było miło i drogo. Po kilku drinkach opuściły mnie wyrzuty sumienia, że uszczuplam konto Alexa. Tematy poruszane przez Sally Burke były bardzo interesujące. Jeśli wierzyć Sally, jej eksmąż był skrzyżowaniem Drakuli, Hitlera i wiecznie nieobecnego w domu wędrowca. Zarabiał dwadzieścia pięć tysięcy rocznie jako akwizytor, ale nieraz musiała wejść mu na pobory, by odebrać swoje marne alimenty w wysokości sześciu stów miesięcznie. Z trudnością wiązała koniec z końcem, zwłaszcza teraz, kiedy jej młodszy braciszek stracił pracę.

Zamówiłem kolejnego drinka i okazałem umiarkowane współczucie.

— Jud to dobry chłopak — oznajmiła kłótliwym tonem, jakby ktoś właśnie powiedział coś wręcz przeciwnego. — Grał w football w drużynie uniwersytetu stanowego Waszyngton, był czołowym zawodnikiem. W Spokane mówiło się, że przeszedłby do ligi zawodowej, gdyby grał w bardziej znanej szkole. Ale nigdy nie zdobył takiego rozgłosu, na jaki zasługiwał, nigdy. Potem miał posadę trenera, ale ją stracił, bo nie wkręcił się w żaden układ, nie miał szans. Te oskarżenia, które przeciwko niemu wysunęli, były pisane palcem na wodzie, sam mi to powiedział.

— Jakie oskarżenia?

— Żadne. To wszystko było pisane palcem na wodzie, mówię poważnie. — Wysuszyła czwartą szklaneczkę Martini i przyjrzała mi się z naiwną

chytryścią. — Coś mi się zdaje, że nie powiedziałaś mi, Lew, czym się zajmujesz?

— Też mi się tak zdaje. Prowadzę małą agencję w Hollywood.

— To dopiero ciekawe. Juda zawsze ciągnęło do aktorstwa. Tak naprawdę nigdy nie zagrał, ale mówią, że to bardzo przystojny chłopak. Ostatniego tygodnia wpadł do Hollywood.

— Chciał się wkręcić do filmu?

— Byle gdzie — odparła. — Pali się do roboty, ale kłopot w tym, że nie ma nic wyuczonego, znaczy się po tym, jak stracił te tam uprawnienia do wykonywania zawodu nauczyciela i padło mu studio tańca. Myślisz, że dałbyś radę znaleźć mu coś w Hollywood?

— Bardzo chciałbym z nim porozmawiać — powiedziałem, nie oddając się ani o włos od prawdy.

Była podchmielona i pełna nadziei, a moje zainteresowanie jej bratem uznała za rzecz najnormalniejszą w świecie.

— To da się załatwić — stwierdziła. — Prawdę mówiąc, jest teraz u mnie. Mogłabym do niego zadzwonić i powiedzieć, żeby przyjechał.

— Najpierw zjedźmy kolację.

— Mogę zapłacić za Juda. — Zdała sobie sprawę, że popełniła taktyczny błąd, i szybko się wycofała: — Dwoje to nadmiar szczęścia, nie? Chciałam powiedzieć troje.

Podczas kolacji zasypała mnie taką ilością informacji o swoim bracie, że miałem nieodparte wrażenie, iż zasiada z nami przy stole. Wyrecytowała jego wszystkie futbolowe osiągnięcia. Opowiedziała o jego miłosnych podbojach, czyniąc to z takim entuzjazmem, jakby sama figurowała na liście jego zdobyczy. Wyłuszczyła mi istotę większości jego znakomych pomysłów, których był zawsze pełen. Największe wrażenie zrobił na mnie zamiar wydania Biblii rodzinnej, kwalifikującej się do głósnej lektury w przytomności dziatwy. Oczywiście wiązało się to z koniecznością odsiewu wszelkich gorszących passusów, w które święta księga niestety obfituje.

Sally nie miała głowy do alkoholu. Już pływała, zanim skończyliśmy posiłek. Chciała, żebyśmy zadzwonili po brata i poszli w miasto, ale nie paliłem się do tego pomysłu. Zawiozłem ją do domu. W taksówce zasnęła na moim ramieniu. To mi nie przeszkadzało.

Obudziłem ją przy Riley Street i zaprowadziłem na górę. Wydawała się bardzo wielka i złożona z luźnych fragmentów, a lis wciąż chciał uciec z jej z szyi. Miałem wrażenie, że weekend upływa mi na opiekowaniu się pijakami.

Drzwi mieszkania otworzył osobnik w podkoszulku i obcisłych spodniach. Podtrzymując Sally, szybko otaksowałem go wzrokiem; był mężczyzną pełnym w połowie zalet, w połowie wad, mieszkańcem półświatka, w połowie przystojnym, w połowie nijakim, w połowie zagubionym, w połowie pewnym siebie, w połowie uczciwym, w połowie niebezpiecznym. Jego włoskie buty były zdarte na spiczastych czubkach.

— Pomóc ci? — spytał mnie.

— Nie żartuj — zaprotestowała Sally. — Świetnie się trzymam. Archer, poznaj mojego brata Juda, Judsona Foleya.

— Witam — powiedział. — Nie należało dopuszczać jej do butelki. Ma słabą głowę do mocnych alkoholi. Już ją zabieram.

Z pełną znużenia zręcznością zarzucił sobie jej rękę na szyję, objął ją w pasie, poprowadził przez frontowy pokój do rozjaśnionej sypialni, położył na wielkim łożu i zgasił światło.

Wydawał się niemile zdziwiony, zastawszy mnie w pokoju.

— Dobranoc, panie Archer, czy jak ci tam jest — pożegnał mnie. — Zamykamy lokal.

— Nie jesteś bardzo gościnnie.

— Nie. Gościnność to domena siostry. — Rozejrzał się z kwaśną miną po małym pokoju, przepelnionych popielniczkach, zabrudzonych szklanek, rozrzuconych gazetach. — Widzę cię pierwszy i ostatni raz. Cemu miałbym być gościnnie?

— Jesteś pewien, że pierwszy? Zastanów się dobrze.

Jego piwne oczy oceniły moją twarz, a potem całą postać. Nerwowo podrapał się po wysokim czole. Pokręcił głową.

—Jeśli wcześniej cię widziałem, musiałem być na fleku. Sally ściągnęła cię do siebie, kiedy byłem na fleku?

—Nie. Byłeś pijany wieczorem w piątek?

—Niech się zastanowię, co wtedy robiłem. Chyba byłem poza miastem. No. Wróciłem dopiero w sobotę przed południem. Musiałeś wpaść na innego faceta. — Silił się na swobodny, obojętny ton.

—Nie wydaje mi się, Jud. Wpadłem na ciebie, czy raczej ty na mnie, około dziewiątej wieczorem w piątek w Pacific Point.

Panika rozjaśniła mu twarz jak błyskawica.

—Coś ty za jeden? — spytał.

—Goniłem cię podjazdem Helen Haggerty, pamiętasz? Byłeś dla mnie za szybki. Dogonienie cię zajęło mi dwa dni.

Dyszał jak po biegu.

—Jesteś z policji? — wyjąkał.

—Jestem prywatnym detektywem.

Opadł na wyplatany trzcina fotelik, zaciskając tak mocno ręce na delikatnych poręczach, że zatrzeszczały. Parsknął. Prawie zaszlochał.

—To pomysł Bradshawa, no nie?

Nie odpowiedziałem. Uprzątnąłem drugi fotel i usiadłem.

—Bradshaw uznał, że to, co mówiłem, trzyma się kupy. Myślałem, że da mi święty spokój. Teraz nasyła ciebie. — Zmrużył oczy. — Pewnie próbowałaś wycisnąć z Sally wszystko na mój temat.

—Nie trzeba było nic wyciskać.

Odwrócił się i rzucił złe spojrzenie w kierunku sypialni.

—Lepiej, żeby trzymała gębę na kłódkę i nie opowiadała o moich sprawach — warknął.

—Nie wini jej za własne posunięcia.

—Ale całe draństwo polega na tym, że nie wykonałem żadnego posunięcia. Powiedziałem to Bradshawowi i uwierzył mi, przynajmniej tak twierdził.

—Mówisz o Royu Bradshawie?

— A o kim innym? Rozpoznał mnie tamtej nocy albo tak mu się przy najmniej zdawało. Po ciemku nie widziałem, na kogo wpadam. Chciałem tylko znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

— Dlaczego?

Wzruszył ramionami i zastygł w tym geście, opuściwszy głowę.

— Nie chciałem kłopotów z władzą — wyjaśnił.

— Co robiłeś u Helen?

— Sama prosiła, żebym przyjechał. Niech to szlag, wpadłem jak śliwka w kompot. Zadzwoiła do mnie, do motelu w Santa Monica, i błagała niemal na klęczkach, żebym przyjechał i spędził u niej noc. Nie prosiła o to dla moich pięknych oczu. Potrzebowała towarzystwa, trzęsa się ze strachu.

— O której dzwoniła?

— Około siódmej, może wpół do ósmej. Właśnie wróciłem, pojechałem kupić coś do jedzenia. — Opuścił ramiona. — Słuchaj, wiesz to wszystko, Bradshaw ci powiedział, no nie? Co chcesz osiągnąć, przyłapać mnie na błędzie?

— To jest pomysł. Jaki błąd miałeś na myśli?

Pokręcił przecząco głową i kręcił nią w dalszym ciągu, mówiąc:

— Nie miałem na myśli nic szczególnego. Rzecz w tym, że nie stać mnie na błędy.

— Już popełniłeś duży błąd, uciekając.

— Wiem. Wpadłem w panikę. — Jeszcze trochę pokręcił głową. — Ona tam leżała z dziurą po kuli w czaszce i ja się napatoczyłem, idealnie pasując na sprawcę morderstwa. Usłyszałem was, jak nadchodzicie, i wpadłem w panikę. Musisz mi uwierzyć.

Zawsze to mówią.

— Czemu mam ci uwierzyć? — spytałem.

— Bo mówię prawdę. Jestem niewinny jak niemowlę.

— Trudno o bardziej niewinną istotę.

— Nie chodzi mi o to, że w ogóle, chodzi o tę konkretną sytuację. Bardzo się starałem pomóc Helen. Zupełna jak nie ja. To bez sensu, żebym jechał ją wykończyć. Naprawdę lubiłem tę dziewczynę. Mieliśmy ze sobą wiele wspólnego.

To chyba nie był komplement pod adresem jej ani jego. Bert Haggerty mówił, że jego nieżyjąca żona była „zdeprawowana”. Człowiek siedzący przede mną był dwuznaczną postacią. Za maską przystojniaka krył się osobnik w opłakanym stanie, ofiara bolesnego upadku ze społecznej drabiny. Mimo to w połowie mu wierzyłem. Ale nie więcej.

— Co mieliście ze sobą wspólnego?

Rzucił mi szybkie spojrzenie spod oka. To pytanie wybiegało poza zwykły scenariusz przesłuchań. Zastanowił się. Wreszcie rzekł:

— Oboje lubiliśmy sporty. Taniec. Zabawy. Naprawdę, wiele razy spędzaliśmy wesoło czas. Myślałem, że się skończę, kiedy ją znalazłem.

— Jak do tego doszło?

— Przecież wszystko wiesz — odparł niecierpliwie. — Pracujesz dla Bradshawa, nie?

— Ujmijmy to tak: Bradshaw i ja jesteśmy po tej samej stronie. — Chciałem wiedzieć, dlaczego osoba Roya Bradshawa tak bardzo nie daje spokoju Foleyowi, ale inne sprawy miały pierwszeństwo. — Może sprawiłbyś mi tę przyjemność i powiedział, jak poznałeś Helen?

— To żadna tajemnica. — Machnął kciukiem w dół, jak cesarz, skazujący gladiatora na śmierć. — Latem przez półtora miesiąca wynajmowałem mieszkanie na dole. Ona i Sally przypadły sobie do gustu i w końcu przyłączyłem się do nich. Często wyskakiwaliśmy do miasta całą trójką.

— Autem Sally?

— Wtedy miałem własne, galaxie pięćsetkę, z sześćdziesiątego drugiego roku — oznajmił z dumą. — To było w sierpniu, zanim straciłem robotę. Potem nie mogłem wydolić z ratami.

— Jak doszło do tego, że straciłeś pracę?

— A co to ma za znaczenie? Moja robota nie miała żadnego związku z Helen Haggerty, żadnego.

Jego opór wzbudził moje podejrzenia.

— Gdzie pracowałeś? — spytałem.

— Powiedziałem ci, to nie ma żadnego znaczenia.

— Łatwo się dowiem, gdzie pracowałeś. Równie dobrze sam możesz mi powiedzieć.

W końcu wydusił to z siebie, spuściwszy wzrok.

— Byłem kasjerem w Solitaire. Chyba pomyliłem się raz za dużo. — Patrzył na swoje silne, szerokie, niespokojne ręce.

— Więc szukałeś pracy w Los Angeles?

— *Correcto*. — Chyba odetchnął, kiedy już nie musiał opowiadać o swojej posiadce i o tym, dlaczego ją utracił. — Nie złapałem żadnego kontaktu, ale i tak muszę się stąd wyrwać.

— Dlaczego?

Podrapał się po głowie, mówiąc:

— Nie mogę mieszkać na garnuszku u siostry. Ta żebrania o pieniądze mnie wykańcza. Skoczę do LA i jeszcze raz się rozejrzę.

— Wróćmy do tamtego razu. Powiedziałaś, że Helen zadzwoniła do ciebie w piątek wieczorem. Skąd wiedziała, że jesteś w motelu?

— Dzwoniłem do niej wcześniej, w tygodniu.

— W jakim celu?

— W tym samym co zwykle. To znaczy, chciałem ją namówić, żebyśmy się spotkali, spędzili wesoło czas. — Wciąż mówił o wesołym spędzaniu czasu, ale miał taką minę, jakby już nie pamiętał, kiedy ostatni raz mu się to udało. — Helen już była umówiona na tamten wieczór, na środę. Z Bradshawem. Szli na jakiś koncert. Powiedziała, że zadzwoni do mnie przy innej okazji. I zadzwoniła, w piątek wieczorem.

— Co powiedziała?

— Że ktoś telefonował do niej z pogrózkami i że się boi. Nigdy wcześniej nie słyszałem jej tak przerażonej. Powiedziała, że poza mną nie ma się do kogo zwrócić. A ja przyjechałem za późno. — Wydawał się przygnębiony, ale nawet jego przygnębienie było połowiczne, jakby uważał, że Helen, umierając, okradła go z czegoś.

— Czy Helen i Bradshaw utrzymywali bliskie stosunki?

— Nie powiedziałbym. Poznał ją chyba przypadkowo ostatniego lata, tak

samo jak ja. Zresztą w piątek wieczorem i tak był zajęty. Miał wygłosić mowę na jakimś ważnym bankiecie. Przynajmniej tak twierdził dziś rano.

— Mówił prawdę. Czy Bradshaw i Helen spotkali się tu, w Reno?

— A gdzie indziej?

— Myślałem, że Bradshaw spędził lato w Europie.

— Źle myślałeś. Siedział tu cały sierpień.

— Co robił?

— Raz wspomniał, że gromadzi materiały naukowe na uniwersytecie Nevada. Nie powiedział jakie. Prawdę mówiąc, ledwo go znam. Spotkailiśmy go kilka razy, ja i Helen, i tyle. Potem zero kontaktu, aż do dzisiaj.

— I mówisz, że rozpoznałeś go w piątek wieczorem i że przyjechał do ciebie i zadawał pytania?

— Taka jest prawda. Przyjechał przed południem i przemaglował mnie aż miło. Uwierzył, że nie popełniłem tego morderstwa. Nie rozumiem, czemu ty nie możesz uwierzyć.

— Zanim wyrobię sobie zdanie na ten temat, chcę porozmawiać z Bradshawem. Wiesz, gdzie on teraz jest?

— Powiedział, że wziął pokój w Lakeview Inn, na północnym brzegu. Nie wiem, czy wciąż tam jest, czy nie.

Wstałem i otworzyłem drzwi ze słowami:

— Chyba pojedę i sprawdzę.

Zasugerowałem Judowi, żeby został na miejscu, bo znowu uciekając, postawi się w bardzo niekorzystnym świetle. Pokiwał głową. Nadal nią kiwał, ale nagle uległ pokusie, by postąpić odwrotnie, niż mu radziłem, i rzucił się na mnie. Trafił mnie ramieniem pod żebra, rzucając na framugę i wyciskając powietrze z płuc.

Chciał mi przyłożyć w szczękę. Zrobiłem unik. Jego pięść trafiła w gipsową ścianę. Zaskomlał z bólu. Drugą pięścią trafił mnie poniżej pasa. Osunąłem się po framudze. Wymierzył mi kopniaka, muskając kolaniem krawędź szczęki.

To zachęciło mnie do wstania. Znow się na mnie rzucił, uderzając z byka. Zszedłem z linii ciosu i kiedy przelatował obok, uderzyłem go w kark. Nogi zmiękły mu w kolanach, ale niesiony rozpędem znalazł się na

podeście schodów i poleciał w dół. Znieruchomiał u stóp schodów.

Ale kiedy zjawiała się policja, był przytomny. Pojechałem za radiowozem na posterunek i upewniłem się, że wezmą Foleya w obroty. Nie minęło pięć minut, a zjawił się Arnie. Funkcjonariusze znali go i darzyli zaufaniem. Foley wylądował za kratkami pod zarzutem napaści i próby pobicia.

ROZDZIAŁ 24

Arnie podrzucił mnie do Lakeview Inn, rudery w stylu „gotyk kalifornijski”, pochodzącej prawdopodobnie z pierwszych lat dwudziestego wieku. Pokolenia letników przemaszerowały przez hol, niwelując wszelki staroświecki urok, który może kiedyś otaczał to miejsce. Nie mogłem uwierzyć, że Roy Bradshaw wybrał ten hotel.

Ale stary nocny recepcjonista rozwiązał moje wątpliwości. Potem wyjął z kieszonki kamizelki grubą cebulę i spojrzął na cyferblat, mówiąc:

— Mamy bardzo późną porę. Może państwo Bradshawowie już śpią.

— Państwo Bradshawowie?

— Pan i pani Bradshaw. Jeśli pan sobie życzy, mogę iść i poprosić go, żeby zszedł. Nie zainstalowaliśmy telefonów w numerach.

— Pójdę na górę. Jestem przyjacielem doktora.

— Nie wiedziałem, że pan Bradshaw jest doktorem.

— Doktorem filozofii — wyjaśniłem. — Który numer pokoju?

— Trzydzieści jeden, na najwyższym piętrze. — Staruszek chyba odechnął z ulgą, że nie będzie musiał się wspinać.

Zostawiłem Arniego z recepcjonistą i wszedłem na drugie piętro. Zza szybki nad drzwiami numeru 31 biło światło. Słyszałem niewyraźny szmer

głosów. Zapukałem. Zapadła cisza, po czym rozległo się szuranie kapci. Zza drzwi padło pytanie:

— Kto tam?

Poznałem głos Roya Bradshawa.

— Archer.

Czułem, że się waha. Być może nasze głosy dotarły do gościa śpiącego po drugiej stronie korytarza, bo zaczął chrapać. Bradshaw spytał:

— O co panu chodzi?

— Muszę z panem porozmawiać.

— To nie może poczekać do rana? — Był wyraźnie zniecierpliwiony i zatracił swój harwardzki akcent.

— Nie. Nie może. Musi mi pan poradzić, co mam zrobić z Judsonem Foleyem.

— No dobrze. Ubiorę się.

Czekałem w wąskim, słabo oświetlonym korytarzu. Wokół unosił się lekki kwaśny odór, który stare budynki zdają się przejmować od ludzi, przemierzających je noc po nocy, woń upływającego życia. Do chrapania doszły straszliwe jęki. Kobięcy głos nakazał śpiącemu odwrócić się na bok i niespokojne odgłosy ucichły.

Z pokoju Bradshawa doleciała mnie krótka wymiana zdań. Jakaś kobieta czegoś się domagała, a Bradshaw nie chciał spełnić jej prośby. Wydawało mi się, że rozpoznaję głos rozmówczyni, nie byłem jednak tego pewien.

Wątpliwości pierzchły, kiedy Bradshaw w końcu uchylił drzwi. Starł się tak wyślizgnąć, żebym nic nie dojrzał, ale dostrzegłem Laurę Sutherland. Siedziała wyprostowana na brzegu niepościelonego łóżka, w cnotliwie skrojonym szlafroku w tureckie wzory. Włosy miała rozpuszczone na ramiona, była zaróżowiona i śliczna.

Bradshaw zatrzasnął drzwi.

— Więc teraz pan wie — mruknął.

Włożył luźne spodnie i czarny golf i wyglądał jak student. Mimo że był spięty, wydawał się całkiem zadowolony z życia.

— Nie wiem, co wiem — odparłem.

— Niech mi pan wierzy, nie żyjemy na kocią łapę. Od jakiegoś czasu Laura i ja jesteśmy małżeństwem. Na razie utrzymujemy nasz związek w tajemnicy. Proszę, by zachował pan tę informację dla siebie.

Nie obiecałem mu niczego.

— Po co te wszystkie tajemnice? — spytałem.

— Mamy swoje powody. Przede wszystkim przepisy obowiązujące w college'u nie zezwalają na zatrudnianie małżeństw. Laura musiałaby zrezygnować ze stanowiska. Oczywiście zamierza to uczynić, ale nie natychmiast. I pozostaje problem, jak zareaguje matka. Nie wiem, jak jej to przekazać.

— Może po prostu. Przeżyje.

— Łatwo powiedzieć. To niemożliwe.

Pomyślałem, że o tej niemożności decydują pieniądze. Posiadanie pieniędzy i oczekiwanie w spadku jeszcze większych pieniędzy kształtuje nawyki, z którymi trudno rozstać się mężczyźnie na progu wieku średniego. Ale Bradshaw wzbudził mój podziw. Miał w sobie więcej życia, niż podejrzewałem.

Zeszliśmy do holu, w którym Arnie grał w remika z recepcjonistą. Bar był ponurą jaskinią z jelenimi rogami na ścianach zamiast stalaktytów i klientami zamiast stalagmitów. Jeden z gości, tubylec w bejsbolówce, wiatrówce i z wielkim brzuchem, chciał postawić drinka Bradshawowi i mnie. Barman powiedział mu, że czas iść do domu. Hojny tubylec usłużył go, a po chwili większość pozostałych klientów poszła w jego ślady.

Siedliśmy przy barze. Bradshaw zamówił podwójnego bourbona i nalegał, bym wziął to samo, chociaż nie potrzebowałem alkoholu. W jego naciskach było coś agresywnego. Nie przebaczył mi tego, że przypadkiem odkryłem jego tajemnicę, a może tego, iż wyciągnąłem go z małżeńskiego łóżka.

— No i co z Judsonem Foleyem? — spytał.

— Mówi, że rozpoznał go pan w piątek w nocy.

— Miałem przecucie, że to on. — Bradshaw odzyskał harwardzki akcent i starał się za nim ukryć jak za maską.

— Czemu mi pan tego nie powiedział? Mógł mi pan oszczędzić masy zachodu i wydatków.

Z powagą spojrzął na mnie znad szklanki, mówiąc:

— Musiałem mieć pewność, a było mi do niej bardzo daleko. Nie mogłem oskarżyć człowieka i napuszczać na niego policji, dopóki nie miałem pewności.

— Więc przyjechał pan tu, żeby zdobyć pewność?

— Tak się przypadkiem złożyło. Są chwile w życiu człowieka, kiedy jednocześnie wszystko układa się jak należy, zauważył pan? — Spod maski powagi wystrzelił błysk radości. — Od jakiegoś czasu Laura i ja planowaliśmy wpaść na weekend do Reno i wreszcie się nam udało. Spotkanie z Foleyem to sprawa uboczna, chociaż oczywiście bardzo ważna. Zajrzałem do niego dziś przed południem i bardzo szczegółowo go odpytałem. Wydaje mi się zupełnie niewinny.

— Niewinny czego?

— Zamordowania Helen. Przyjechał do niej, zamierzając pomóc w ramach swoich możliwości, ale kiedy dotarł na miejsce, wszelka pomoc była już na nic. Wpadł w popłoch i uciekł.

— Skąd ten popłoch?

— Wystraszył się, że zostanie niesłusznie oskarżony, że, jak to nazywał, zostanie wrobiony. Miał wcześniej pewne kłopoty z prawem. Chodziło o, jak to się mówi, ustawianie meczów futbolowych.

— Skąd pan to wie?

— Powiedział mi. Mam — odparł z próżnym uśmiechem — pewną zdolność do wzbudzania zaufania u tych... hm... nieprzystosowanych. Ten człowiek był wobec mnie całkowicie szczerzy i jestem absolutnie przekonany, że nie ma nic wspólnego z zamordowaniem Helen.

— Prawdopodobnie ma pan rację. Niemniej jednak chciałbym dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

— Wiem o nim bardzo mało. Był przyjacielem Helen. Widziałem go kilka razy w jej towarzystwie.

— W Reno.

— Tak. Spędziłem część lata w Nevadzie. To kolejny fakt z mojego życia, którego nie rozgłaszam. — Dodał ogólnikowo: — Przecież człowiek

ma prawo do jakiegoś życia prywatnego.

— Chodzi o to, że był tu pan z Laurą?

Opuścił wzrok.

— Spędziła ze mną trochę czasu. Wtedy jeszcze nie byliśmy w pełni zdecydowani na małżeństwo. To była ważka decyzja. Oznaczała koniec jej kariery zawodowej i koniec mojego... mieszkania z matką — zakończył niezręcznie.

— Rozumiem, dlaczego nabrał pan wody w usta. Niemniej jednak ukrywanie przede mną tego, że spotkał pan Foleya i Helen w Reno, nie było mądre.

— Ma pan rację. Proszę o wybaczenie. Ale tak to jest, kiedy ukrywasz jedno, zaczynasz ukrywać coraz więcej. — Dodał roznamiętinionym głosem: — Darzę Laurę głębokim uczuciem. Reaguję irracjonalnie na wszystko, co mogłoby zburzyć naszą idyllę. — Jego słowa były sztywne i staromodne, ale uczucie za nimi wydawało się prawdziwe.

— Co łączyło Foleya i Helen?

— Rzekłbym, że przyjaźń, nic ponadto. Szczerze mówiąc, byłem trochę zaskoczony, że wybrała go na towarzysza zabaw. Pewnie jednak wabikiem było to, że liczył sobie mniej lat od niej. Wie pan, w Reno dobrze jest pokazać się u boku kogoś atrakcyjnego. Sam tego doświadczyłem, opędzając się przed atakami drapieżnych pań.

— Czy to dotyczy również Helen?

— Nie mówię, że nie. — Wydawało mi się, że mimo ponurego nastroju lekko się zarumienił. — Oczywiście nie wiedziała o moim... mojej znajomości z Laurą. Trzymałem to w tajemnicy przed wszystkimi.

— To dlatego nie chciał pan, żeby Foley został wezwany na przesłuchanie?

— Nie powiedziałem tego.

— Więc pytam pana o to.

— Przypuszczam, że po części tak. — Zapadła długa cisza. — Ale jeśli uważa pan, że koniecznie należy go przesłuchać, nie będę oponował. Laura i ja naprawdę nie mamy niczego do ukrycia.

Barman oświadczył:

—Do dna, džentelmeni. Zamykamy.

Dopiliśmy drinki. W holu Bradshaw wymienił ze mną krótki nerwowy uścisk dłoni, mruczając coś, że musi wrócić do żony. Pobiegł na palcach, przeskakując po dwa stopnie.

Poczekalem, aż Arnie dogra partyjkę remika. O tym, że został pierwszorzędnym detektywem, przesądziło między innymi to, iż potrafił przeniknąć do niemal każdego środowiska, umiał znaleźć się w niemal każdej sytuacji i nawiązać z każdym swobodną rozmowę. Kiedy wychodził, pożegnał się z recepcjonistą uściskiem dłoni.

—Kobieta, z którą zamieszkał twój przyjaciel — powiedział w samochodzie — to przystojna, dobrze wyposażona przez naturę brunetka, mówiąca literackim językiem.

—Jest jego żoną.

—Nie powiedziałaś mi, że Bradshaw jest żonaty — rzekł nieco poirytowany.

—Sam dopiero się o tym dowiedziałem. Jego małżeństwo to sprawa sub rosa. Biedak jest tyranizowany w domu przez matkę. I nie tylko w domu. Starsza pani siedzi na pieniądzech i Bradshaw chyba się boi, że zostanie wydziedziczony.

—Lepiej zrobiłby, wyznając jej wszystko, bez względu na konsekwencje.

—To samo mu mówiłem.

Ruszyliśmy wzdłuż brzegu jeziora. Arnie opowiedział mi długą historię o klientce, którą miał, pracując przed wojną dla oddziału Pinkertona w San Francisco. Była to bogata sześćdziesięcioletnia wdowa, zamieszkująca w Hillsborough ze swoim trzydziestoletnim synem. Syn zawsze wracał przed północą, rzadko wcześniej, i matka chciała się dowiedzieć, co robi wieczorami. Okazało się, że pięć lat wcześniej ożenił się z byłą kelnerką i utrzymywał ją i trójkę ich dzieci w szeregówce w południowej części San Francisco.

Ponieważ Arnie nie był łaskaw dokończyć opowieści, spytałem go:

—No i co dalej?

—Starsza pani oszalała na punkcie wnuków i dla ich dobra pogodziła się

z faktem, że ma synową ekskelnerkę. A potem wszyscy żyli długo i szczęśliwie za pieniądze babci.

— Wielka szkoda, że Bradshaw nie ożenił się na tyle wcześniej, żeby dorobić się dzieci.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Droga odbiła od wybrzeża i pędziliśmy tunelem drzew, wypełnionym gęstym, słodkim, zielonym mrokiem. Wciąż myślałem o Bradshawie i męskiej stronie jego natury, której istnienia nie podejrzewałem.

— Chciałbym, żebyś trochę przeświecił Bradshawa, Arnie.

— Czy teraz, kiedy jego małżeństwo wyszło na jaw, awansował na listę podejrzanych?

— Nie według zasad mojego podręcznika. W każdym razie jeszcze nie. Niemniej jednak ukrył fakt, że latem spotkał Helen Haggerty w Reno. Chcę dokładnie wiedzieć, co tu robił. Powiedział Foleyowi, że gromadził dokumentację naukową na uniwersytecie stanowym, ale to nie wydaje mi się prawdopodobne.

— Czemu?

— Zrobił doktorat na Harvardzie, więc raczej szukałby materiałów do pracy naukowej w Berkeley albo na Uniwersytecie Stanforda. Chcę też, żebyś trochę przeświecił Foleya. Dowiedz się, czemu wylano go z klubu Solitaire.

— Żaden problem. Szef ochrony Solitaire to mój stary znajomy. — Spojrzał na zegarek, korzystając z blasku zegarów tablicy rozdzielczej. — Moglibyśmy teraz tam skoczyć, ale nie ma co szukać go w robocie w niedzielę wieczorem.

— Wystarczy jutro.

Phyllis czekała na nas z kolacją i czymś do kolacji. Zasiedzieliśmy się do późna jak osły, lekko wstawieni i połączeni wspomnieniami oraz znużeniem. W końcu rozmowa zatoczyła pełny krąg, wracając do Helen Haggerty i jej śmierci. O trzeciej w nocy czytałem na głos wiersz z „Bridgeton Blazer” o wiolonczelowym graniu jesiennego wiatru.

— Strasznie smutny — powiedziała Phyllis. — To musiała być wyjątkowa dziewczyna, nawet jeśli to tylko tłumaczenie.

— Tak określił ją ojciec. Wyjątkowa. On też jest wyjątkowy na swój sposób.

Próbowałem im opowiedzieć o twardym gliniarzu moczymordzie ze złamanym sercem, który miał hardą córkę. Nagle zrobiło się wpół do czwartej i Phyllis spała z głową na kuchennym stole, pośród butelek. Jej włosy wyglądały jak wyczerpane dalie. Arnie zaczął sprzątać, ostrożnie, żeby niepotrzebnie za wcześnie jej nie obudzić.

Gdy znalazłem się w gościnnym pokoju, miałem jedno z tych olśnień, które czasem przychodzą, kiedy jednocześnie jesteśmy bardzo zmęczeni i emocjonalnie pobudzeni. Uznałem, że Hoffman dał mi „Blazer” nie bez powodu. Chciał mi coś wskazać.

Siedziałem w bieliźnie na krawędzi odłoniętego, pachnącego świeżością łóżka i czytałem pisemko, aż oczy zaczęły mi się kleić. Dowiedziałem się wiele o życiu studenckim w Bridgeton dwadzieścia dwa lata temu, ale nie natrafiłem na nic, co miałoby jakiś związek z moją sprawą.

Znalazłem jednak inny wiersz, który mi się spodobał. Był podpisany: G.R.B.

Gdyby czarne było światło,
A czerń światłem razila.
Czarna dziura, księżyc,
W nocy blasku by się była.

Skrzydło kruka
Lśniłoby jak cyna,
A ty mroczniejsza niż grzech
Byłabyś, miła.

Odczytałem go na głos przy śniadaniu. Phyllis powiedziała, że za zdrości kobiecie, dla której został napisany. Arnie narzekał na jajka sadzone, twierdząc, że Phyllis zbyt je wysmażyła. Był od niej starszy i nieco przewrażliwiony.

Po śniadaniu zdecydowaliśmy, żeby na razie zostawić Judsona Foleya tam, gdzie trafił. Gdyby Dolly Kincaid znalazła się na ławie oskarżonych, Foley bardzo przydałby się obronie, wyciągnięty zza kratki niczym diabeł z pudełka. Arnie zawiózł mnie na lotnisko i złapałem rejs Pacific do Los Angeles.

Po przylocie kupiłem miejscową gazetę i w wiadomościach z regionu południowego, na drugiej stronie, znalazłem krótki opis zabójstwa Helen Haggerty. Gazeta donosiła ponadto, że w związku z tą sprawą poszukuje się dawnego żonobójcy, Thomasa McGee, zwolnionego tego roku z San Quentin. Policja chce go przesłuchać. Nie było słowa o Dolly Kincaid.

ROZDZIAŁ 25

Około południa pchnąłem drzwi kancelarii Jerry’ego Marksa i wchodząc prosto z ulicy, znalazłem się przed obliczem jego sekretarki. Powiedziała mi, że w poniedziałek na wokandzie są sprawy kryminalne i Jerry spędził przedpołudnie w sądzie. Zapewne teraz je lunch w którejś z pobliskich restauracji. Tak, pan Kincaid porozumiał się z panem Marksem w niedzielę i zatrudnił go.

Znalazłem obu w restauracji, w której Alex i ja jedliśmy lunch dzień wcześniej. Alex zrobił mi miejsce po swojej stronie łoży, z widokiem na ulicę. W środku był komplet, a przy drzwiach czekała krótka kolejka.

— Cieszę się, że się dogadaliście — zagałem.

Alex zdobył się na uśmiech, co nieczęsto mu się zdarzało.

— Ja też się cieszę, pan Marks był wspianiały — powiedział.

Jerry lekceważąco machnął ręką.

— Tak naprawdę nic nie wskórałem. Przed południem musiałem skończyć sprawę. Potem starałem się wyciągnąć z Gila Stevensa wszystko, co wie, ale powiedział mi tylko tyle, żebym zajrzał do protokołów rozpraw sądowych. Zamierzam to zrobić po południu. Pani Kincaid — powiedział, zezując na Alexa — była równie niekomunikatywna jak Stevens.

— Więc rozmawiałeś z Dolly?

Zniżył głos.

—Próbowałem, wczoraj. Musimy wiedzieć, na czym stoimy zanim policja ją dorwie.

—Na to się zapowiada?

Jerry rozejrzał się po tłumie prawników, ich klientów i prokuratorów, po czym obniżył głos jeszcze bardziej:

—Z tego, co się mówi, wynika, że planowali dzisiaj przejść do działania, po skończeniu prób balistycznych. Ale mają jakiś problem. Szeryf i sprowadzeni eksperci są wciąż na strzelnicy pod gmachem sądu.

—Kula mogła się rozprysnąć. To częsty wypadek przy ranach czażki. A może skupili się na innym podejrzanym. Widziałem w gazecie, że rozesłali list gończy za Thomasem McGee.

—Tak, wczoraj. Pewnie jest już za granicą meksykańską.

—Uważasz go za głównego podejrzanego, Jerry?

—Chcę przeczytać protokół, zanim wyrobię sobie opinię. Ty też?

To było trudne pytanie. Zostałem wybawiony od odpowiedzi, gdyż zaszło coś, co zmusiło mnie do przerywania rozmowy. Dwie starsze panie, jedna w żałobie, druga w eleganckich zieleniach, zajrzały przez szklane drzwi. Na widok kolejki odeszły. Damą w czerni była pani Hoffman, matka Helen. Drugą była wdowa po Luke’u Deloneyu.

Przeprosiłem i wyszedłem za nimi. Przecięły ulicę w nieoznaczonym miejscu i skierowały się do śródmieścia, roztrącając plamy światłocieni pod gigantycznymi jukami, którymi obsadzono terytorium sądu. Chociaż nieustannie rozmawiały, szły jak obce sobie istoty, nie w nogę i bez widocznych oznak sympatii. Pani Deloney była znacznie starsza, ale dziarsko kłusowała krokiem kawalerzysty. Pani Hoffman drobila obok zmęczonymi nogami.

Trzymałem się drugiej strony ulicy, zachowując dystans. Serce mi waliło. Przybycie pani Deloney do Kalifornii umocniło mnie w wierze, że oba morderstwa — jej męża i Helen — wiążą się ze sobą i że nie jest to dla niej tajemnicą.

Zmierzały do głównej ulicy i minawszy dwie przecznice, weszły do pierwszej

napotkanej restauracji, nastawionej na łupienie turystów. Za szklaną taflą widziałem puste stoliki. Po przeciwnej stronie ulicy, nieco wcześniej, była trafika z otwartymi podwójnymi drzwiami. Obejrzałem wystawione książki w broszurowych okładkach, kupiłem papierosy i wypaliłem ich cztery czy pięć, używając staromodnej gazowej zapalniczki, a w końcu nabyłem dziełko o klasycznej greckiej filozofii. Był w nim rozdział o Zenonie. Stojąc, zapoznałem się z jego poglądami. Lunch zajął starszym paniom sporo czasu.

— Łucznik nigdy nie dopadnie starszych pań — powiedziałem*.

Sprzedawca za kontuarem przyłożył dłoń do ucha.

— Czego? — spytał.

— Myślałem na głos.

— To wolny kraj. Po robocie też lubię pogadać sam ze sobą. Tu, w sklepie, nie wypada. — Uśmiechnął się i złote zęby błysnęły mu jak biżuteria.

Starsze panie wyszły z restauracji i rozdzieliły się. Pani Hoffman pokuśtykała w kierunku południowym, do hotelu. Pani Deloney pomaszerowała w przeciwnym kierunku, nabrawszy jeszcze większego rozpędu, kiedy już nie ciążyła jej obecność towarzyszki. Z pewnej odległości można ją było wziąć za młodszą kobietę, która nie wie, czemu utleśniła sobie włosy na białą.

Skręciła w kierunku sądu i w połowie kwartału znikła w nowoczesnym budynku z betonu i szkła. Przy wejściu wisiała mosiężna tablica „Kancelaria adwokacka Stevens i Ogilvy”. Przeszedłem do następnego rogu, usiadłem na ławce przystanku autobusowego i przeczytałem w mojej nowej książce o Heraklicie. Powiadał, że wszystko płynie jak rzeka, nic nie stoi w miejscu. Natomiast Parmenides wierzył, iż nic się nie zmienia, tylko tak nam się wydaje. Oba poglądy budziły moje uznanie.

Przed kancelarią Stevens i Ogilvy zatrzymała się taksówka. Z budynku wyszła pani Deloney i wsiadła do pojazdu. Zanim wszedłem do budynku, zapisałem numery rejestracyjne.

* Gra słów, „łucznik” ang. *archer*.

To była duża kancelaria, w której nikt nie próżnował. W rzędzie bok-
sów za poczekalnią stukwały maszyny do pisania. Młodziutki adwokat we
flanelowym garniturze klarował kobiecie w średnim wieku, siedzącej u
szczytu hali maszyn, jak powinno wyglądać przepisane na maszynie
streszczenie jego wystąpienia.

Po chwili odszedł. Jej spojrzenie koloru szarej stali i moje się spotkały
i uśmiechnęliśmy się do siebie. Powiedziała:

— Pisałam wystąpienia sądowe adwokatom, kiedy on był tylko błys-
kiem w oku swojego taty. W czym mogę panu pomóc?

— Bardzo zależy mi na spotkaniu z panem Gilem Stevenssem. Nazy-
wam się Archer.

Sprawdziła rozkład spotkań szefa, a potem spojrzała na zegarek.

— Pan Stevens ma za dziesięć minut umówiony lunch. Dziś nie wraca
już do kancelarii. Przykro mi.

— Chciałem z nim porozmawiać na temat sprawy o morderstwo.

— Rozumiem. Jeśli to pana zbawi, spróbuję pana wcisnąć na pięć mi-
nut.

— Może zbawić.

Porozmawiała ze Stevenssem przez telefon i wskazała mi gabinet na
końcu hali, za boksami. Był duży i bogato urządzone. Stevens siedział w
skórzanym fotelu, za mahoniowym biurkiem, między serwantkami z
nagrodami w regatach. Miał lwie rysy, duże, miękkie, wyraziste usta,
wysokie czoło osłonięte strzelistymi falami rudawosiwych włosów, blade
niebieskie oczy, które widziały już wszystko i kolejny raz oglądały to
samo. Nosił tweedowy garnitur i kolorową muszkę.

— Proszę zamknąć za sobą drzwi, panie Archer, i usiąść.

Zaparkowałem na skórzanej kozetce i zacząłem mu opowiadać, co ro-
bię w tym mieście. Jego ciężki głos przerwał mi:

— Mam dokładnie pięć minut. Wiem, kim pan jest, drogi panie, i chy-
ba wiem, o co panu chodzi. Chciałby pan omówić ze mną sprawę McGee.

Spróbowałem wybić go z rytmu:

— I sprawę Deloneya.

Jego brwi poszły w górę, układając skórę w liczne fałdy. Powiedziałem mu, co się wydarzyło Luke'owi Deloneyowi. Czasem jedna informacja jest ceną za drugą.

Pochylił się.

— Mówi pan, że to jest w jakiś sposób związane z zamordowaniem Helen Haggerty?

— Musi być związane. Haggerty mieszkała w apartamentowcu Deloneya. Powiedziała, że zna świadka morderstwa Deloneya.

— Dziwnie, że o tym nie wspomniała. — Nie mówił do mnie. Rozmawiał sam ze sobą o pani Deloney. Przypomniał sobie o mojej obecności. — Czemu przychodzi pan z tym do mnie?

— Pomyślałem sobie, że może pan być tym zainteresowany, skoro pani Deloney jest pana klientką.

— A jest?

— Zakładam, że tak.

— Może pan zakładać, co pan chce. Podejrzewam, że śledził ją pan.

— Tak się złożyło, że widziałem ją wchodzącą. Ale niezależnie od tego już wcześniej chciałem się z panem skontaktować.

— Dlaczego?

— Bronił pan Thomasa McGee. Śmierć jego żony była drugim z serii trzech morderstw, które zaczęły się od Deloneya i skończyły na Helen Haggerty. Teraz próbuje się przypisać McGee lub jego córce, lub obojgu tę ostatnią śmierć. Wierzę, że McGee był i jest niewinny.

— Dwunastu jego współobywateli myślało inaczej.

— Czemu tak myślało, panie Stevens?

— Nie czerpię przyjemności z rozpatrywania dawnych błędów.

— To może mieć związek z teraźniejszością. Córka McGee przyznaje, że kłamała w sądzie. Mówi, że tym kłamstwem wpędziła ojca do więzienia.

— Tak teraz mówi? To bicie się w piersi jest nieco spóźnione. Powiniennem wziąć ją w ogień krzyżowych pytań, ale McGee tego nie chciał. Popełniłem błąd, ulegając mu.

—Jaki motyw nim kierował?

—Kto wie? Może miłość ojcowska lub poczucie, że jego dziecko dość się nacierpiało. Dziesięć lat w więzieniu to wysoka cena za taką wrażliwość uczuć.

—Jest pan przekonany, że McGee był niewinny?

—O tak. A deklaracja jego córki przekreśla wszelkie wątpliwości. — Stevens wyjął ze szklanego tubusu cygaro z zielonymi plamami, obciął je i zapalił. — Rozumiem, że to bardzo poufna informacja.

—Przeciwnie, chciałbym, żeby się rozniosła. Mogłaby pomóc McGee. Jak pan zapewne wie, on unika wymiaru sprawiedliwości.

Ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Tkwiał za zasłoną niebieskiego dymu jak góra.

—Chciałbym zadać mu kilka pytań — powiedziałem.

—Na jaki temat?

—Przede wszystkim innego mężczyzny... mężczyzny, którego kochała Constance McGee. Rozumiem, że grał pewną rolę w pańskiej sprawie.

—Był moją hipotetyczną alternatywą. — Twarz Stevensa zmięła się w smutnym uśmiechu. — Ale sędzia nie dopuścił do rozważań na ten temat, mogłem poruszyć go tylko w wystąpieniu końcowym, inaczej musiałbym wezwać na świadka Toma McGee. To nie wydawało mi się rozsądne. Teoria drugiego mężczyzny w życiu Constance McGee była obosieczną bronią. Równie dobrze mogła pogrzyźć Toma w oczach przysięgłych, jak i przekonać ich o jego niewinności. Popeliłem błąd, wnosząc o całkowite uniewinnienie.

—Nie nadążam.

—Nieważne. To już tylko historia. — Machnął ręką i dym wokół niego poruszył się jak kruszejący pokład przeszłości w pamięci starca.

—Kim był tamten drugi mężczyzna?

—Niech pan da spokój, Archer, chyba się pan nie spodziewa, że można wpaść do mnie z ulicy i wycyckać do sucha. Jestem prawnikiem od czterdziestu lat.

—Czemu wziął pan sprawę McGee?

— Tom zajmował się moją łodzią. Po prostu lubiłem go.
— Nie interesuje pana oczyszczenie go z zarzutów?
— Nie za cenę oskarżenia innego niewinnego człowieka.
— Wie pan, kim jest ten inny człowiek?
— Wiem, jeśli mogę ufać Tomowi. — Mimo że siedział bez ruchu, oddalał się ode mnie jak magik w rozplywających się lustrach. — Nie dzielę się tajemnicami, które do mnie napływają. Grzebię je, proszę pana. Dlatego tyle ich znam.
— To przecież byłoby draństwo nie z tej ziemi, gdyby Tom znów trafił do San Quentin, tym razem na resztę życia, albo do komory gazowej.
— Z całą pewnością. Ale podejrzewam, że bardziej zależy panu na pozyskaniu mnie dla swojej sprawy niż dla sprawy Toma.
— Z pewnością przydałby się nam pan.
— Jakim nam?
— Córce McGee, Dolly, jej mężowi Alexowi Kincaidowi, Jerry'emu Markowski i mnie.
— A o co chodzi w tej pańskiej sprawie?
— O rozwiązanie zagadki trzech morderstw.
— Mówi pan, jakby to było proste i łatwe — rzekł. — Życie nigdy nie jest proste i łatwe. Zawsze są zasupłane wątki i czasem najlepiej jest je zostawić, niech same się rozwiążą.
— Na tym właśnie zależy pani Deloney?
— Nie mówiłem w imieniu pani Deloney. Nie przypuszczam, żeby jej na tym zależało. — Przesunął skrawek liścia na koniec języka i wypluł go.
— Czy przysłała do pana po informacje na temat sprawy McGee?
— Bez komentarza.
— Więc chyba tak. To dalsza wskazówka, że sprawy McGee i zabójstwo Deloneya się łączą.
— Nie będziemy o tym dyskutować — rzekł stanowczo. — Co do pańskiej sugestii, żebym przyłączył się do pana, to Jerry Marks już przedstawił mi ją dziś rano. I jak już mu powiedziałem, zastanowię się. Tymczasem chcę, żebyście pan i Jerry zastanowili się nad czymś innym. Tom McGee i jego córka mogą być przeciwnikami w tym całym galimatiasie.

Z pewnością byli nimi dziesięć lat temu.

— Była wtedy dzieckiem, manipulowanym przez dorosłych.

— Wiem o tym. — Wstał, ogromniejąc w swoim lekkim garniturze.

— Ciekawie się z panem rozmawiało, ale jestem już spóźniony na lunch.

— Przeszedł obok mnie ku drzwiom, unosząc rękę z cygarem. —
Chodźmy.

ROZDZIAŁ 26

Udałem się główną ulicą do hotelu Pacific i zapytałem o panią Hoffman. Właśnie zwolniła pokój, nie zostawiając nowego adresu. Chłopiec hotelowy, który niósł jej walizkę, powiedział, że odjechała taksówką ze starszą panią w zielonym płaszczu. Dałem mu pięć dolarów i mój adres w motelu, obiecując kolejną piątkę, jeśli się dowie, dokąd pojechały.

Była druga godzina i instynkt mówił mi, że to przełomowy dzień. Czułem się odcięty od tego, co się działo za zamkniętymi drzwiami domu opieki, w prywatnych gabinetach sądu, na strzelnicy i w laboratorium, w którym przeprowadzono próby balistyczne. Czas mijał, płynął obok mnie jak rzeka Heraklita, podczas gdy ja śledziłem wędrowki dwóch starszych pań.

Przeszedłem do telefonów za holem hotelowym i zadzwoniłem do gabinetu Godwina. Lekarz wyszedł z wizytą i miał pozostać niedostępny do za dziesięć trzecia. Spróbowałem połączyć się z Jerryem Marksem. Sekretarka powiedziała mi, że nadal go nie ma.

Zamówiłem międzymiastową do agencji Waltersów. Słuchawkę podniósł Arnie.

— Wiesz, kiedy zadzwonić, Lew. Właśnie dowiedziałem się czegoś o naszym skarbeczku.

— Którym? Bradshawie czy Foleyu?

— Tak się składa, że o obu. Chciałeś wiedzieć, dlaczego Foley stracił

pracę w Solitaire. Odpowiedź brzmi: wykorzystał swoje możliwości jako kasjer, żeby sprawdzić, ile jest wart Bradshaw.

— Jak to zrobił?

— Wiesz, że kluby sprawdzają klienta, kiedy ten otwiera u nich rachunek. Wysyłają zapytanie do banku, dostają średni stan konta i wedle tego ustalają limit kredytu. Minus trzy oznacza minimalny trzycyfrowy stan konta i limit w granicach kilku setek. Czwórka plus to może być siedem, osiem tysięcy, a piątka minus jakieś dwadzieścia, trzydzieści tysięcy. Tak się składa, że Bradshaw mieści się w tych ostatnich widełkach.

— Jest hazardzistą?

— Nie. W tym rzecz. Nigdy nie otwierał rachunku w Solitaire ani gdzie indziej, przynajmniej według mojej wiedzy, niemniej jednak Foley rozpytywał o niego. Klub się zorientował, co Foley wyprawia, sprawdził go i wyłączył na zbyte pysk.

— Coś mi tu pachnie szantażem, Arnie.

— Bardzo możliwe — odparł. — Foley przyznaje, że ma trochę na sumieniu pod tym względem.

— Do czego jeszcze się przyznaje?

— Jak do tej pory, do niczego. Twierdzi, że zdobył tę informację dla kogoś znajomego.

— Helen Haggerty?

— Tego nie mówi. Czeka, licząc na układ.

— To ułóż się z nim. Ucierpiął bardziej ode mnie. Jestem gotów wycofać zarzuty.

— To może nie być konieczne, Lew.

— Ułóż się z nim. Zapytaj, co jest piętą achillesową Bradshawa.

— Może to rozwód — podsunął mi Arnie. — Byłeś ciekaw, co Bradshaw robił w Reno od połowy lipca do końca sierpnia. Odpowiedź leży w archiwum sądowym. Bradshaw musiał jakiś czas przebywać w Nevadzie, żeby zyskać status stałego mieszkańca, co z kolei pozwoliło mu wystąpić o rozwód z kobietą nazywającą się Letitia Macready.

— Letitia jak...?

— Macready. — Przeliterował nazwisko. — Nie udało mi się zdobyć

żadnych informacji o tej kobiecie. Wedle prawnika, który przeprowadzał rozwód, Bradshaw nie znał jej aktualnego miejsca zamieszkania. Wiedział tylko tyle, że kiedyś mieszkała w Bostonie. Urzędowe powiadomienie o postępowaniu rozwodowym wróciło z nadrukiem: „Adresat nieznanym”.

— Czy Bradshaw wciąż jest nad Tahoe?

— On i jego nowa żona dziś rano zwolnili pokój w hotelu. Wracali do Pacific Point. Teraz to twój skarbeczek.

— „Skarbeczek” nie za bardzo pasuje do Bradshawa. Zastanawiam się, czy jego matka wie o pierwszym małżeństwie syna.

— Zawsze możesz ją o to zapytać.

Postanowiłem spróbować i najpierw porozmawiać z Bradshawem. Wyprowadziłem auto z parkingu i pojechałem do college’u. Studenci na chodniku i na korytarzach, szczególnie dziewczęta, byli przygaszeni. Groźba śmierci nawiedziła kampus. Czuję się trochę jak jej przedstawiciel.

Blond sekretarka dziekana była wyraźnie spięta, jakby ona sama i cała instytucja trzymały się tylko siłą jej woli.

— Dziekana Bradshawa nie ma.

— Nie wrócił jeszcze z weekendu?

— Oczywiście, że wrócił. — Dodała usprawiedliwiającym tonem: — Był tu rano ponad godzinę.

— Gdzie jest teraz?

— Nie wiem. Chyba poszedł do domu.

— Mam wrażenie, jakby martwiła się pani o niego.

Odpowiedziała mi salwą z maszyny do pisania. Wycofałem się i poszedłem do gabinetu Laury Sutherland. Jej sekretarka poinformowała mnie, że pani Sutherland dzisiaj się nie pojawiła. Zadzwoiła wczesnym przedpołudniem, mówiąc, że źle się czuje. Miałem nadzieję, że to nic poważnego, nic związanego ze śmiercią i sądem.

Wróciłem do Foothill i pojechałem do domu Bradshawa. Wiatr szeleścił w drzewach. Mgła opadła i popołudniowe niebo miało barwę migotliwego błękitu, rozdzierającego serce. Góry wznoszące się ku niebu były doskonale widoczne, do ostatniej szramy i zmarszczki.

Wszystko to docierało do mnie intensywniej niż zwykle, ale miałem wrażenie, że jestem odcięty od świata. Być może sympatyzowałem z Royem Bradshawem i jego nową żoną i obawiałem się, że coś podważy tę sympatię. Minąłem bramę, nie widząc jej, i w podobny sposób pokonałem następny zakręt podjazdu, po czym znalazłem się przed rezydencją. Z pewną ulgą przyjąłem słowa Marii, że Bradshawa nie ma i nie było go cały dzień.

Pani Bradshaw zawołała z góry schodów łamiącym się przenikliwym głosem:

— To pan, Archer? Chcę z panem porozmawiać.

Zeszła na dół w pikowanym szlafroku i płóciennych kapciach. Weekend jeszcze dodał jej lat. Wyglądała bardzo staro i mizernie.

— Mój syn nie pokazał się w domu przez trzy dni — poskarżyła się — i ani razu nie zatelefonował. Co mogło mu się stać, jak pan myśli?

— Chciałbym przedyskutować z panią tę sprawę na osobności.

Maria, która słuchała całym ciałem, odmaszerowała zamaszystym krokiem. Pani Bradshaw zabrała mnie do pokoju, którego nigdy przedtem nie widziałem, saloniku wychodzącego na patio z boku domu. Umeblowanie było bezpretensjonalne i staromodne, trochę przypominające pokój, w którym przeprowadzałem rozmowę z panią Deloney.

W pokoju dominował olej wiszący nad kominkiem, pełny, niemal naturalnych rozmiarów portret. Przedstawiał przystojnego dżentelmena o białych sumiastych wąsach, ubranego w marynarkę. Jego czarne oczy szły za mną do fotela wskazanego przez panią Bradshaw. Ona sama zajęła miejsce w tapicerowanym bujanym fotelu na solidnym cokole, kładąc stopy na wyszywanym pufie.

— Byłam starą egoistką — wyznała nieoczekiwanie. — Przemysślałam wszystko i zdecydowałam się pokryć pańskie koszty. Nie podoba mi się to, co robią tej dziewczynie.

— Zapewne wie pani więcej ode mnie.

— Zapewne. Mam kilku dobrych przyjaciół w tym mieście. — Nie rozwinęła tematu.

—Doceniam tę ofertę — powiedziałem — ale mam już zleceniodawcę. Wrócił mąż Dolly.

—Doprawdy? Jakże się cieszę. — Usiłowała wykrzesać ciepło ze swojego głosu, ale nadaremnie. — Bardzo się niepokoję o Roya.

—Ja również, pani Bradshaw. — Zdecydowałem się przekazać jej to, co wiedziałem, przynajmniej w części. Nieuchronnie miała się dowiedzieć o małżeństwie czy małżeństwach syna, i to niebawem. — Nie musi się pani niepokoić o jego bezpieczeństwo. Spotkałem się z nim wczoraj wieczorem w Reno i był w dobrej kondycji. Dzisiaj pojawił się w college'u.

—W takim razie jego sekretarka mnie oszukała. Nie wiem, dlaczego mnie tak traktują. Nie wiem, ku czemu zmierza mój syn. Co naprawdę robił w Reno?

—Uczestniczył w zjeździe, jak powiedział. Poza tym poleciał tam, żeby przepytac podejrzanego o zamordowanie Helen Haggerty.

—Musiał ją bardzo lubić, skoro zdobył się na tyle zachodu.

—To prawda, że coś go łączyło z panną Haggerty. Nie sądzę, jednak, by miało to romantyczny charakter.

—W takim razie jaki?

—Finansowy. Myślę, że dawał jej pieniądze i załatwił pracę w college'u, za pośrednictwem Laury Sutherland. Mówiąc bez ogródek, Haggerty szantażowała pani syna. Sama może nazywała to inaczej. Zanim w ogóle tu przyjechała, skorzystała z pomocy znajomego oszusta w Reno. Sprawdził rachunek bankowy pani syna. To właśnie do tego człowieka poleciał Roy.

Wbrew moim obawom pani Bradshaw nie wpadła w histerię. Spytała poważnym tonem:

—Czy te fakty, panie Archer, są prawdziwe, czy też tylko gimnastykuje pan wyobraźnię?

—Chciałbym, żeby tak było. Ale nie jest.

—Jak Roy mógł być szantażowany? Prowadził życie bez skazy, pełne poświęceń. Jestem jego matką. Powinnam o tym wiedzieć.

—To wszystko może i prawda. Ale standardy wymagań są różne, zależnie od ludzi, których dotyczą. Osoba, która po raz pierwszy zarządza

college'em, musi być czysta jak łąza. Na przykład niefortunne małżeństwo postawiłoby pod znakiem zapytania urząd rektorski, o którym pani wspomniała.

— Niefortunne małżeństwo? Ale Roy nigdy nie był żonaty.

— Obawiam się, że był — powiedziałem. — Czy imię i nazwisko Letitia Macready coś pani mówią?

— Nic.

Kłamała. Na dźwięk tego nazwiska na jej twarzy pojawiła się cieniutka sieć zmarszczek, oczy zmalowały do dwóch czarnych punktów, a usta zbiegły się jak brzegi ściągniętej sakiewki. Pomyślałem, że zna to nazwisko i nienawidzi go. Może nawet boi się Letitii Macready.

— To nazwisko powinno coś pani mówić, pani Bradshaw. Macready była pani synową.

— Pan chyba oszalał. Mój syn nigdy nie był żonaty.

Mówiła z taką siłą i pewnością siebie, że przez chwilę się wahałem. Raczej niemożliwe, by Arnie się pomylił — rzadko mu się to zdarzało — ale być może było dwóch Royów Bradshawów. Nie, Arnie rozmawiał z adwokatem Roya w Reno i musiał być pewny identyfikacji.

— Żeby dostać rozwód, najpierw należy się ożenić — powiedziałem.

— Roy dostał rozwód w Reno dwa tygodnie temu. Był w Nevadzie od połowy lipca do końca sierpnia, żeby zyskać status stałego mieszkańca stanu.

— Teraz wiem na pewno, że pan oszalał. Przez cały ten czas był w Europie, i mogę to udowodnić. — Dźwignęła się na trzeszczących niechętnych kończynach i podeszła do osiemnastowiecznej sekretery. Wróciła z plikiem listów i kartek pocztowych w roztrzęsionych dłoniach. — Przyśłał mi je. Sam pan może się przekonać, że był w Europie.

Obejrzałem te pocztówki. Było ich około piętnastu, ułożonych wedle dat wysłania: londyńska Tower (ze stemplem Londynu i datą 18 lipca), biblioteka Bodleian (Oksford, 21 lipca), katedra w Yorku (York, 21 lipca), zamek edynburski (Edynburg, 29 lipca), malownicze wybrzeże Irlandii Północnej (Londonderry, 3 sierpnia), teatr Abbey (Dublin, 3 sierpnia), malownicze wybrzeże Kornwalii (St. Ives, 8 sierpnia), Łuk Triumfalny (Paryż,

12 sierpnia) i tak dalej, przez Szwajcarię, Włochy i Niemcy. Przeczytałem kartkę z Monachium (widok ogrodów angielskich, data: 25 sierpnia):

Droga Mamo,

Wczoraj zwiedziłem orle gniazdo Hitlera w Berchtesgaden — przepiękna okolica, ale budząca ponure skojarzenia — a dzisiaj, na odmianę, pojechałem autobusem do sławnego z widowisk pasywnych Oberammergau. Uderzyła mnie niemal biblijna prostota mieszkańców. Cała Bawaria jest pełna niezwykle pięknych kościołków. Jakże żałuję, że nie mogę podziwiać ich z Tobą! Z przykrością dowiaduję się, że Twoja towarzysza na czas lata okazuje się uciążliwa w kontaktach. No cóż, lato niebawem się skończy i przynajmniej jedno mnie cieszy — to, że odwrócę się od wspałości Europy i przyjadę do kraju.

Zawsze Twój
Roy

Spojrzałem na panią Bradshaw.

— Czy to pismo pani syna?

— Tak. Bez wątpienia. Wiem, że pisał te kartki. I listy też. Podsunęła mi pod nos kilka z nich. Spojrzałem na stemple

pocztowe. Londyn, 19 lipca; Dublin, 7 sierpnia; Genewa, 15 sierpnia; Rzym, 20 sierpnia; Berlin, 27 sierpnia; Amsterdam, 30 sierpnia. Zacząłem czytać ostatni („Droga Mamo, tylko kilka słów, które mogą dotrzeć już po moim przyjeździe, żebyś wiedziała, jak spodobał mi się Twój list o kosach...”) — ale pani Bradshaw wyrwała mi go z ręki.

— Te listy nie są do czytania. Między moim synem i mną nie ma żadnych sekretów, ale na pewno wolałby, żebym nie pokazywała naszej korespondencji obcym. — Zebrała wszystkie listy i pocztówki i zamknęła je w sekreterze. — Ufam, że dowiodłam swego. Uroił pan sobie, że Roy przebywał wtedy w Nevadzie.

Chociaż usilnie demonstrowała swoją pewność, ton jej głosu był pytający. Powiedziałem:

— Czy pisała pani do niego, kiedy był w Europie?

— Tak. To znaczy, dyktowałam listy panie jak-jej-tam, poza jednym czy dwoma przypadkami, kiedy mój artretyzm był dla mnie łaskawszy. Latem miałam stałą pielęgniarkę, pannę Wadley. To jedna z tych młodych kobiet całkowicie znikowanych na punkcie własnej osoby...

Przerwałam jej pytaniem:

— Czy napisała pani list o kosach?

— Tak. Zeszłego miesiąca urządziły nam prawdziwą inwazję. Zmyślałam opowieść o kosach upieczonych w cieście.

— Dokąd wysłała pani ten list?

— Dokąd? Myślę, że do Rzymu, na adres American Express. Roy dał mi plan podróży, zanim wyjechał.

— Powinien być w Rzymie 20 sierpnia. Odpowiedź na list o kosach przysłała z Amsterdamu 30 sierpnia.

— Ma pan imponującą pamięć, panie Archer, ale nie pojmuję, ku czemu pan zmierza.

— Ku temu, że między otrzymaniem listu a wysłaniem odpowiedzi mijało co najmniej dziesięć dni, dość, żeby współnik Roya odebrał list w Rzymie, wysłał go pocztą lotniczą do Reno, odebrał odpowiedź w Amsterdamie i wysłał ją pani.

— Nie wierzę w to. — Ale częściowo uwierzyła. — Czemu zadawałby sobie tyle trudu, żeby oszukać własną matkę?

— Bo wstydził się tego, co zrobił, rozwodu z Macready w Reno, i nie chciał, żeby pani czy ktokolwiek inny o tym wiedział. Był wcześniej w Europie?

— Oczywiście. Zabrałam go tam zaraz po wojnie, kiedy zrobił doktorat na Harvardzie.

— A czy zwiedziliście państwo te same miejsca?

— Tak. Zwiedziliśmy. W Niemczech nie, ale większość pozostałych tak.

— W takim razie nietrudno byłoby mu napisać te listy. Same kartki pocztowe współnik mógł kupić w Europie i wysłać Royowi.

— Nie podoba mi się, że wciąż używa pan słowa „wspólnik”. Przecież w tym... oszukaństwie nie ma nic występnego. To wyłącznie sprawa prywatna.

— Mam nadzieję, pani Bradshaw.

Musiała wiedzieć, o co mi chodzi. Jej rozedrgana twarz zdradzała ból. Odwróciła się i podeszła do okna. Kilka białookich kosów przechadzało się po płytach patio. Nie sądzę, by je widziała. Raz za razem przejeżdżała ręką po włosach, aż zjeżyły się jak kolce ostu. Kiedy w końcu odwróciła się do mnie, powieki miała na pół przymknięte, jakby męczyło ją światło.

— Muszę prosić pana, Archer, o zachowanie tego wszystkiego dla siebie.

Zeszłej nocy Roy Bradshaw wyraził się bardzo podobnie, mówiąc o swoim małżeństwie z Laurą.

— Postaram się — powiedziałem.

— Bardzo proszę. To byłaby tragedia, gdyby jeden grzech młodości Roya miał zrujnować mu karierę. Wie pan, to tylko tyle, grzech młodości. Nigdy by mu się nie przytrafił, gdyby jego ojciec żył i pokierował nim jak należy. — Wskazała portret nad kominkiem.

— Mówiąc „grzech młodości”, ma pani na myśli związek z Macready?

— Tak.

— Więc zna ją pani?

— Znam.

Jakby to wyznanie odebrało jej siły, opadła na fotel, opierając głowę o wysoki wyściełany zapiecek. Jej pomarszczona szyja wyglądała bardzo bezbronnie.

— Panna Macready złożyła mi wizytę — powiedziała. — To było, zanim wyjechaliśmy z Bostonu, podczas wojny. Chciała pieniędzy.

— Szantaż?

— Do tego się to sprowadzało. Poprosiła mnie, żebym opłaciła jej rozwód w Nevadzie. Poderwała Roya na Scolly Square* i tak omamiła chłopca, że się z nią ożenił. Była w stanie zniszczyć mu przyszłość. Wręczyłam jej dwa tysiące dolarów. Pewnie wydała je na siebie, nawet nie

* Kiedyś centrum rozrywkowe Bostonu, od lat 60. XX w. centrum administracyjno-biznesowe.

próbując przeprowadzić rozwodu. — Westchnęła. — Biedny Roy.

— Czy wiedział, że pani o niej wie?

— Nigdy mu tego nie powiedziałam. Uznałam, że zażegnałam groźbę, płacąc tej kobiecie. Chciałam zamknąć tę sprawę i puścić ją w niepamięć, by w żaden sposób nie odbiła się na naszych stosunkach. Ale wygląda na to, że prześladowała go przez te wszystkie lata.

— Dosłownie czy we wspomnieniach?

— Kto wie? Myślałam, że rozumiem mojego syna i jego czyny. Okazuje się, że nie.

— Co to była za kobieta?

— Spotkałam się z nią tylko raz, kiedy przyszła do mojego domu w Belmont. Zrobiła na mnie jak najgorsze wrażenie. Twierdziła, że jest aktorką bez angażu, ale ubierała się i mówiła jak pracownica starszej profesji. — W jej głosie zachrypiała ironia. — Muszę z przykrością przyznać, że ta ruda latawica była ładna, ale w prostacki sposób. Niemniej jednak zupełnie nie pasowała do Roya i oczywiście zdawała sobie z tego sprawę. Był niedoświadczonym chłopcem, zaledwie dwudziestolatkiem. Ona niewątpliwie była szczywaną sztuką.

— Ile miała lat?

— Co najmniej dziesięć więcej niż Roy.

— Teraz zbliża się do pięćdziesiątki.

— Albo ją przekroczyła — odparła.

— Czy kiedykolwiek spotkała się z nią pani w Kalifornii?

Pokręciła głową tak gwałtownie, że skóra jej twarzy przesunęła się i zatrzęsły zmarszczki.

— A Roy?

— Nigdy mi o niej nie wspominał. Żyliśmy spokojnie, jakby ta Macready w ogóle nie istniała. Ale błagam, niech pan nie powtarza mi tego, co teraz powiedziałam. To zniszczyłoby całe zaufanie między nami.

— W grę może wchodzić coś ważniejszego niż zaufanie, pani Bradshaw.

— Co może być ważniejsze?

—Jego głowa.

Siedziała, skrzyżowawszy opuchłe kostki u nóg, nie tyle obojętna, co oszołomiona. Jej szerokie, nieapetyczne ciało przypominało zniszczony posąg Buddy. Spytała przyciszonym głosem:

—Chyba nie podejrzewa go pan o morderstwo?

Powiedziałem coś ogólnikowego i pocieszającego. Oczy mężczyzny na portrecie szły za mną do wyjścia. Biorąc pod uwagę to, co mogłem przynieść Royowi, byłem zadowolony, że głowa rodziny nie żyje.

ROZDZIAŁ 27

Od śniadania nie miałem nic w ustach i w drodze do miasta zatrzymałem się przy restauracji dla zmotoryzowanych. Jedząc kanapkę, wszedłem do budki telefonicznej i kolejny raz zadzwoniłem do Arniego Waltersa.

Arnie zawarł układ z Judsonem Foleyem. Ten przyznał, że to Helen Haggerty chciała poznać status finansowy Roya Bradshawa. Foley nie mógł czy nie chciał powiedzieć, że chodziło o szantaż. Ale niebawem po tym, jak sprzedał jej informacje, stała się bogata — wedle standardów Foley'a.

— Ile zapłaciła Foleyowi?

— Mówi, że pięćdziesiąt dolarów. Teraz czuje się oszukany.

— Z nim zawsze tak będzie — powiedziałem. — Czy wyjaśniła mu, co miała na Bradshawa?

— Nie. Wygląda na to, że trzymała język za zębami. Ale mamy przecież dowody negatywne: nie wspomniała mu, że Bradshaw był żonaty ani że jest w trakcie rozwodu. Co pewnie znaczy, że ta informacja miała dla niej wartość finansową.

— Prawdopodobnie.

— Jeszcze jedno wyszło na światło dzienne, Lew. Haggerty poznała Bradshawa na długo przedtem, zanim spotkali się w Reno.

— Gdzie i w jakich okolicznościach?

— Foley twierdzi, że nie wie, i wierzę mu. Zaproponowałem mu pie-

niądze za każdą informację. Był załamany, że nie może ubić ze mną interesu.

Znalazłem Jerry'ego Marksa w bibliotece na pierwszym piętrze gmachu sądu. Siedział przy stole, na którym leżało kilka tomów oprawionych protokołów sądowych. Miał zakurzone ręce i smugę na nosie.

— Trafiłeś na coś, Jerry?

— Doszedłem do jednej konkluzji. Oskarżenie przeciwko McGee było wątle. Udowodniono mu tylko, że wcześniej maltretował żonę, i uwięzono zeznaniom małej dziewczynki, które inni sędziowie z pewnością kazaliby skreślić z protokołu. Skupiłem się na jej zeznaniach, bo będę miał szansę zadać jej kilka pytań po wstrzyknięciu pentotalu.

— Kiedy?

— Dziś po ósmej, w domu opieki. Wcześniej doktor Godwin nie ma czasu.

— Chcę być przy tym.

— To mi odpowiada, jeśli Godwin da się przekonać. Ledwo udało mi się uzyskać zaproszenie dla siebie, a przecież jestem jej adwokatem.

— Myślę, że on coś kryje. Trzeba to wyciągnąć do ósmej. To właściwie moja działka, ale ty mieszkasz w tym mieście i tobie pójdzie szybciej. Dowiedz się, czy alibi Roya Bradshawa na czas zamordowania Helen Haggerty jest nieprzemakalne, przeciwwstrząsowe i antymagnetyczne.

Jerry wyprostował się i podrapał w nos, rozsmarowując jeszcze bardziej smugę kurzu.

— Jak mam się do tego zabrać? — zapytał.

— W piątek wieczorem Bradshaw wygłaszał mowę na bankiecie absolwentów. Chcę wiedzieć, czy mógł się wyślizgnąć podczas przemowy kogoś innego lub wyjść na tyle wcześniej, żeby ją zabić. Masz prawo znać wszystkie fakty dostępne ludziom szeryfa i anatomopatologowi, dotyczące okoliczności śmierci.

— Zrobie, co się da — powiedział, odsuwając fotel.

— Jeszcze jedna rzecz, Jerry. Wiadomo coś o próbach balistycznych?

—Plotka głosi, że wciąż trwają. Plotka nie mówi dlaczego. Podejrzewasz, że chcą coś zmanipulować?

—Nie, nie podejrzewam. Eksperci balistyczni to nie manipulatorzy.

Zostawiłem go porządkującego protokoły i poszedłem do hotelu Pacific. Mój boy skontaktował się z taksówkarzem wiozącym panią Deloney i w zamian za drugą piątkę powiedział mi, że starsze panie zarezerwowały domek w Surf House. Kupiłem nonironową koszulę, bieliznę, skarpetki i wróciłem do motelu, wziąć prysznic i się przebrać. Musiałem się odświeżyć przed drugą rundą z panią Deloney.

Kiedy wychodziłem spod prysznicza, ktoś zapukał do drzwi, tak delikatnie, jakby były z kruchego szkła.

—Kto tam?

—Madge Gerhardi. Wpuść mnie.

—Tylko się ubiorę.

Zajęło mi to niewiele czasu. Szkopuł był tylko w tym, że ręce mi latały, a musiałem wyjąć szpilki z nowej koszuli.

—Błagam, wpuść mnie! — zajęczała kobieta. — Nie chcę, żeby mnie ktoś zobaczył.

Włożyłem spodnie i boso podszedłem do drzwi. Przepięła się obok mnie, jakby ścigała ją burza. Włosy miała w nieładzie. Złapała mnie kurczowo za ręce. Była spocona.

—Policja ma na oku mój dom. Nie wiem, czy teraz mnie śledzili, czy nie. Przeszłam plażą.

—Usiądź — powiedziałem, podsuwając jej fotel. — Jestem pewien, że nie chodzi o ciebie. Szukają twojego przyjaciela, Begleya-McGee.

—Nie mów tak. Można by pomyśleć, że żartujesz sobie z niego. — To było wyznanie miłości.

—Jak mam go nazywać?

—Ja wciąż mówię na niego Chuck. Człowiek ma prawo zmienić nazwisko, jak raz go sponiewierano. A teraz dalej nie dają mu spokoju. Zresztą jest pisarzem, a pisarze używają pseudonimów.

—W porządku, będę mówił na niego Chuck. Ale nie wpadłaś do mnie pogadać, jak kogo nazywać.

Ścisnęła w palcach dolną wargę, szarpiąc nią z boku na bok. Nie uszmknowała ust, w ogóle nie nałożyła makijażu. Wyglądała młodziej i niewinniej.

— Miałś od niego wiadomość? — spytałem.

Potwierdziła to przypuszczenie prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy, jakby wyraźniejszy gest mógł zagrozić McGee.

— Gdzie on jest, Madge?

— W bezpiecznym miejscu. Mam ci nie mówić, dopóki mi nie obiecasz, że nie powiesz policji.

— Obiecuję.

Jej oczy rozbłyły.

— On chce z tobą pogadać.

— O czym?

— Nie rozmawiałam z nim osobiście. Jego przyjaciel z portu telefonicznie przekazał mi wiadomość.

— Więc rozumiem, że ukrywa się gdzieś w porcie.

Znów prawie niedostrzegalnie skinęła głową.

— Skoro powiedziałaś mi tyle — rzekłem — równie dobrze możesz powiedzieć resztę. Dałbym wiele za rozmowę z Chuckiem.

— I nie napuścisz na niego policji?

— Nie, jeśli to będzie możliwe. Gdzie on jest, Madge?

Skrzywiła się i powiedziała jednym tchem:

— Na jachcie pana Stevensa, „Duch”.

— Jak się tam dostał?

— Nie bardzo się orientuję. Wiedział, że pan Stevens przez weekend żeglował koło Balboa. Myślę, że poszedł do niego i oddał się w jego ręce.

Zostawiłem Madge w pokoju. Nie chciała wracać do domu ani jechać ze mną. Skierowałem się nadbrzeżnym bulwarem do portu. Baseny portowe były zastawione prywatnymi jachtami i łodziami motorowymi weekendowych wodniaków, jedynie kilka holowników i tuńczykowców stało dalej na kotwicy, poza osłoną pirsów.

Poniedziałek to nie dzień do leniuchowania na wodzie, ale na horyzoncie wyrastało kilka żagli. Płynęły ku lądowi, jak spełniające się sny.

Strażnik w szklanej budce kapitanatu portu wskazał mi jacht Stevensa. Chociaż cumował przy końcu zewnętrznej kei, jego wysoki maszt był łatwo dostrzegalny. Poszedłem wzdłuż pływającego doku.

„Duch” był długi i wąski, miał niską opływową kabinę i regatowy kokpit. Jego lakier był gładki i czysty, mosiężne okucia błyszczące. Unosił się lekko na zamkniętym akwenu. Jak drżące zwierzę gotowe do biegu.

Wszedłem na pokład i zapukałem w luk. Nikt nie odpowiedział, ale kiedy pchnąłem pokrywę, okazała się otwarta. Pokonałem krótką drabinkę i minąłem wnękę z krótkofalówką oraz mały kambuz pachnący paloną kawą. Wsunąłem się między koje. Owalna plama światła z iluminatora migotała na grodzi, jasna jak dusza. Powiedziałem do niej:

— McGee?

Górna koja zaskrzypiała. Na wysokości mojego oka wyrosła twarz. Pasowała w sam raz do jachtu „Duch”. McGee zgoilił brodę i dolna część twarzy odcinała się od reszty. Wydawał się starszy, chudszy i był znacznie mniej pewny siebie.

— Sam pan przyszedł? — spytał.

— Naturalnie.

— To znaczy, że pan też myśli, że jestem niewinny. — Tak bardzo upadł na duchu, że karmił się nawet drobnymi przebłyskami nadziei.

— Kto jeszcze myśli, że jesteś niewinny?

— Pan Stevens.

— To jego pomysł? — spytałem, ruchem ręki obejmując nas obu.

— Nie zabronił mi z panem rozmawiać.

— W porządku, McGee, w czym rzecz?

Przyglądał mi się, leżąc. Jego usta drgały, a w oczach miał jakiś błagalny błysk.

— Nie wiem, od czego zacząć. Przez dziesięć lat żyłem tylko tym, co miałem w głowie... Tak długo, że trudno w to uwierzyć. Wiem, co mi się przydarzyło, ale nie wiem dlaczego. Dziesięć lat pod celą, bez szansy zwolnienia warunkowego, bo nie chciałem przyznać się do winy. Ale przecież

byłem niewinny. Gwałcono mnie. I teraz znów szykuje mi się to samo. Złapał się wypolerowanej mahoniowej krawędzi koi.

— Nie mogę wrócić do „Q”, bracie. Odpękałem dychę i to był bolesny czas. Nic tak nie boli jak wyrok, który odsiadujesz za kogoś innego. Boże, ależ te dni się wlokły. Nie było dość zajęć, żeby wyjść z celi, i przez połowę czasu nic nie robiłem, tylko siedziałem i myślałem. Zabiję się — powiedział — nim znów dam się tam wysłać.

Mówił to serio i ja mówiłem serio, kiedy oświadczyłem:

— To się nie zdarzy, McGee. Obiecuję.

— Chciałbym panu wierzyć. Człowiek przestaje wierzyć bliźnim. Oni nie wierzą tobie, ty nie wierzysz im.

— Kto zabił twoją żonę?

— Nie wiem.

— A jak ci się zdaje?

— Nie kabluję.

— Zadałeś sobie wiele trudu i podjąłeś spore ryzyko, żeby mnie tu ściągnąć, i teraz mówisz mi, że nie kablujesz. Wróćmy do początku, McGee. Czemu żona cię zostawiła?

— Ja ją zostawiłem. Zanim ją zabito, od miesiący byliśmy w separacji. Tamtej nocy nie byłem nawet w Indian Springs, ale tu, w Point.

— Czemu ją zostawiłeś?

— Bo mnie prosiła. Nie dogadywaliśmy się. Jak wróciłem ze służby, zupełnie przestaliśmy się dogadywać. Constance i mała przemieszkały wojnę u siostry Constance i potem żona nie mogła się do mnie dostosować. Przyznaję, jakiś czas po wyjściu z wojska hulałem. Ale to siostra Constance, Alice, dolewała oliwy do ognia.

— Dlaczego?

— Gadała, że nasze małżeństwo to był błąd. A ja myślę, że chciała mieć Constance tylko dla siebie. Po prostu zawadzałem jej.

— Czy jeszcze ktoś jej zawadzał?

— Nie na tyle, żeby Alice nie mogła sobie z tym poradzić.

Spytałem wprost:

— Czy w życiu Constance był inny mężczyzna?

— No. Był. — Wydawał się zawstydzony, jakby to on był winien niewierności żony. — Przez lata obracałem to w głowie na wiele sposobów i nie widzę wielkiego sensu, żeby teraz do tego wracać. Jestem pewien, że tamten facet nie miał nic wspólnego z jej śmiercią. Szalał na punkcie Constance. Nie skrzywdziłby jej.

— Skąd wiesz?

— Porozmawiałem sobie z nim, na krótko przed tym, zanim Constance została zabita. Mała powiedziała mi, co się wyprawia między nimi.

— Dolly ci powiedziała, córka?

— Zgadza się. Constance spotykała się z tym facetem w każdą sobotę, jak przywoziła Dolly do lekarza. Gdy odwiedziłem małą... dokładnie, kiedy widziałem ją ostatni raz... opowiedziała mi o tych spotkaniach. Miała tylko jedenaście czy dwanaście lat i nie kojarzyła do końca, co się wyprawia, ale wiedziała, że coś śmierdzącego. W każde sobotnie popołudnie Constance i jej facet zostawiali Dolly na podwójnym seansie i gdzieś jechali, pewnie do motelu. Facet nawet dawał Dolly pieniądze, żeby mówiła Alice, że Constance chodzi z nią do kina. Myślę, że to podły chwyt. — McGee usiłował wykrzesać z siebie stary gniew, ale wycierpiał zbyt wiele i przemyślał za dużo, żeby być zdolnym do gniewu. Jego twarz wisiała nad krawędzią koi jak zimny księżyc.

— Równie dobrze możemy nazywać go po nazwisku — powiedziałem. — Czy to był Godwin?

— Do diabła, nie. To Roy Bradshaw. Wykładowca college'u — Dodał z jakąś ponurą dumą: — Teraz dziekan.

Już niedługo, pomyślałem. Niebawem miał zapłacić za swoje czyny.

— Bradshaw był jednym z pacjentów doktora Godwina — ciągnął McGee. — To tam poznał się z Connie, w poczekalni Godwina. Myślę, że doktor jakby pobłogosławił to, co zdarzyło się między nimi.

— Skąd ta myśl?

— Bradshaw sam mi wyznał, że doktor powiedział, że to dla nich dobrze,

dla ich emocjonalnego zdrowia. Śmieszna sprawa, poszedłem do domu Bradshawa, wybić mu z głowy Connie, nawet gdybym miał mu przy tym wygarbować skórę. Ale jeszcze nie skończyłem gadać, a on przekonał mnie w połowie, że to oni mają rację, on i Connie, a ja błędzę. Wciąż nie wiem, kto miał rację, a kto błędził. Nigdy nie dałem jej prawdziwego szczęścia z wyjątkiem naszego pierwszego roku. Może Bradshawowi się udało.

— To dlatego nie wspomniałeś o nim na procesie?

— Po części tak. Zresztą co by mi dało brukanie jej pamięci? Tylko jeszcze gorzej bym na tym wyszedł. — Zamilkł. Po chwili powiedział niższym głosem, z głębi swojej istoty: — Poza tym kochałem ją. A to był jedyny sposób udowodnienia, że ją kochałem.

— Wiedziałeś, że Bradshaw był żonaty z inną kobietą?

— Kiedy?

— Przez ostatnie dwadzieścia lat. Rozwiódł się z nią kilka tygodni temu.

McGee był wstrząśnięty. Długi czas żył iluzjami i teraz zagroziłem fundamentom jego wiary, jego siłom życiowym. Odsunął się w głąb koi, prawie znikając mi z pola widzenia.

— Nazywała się Letitia Macready, Letitia Macready Bradshaw. Słyszałeś kiedyś o niej?

— Nie. Jak mógł być żonaty? Mieszkał z matką.

— Ludzie różnie żyją — powiedziałem. — Być może latami nie spotykał się z żoną, a może się spotykał. Być może zapewnił jej egzystencję tu, w mieście, nie mówiąc nic matce ani nikomu ze znajomych. Sądząc po tym, jak wiele trudu sobie zadał, by ukryć rozwód, tak właśnie mogło być.

Zmieszanie i wstrząs odbiły się w głosie McGee, kiedy rzekł:

— Nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną.

— Może mieć niezwykle istotny związek. Jeśli Macready była w mieście dziesięć lat temu, miała motyw, żeby zabić twoją żonę, motyw równie silny jak twój.

Nie chciał myśleć o tamtej kobiecie. Za bardzo nawykł do myślenia o sobie.

— Ja nie miałem motywu. Nie tknąłbym włosa na głowie Connie.

— Chyba jednak tknąłeś, raz czy dwa.

Jakiś czas milczał. Widziałem tylko kędzierzawe siwe włosy, przypominające zakurzoną perukę, i duże nieszczerze oczy, usiłujące być szczere.

— Uderzyłem ją parę razy, przyznaję — powiedział. — Potem cierpiałem męki potępionych. Musi pan zrozumieć, kiedy byłem zalany, wychodziło ze mnie zwierzę. To dlatego Connie mnie odepchnęła, nie winię jej. Nie winię jej o nic. Winię sam siebie. — Wziął długi oddech i wypuścił go powoli.

Zaproponowałem mu papierosa. Odmówił. Zapaliłem sam. Rozedrgana plama słonecznego blasku wspinała się po grodzi. Zapowiadała wieczór.

— Więc Bradshaw miał żonę — powiedział McGee, próbując oswoić się z tym faktem. — A mówił mi, że zamierza poślubić Connie.

— Może naprawdę zamierzał. To jeszcze bardziej obciążałoby tę kobietę.

— Poważnie pan myśli, że to ona?

— Jest na pierwszym miejscu listy podejrzanych. Drugi to Bradshaw. Twoja córka też musi go podejrzewać. Zapisła się do jego college'u i przyjęła pracę u niego w domu, żeby go sprawdzić. A może to był twój pomysł, McGee?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie rozumiem jej udziału w tym wszystkim. Niewiele pomogła mi wyjaśnić.

— Wiem — powiedział. — Dolly dużo kłamała, i to od dawna. Ale kiedy kłamie małe dziecko, nie przykładasz do tego tej samej miary co do kłamstwa dorosłego.

— Jesteś wybaczącym człowiekiem.

— Och, nie. Tamtej niedzieli, kiedy zobaczyłem jej zdjęcie w gazecie, z mężem, poszedłem do niej z gniewem w sercu. Jakie miała prawo do szczęśliwego małżeństwa po tym, co mi wyrządziła? Miałem zamiar jej to powiedzieć.

— I zrobiłeś to?

— Tak, szanowny panie, zrobiłem. Ale mój gniew nie trwał długo. Za bardzo przypominała mi swoją matkę. Jakbym cofnął się o dwadzieścia lat, do szczęśliwych czasów, kiedy byliśmy zaraz po ślubie. Przeżyliśmy

wtedy naprawdę dobry rok, kiedy służyłem w marynarce, a Connie była w ciąży z Dolly.

Wciąż uciekał od obecnych kłopotów. Trudno było mi go winić, ale musiałem sprowadzić go na ziemię.

— Zbeształeś córkę tamtej niedzieli, no nie?

— Początkowo tak. Spytałem, czemu kłamała w sądzie? To było uzasadnione pytanie, prawda?

— Nie da się zaprzeczyć. Jak zareagowała?

— Wpadła w histerię i powiedziała, że nie kłamała, że widziała mnie z bronią i tak dalej i że słyszała, jak kłóciłem się z jej matką. To była nieprawda i powiedziałem jej to, i że tamtej nocy nawet nie byłem w Indian Springs. To ją całkiem przystopowało.

— Co potem?

— Spytałem ją, czemu wtedy nakłamała. — Oblizał wargi i ściszył głos. — Spytałem, czy sama zastrzeliła matkę, może przypadkiem, bo przecież Alice trzymała tamten rewolwer na wierzchu. To było straszne pytanie, ale musiałem je zadać. Długo krążyło mi po głowie.

— Od procesu?

— Nie. Dłużej.

— I to dlatego nie pozwoliłeś Stevensowi wziąć ją na spytki?

— No. Trzeba było mu pozwolić. Skończyło się na tym, że dziesięć lat potem sam wziąłem ją na spytki.

— Co z tego wynikło?

— Dalsza histeria. Jednocześnie śmiała się i płakała. Nigdy nikogo nie było mi tak żal. Zbielała jak ściana, a łzy tryskały jej z oczu i lały się po twarzy. Płakała czystymi łzami.

— Co powiedziała?

— Naturalnie, że tego nie zrobiła.

— A mogła? Umiała się obchodzić z bronią?

— Przeszkoliłem ją trochę, Alice też przeszkoliła. Nie trzeba umieć fachowo obchodzić się z bronią, żeby pociągnąć za spust, szczególnie przypadkiem.

— Wciąż myślisz, że mogło się tak wydarzyć?

— Nie wiem. To głównie dlatego chciałem z panem porozmawiać.

Te słowa jakby zerwały jakieś krępujące go więzy. Zszedł z koi i stanął w wąskim przejściu, twarzą w twarz ze mną. Miał na sobie marynarski golf, levisy i tenisówki.

—Pan może do niej iść i porozmawiać — rzekł. — Ja nie. Pan Stevens nie zechce. Ale pan może iść i spytać ją, co naprawdę się stało.

—Ona może tego nie wiedzieć.

—Zdaję sobie sprawę. Tamtej niedzieli bardzo pomieszało się jej w głowie. Bóg świadkiem, że tego nie chciałem. Tylko zadałem jej kilka pytań. Ale wyszło na to, że ona nie widzi różnicy między tym, co się wydarzyło, a tym, co powiedziała w sądzie.

—A czy przyznała, że wymyśliła swoje zeznania?

—Wymyśliła wszystko, z wielką pomocą Alice. Już ja sobie wyobrażam, jak to szło. „Tak było, prawda?”, mówiła Alice. „Widziałas tatę z bronią prawda?”. I po jakimś czasie Dolly miała w głowie całą opowieść.

—Czy Alice robiła to celowo? Próbowwała cię zrobić?

—Sama pewnie tak by tego nie nazwała. Była święcie przekonana, że jestem winny, więc za wszelką cenę chciała ukarać mnie za moją zbrodnię, nic więcej. Pewnie wkładając małej w usta swoje słowa, nie zdawała sobie sprawy, że fałszuje zeznania. Zresztą moja droga szwagierka zawsze chciała się na mnie zemścić.

—Czy chciała się też zemścić na Connie?

—Na Connie? Ona miała bzika na punkcie Connie. Mogło się wydawać, że jest jej matką a nie siostrą. Dzieliło je czternaście, piętnaście lat różnicy.

—Powiedziałeś, że chciała Connie dla siebie. Jej stosunek do Connie mógł się zmienić, jeśli dowiedziała się o Bradshawie.

—Co to, to nie. A zresztą kto by jej powiedział?

—Twoja córka. Skoro powiedziała tobie, mogła i Alice.

McGee pokręcił głową.

—Daleko pan sięga — mruknął.

—Muszę. To rozległa sprawa i nawet nie wiem, jak głęboka. Czy Alice mieszkała kiedyś w Bostonie?

— Myślę, że zawsze tu mieszkała. Jest jedną z Cór Tej Ziemi. Ja też jestem synem tej ziemi, ale nikt nigdy nie dał mi za to medalu.

— Zdarzało się, że nawet Córy Tej Ziemi wyjeżdżały do Bostonu. Czy Alice próbowała kiedyś sił na scenie, wyszła za mężczyznę nazwiskiem Macready albo farbowała włosy na rudo?

— Nic z tego nie pasuje do Alice.

Przypomniała mi się niesamowita różowa sypialnia i zadałem sobie w duchu pytanie, czy rzeczywiście McGee ma rację.

— Bardziej pasuje do... — zaczął McGee i urwał. Chwilę milczał, wyraźnie się nad czymś zastanawiając. — Jak już pan częstuje, to wezmę tego papierosa.

Podał mi papierosa i zapalił go.

— Co chciałeś powiedzieć? — zapytałem.

— Nic. Musiałem głośno myśleć.

— O kim głośno myślałeś?

— O nikim, kogo pan zna. Zapomnij pan o tym, co?

— Daj spokój, McGee. Podobno masz być ze mną szczerzy.

— Wciąż mam prawo do swoich myśli. W więzieniu trzymały mnie przy życiu.

— Teraz nie jesteś w więzieniu. Wolisz tam wrócić?

— Nie, ale nie za tę cenę, że ktoś inny miałby siedzieć.

— Ty ofiario losu — powiedziałem. — Kogo teraz kryjesz?

— Nikogo.

— Madge Gerhardi?

— Chybaś z byka pan spadł.

Nie mogłem z niego nic więcej wyciągnąć. Ciężka więzienna prasa urabia ludzi powoli, bezwzględnie i pokracznie. McGee stał się kłamliwym świętym.

ROZDZIAŁ 28

Czekało go kolejne przykręcenie śruby. Kiedy wyszedłem na pokład, zobaczyłem trzech mężczyzn, zbliżających się wzdłuż pływającego doku. Na tle eksplozji zachodu słońca ich ciała, ich głowy w kapeluszach były mroczniejsze niż stal.

Jeden z nich pokazał mi oznakę zastępcy szeryfa i broń, pod którą trzymał mnie, gdy pozostali wchodzili pod pokład. Usłyszałem krzyk McGee. Wygrzebał się przez luk, mając niebieskie kajdanki na przegubach i broń tej samej barwy przytkniętą do pleców. Spojrzał na mnie tylko raz, ze strachem i nienawiścią.

Nie skuli mnie, ale posadzili za kratą samochodu szeryfa, obok McGee, i zawieźli nas do sądu. Próbowiałem porozmawiać z McGee. Nie chciał się do mnie odezwać. Nawet na mnie nie spojrzał. Był przekonany, że go synąłem, i być może bezwiednie to zrobiłem.

Siedziałem pod strażą przed salą przesłuchań, podczas gdy oni przepytawali go głosami, które rosły i opadały, warczały i łasiły się, ryczały, groziły i obiecywały, odmawiały i szdyżyły. Przybył szeryf Crane, zmęczony, ale z ważną miną. Stał nade mną uśmiechnięty, z wypiętym brzuchem.

— Pański przyjaciel jest w prawdziwych opałach.

— Był w prawdziwych opałach przez ostatnie dziesięć lat. Powinien pan o tym wiedzieć, bo pan też się o to postarał.

Żyły na jego policzkach zapłonęły jak neonowa siatka. Pochylił się nade mną, wypluwając słowa zionące martini:

— Mogę wsadzić pana do więzienia za takie pytlowanie. Wie pan, dokąd wybiera się pański przyjaciel? Tym razem prosto do zielonej komory.

— Nie byłby pierwszym niewinnym człowiekiem, którego zagazowano.

— Niewinnym? McGee to wielokrotny morderca i zdobyliśmy na to dowody. Moi eksperci potrzebowali całego dnia, by ostatecznie ustalić, że pocisk w ciele Haggerty wystrzelono z tej samej broni, co pocisk znaleziony w ciele żony McGee, z tej samej broni, którą ukradł Alice Jenks w Indian Springs.

Udało mi się sprowokować szeryfa do popełnienia jednej niedyskrecji. Spróbowałem nakłonić go do kolejnej.

— Nie macie dowodu, że ją ukradł. Nie macie dowodu, że wtedy z niej strzelał. Gdzie trzymał broń przez ostatnie dziesięć lat?

— Może na jachcie Stevensa. A może u jakiegoś współnika.

— A potem podrzucił ją pod materac córki, żeby ją zrobić?

— To człowiek zdolny do takiego czynu.

— Obłąd!

— Nie do mnie tym tonem! — Zagroził mi armatnią kulą swojego brzucha.

— Niech pan tak nie mówi do szeryfa — upomniał mnie strażnik.

— Nie znam żadnego prawa, które zakazuje używania słowa obłąd. Tak się przypadkiem składa, że nie złamałem żadnego przepisu Kodeksu karnego stanu Kalifornia, udając się na jacht, żeby porozmawiać z McGee. Współpracuję z miejscowym adwokatem w ramach tego śledztwa i mam prawo pozyskiwać wszelkie informacje z wszelkich źródeł i zachować je w tajemnicy.

— Skąd pan wiedział, że on tam jest?

— Dostałem cynk.

— Od Stevensa?

— Nie od Stevensa. Moglibyśmy wymienić się informacjami, szeryfie. Skąd pan wiedział, że on tam jest?

— Nie układam się z podejrzanymi.

— O co mnie pan podejrzewa? O bezprawne użycie słowa obłąd?

— To wcale nie takie śmieszne. Został pan przyłapany z McGee. Mam prawo pana zatrzymać.

— Mam prawo zadzwonić do adwokata. Niech pan spróbuje ograniczać moje prawa, a zobaczymy, czym to się dla pana skończy. Mam przyjaciół w Sacramento.

Nie było wśród nich prokuratora generalnego ani nikogo z jego otoczenia, ale podobało mi się samo brzmienie tych słów. Szeryfowi Crane'owi nie. Był w połowie zawodowym politykiem i jak większość ludzi tego pokroju człowiekiem chwiejnym. Po chwili zastanowienia rzekł:

— Może pan dzwonić.

Wszedł do sali przesłuchań — przez chwilę widziałem zgarbionego, poszarzałego na twarzy McGee, wystawionego na ostre światło lampy — i dodał swój głos do tamtejszej kakofonii. Strażnik zabrał mnie do sąsiedniego pokoiku i zostawił sam na sam z telefonem. Skorzystałem z niego, dzwoniąc do Jerry'ego Marksa. Akurat wychodził na spotkanie z doktorem Godwinem i Dolly, ale powiedział, że zaraz przyjedzie do sądu i sprowadzi Gila Stevensa, jeśli ten będzie osiągalny.

Zjawili się w niecały kwadrans. Stevens rzucił mi spojrzenie spod fal swojej siwizny. To było skryte i wieloznaczne spojrzenie, które chyba znaczyło, że jakby co, to się nie znamy. Stary lis palestry zapewne doradził McGee porozmawiać ze mną i prawdopodobnie zaaranżował całe spotkanie. Fakty, o których powiedział mi McGee, mogły przydać się mnie, jemu nie bardzo. Metody i możliwości działania adwokata i prywatnego detektywa to dwie różne sprawy.

Jerry Marks wyciągnął mnie z aresztu, napomykając o możliwości złożenia skargi na bezprawne zatrzymanie. Stevens znikł z szeryfem i prokuratorem. Wyciąganie z aresztu jego klienta miało potrwać dłużej.

Księżyc wznosił się nad dachami jak owoc, który oderwawszy się od gałęzi, kpi sobie z prawa ciężenia. Był wielki i lekko wgnieciony.

—Piękny — powiedział na parkingu Jerry.

—Mnie przypomina nadgniłą pomarańczę.

—Szpetota jest w oku patrzącego. Tę naukę wpoili mi matka, ręką i nogą, jak powiedział pewien wybitny mąż stanu*. — Jerry zawsze był w dobrym humorze, kiedy miał okazję wykorzystać z dobrym skutkiem coś, czego nauczono go na studiach. Tanecznym krokiem podszedł do auta i z fasonem zapalił silnik. — Jesteśmy spóźnieni do Godwina.

—Zdążyłeś sprawdzić alibi Bradshawa?

—Tak. Wydaje się nie do obalenia. — Podał mi szczegóły, kiedy jechaliśmy przez miasto. — Oceniając wedle spadku temperatury ciała, czasu krzepnięcia krwi i innych wskaźników, zastępca koronera doszedł do wniosku, że śmierć panny Haggerty nastąpiła nie później niż o wpół do dziewiątej. Ponad stu świadków może potwierdzić, że od siódmej do około wpół do dziesiątej dziekan Bradshaw siedział, stał lub przemawiał w ich obecności. Rozmawiałem z trzema wybranymi na chybił trafił absolwentami i wszyscy zgodnie stwierdzają, że ani na moment nie opuścił stołu honorowego. W tej sytuacji Bradshaw odpada.

—Na to wygląda.

—Wydajesz się zawiedziony, Lew.

—Częściowo tak, częściowo mi ulżyło. Polubiłem go. Ale byłem całkiem pewien, że to nasz podejrzany.

Zanim dojechaliśmy do domu opieki, jeszcze krótko zrelacjonowałem mu to, czego się dowiedziałem od McGee i od szeryfa. Jerry zagwizdał, ale do tego ograniczył swój komentarz.

Doktor Godwin otworzył nam drzwi, demonstrując czysty biały kitel i niezadowoloną minę.

—Spóźnił się pan, Marks. Już byłem gotów wszystko odwołać.

—Mieliśmy nieco alarmową sytuację. Około siódmej wieczorem aresztowano Thomasa McGee. Przypadkiem był z nim pan Archer i spało go to samo.

Godwin odwrócił się do mnie.

* Nie wiadomo, kogo autor miał na myśli, powiedzenie jest powszechnie używane.

— Był pan z McGee?

— Posłał po mnie i zaczął mówić. Chcę porównać to, co usłyszałem od niego, z tym, co może powie jego córka.

— Obawiam się, że... hm... na tej sesji nie ma dla pana miejsca — rzekł z pewnym zażenowaniem Godwin. — Jak wcześniej wspomniałem, nie obowiązuje pana tajemnica zawodowa.

— Obowiązuje, jeśli działam na polecenie pana Marksa. A tak jest.

— Pan Archer ma rację pod obydwoma względami — poparł mnie Jerry.

Psychiatra wpuścił nas z ociąganiem. Byliśmy autsajderami, intruzami w jego zagadkowym królestwie. Moja wiara w dobroczynny despotyzm Godwina zmalała, ale na razie zachowałem wątpliwości dla siebie.

Zabrał nas do ambulatorium, w którym czekała Dolly. Siedziała na skraju stołu operacyjnego, w szpitalnej koszuli bez rękawów. Przed nią stał Alex, trzymając ją za ręce. Wpijał się w nią chciwym, wiernopoddańczym wzrokiem, jakby była kapłanką lub boginią dziwnego jednoosobowego kultu.

Włosy miała lśniąca i gładkie, rysy spokojne, tylko wzrok posepny, skryty i rozbiegany. Spojrzała na mnie tak, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu.

Godwin dotknął jej ramienia.

— Jesteś gotowa, Dolly? — spytał.

— Chyba tak.

Położyła się na stole. Alex nadal trzymał ją za rękę.

— Jeśli pan chce, może pan zostać, Kincaid. Byłoby panu jednak lżej, gdyby pan wyszedł.

— Ale mnie byłoby ciężiej — zaprotestowała dziewczyna. — Czuję się bezpieczniej, kiedy jest ze mną. Chcę, żeby Alex wiedział o... wszystkim.

— Tak. Zostanę.

Godwin napełnił strzykawkę, wbił w ramię Dolly igłę i przykleił ją do białej skóry. Kazał dziewczynie liczyć wstecz od stu. Przy dziewięćdziesięciu sześciu rozluźniła się i pobladła.

Wewnętrzny blask ożywiający jej twarz powrócił, chociaż słabszy, gdy lekarz spytał:

— Słyszysz mnie, Dolly?

— Słyszę — wymruczała.

— Mów głośniej. Nie rozumiem, co mówisz.

— Słyszę — powtórzyła. Mówiła trochę bełkotliwie.

— Kim jestem?

— Doktorem Godwinem.

— Pamiętasz, jak byłaś małą dziewczynką i przychodziłaś do mnie do gabinetu?

— Pamiętam.

— Kto cię przywoził?

— Mamusia. Przywoziła mnie autem cioci Alice.

— Gdzie wtedy mieszkałaś?

— W Indian Springs, u cioci Alice.

— I mamusia też tam mieszkała?

— Mamusia też tam mieszkała. Mieszkała i przestała.

Miała rumieńce i mówiła jak pijane dziecko.

Lekarz odwrócił się do Jerry'ego Marksa, gestem przekazując mu pacjentkę. Ciemne oczy Jerry'ego były pełne smutku.

— Pamiętasz pewną noc, kiedy twoja mama została zabita? — spytał.

— Pamiętam. Kim pan jest?

— Jestem Jerry Marks, twój adwokat. Możesz mi wszystko powiedzieć.

— Możesz — potwierdził Alex.

Dziewczyna spojrzała sennym wzrokiem na Jerry'ego.

— Co według pana mam powiedzieć?

— Po prostu prawdę. Nieważne, czego chcę ja czy ktoś inny. Po prostu powiedz mi, co pamiętasz.

— Spróbuję.

— Czy słyszałaś strzał?

— Słyszałam. — Skrzywiła się, jakby znów rozległ się w jej uszach.

— Boj... bałam się.

— Czy widziałaś kogoś?

— Zesłam na dół dopiero później. Bałam się.

— Widziałaś kogoś z okna?

— Nie. Słyszałam auto, jak odjeżdżało. Wcześniej słyszałam, jak biegła.

— Kogo słyszałaś biegnącego? — spytał Jerry.

— Najpierw, kiedy rozmawiała z mamą w drzwiach, myślałam, że to ciocia Alice. Ale to nie mogła być ciocia Alice. Nie zastrzeliłaby mamy. Poza tym jej broń zginęła.

— Skąd wiesz?

— Powiedziała, że wzięłam ją z jej pokoju. Zbiła mnie szczotką do włosów za to, że ją ukradłam.

— Kiedy cię zbiła?

— W sobotę wieczorem, kiedy wróciła do domu z kościoła. Mamusia powiedziała jej, że nie ma prawa mnie bić. Ciocia Alice spytała mamusię, czy to ona wzięła broń.

— Wzięła?

— Nie wiem, przy mnie nie powiedziała. Posłały mnie do łóżka.

— Czy wzięłaś tę broń?

— Nie. W życiu bym jej nie tknęła. Bałam się jej dotknąć.

— Dlaczego?

— Bałam się cioci Alice.

Była rozpalona i spocona. Usiłowała dźwignąć się na łokciach. Lekarz ułożył ją na plecach i zmniejszył tempo podawania specyfiku. Dziewczyna znów się rozluźniła i Jerry spytał:

— Czy to Alice rozmawiała z twoją mamusią w drzwiach?

— Z początku tak myślałam. To był jakby jej głos. Miała groźny, hucający głos. Ale to nie mogła być ciocia Alice.

— Dlaczego nie?

— Po prostu nie mogła.

Odwróciła głowę, jakby nasłuchiwała. Lok opadł na pół-przymknięte powieki. Alex łagodnie go odsunął. Powiedziała:

— Pani przy drzwiach powiedziała, że to musi być prawda o mamusi i panu Bradshawie. Powiedziała, że usłyszała to z ust samego taty, a on dowiedział się tego ode mnie. Potem zastrzeliła mamusię i uciekła.

W pokoju zapanowała cisza, zakłócana tylko ciężkim oddechem dziewczyny. Łza ciężka jak kropla miodu spłynęła z kącika jej oka na

policzek. Alex otarł chusteczką niebiesko żyłkowane wgłębienie. Jerry pochylił się z drugiej strony stołu i spytał:

— Dlaczego powiedziałaś, że to twój tato zastrzelił mamusię?

— Ciocia Alice tak chciała. Nie powiedziała tego wprost, ale ja to wy-
czułam. I bałam się, że pomyśli, że ja to zrobiłam. Sprawiała mi lanie za
zabranie broni, a ja jej nie zabrałam. Powiedziałam, że to był tato. Mu-
siałam to powtarzać i powtarzać, i powtarzać.

Popłynęły kolejne łzy. Łzy nad dzieckiem, którym była, przestraszonym i kłamiącym, i łzy nad kobietą, którą z bólem się stawała. Alex otarł je. Sam był bliski płaczu.

— Dlaczego najpierw powiedziałaś nam, że zabiłaś matkę? — spyta-
łem.

— Kim pan jest?

— Jestem Lew Archer, przyjaciel Alexa.

— Zgadza się — potwierdził Alex.

Podniosła głowę i opuściła ją bezwładnie.

— Zapomniałam, o co pan pytał — rzekła.

— Dlaczego powiedziałaś, że zabiłaś matkę?

— Bo to wszystko była moja wina. Powiedziałam tacie o niej i panu
Bradshawie i od tego wszystko się zaczęło.

— Skąd wiesz?

— Pani przy drzwiach to powiedziała. Przyszła zastrzelić mamusię po
tym, jak dowiedziała się wszystkiego od taty.

— Czy wiesz, kim była?

— Nie.

— Czy to była ciotka Alice?

— Nie.

— Czy to był ktoś, kogo znałaś?

— Nie.

— Czy twoja matka ją znała?

— Nie wiem. Może.

— Czy matka zwracała się niej tak, jakby ją znała?

— Mówiła jej po imieniu.

— Jak?

— Tish. Mówiła do niej „Tish”. Ale wyczuwałam, że jej nie lubi. I że się jej boi.

— Czemu wcześniej nikomu o tym nie powiedziałaś?

— Bo to wszystko była moja wina.

— Nie — powiedział Alex. — Byłaś tylko dzieckiem. Nie odpowiadałaś za to, co zrobili dorośli.

Godwin uciszył go, kładąc palec na ustach. Dolly przetoczyła głowę z boku na bok i powtórzyła:

— Wszystko to była moja wina.

— Już dość tego — szepnął do Jerry’ego Godwin. — Zrobiła pewien postęp. Chcę mieć szansę go utrwalić.

— Ale nie doszliśmy nawet do sprawy Haggerty.

— W takim razie skracajcie się. — Zwrócił się do dziewczyny: — Dolly, masz ochotę opowiedzieć o ostatnim piątkowym wieczorze?

— Nie o tym, jak ją znalazłam. — Wykrzywiła twarz, aż jej oczy znikły w fałdach skóry.

— Nie musisz opowiadać ze szczegółami, jak natknęłaś się na ciało — uspokoił ją Jerry. — Ale co tam robiłaś?

— Chciałam porozmawiać z Helen. Często przychodziłam na wzgórze porozmawiać z nią. Byłyśmy przyjaciółkami.

— Jak nawiązałaś tę znajomość?

— Chciałam przypochlebić się Helen — powiedziała z dziwną szczerością. — Początkowo myślałam, że może być panią... kobietą, która zastrzeliła mamę. Po kampusie chodziły plotki, że jest związana z dziekanem Bradshawem.

— I przyjechałaś do college’u, żeby znaleźć tę kobietę?

— Tak. Ale to nie była Helen. Dowiedziałam się, że jest nowa w mieście, i sama powiedziała mi, że między nią i Bradshawem nic nie ma. Nie miałam prawa jej w to wciągać.

— Co takiego zrobiłaś?

— Powiedziałam jej wszystko o mamie i Bradshawie, o morderstwie i kobiecie w drzwiach. Helen zginęła, bo za dużo wiedziała.

— To możliwe — przyznałem — ale nie dowiedziała się tego od ciebie.

— Ode mnie! Powiedziałam jej wszystko.

Godwin pociągnął mnie za rękaw, mówiąc:

— Niech pan się z nią nie spiera. Wychodzi już z tego, ale wciąż operuje na poziomie podświadomości.

— Czy Helen cię wypytywała? — spytałem dziewczynę.

— Tak. Na okrągło.

— W takim razie nie przekazałaś jej tej informacji z własnej woli.

— Nie. Sama chciała wiedzieć.

— Co chciała wiedzieć?

— Wszystko o Bradshawie i mamie.

— Czy powiedziała, dlaczego jej na tym zależy?

— Chciała pomóc mi w mojej kruczajce. Po tej rozmowie z tatą w hotelu rozpoczęłam kruczajkę. Dziecięcą kruczajkę. — Próbowала zachichotać, ale jedynie się rozszlochała. — I tylko doprowadziłam do śmierci mojej dobrej przyjaciółki Helen. Kiedy znalazłam ciało...

Otworzyła szeroko oczy. Potem usta. Zesztywniała, jakby była w rigor mortis. Trwała tak przez piętnaście, dwadzieścia sekund.

— Poczulałam się, jakbym znów znalazła ciało mamusi — dokończyła cieniutkim głosem i całkowicie oprzytomniała. — Dobrze?

— Dobrze — powiedział Alex.

Pomógł jej usiąść. Wsparła się na nim, zarzucając mu płaszcz włosów na ramiona. Kilka minut potem wróciła do swojego pokoju, nadal przytulona do Alexa. Szli jak mąż i żona.

Godwin zamknął drzwi ambulatorium.

— Mam nadzieję, dżentelmeni, że jesteście zadowoleni — rzekł z wyraźnym niesmakiem.

— Mówiła bardzo swobodnie — stwierdził Jerry. Był wyczerpany.

— To nie przypadek. Przygotowywałam ją do tego przez ostatnie trzy dni. Pentotal, jak mówiłem panu wcześniej, nie gwarantuje prawdy. Jeśli pacjent jest zdecydowany kłamać, specyfik go nie powstrzyma.

— Czy daje pan do zrozumienia, że nie mówiła prawdy?

— Nie. Wierzę, że mówiła prawdę, o ile ją zna. Mój problem teraz, to

przenieść tamte wszystkie przeżycia do aktywnej części jej świadomości. Zechciejcie mi wybaczyć, dżentelmeni.

— Chwila — powiedziałem. — Może mi pan poświęcić jeszcze minutę, doktorze? Straciłem trzy dni, a Kincaid sporo pieniędzy, by dotrzeć do faktów, które były panu wiadome.

— Doprawdy? — spytał zimno.

— Doprawdy. Mógł mi pan zaoszczędzić dużo pracy, informując o romansie Bradshawa z Constance McGee.

— Obawiam się, że oszczędzanie detektywom pracy nie jest moim życiowym celem. To sprawa etyki zawodowej, której pan zapewne nie pojmuje. Inaczej niż pan Marks, jak sądzę.

— Nie rozumiem, w czym problem — powiedział Jerry, ale wsunął się między nas, jakby bał się awantury. Dotknął mojego ramienia. — Wynośmy się stąd, Lew, i pozwólmy doktorowi zająć się jego sprawami. Pięknie poszedł nam na rękę, wiesz o tym.

— Nam czy Bradshawowi? Godwin pobladł.

— W pierwszym rzędzie służę pacjentom — rzekł.

— Nawet kiedy mordują?

— Nawet wtedy. Ale blisko znam Roya Bradshawa i mogę pana zapewnić, że nie potrafiłby nikogo zabić. A już na pewno nie zabiłby Constance McGee. Był w niej namiętnie zakochany.

— Namiętność to obosieczne ostrze.

— Nie zabił jej.

— Kilka dni temu mówił mi pan, że zrobił to McGee. Może się pan mylić, doktorze.

— Wiem o tym, ale nie w przypadku Roya Bradshawa. Ten człowiek ma za sobą tragiczne życie.

— Niech mi pan o nim opowie.

— Będzie musiał sam panu opowiedzieć. Nie jestem pierwszym lepszym urzędniczyną, panie Archer. Jestem lekarzem.

— A co z kobietą, z którą ostatnio się rozwiódł, Tish albo Letitią? Zna ją pan?

Spojrzał na mnie bez słowa. Wreszcie rzekł ze smutkiem w mądrych oczach:

— O nią będzie pan musiał zapytać Roya.

ROZDZIAŁ 29

Udając się do sądu na rozmowę z McGee, Jerry podrzucił mnie wpierw do portu, żebym zabrał mój samochód. Księżyc był teraz wyżej i odzyskał swojski kształt i kolor. W jego świetle jachty wyglądały jak flotylla Latających Holendrów.

Wróciłem do motelu, by porozmawiać z Madge Gerhardi. Wyparowała wraz z resztką mojej whisky. Usiadłem na skraju łóżka i zadzwoniłem do jej mieszkania. Nikt nie odpowiedział.

Zadzwoniłem do domu Bradshawa. Wyglądało na to, że starsza pani Bradshaw objęła stały posterunek przy aparacie. Podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku i drżącym głosem zapytała:

— Halo, kto mówi?

— To tylko ja, Archer. Roy nie przyszedł do domu, prawda?

— Nie i martwię się o niego, bardzo się martwię. Od soboty rano nie dał znaku życia. Obdzwaniam jego znajomych...

— Nie robiłbym tego, pani Bradshaw.

— Muszę coś zrobić.

— Są chwile, kiedy lepiej nic nie robić. Proszę siedzieć i czekać.

— Nie mogę. Chce mi pan powiedzieć, że stało się coś strasznego, prawda?

— Myślę, że pani wie co.

—Czy to ma coś wspólnego z tamtą straszną kobietą... Macready?

—Tak. Musimy się dowiedzieć, gdzie ona się znajduje. Jestem przekonany, że pani syn mógłby mi to powiedzieć, ale stał się nieosiągalny. Czy na pewno nie widziała pani tej kobiety od czasu Bostonu?

—Na pewno. Widziałam ją tylko raz, kiedy przyszła do mnie po pieniądze.

—Może mi ją pani opisać?

—Wydaje mi się, że to zrobiłam.

—Bardziej szczegółowo, jeśli łaska. To niezwykle ważne.

Zastanowiła się. Słyszałem jej oddech w słuchawce, lekki rytmiczny szelest.

—No cóż, była roslą kobietą, wyższą ode mnie. Miała rude włosy, w kok. Figurę całkiem dobrą, nieco obfitą, i całkiem przyjemne rysy... trochę wyzywający typ urody. I zielone oczy, mętne zielone oczy, które bardzo mi się nie podobały. Miała ciężki makijaż, bardziej odpowiedni na scenę niż na wizytę, i była koszmarnie wystrojona.

—W co?

—To chyba bez znaczenia po dwudziestu latach. Ale miała lamparcie futerko, imitację leoparda, o ile pamiętam, a pod nim coś w paski. W północzochach poleciały jej oczka. Nosiła idiotycznie wysokie szpilki. I całą masę sztucznej biżuterii.

—Jaką miała wymowę?

—Ulicznicy. Chciwa, natrętna lubieżnica. — Pogarda w jej głosie wcale mnie nie zaskoczyła. Kiedyś omal nie straciła Roya na rzecz tej kobiety i nadal jej to groziło.

—Czy poznałaby ją pani inaczej ubraną, mającą może inaczej ufarbowane włosy?

—Sądzę, że tak, gdybym miała okazję dokładniej jej się przyjrzeć.

—Będzie pani miała tę szansę, kiedy ją znajdziemy.

Pomyślałem sobie, że kolor oczu trudniej zmienić niż kolor włosów. Jedyłą zielonooką kobietą powiązaną ze sprawą była Laura Sutherland. Miała znakomitą figurę i ładną buzię, ale poza tym w niczym nie odpowiadała opisowi wyglądu Macready. Mogła się jednak zmienić. Znałem

kobiety, które zmieniły się nie do poznania w o połowę krótszym czasie.

— Czy zna pani Laureę Sutherland, pani Bradshaw?

— Trochę.

— Czy przypomina Macready?

— Dlaczego pan o to pyta? — rzuciła, podnosząc głos. — Czy podejrzewa pan Laureę?

— Tak daleko bym się nie posunął. Ale nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

— To nie może być tamta. W żadnym wypadku. Jest w zupełnie innym typie.

— A to, że jest wysoka i ma pełną figurę, to nic?

— Pewnie można by znaleźć jakieś podobieństwo — odparła z powątpiewaniem. — Roya zawsze pociągały kobiety mogące reklamować spółdzielnię mleczarską.

I żłobek, dodałem w myślach, po czym spytałem na głos:

— Muszę zadać pani jeszcze jedno, bardziej osobiste pytanie.

— Tak? — Zebrała się w sobie, szykując na cios.

— Chyba wie pani, że Roy był pacjentem doktora Godwina?

— Pacjentem doktora Godwina? Nie do wiary. Nie poszedłby do niego za moimi plecami. — Mimo że oceniała syna trzeźwo, wręcz cynicznie, wiele rzeczy o nim nie wiedziała.

— Doktor Godwin powiedział, że był jego pacjentem, podobno przez lata.

— To musi być jakieś nieporozumienie. Roy nie miał żadnych kłopotów natury psychicznej. — Zapadła wibrująca cisza. — A może jednak?

— Musiałem panią o to zapytać, niemniej jednak przepraszam, że to zrobiłem. Proszę się nie niepokoić, pani Bradshaw.

— Jak mogę się nie niepokoić, kiedy mój chłopiec jest w niebezpieczeństwie?

Chciała przedłużyć rozmowę, natchnąć otuchą stare, rozdygotane serce, ale pożegnałem się i odłożyłem słuchawkę. Jedna podejrzana, Madge Gerhardi, wyeliminowana; opis nie pasował do jej obecnego i prawdopodobnie także do dawnego wyglądu. Laura pozostała na liście.

Oczywiście to było bez sensu, Bradshaw nie mógł się z nią rozwieść i natychmiast potem znowu ożenić. Ale skąd pewność, że naprawdę poślubił Laurę? Miałem na to tylko jego słowo. Coraz wyraźniej zdawałem sobie sprawę, że to słowo rozciąga się jak guma, która łatwo może pęknąć. Sprawdziłem adres Laury — mieszkała w College Heights — i właśnie wpisywałem go do notatnika, kiedy zadzwonił telefon.

To był Jerry Marks. McGee zaprzeczył, jakoby rozmawiał z kobietą imieniem Tish lub kimś innym o romansie Roya i Constance. Jediną osobą, z którą mówił na ten temat, był Bradshaw.

— Bradshaw sam mógł o tym powiedzieć tej kobiecie — zasugerowałem. — Niewykluczone też, że Tish podsłuchiwała ich rozmowę.

— Niewykluczone, ale mało prawdopodobne. McGee twierdzi, że rozmowa toczyła się w domu Bradshawa.

— Ta kobieta mogła tam przebywać, gdy starszej pani nie było.

— Myślisz, że mieszka gdzieś w pobliżu?

— W każdym razie gdzieś w południowej Kalifornii. Sądzę, że Bradshaw wiódł podwójne życie, którego częścią była Tish, i że to ona jest winna zabójstwa Constance McGee i Helen Haggerty. Matka Bradshawa właśnie podała mi jej dokładniejszy rysopis. Lepiej przekaz go policji. Masz coś do pisania?

— Tak. Siedzę za biurkiem szeryfa.

Wyrecytowałem rysopis Letitii Macready, ale nie wspomniałem słowem o Laurze Sutherland. Sam chciałem z nią porozmawiać.

College Heights był położony na dalekim przedmieściu Pacific Point, na skraju kampusu. Stały w nim przypadkowo rozlokowane identyczne domki, akademiki, bliźniaki i wielopiętrowe domy mieszkalne, przedzielone pustymi parcelami, na których jeżyły się tabliczki „Na sprzedaż”. W oświetlonym oknie jednego z akademików jakiś chłopak śpiewał przy gitarze, że ten kraj jest twój i mój.

Laura mieszkała w jednym z lepszych domów, mającym otwarty ogrodowy dziedziniec wokół basenu. Drzwi jej mieszkania wskazał mi

mężczyzna w samej koszuli i spodniach, tłukący komary na leżaku przy basenie. Z pewnym zadowoleniem dodał, że jest właścicielem posesji.

— Czy ktoś u niej jest?

— Nie sądzę. Miała gościa, ale odjechał.

— Kto to był?

Mężczyzna przyjrzał mi się uważniej i odparł:

— To jej interes, panie szanowny.

— Przypuszczam, że to dziekan Bradshaw, z college’u.

— Jak pan wie, po co pan pyta?

Poszedłem w głąb dziedzińca i zapukałem do drzwi. Otworzyła mi, nie zdejmując łańcucha. Już nie miała tych ślicznych rumieńców jak w Reno. Była w ciemnym kostiumie, jakby nosiła żałobę.

— Czego pan chce? Jest późno.

— Zbyt późno na rozmowę, pani Bradshaw?

— Nie jestem panią Bradshaw — odparła bez większego przekonania.

— Nie jestem zameźną.

— Wczoraj wieczorem Roy powiedział coś przeciwnego. Które z was kłamie?

Zdjęła łańcuch i cofnęła się w rozlewającą się plamę światła.

— Niech pan wejdzie, skoro pan musi.

Zamknęła za mną drzwi i założyła łańcuch. Patrzyłem na nią, nie na pokój, ale kątem oka widziałem, że całe pomieszczenie, w którym ujarzmione abażurami światło lamp lśniło na drewnianych i ceramicznych powierzchniach, zostało urządzone z gustem. Szukałem na twarzy kobiety śladów przeszłości odmiennej niż jej teraźniejszość. Nie dostrzegłem wyraźnych znaków, zmarszczek okrucieństwa lub obrzęku rozpusty. Ale nie było też na niej spokoju. Laura przyglądała mi się, jakby przyłapała mnie na włamaniu.

— Czego się pani boi?

— Nie boję się — zaprzeczyła wystraszoną głosem. Próbowwała zapanować nad emocjami, kładąc rękę na gardle. — Nie podoba mi się, że wdzierają się pan do mojego domu i mówi o osobistych sprawach.

— Przecież zaprosiła mnie pani do środka.

—Tylko dlatego, że wypowiadał się pan, nie zachowując dyskrecji.

—Zwróciłem się do pani, używając nazwiska męża. Co ma pani przeciwko temu?

—Nie mam nic przeciwko temu — odparła, uśmiechając się słabo. — Jestem bardzo dumna z mojego nowego nazwiska. Ale mąż i ja zachowujemy to w tajemnicy.

—Przed Letitią Macready?

Nie zareagowała. Zrezygnowałem już z przypuszczenia, że to ona może być Letitią. Miała zbyt jędrne ciało, zbyt gładką skórę. Kiedy Bradshaw żenił się z Letitią, Laura była najwyżej nastolatką.

—Letitią...?

—Letitią Macready. Znaną także jako „Tish”.

—Nie mam pojęcia, o kim pan mówi.

—Powiem pani, jeśli naprawdę chce się pani tego dowiedzieć. Mogę usiąść?

—Ależ proszę — powiedziała, nie okazując wiele ciepła.

Byłem posłańcem złych wieści; w dawnych czasach tacy dawali głowę.

Usiadłem na miękkim skórzanym pufie, plecami do ściany. Laura nadal stała.

—Kocha pani Roya Bradshawa, prawda?

—Nie wyszłabym za niego za mąż, gdybym go nie kochała.

—Kiedy dokładnie zawarliście małżeństwo?

—Dwa tygodnie temu, w sobotę, dziesiątego września. — Wspomnienie tamtego dnia przywróciło słabe rumieńce na jej twarzy. — Zaraz po tym, jak wrócił z podróży po Europie. Pod wpływem impulsu zdecydowaliśmy się pojechać do Reno.

—Czy wcześniej, latem, była już pani z Royem w Reno?

Zastygła zaskoczona, po czym zaprzeczyła ruchem głowy.

—Czyj to był pomysł, żeby jechać do Reno?

—Oczywiście Roya, ale ja też tego chciałam. Już od pewnego czasu — wyznała w porywie szczerości.

—Co stało na drodze do zawarcia ślubu?

—Właściwie to nic. Odsuwaliśmy jego termin z różnych przyczyn. Pani Bradshaw jest bardzo zaborczą matką, a Roy nie może liczyć na nic

poza pensją. To wygląda tak, jakbyśmy byli wyrachowani... — Zamilkła zażenowana, nadaremnie szukając oględniejszych słów.

— Ile lat ma jego matka?

— Około sześćdziesięciu. Dlaczego?

— Czasami niedomaga, ale na ogół jest pełna wigoru. Może się jeszcze długo trzymać.

W jej oczach zalśnił lodowaty płomień.

— Nie życzymy jej śmierci, niech pan nie myśli. Po prostu czekamy na odpowiedni moment. Roy ma nadzieję, że z czasem pani Bradshaw spojrzy rozsądniej na... mnie. Tymczasem... — przerwała i zmierzyła mnie nieufnym wzrokiem. — Ale to nie pański interes. Obiecał pan opowiedzieć o tej Macready. Tish Macready...? Nazywa się jak postać z romansu.

— Zapewniam panią, że ta kobieta jest w stu procentach realna. Pani mąż rozwiódł się z nią w Reno, na krótko przed ożenkiem z panią.

Podeszła do krzesła i nagle usiadła, jakby straciła całą władzę w nogach.

— Nie wierzę — powiedziała. — Roy nigdy wcześniej nie był żonaty.

— A jednak był. Nawet jego matka to potwierdziła, chociaż początkowo zaprzeczała ze wszystkich sił. To było niefortunne małżeństwo, zawarte podczas jego studiów na Harvardzie. Ale ociągał się z jego rozwiązaniem aż do lata tego roku. Spędził część lipca i cały sierpień na terenie stanu, żeby uzyskać status mieszkańca Nevady.

— Teraz wiem, że się pan myli. Przez cały ten czas Roy był w Europie.

— Podejrzewam, że na dowód tego ma pani jego listy i pocztówki?

— Tak, mam — potwierdziła z uśmiechem ulgi.

Poszła w głąb mieszkania i wróciła z plikiem poczty, przewiązanim czerwoną wstążeczką. Przejrzałam pocztówki i ułożyłam je w porządku chronologicznym. Londyńska Tower (ze stemplem: Londyn, 18 lipca), biblioteka Bodleian (Oksford, 21 lipca) i tak dalej, aż do widoku ogrodów

angielskich (Monachium, 25 sierpnia). W ostatniej pocztówce Bradshaw donosił:

Droga Lauro,

Wczoraj zwiedziłem orle gniazdo Hitlera w Berchtesgaden — przepiękna okolica, choć budząca ponure skojarzenia — a dzisiaj, na odmianną, pojechałem autobusem do sławnego z widowisk pasyjnych Oberammergau. Uderzyła mnie niemal biblijna prostota mieszkańców. Cała Bawaria jest pełna niezwykle pięknych kościółków. Jakże żałuję, że nie mogę podziwiać ich z Tobą! Z przykrością dowiaduję się, że spędziłaś lato samotnie. No cóż, lato niebawem się skończy i jedno przynajmniej mnie cieszy, że odwrócę się od wspaniałości Europy i znów znajdę się w kraju.

Zawsze Twój
Roy

Siedziałem i czytałem ten niewiarygodny tekst. Był prawie identyczny z tym, który pokazała mi pani Bradshaw. Próbowałem postawić się w miejsce Bradshawa, zrozumieć motyw jego postępowania. Ale nie potrafiłem sobie wyobrazić, jakie żałosne rozdwojenie natury ludzkiej, jaka gorzka chęć naigrawania się z samego siebie czy samoponiżenia pchnęła go do tego, by karmić identycznymi kłamstwami matkę i narzeczoną.

— O co chodzi? — spytała Laura.

— Prawie o wszystko.

Oddałem jej korespondencję. Wzięła ją ode mnie delikatnie.

— Niech pan nie mówi, że nie napisał ich Roy — powiedziała. — To jego pismo i jego styl.

— Napisał je w Reno — powiedziałem — i przekazał znajomemu lub współpracownikowi, który podróżował po Europie, i ten wysyłał je pani.

— Jest pan tego pewien?

— Obawiam się, że tak. Czy przychodzi pani na myśl jakiś znajomy, który mógłby mu w tym pomóc?

Przygryzła dolną wargę.

— Doktor Godwin spędził ostatnie lato, podróżując po Europie. Jest

bardzo blisko z Royem. Więcej, Roy przez jakiś czas był jego pacjentem.

— Z czego Godwin go leczył?

— Tak naprawdę nie rozmawialiśmy o tym, ale pewnie miało to coś wspólnego z jego nadmierną... jego nadmierną zależnością od matki. — Rumieniec gniewu powoli wyrósł na jej szyi i sięgnął policzków. Uciekła od tematu: — Czemu jednak dwaj dorośli mężczyźni mieliby się bawić w taką głupią mistyfikację?

— No właśnie. Być może w grę wchodzi zawodowe ambicje pani męża. Wyraźnie nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział o jego poprzednim nieudanym małżeństwie czy o rozwodzie, i zadał sobie wiele trudu, żeby to wszystko ukryć. Podobne listy i kartki pocztowe wysłał matce. Być może trzeci zestaw wysłał Letitii.

— Co to za kobieta? Gdzie przebywa?

— Myślę, że tu, w mieście, a jeśli nie, to przebywała w piątek wieczorem. Bardzo prawdopodobne, że mieszkała tu przez ostatnie dziesięć lat. Jestem zaskoczony, że pani mąż nigdy nie wyjawiał tego nikomu, nawet komuś tak bliskiemu jak pani.

Nadal stała nade mną i musiałem unieść głowę, żeby spojrzeć jej w twarz. Gdyby mogła, zmiażdżyłaby mnie wzrokiem. Kręciła głowę.

— A może nie ma w tym nic zaskakującego — dodałem. — Znakomicie potrafi oszukiwać, wieść podwójne życie i nawet do pewnego stopnia zwodzić samego siebie. To typowe dla maminsynka.

Gwałtowny oddech poruszył jej piersi.

— Nie jest maminsynkiem. Może był nim w młodości, ale teraz jest dojrzałym mężczyzną i dobrze wiem, że mnie kocha. Musi być jakiś powód tego wszystkiego. — Spojrzała na trzymane w ręce listy i kartki pocztowe.

— Na pewno. Podejrzewam, że to ma związek z tymi dwoma morderstwami. W obu przypadkach główną podejrzaną jest Tish Macready.

— Z jakimi dwoma morderstwami?

— Tak naprawdę chodzi o trzy, popełnione w ciągu dwudziestu lat:

Helen Haggerty, zamordowanej w piątek wieczorem, Constance McGee dziesięć lat temu i Luke'a Deloneya przed wojną w Illinois.

—Jakiego Deloneya?

—Luke'a Deloneya. Nie zna go pani, ale myślę, że Tish Macready wiedziałyby dobrze, o kim mówię.

—Czy to był ktoś związany z niejaką panią Deloney, która zatrzymała się w Surf House?

—Jest wdową po nim. Zna ją pani?

—Nie osobiście. Ale Roy rozmawiał z nią przez telefon, zanim wyszedł.

—Co powiedział?

—Po prostu, że idzie się z nią spotkać. Spytałam go, kim ona jest, ale za bardzo się śpieszył, żeby mi to wyjaśnić.

Wstałem ze słowami:

—Jeśli pani pozwoli, sprawdzę, czy uda mi się go złapać w hotelu. Cały dzień próbowałem go dopaść.

—Był tu, ze mną. — Uśmiechnęła się lekko, chociaż nie było jej do śmiechu, a w oczach miała niepokój. — Proszę nie mówić mu tego, co panu wyznałam. Niech pan nic mu nie mówi.

—Postaram się, ale to może samo wyjść w trakcie rozmowy.

Podszedłem do drzwi. Zacząłem zdejmować łańcuch.

—Niech pan zaczeka — powiedziała za moimi plecami. — Coś mi się przypomniało, coś, co zapisał w tomiku wierszy, który mi pożyczył.

—Co zapisał?

—Jej imię.

Poszła do drugiego pokoju. Zawadziła biodrem o framugę drzwi. Kartki i listy Bradshawa wysypały jej się z rąk. Nie zatrzymała się, by je pozbierać.

Wróciła z otwartą książką i uciekając wzrokiem, wcisnęła mi ją w ręce. Był to sfatygowany egzemplarz *Poezji zebranych Yeatsa*, otwarty na wierszu „Wśród szkolnej dziatwy”. Pierwsze cztery wersy czwartej zwrotki podkreślono ołówkiem i obok, na marginesie, Bradshaw napisał: „Tish”.

Przeczytałem te cztery wersy:

Jej wizerunek obecny widzę przed oczami —
Czy palec z quattrocenta go tak ukształtował,
Policzki wydrążył, jakby wiatr spijały,
Splątanymi cieniami resztę oczarował?

Nie byłem pewien, co mogą znaczyć, i przyznałem się do tego.

Laura odpowiedziała z goryczą:

— Po prostu to, że Roy nadal ją kocha. Yeats pisał o Maud Gonne, kobiecie, którą ubóstwiał przez całe życie. Może Roy właśnie dlatego pożyczył mi tę książkę, żeby powiedzieć o Tish. Jest bardzo subtelny.

— Pewnie umieścił ten dopisek dawno temu i zapomniał o nim. Gdyby nadal ją kochał, nie rozszedłby się z nią i nie ożenił z panią. Ale muszę panią ostrzec, że pani małżeństwo może być nielegalne.

— Nielegalne? — Najwyraźniej konwenanse były dla niej ważne, bo przypuszczenie, że może żyje z Bradshawem bez ślubu, ubodło ją. — Przecież wzięliśmy ślub w Reno, sędzia nam go dał.

— Rozwód z Tish może być nieważny — powiedziałem. — Chyba nie została urzędowo powiadomiona o działaniach Roya. Wedle prawa kalifornijskiego oznacza to, że nadal jest jej mężem, jeśli ona tego chce.

Kręcąc głową, wyrwała mi z rąk tomik i gwałtownie cisnęła go na fotel. Wyfrunęła z niego kartka. Podniosłem ją z podłogi.

Był na niej kolejny wiersz, przepisany — lub napisany — przez Bradshawa:

Dla Laury

Gdyby czarne było światło,
A czerń światłem razila,
Czarna dziura, księżyc,
W nocy blasku by się kryła.

Skrzydło kruka
Lśniłoby jak cyna,
A ty mroczniejsza niż grzech
Byłabyś, miła.

Przy śniadaniu czytałem ten sam wiersz Arniemu i Phyllis. Wydrukowano go dwadzieścia dwa lata temu w bridgetonskim „Blezerze” i podpisano: G.R.B. Doznałem olśnienia. Bridgeton i Pacific Point zwały mi się w huku wodospadów czasu. G.R.B. George Roy Bradshaw.

— Kiedy napisał pani ten wiersz, Lauro?

— Ostatniej wiosny, gdy pożyczał mi Yeatsa.

Zostawiłem ją czytającą po cichu wiersz, usiłującą odzyskać tamtą wiosnę.

ROZDZIAŁ 30

Przechodząc przez hol Surf House, zauważyłem matkę Helen siedzącą samotnie w kącie. Była głęboko zamyślona i nie podniosła wzroku, dopóki się nie odezwałem:

—Do późna pani siedzi, pani Hoffman.

—Nie mam wyboru — odparła z urazą. — Niby mieszkamy wspólnie w domku z panią Deloney i to był całkowicie jej pomysł, ale wyprosiła mnie, bo ma wizytę znajomego i nie chce, żeby jej przeszkadzać.

—Chodzi o Roya Bradshawa?

—Tak kaže teraz na siebie mówić. Znałam George'a Bradshawa, kiedy cieszył się z każdego gorącego posiłku, jaki dostawał w mojej kuchni.

Przysunąłem fotel do jej fotela, mówiąc:

—Wszystko to tworzy interesujący zbieg okoliczności.

—Też mi się tak zdaje. Ale nie powinnam o tym mówić.

—A kto pani zabrania?

—Pani Deloney.

—Czy ona rozkazuje pani, co ma pani robić?

—Nie, ale to miło z jej strony, że zabrała mnie z tego lichego pokoiku w hotelu Pacific i... —przerwała, zastanawiając się nad czymś.

—I upchnęła panią w holu?

—To tylko chwilowe.

— Życie też jest chwilowe. Czy pani i pani mąż zamierzacie do śmierci wysłuchiwać rozkazów Deloneyów? Nic pani z tego nie ma, poza wątpliwą frajdą, że przesuwa panią z kąta w kąt.

— Nikt nie przesuwa Earla z kąta w kąt — zaprotestowała. — Niech go pan w to nie miesza.

— Miała pani od niego jakąś wiadomość?

— Nie, i martwię się tym. Dwa wieczory z rzędu dzwoniłam do domu i nikt nie podniósł słuchawki. Boję się, że pije.

— Jest w szpitalu — powiedziałem.

— Zachorował?

— Sam się wpędził w chorobę nadmiarem whisky.

— Skąd pan wie?

— Pomogłem umieścić go szpitalu. Byłem w Bridgeton wczoraj przed południem. Pani mąż porozmawiał ze mną, pod koniec całkiem otwarcie. Przyznał, że Luke Deloney został zamordowany, ale przyszyły rozkazy z góry, żeby uznać to za wypadek.

Przebiegła wzrokiem po holu, ukradkiem i ze wstydem. Nie było w nim nikogo poza nocnym recepcjonistą i wynajmującą pokój parą, która nie wyglądała na małżeństwo. Ale pani Hoffman była zdenerwowana, jakby przyglądał jej się cały tłum.

— Bez obaw — uspokoiłem ją. — Może mi pani powiedzieć, co pani wie. Pozwoli pani, że zaproszę ją na filiżankę kawy.

— Po kawie oka nie zmruję.

— W takim razie na filiżankę kakao.

— Kakao to co innego.

Poszliśmy do kawiarni. Kilku muzyków z orkiestry piło kawę przy barze. Mieli na sobie fioletoworóżowe marynarki i zwyczajem swojego plemienia utyskiwali na gąże. Usiadłem w łoży, mając naprzeciwko panią Hoffman i szklane drzwi. Gdyby Bradshaw wychodził przez hol, musiałbym go zobaczyć.

— Jak pani poznała Bradshawa, pani Hoffman?

— Helen przyprowadziła go do domu z college'u. Myślę, że przez jakiś czas leciała na niego, ale widziałam, że on nie zamierzał się z nią wiązać. To była prędzej przyjaźń. Mieli wspólne zainteresowania.

— Jak poezja?

— Jak poezja, aktorstwo. Helen mówiła, że jest bardzo utalentowany jak na chłopaka w tym wieku, ale ciężko mu się utrzymać w college’u. Wystaraliśmy mu się o zajęcie na pół etatu, został windziarzem w apartamentowcu. Zarabiał tylko piątkę tygodniowo, ale i z tego był zadowolony. Kiedy go poznaliśmy, był chudy jak patyk i biedny jak mysz kościelna. Mówił, że pochodzi z bogatej bostońskiej rodziny, ale rzucił Harvard na pierwszym roku, bo chciał być samodzielny. Ja tam mu nie wierzyłam, myślałam, że może wstydzi się rodziców i stroi w cudze piórka, to chyba jednak była prawda. Słyszałam, że jego matka ma furę pieniędzy. — Spojrzała na mnie pytająco.

— Tak. Znam ją.

— Czemu młody człowiek miałby uciekać od takich bogactw? Ja przez większą część życia próbowałam uciułać choćby parę dolarów.

— Za pieniędzmi idą zależności.

Nie wdawałem się w dalsze wyjaśnienia. Kelnerka przyniosła pani Hoffman kakao, a mnie kawę. Kiedy odeszła, spytałem:

— Czy kiedykolwiek znała pani kobietę o nazwisku Macready? Letitia O. Macready?

Ręka pani Hoffman zadygotała i na podstawkę wylało się trochę brązowego płynu. Nagle uświadomiłem sobie, że ma włosy ufarbowane na niezwykle rudy odcień i że kiedyś mogła być ładną kobietą o dobrej figurze, lubiącą wyzywające stroje. Ale nie mogła być Tish Macready. Była żoną Earla Hoffmana od ponad czterdziestu lat.

Wsunęła papierową serwetkę pod filiżankę, żeby zebrać rozlane kakao.

— Znałam ją na tyle, żeby mówić jej „dzień dobry” — wyjaśniła.

— W Bridgeton?

— Nie powinnam mówić o Letitii. Pani Deloney...

— Ciało Helen kosztuje w szufladzie lodówki, a pani wciąż wyjeżdża mi z panią Deloney.

Pochyliła głowę nad lśniącem formikowym blatem.

— Boję się — wyjąkała. — Ona mogłaby zaszkodzić Earlowi.

— Już mu zaszkodziła. Jej kolesie z magistratu kazali mu zamknąć sprawę Deloneya i od tamtej pory zżera go to od środka jak rak.

— Wiem. Earl nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobił. Praca była dla niego świętością.

— Więc przyznaje pani, że to prawda?

— Co innego mi zostało? Earl nigdy się nad tym nie rozwodził, ale wiedziałam o tym i Helen też wiedziała. To dlatego odeszła z domu.

I może dlatego trudno jej było żyć uczciwie, pomyślałem.

— Earl żywił wielki szacunek dla Luke’a Deloneya — ciągnęła pani Hoffman — chociaż Luke miał swoje słabostki. Można powiedzieć, że tylko Luke o nas zadbał. Jego śmierć była ciężkim ciosem dla Earla i zaraz potem zaczął pić, to znaczy na poważnie. Martwię się o niego. — Wyciągnęła rękę nad stolikiem i opuszkami suchych palców dotknęła grzbietu mojej ręki. — Myśli pan, że wydobrzeje?

— Nie, jeśli dalej będzie pił. Ale ten ochłaj powinien przeżyć. Na pewno ma dobrą opiekę. Helen jednak nikt nie pomógł.

— Helen? A co jeszcze można zrobić dla Helen?

— My możemy coś dla niej zrobić, dochodząc prawdy. Jej śmierć prosi się o wyjaśnienie. Choćby o wyjaśnienie.

— Ale ja nie wiem, kto ją zabił. Gdybym wiedziała, wykrzyczałabym to na rynku miasta. Myślałam, że policja ściga McGee, tego, co to zabił żonę.

— McGee został oczyszczony z zarzutów. Tish Macready zabiła jego żonę i prawdopodobnie także pani córkę.

Zaprzeczyła, kręcąc z powagą głową.

— Myli się pan. To niemożliwe, co pan mówi. Tish Macready,, znaczy się Tish Osborne... umarła na długo przed tym, zanim wydarzyła się któraś z tych tragedii. Mniej więcej wtedy, jak zginął Luke Deloney, rozeszły się plotki, że ją też spotkał tragiczny los, biedną istotę.

— Powiedziała pani „znaczy się Tish Osborne”.

— Zgadza się. Była jedną z córek senatora Osborne’a, siostrą pani Deloney. Opowiadałam panu tamtego wieczoru, kiedy jechaliśmy tu z lotniska, jak polowały z ogarami. — Uśmiechnęła się słabo, nostalgicznie,

jakby mignął jej widok czerwonych fraczków, oglądanych w dzieciństwie.

— Co głośiły tamte plotki, pani Hoffman?

— Że przed śmiercią Luke'a Deloneya coś było między nim i nią. Niektórzy powiadali, że to ona go zastrzeliła, ale nigdy w to nie wierzyłam.

— Czy miała romans z Deloneyem?

— Często pojawiała się w jego apartamencie, to żadna tajemnica. Kiedy Luke i pani Deloney byli w separacji, pełniła rolę nieoficjalnej pani domu. Niespecjalnie zwracałam na to uwagę. Ale przecież już miała rozwód z Valem Macreadym. I była szwagierką Luke'a, więc co w tym niestosownego, że bywała u niego?

— Czy miała rude włosy?

— Powiedziałabym, że raczej płomienistokasztanowe. Miała piękne płomienistokasztanowe włosy. — Pani Hoffman bezwiednie poprawiła swoje farbowane loczki. — Tish Osborne miała w sobie masę życia. Było mi jej bardzo żal, kiedy się dowiedziałam, że umarła.

— Co ją spotkało?

— Dokładnie nie wiem. Umarła w Europie, kiedy faszyci zdobyli Francję. Pani Deloney wciąż nie może się otrząsnąć po jej śmierci. Jeszcze dziś o tym mówiła.

Poczułem coś na plecach, jakby sunące wilgotne odnóża pająka. Dotarły do karku i włosy mi się zjeżyły. Dziesięć lat temu i ponad dziesięć po tym, jak Niemcy zdobyli Francję, upiór Tish — a może ktoś podszywający się pod nią, kobieta lub mężczyzna — zapukał do drzwi pewnego domu w Indian Springs.

— Jest pani pewna, że ona nie żyje, pani Hoffman?

Skinęła głową.

— Dużo pisali o tym w gazetach, nawet chicagowskich — powiedziała. — W swoim czasie Tish Osborne była największą pięknoscią w Bridgeton. Jej przyjęcia na początku lat dwudziestych były słynne w całym mieście. Wyszła za Vala Macready'ego, tego, co to odziedziczył fabryki konserw po matce.

— Czy on nadal żyje?

— Ostatni raz słyszałam o nim podczas wojny. Ożenił się z jakąś Angielką i mieszkał w Anglii. Nie był z Bridgeton i nigdy naprawdę go nie poznałam. Śledzę tylko kronikę towarzyską i nekrologi.

Pociągnęła łyżeczek kakao. Jej spojrzenie, jej opanowana postawa zdawały się mówić, że życie nie dało jej rady. Helen była inteligentniejsza, Tish Osborne bogatsza, ale to ona przetrwała. Miała również przetrwać Earla i pewnie urządzi mu ołtarzyk w pokoju, w którym trzymał alkohole za żaluzjowym zamknięciem biurka.

No cóż, rozgryzłem jedną ze starszych pań. Wyglądało jednak na to, że z drugą nie pójdzie mi tak łatwo.

— Czemu pani Deloney przyleciała do Pacific Point?

— Pewnie to tylko kaprys bogaczki. Powiedziała, że chciała mi pomóc w tarapatach.

— Czy kiedyś się przyjaźniłyście?

— Ledwo ją znam. Earl zna ją lepiej.

— Czy przyjaźniła się z Helen?

— Nie. Jeśli kiedyś się poznały, to ja nic o tym nie wiem.

— Zadała sobie wiele trudu, żeby pomóc prawie nieznanemu osobie. Czy udzieliła pani jakiejś konkretnej pomocy, poza tym, że wynajęła domek?

— Zaprosiła mnie na lunch i kolację. Nie chciałam, żeby płaciła za mnie, ale się uparła.

— Czego oczekuje od pani w zamian za hotel i posiłki?

— Niczego.

— Czy prosiła, żeby pani nie mówiła o jej siostrze, o Tish?

— To prawda, prosiła. Miałam nic nie mówić ani o jej kontaktach z Deloneyem, ani o plotkach, które krążyły na temat jego śmierci. Jest bardzo wrażliwa na punkcie siostry.

— Nadwrażliwa, skoro Tish nie żyje od dwudziestu lat. Komu miała pani nie mówić o tych sprawach?

— Nikomu, zwłaszcza panu.

Ukryła cichy nerwowy chichot za filiżanką z resztką kakao.

ROZDZIAŁ 31

Wyszedłem na trawnik przy hotelu. Księżyc majestatycznie płynął wysoko po niebie, odbijając się w ozdobnych sadzawkach hiszpańskiego ogrodu. Światło wydobywające się zza okiennic domku pani Deloney miało cieplejszy odcień niż to spływające z góry, a toczona za nimi rozmowa była zbyt cicha, by dało się ją podsłuchać.

Zapukałem do drzwi.

— Kto tam? — spytała gospodyni.

— Obsługa. — Obsługa detektywistyczna.

— Nie zamawiałam niczego.

Ale otworzyła drzwi. Prześlizgnąłem się obok niej i stanąłem przy ścianie. Bradshaw siedział naprzeciwko, obok kominka, na angielskiej sofie. W głębokim palenisku migotał wąty płomień.

— Witam — rzekł Bradshaw.

— Witaj, George. Wyraźnie drgnął.

Pani Deloney powiedziała:

— Wynoś się stąd. — Miała idealnie okrągłe oczy w idealnie kwadratowej twarzy, kościstej i tchnącej żelazną wolą. — Wezwę detektywa hotelowego.

— Śmiało, jeśli chce pani, żeby brudy się rozniosty.

Zamknęła drzwi.

—Równie dobrze możemy mu powiedzieć — stwierdził Bradshaw.
— Kомуś musimy.

Potrząsnęła głową na „nie”, tak gwałtownie, że straciła równowagę. Cofnęła się kilka kroków i przegrupowała siły patrząc na mnie i na Bradshawa, jakbyśmy obaj byli jej wrogami.

—Absolutnie zakazuję — powiedziała do niego. — Nie wolno ci nic mówić.

—To i tak się rozniesie. Lepiej będzie, jeśli sami to zrobimy.

—Nic się nie rozniesie. Dlaczego miałyby się roznieść?

—Po części dlatego, że popełniła pani błąd, zjawiając się tutaj — oświadczyłem. — To nie pani miasto, pani Deloney. Tu nie zamiecie pani niczego pod dywan jak w Bridgeton.

Odwróciła się do mnie tyłem.

—Nie zwracaj na niego uwagi, George — powiedziała.

—Mam na imię Roy.

—Roy — poprawiła się. — Ten człowiek próbował blefować przede mną wczoraj w Bridgeton, ale nic nie wie. Wystarczy nam tylko trzymać język za zębami.

—Co dzięki temu zyskamy?

—Spokój.

—Zakosztowałem tego spokoju przez wszystkie poprzednie lata — mruknął. — Mam go po dziurki w nosie. Ty miałaś prawdziwy spokój. Nie wiesz, co przeszedłem. — Wsparł głowę na oparciu sofy i uniósł wzrok ku sufitowi.

—Czekają cię gorsze przejścia — powiedziała ostro — jeśli teraz dasz się ujarznić.

—Przynajmniej coś się zmieni.

—Jesteś głupcem i mięczakiem. Ale ja nie będę beczynną patrzeć, jak reszta mojego życia zamienia się w ruinę. Jeśli ulegniesz, nie dostaniesz ode mnie złamanego dolara.

—Dam sobie radę i bez tego.

Ale pilnował się, żeby nie powiedzieć niczego, co chciałem wiedzieć. Tak długo nosił maskę, że przywarła do jego twarzy i kontrolowała słowa, a może i myśli. Ta stara, odwrócona plecami kobieta również grała przede mną jak przed widownią.

—To akademicki spór — oświadczyłem. — Już wiadomo, że macie

trupa w szafie. Wiem, że pani siostra, Letitia, zastrzeliła pani małżonka, Luke'a Deloneya. Wiem, że potem wyszła za mąż za Bradshawa. Mam na to słowa jego matki...

— Jego matki?

Bradshaw się wyprostował i powiedział z naciskiem:

— Ostatecznie mam matkę. Nadal z nią mieszkam i ją też należy brać pod uwagę w tej sprawie — dodał swoim poważnym, kulturalnym głosem, patrząc w skupieniu na panią Deloney.

— Prowadzisz bardzo skomplikowane życie — zauważyła.

— Mam bardzo skomplikowany charakter.

— Znakomicie, młody Panie Skomplikowany, piłka jest na twojej połowie boiska. Graj. — Podeszła do dwuosobowej kanapki i usiadła na niej.

— Myślałem, że piłka jest na mojej połowie — powiedziałem — ale bardzo proszę, graj, Bradshaw. Możesz zacząć od samego początku, od morderstwa Deloneya. Ty jesteś tym świadkiem, o którym mówiła Helen, prawda?

Skinął głową.

— Nie powinienem iść z tą straszną wiadomością do Helen. Jednakże byłem bardzo poruszony, a poza nią nie miałem żadnych przyjaciół.

— Z wyjątkiem Letitii.

— Tak. Z wyjątkiem Letitii.

— Jaki był twój udział w morderstwie?

— Po prostu byłem przy tym. I mówiąc dokładnie, to nie było morderstwo. Deloney został zabity w samoobronie, jak najbardziej przypadkowo.

— Do tego miejsca znam tę historię.

— To prawda. Przyłapał nas w łóżku, w swoim apartamencie.

— Czy ty i Letitia często chodziliście do łóżka?

— To był pierwszy raz. Napisałem o niej wiersz, który wydrukowano w szkolnym czasopiśmie, i pokazałem go jej w windzie. Przez całą wiosnę obserwowałem ją i podziwiałem. Była dużo starsza ode mnie, ale fascynowała mnie. To pierwsza kobieta, którą miałem. — Mówiąc o niej, nadal był wniebowzięty, po tylu latach.

— Co się wydarzyło w sypialni, Bradshaw?

— Jak mówiłem, przyłapał nas. Wyjął z komody broń i uderzył mnie kolbą. Tish próbowała go powstrzymać. Rozbił jej twarz bronią. Wtedy złapała go za ręce, broń wystrzeliła i zabiła go.

Potań powiekę i skinieniem głowy wskazał starą kobietę. Przyglądała się nam z kąta, z dystansu lat.

— Pani Deloney wyciszyła sprawę czy też kazała ją wyciszyć. W tamtych okolicznościach nie można jej za to winić. Ani nas. Pojechaliliśmy do Bostonu. Tish spędziła tam wiele miesięcy w szpitalu i poza nim, przechodząc operacje plastyczne twarzy. Potem się pobraliśmy. Mimo różnicy wieku byłem w niej zakochany. Zapewne więc z matką przygotowała mnie do pokochania Tish.

Nagły błysk spod grubych powiek zdradził, że mimo całej swej inteligencji jest na poły szalony. Gorycz wykrzywiła mu wargi.

— Pojechaliliśmy do Europy na miesiąc miodowy. Matka najęła we Francji detektywów i wysłała ich za nami. Musiałem zostawić Tish w Paryżu i wrócić do kraju, pogodzić się z matką i zacząć studia na Harvardzie. Tymczasem w Europie wybuchła wojna. Nigdy więcej nie ujrzałem Tish. Zachorowała i umarła, zanim się dowiedziałem, że coś jej zagraża.

— Nie wierzę ci. Nie było czasu na to wszystko.

— To się wydarzyło bardzo szybko, jak każda tragedia.

— Twoja tragedia ciągnęła się znacznie dłużej. Przez dwadzieścia dwa lata.

— Nie — zaprzeczyła pani Deloney. — Roy mówi prawdę i mogę to udowodnić.

Przeszła do następnego pokoju i wróciła z kartką papieru, zniszczoną i przetartą na zgięciach. Rozłożyłem ją. Był to *acte de deces*, wydany w Bordeaux 16 lipca 1940 roku. Dokument głosił w języku francuskim, że Letitia Osborne Macready, wiek 45 lat, zmarła na zapalenie płuc.

Oddałem kartkę pani Deloney.

— Nosi to pani wszędzie? — zapytałem.

— Akurat wzięłam go ze sobą.

—Po co?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

—Powiem pani, po co. Bo pani siostra jest cała i zdrowa i boi się pani, że zostanie ukarana za swoje zbrodnie.

—Moja siostra nie popełniła żadnej zbrodni. Śmierć mojego małżonka nastąpiła w wyniku obrony koniecznej lub nieszczęśliwego wypadku. Komisarz policji był tego świadomy, inaczej nigdy nie wyciszyłby sprawy.

—To możliwe. Ale Constance McGee i Helen Haggerty nie zostały zastrzelone przypadkiem.

—Moja siostra umarła wiele lat przed tym, zanim zamordowano tę kobiety.

—Pani czyny zaprzeczają temu i znaczą więcej niż ten podrobiony akt zgonu. Na przykład dzisiaj była pani u Gila Stevensa i próbowała wyciągnąć od niego informacje na temat sprawy McGee.

—A więc nie dochował tajemnicy zawodowej, którą był związany?

—Nie miał czego dochowywać. Nie jest pani jego klientką. Stevens nadal reprezentuje McGee.

—Nie powiedział mi tego.

—Czemu miałyby to robić? To nie pani miasto.

Zbita z tropu, odwróciła się do Bradshawa. Pokręcił głową. Przeciąłem pokój i stanąłem nad nim, mówiąc:

—Jeśli Tish jest pochowana we Francji, dlaczego zadałeś sobie tyle trudu, żeby się z nią rozwieść?

—Więc wiesz o rozwodzie? Potrafisz się dokopać do faktów jak szczur do ścierwa na śmietniku, padlinożerco. Zaczynam się zastanawiać, czy jest coś w moim prywatnym życiu, o czym nie wiesz.

Siedział tak, patrząc na mnie błyszczącym, pełnym obaw wzrokiem. Załamaniem się jego linii obronnych sprawiło, że trochę mnie poniosło i powiedziałem:

—Twoje prywatne życie, jedno czy więcej, nadaje się w sam raz do książki. Czy utrzymywałeś dwa domy, dzieląc czas między matkę i żonę?

—To chyba oczywiste — odparł bezbarwnym głosem.

— Czy Tish mieszka tu, w mieście?

— Mieszkała na terenie Los Angeles. Nie mam zamiaru mówić ci gdzie, i mogę cię zapewnić, że nigdy nie znajdziesz tego miejsca. Zresztą to bez sensu, bo już jej tam nie ma.

— Gdzie i jak tym razem umarła?

— Nie umarła. Zgadłeś, to francuskie świadectwo zgonu sfalszowano. Ale ona jest poza twoim zasięgiem. W sobotę wsadziłem ją do samolotu do Rio de Janeiro i już tam jest.

Pani Deloney krzyknęła:

— Nie powiedziałaś mi tego!

— Nie zamierzałem o tym mówić nikomu. Muszę jednak otworzyć panu Archerowi oczy na fakt, że nie ma sensu dalej dążyć tej sprawy. Moja żona... była żona... jest starą kobietą, do tego chorą, i nie może być mowy o ekstradycji. Zapewniłem jej opiekę medyczną i psychiatryczną w południowoamerykańskim mieście, którego nazwy nie podam.

— Przyznajesz, że zabiła Helen Haggerty?

— Tak. Wyznała mi to, kiedy pojechałem się z nią spotkać w Los Angeles, w sobotę rano. Zastrzeliła Helen i ukryła broń w stróżówce. Skontaktowałem się z Foleyem w Reno głównie po to, aby się zorientować, czy coś wie. Nie chciałem, żeby mnie szantażował...

— Myślałem, że już cię szantażuje.

— To Helen mnie szantażowała — odparł. — Dowiedziała się o mojej sprawie rozwodowej w Reno i błyskawicznie zrozumiała wiele rzeczy, w tym także to, że Tish nadal żyje. Dałem jej sporo pieniędzy i załatwiłem pracę w college'u, aby chronić Tish.

— I siebie.

— I siebie. Muszę strzec reputacji, chociaż nie zrobiłem nic wbrew prawu.

— To prawda. Świetnie umiesz spychać brudną robotę na innych. Ściągnąłeś Helen, żeby mieć zasłonę dymną, no nie?

— Niezbyt rozumiem, ku czemu zmierzasz. — Ale poruszył się niespokojnie.

— Kilka razy wyszedłeś z nią do miasta i puściłeś wieść, że jest twoją

wybranką. To była oczywiście bzdura. Byłeś już żonaty z Laurą i nienawidziłeś Helen, nie bez powodu zresztą.

— To nieprawda. Mimo żądań, jakie mi stawiała, utrzymywaliśmy bardzo dobre stosunki. Przecież była moją starą przyjaciółką i uważałem, że ma rację, domagając się czegoś od świata.

— Wiem, co dostała Helen... kulę. To samo co Constance McGee. Taki sam los czekałby Laurę, gdybyś nie podsunął na jej miejsce Helen.

— Obawiam się, że nadmiernie to komplikujesz.

— Mówiąc o takim skomplikowanym charakterze jak twój?

Rozejrzył się po pokoju, jakby czuł się uwięziony w nim lub w labiryncie swojego charakteru.

— Nigdy nie udowodnisz, że przyłożyłem rękę do śmierci Helen. To był dla mnie straszliwy wstrząs. Wyznanie Letitii było kolejnym wstrząsem.

— Dlaczego? Musiałeś wiedzieć, że zabiła Constance McGee.

— Nie wiedziałem o tym do soboty. Przyznaję, miałem podejrzenia. Tish zawsze była dziko zazdrosna. Przez dziesięć lat żyłem z potworną wizją tamtego morderstwa, między nadzieją, że się mylę, i podejrzeniem, że jednak nie...

— Czemu nie zapytałeś Tish wprost?

— Nie potrafiłem się na to zdobyć. I bez tego sprawy między nami bardzo źle się układały. Musiałbym przyznać się do tego, że kochałem Connie. — Usłyszał swoje słowa i na chwilę zamilkł, opuściwszy oczy, jakby spoglądał w przepaść, którą miał w sobie. — Naprawdę ją kochałem, wiesz. Jej śmierć o mało mnie nie wykończyła.

— Ale wyszedłeś z załamania, żeby znów się zakochać.

— To ludzka rzecz — odparł. — Nie należę do ludzi, którzy potrafią żyć bez miłości. Kochałem nawet Tish, tak długo i mocno, jak potrafiłem. Ale zrobiła się stara i chorowita.

Pani Deloney splunęła. Powiedział do niej:

— Chciałem mieć żonę, która dałaby mi dzieci.

—Niech Bóg ma w opiece twoje dzieci, pewnie je porzucisz. Złamałeś wszystkie obietnice, które dałeś mojej siostrze.

—Každy łamie obietnice. Nie zamierzałem zakochać się w Connie. To się po prostu wydarzyło. Przypadkiem natknąłem się na nią w poczekalni gabinetu lekarskiego. Ale nie odwróciłem się od twojej siostry. Nigdy. Uczyniłem dla niej więcej niż ona kiedykolwiek dla mnie.

Prychnęła z arogancją świeżej arystokratki:

—Moja siostra wyciągnęła cię z rynsztoka. Kim byłeś, windziarzem?

—Byłem studentem college'u i windziarzem z własnego wyboru.

—Coś podobnego!

Pochylił się, mierząc ją roziskrzonym wzrokiem.

—Gdybym chciał, mogłem czerpać z rodzinnych zasobów.

—Ach tak, ty i twoja cudowna mamusia.

—Uważaj, co mówisz o mojej matce.

W jego głosie było napięcie, lodowata groźba, i to zamknęło pani Deloney usta. Był to jeden z tych momentów, kiedy wyczuwałem, że tych dwoje prowadzi na niewidzialnej planszy grę skomplikowaną jak szachy, grę, w której trofeum jest władza. Powinienem był rzucić światło na tę planszę. Ale porządkowałem moją sprawę i tak długo, jak długo Bradshaw miał ochotę mówić, nie obchodziło mnie nic innego.

—Nie rozumiem okoliczności związanych z bronią — powiedziałem.

—Policja ustaliła, że Connie McGee i Helen zostały zastrzelone z tego samego rewolweru, pierwotnie należącego do siostry Connie, Alice. Jak Tish dostała go w swoje ręce?

—Naprawdę nie wiem.

—Coś musisz wiedzieć. Czy Alice Jenks dała go Tish?

—Bardzo możliwe.

—Nonsens, Bradshaw, dobrze wiesz o tym. Rewolwer ukradziono. Kto to zrobił?

Złożył daszek z dłoni i podziwiał jego symetrię.

—Jestem gotów ci to powiedzieć, jeśli pani Deloney opuści ten pokój — rzekł.

—Czemu miałabym to zrobić? — spytała ze swojego kąta. — Moje uszy potrafią znieść wszystko, co musiała znieść moja siostra, żeby żyć.

—Nie zależy mi na tym, żeby oszczędzić twoją wrażliwość — powiedział Bradshaw. — Zależy mi na tym, żeby oszczędzić samego siebie.

Zawahała się. Próba sił między nimi przeciągała się. Bradshaw wstał i otworzył wewnętrzne drzwi. Zobaczyłem korytarz i urządzoną z mdłym luksusem sypialnię. Na stolicku przy łóżku stał telefon z kości słoniowej i oprawiona w skórę fotografia mężczyzny o siwych wąsach. Ten mężczyzna wydawał mi się mgliście znajomy.

Pani Deloney wymaszerowała do sypialni jak żołnierz zmuszony rozkazem do odwrotu. Bradshaw gwałtownie zamknął drzwi.

—Zaczynam nienawidzić starych kobiet — mruknął.

—Miałeś opowiedzieć mi o rewolwerze.

—A tak, prawda. — Wrócił na sofę. — To niezbyt piękna opowieść. Nic tu nie jest piękne. Opowiadam ci to wszystko w nadziei, że poczujesz się całkowicie usatysfakcjonowany.

—I że nie sprowadzę władz?

—Nie widzisz, że sprowadzenie ich nic nie da? Jedynym efektem będzie lawina plotek w mieście, zniszczenie reputacji college'u, na której zbudowanie poświęciłem ogromnie dużo sił i czasu, i zrujnowanie życia więcej niż jednej osoby.

—Zwłaszcza twojego i Laury?

—Zwłaszcza mojego i Laury. Czekala na mnie, Bóg to wie. I nawet ja zasługuję na więcej, niż miałem. Przez całe dorosłe życie płaciłem za neurotyczne zauroczenie, któremu uległem, będąc jeszcze chłopcem.

—To dlatego Godwin cię leczył?

—Potrzebowałem jakiegoś oparcia. Tish nie była łatwa we współżyciu. Czasami doprowadzała mnie do szaleństwa swoją zwierzęcą gwałtownością i żądaniami. Ale teraz to jest już za mną. — W jego oczach było pytanie i błagalna prośba.

—Nie mogę niczego obiecać — powiedziałem. — Poznajmy całą historię,

potem pomyśli się nad kolejnym krokiem. Jak rewolwer Alice dostał się w ręce Tish?

— Connie wzięła go z pokoju siostry i dała mi. Mieliśmy szaleńczy pomysł, żeby w ten sposób rozwiązać nasz węzeł gordyjski.

— Chcesz powiedzieć „zabić Tish”?

— To była czysta fantazja — odparł. — Folie a deus. Connie i ja nigdy jej nie urzeczywistniliśmy, chociaż byliśmy bardzo zdesperowani. Nigdy się nie dowiesz, przez jakie męki przeszedłem, dzieląc siebie między dwie kochanki; jedną starą i pazerną, drugą młodą i namiętą. Jim Godwin ostrzegł mnie, że grozi mi duchowa śmierć.

— Na którą, jak wiadomo, najlepszym lekarstwem jest morderstwo.

— Nie popełniłem żadnego morderstwa. Nie mógłbym. To Jim otworzył mi oczy na ten fakt. Jestem człowiekiem niezdolnym do gwałtu.

Ale był przepełniony gwałtownością, która rozpierała gorset konwencjonalnych obaw, utrzymujący w ryzach jego naturę. Wyczuwałem płynącą ku mnie straszliwą nienawiść. Mogłem się jej spodziewać, przecież wydobywałem na światło dzienne wszystkie jego sekrety.

— Co stało się z bronią, którą Connie ukradła?

— Myślałem, że odłożyłem ją w bezpieczne miejsce, ale Tish musiała ją znaleźć.

— W twoim w domu?

— W domu matki. Czasem ją tam przywoziłem, kiedy matki nie było.

— Czy była tamtego dnia, kiedy odwiedził cię McGee?

— Tak. — Spojrzał mi w oczy. — To zdumiewające, że o tym wiesz. Jesteś bardzo dociekliwy i dokładny. Tamtego dnia wszystko osiągnęło punkt krytyczny. Tish musiała znaleźć broń w moim gabinetowym sejfie. Wcześniej pewnie usłyszała, jak McGee oskarża mnie o zainteresowanie jego żoną. Wzięła broń i użyła jej przeciwko Connie. Być może jest w tym jakaś poetycka sprawiedliwość.

Równie dobrze mógł rozprawić o zdarzeniach dotyczących kogoś innego,

o zgonie postaci historycznej czy powieściowej. Już nie zależało mu na życiu. Być może to miał na myśli Godwin, mówiąc o duchowej śmierci.

— Czy nadal utrzymujesz, iż nie wiedziałeś, że to Tish zamordowała Connie? I że dopiero ostatniej soboty dowiedziałeś się o tym od niej samej?

— Prawdopodobnie nie dopuszczałem do siebie tej możliwości. Wiedziałem tylko, że broń po prostu znikła. Tak samo mógł ją zabrać McGe-e, kiedy był u mnie. Oficjalne oskarżenie przeciwko niemu wydawało się oparte na bardzo mocnych podstawach.

— Zmontowano je, wykorzystując stare wpływy i naciski, świetnie o tym wiesz. Los McGee i jego córki jest dla mnie najważniejszy. Nie spocznę, dopóki nie zostaną całkowicie oczyszczeni z zarzutów.

— Ale to przecież jest niemożliwe. Najpierw należałoby ściągnąć Letitię z Brazylii.

— Nie ma żadnych dowodów na to, że naprawdę tam wyjechała. Są tylko twoje słowa — oświadczyłem. — Nawet pani Deloney była zaskoczona, kiedy się o tym dowiedziała.

— Wielkie nieba, nie wierzysz mi? Obnażyłem przed tobą duszę.

— Musiałeś mieć w tym jakiś cel. Myślę, że jesteś kłamcą, Bradshaw, jednym z tych wirtuozów oszustwa, którzy wykorzystują prawdziwe fakty i emocje, żeby uprawdopodobnić swoje bajeczki. Ale coś tu nie gra, i to bardzo. Gdyby Tish naprawdę była w Brazylii, żadne tortury nie zmusiłyby cię, żebyś mi to wyznał. Myślę, że ukrywa się tu, w Kalifornii.

— Mylisz się całkowicie.

Uniósł ku mnie wzrok, tak szczery i otwarty, jak tylko może być szczery i otwarty wzrok aktora. Telefon brzęczący za drzwiami sypialni przerwał pojedynek naszych spojrzeń. Bradshaw ruszył do aparatu. Ale byłem od niego szybszy. Przyparłem go do futryny drzwi i podniosłem słuchawkę, zanim aparat zadzwonił po raz trzeci.

— Halo.

— To ty, kochanie? — Był to głos Laury. — Roy, boję się. Ona wie o

nas! Przed chwilą zadzwoniła i powiedziała, że przyjeżdża.

— Zamknij drzwi na klucz i na łańcuch. I lepiej zadzwoń na policję.

— To nie Roy, prawda?

Roy był za mną. Kiedy się odwracałem, zdążyłem jeszcze zobaczyć błysk brązu, gdy pogrzebacz w jego ręce opadał na moją głowę.

ROZDZIAŁ 32

Pani Deloney tłukła mnie po twarzy mokrym ręcznikiem. Kazałem jej przestać. Kiedy wstałem, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, była fotografia obok telefonu. Widziałem ją jak przez mgłę i może dlatego wydała mi się identyczna z podobizną starszego czarnookiego dżentelmena, wiszącą nad kominkiem w salonie pani Bradshaw.

— Czemu trzyma pani zdjęcie ojca Bradshawa?

— Tak się składa, że to mój ojciec, senator Osborne.

— Więc pani Bradshaw też jest wirtuozem — powiedziałem.

Pani Deloney popatrzyła na mnie tak, jakby moja głowa rzeczywiście ucierpiała od pogrzebacza. Ale metal ześlizgnął się po czaszce i straciłem przytomność zaledwie na kilka sekund. Gdy dobiegłem na parking hotelowy, Bradshaw właśnie z niego wyjeżdżał.

Jego lekkie auto skierowało się w górę, oddalając od oceanu. Jechałem za nim do Foothill Drive i dopadłem go spory kawałek przed domem. Ułatwił mi zadanie, nagle hamując. Jego auto wpadło w poślizg, stanęło bokiem i, dygocąc, zatrzymało się w poprzek drogi.

Ale to nie mnie chciał zatrzymać. Z góry zjeżdżało ku nam inne auto. Reflektory zbliżające się pod drzewami wyglądały jak wielkie, zastygłe szalone oczy. Snopy światła obrysowały sylwetkę Bradshawa. Chyba mowcał się z pasem bezpieczeństwa. Rozpoznałem rollsa pani Bradshaw,

zanim staranował małe autko.

Zjechałem na pobocze, włączyłem światła awaryjne i pobiegłem w górę, na miejsce wypadku. Tupot moich nóg rozlegał się bardzo głośno w ciszy, jaka zaległa po kraksie. Zmarszczony nos rollsa zanurzał się głęboko w wygiętej karoserii auta Bradshawa. On sam leżał nieruchomo na siedzeniu. Krew ściekając z jego czoła i nosa do kącików ust.

Otworzyłem drzwi z drugiej strony, wszedłem do środka i rozpiąłem pas. Bradshaw opadł bezwładnie w moje ramiona. Położyłem go na drodze. Zygzaki krwi na jego twarzy przypominały pęknięcia maski, spod której wygląda żywa tkanka. Ale on nie żył. Spoczywał nieruchomo pod żelaznymi cieniami konarów, jego puls i oddech były niewyczuwalne.

Starsza pani Bradshaw wysiadła z wysokiego, bezpiecznego fotela. Chyba nie była nawet draśnięta. Pamiętam, że w tamtym momencie wydała mi się pierwotną mocą, której nic nie może zniszczyć.

— To Roy, prawda? Ma się dobrze?

— W pewnym sensie tak. Chciał skończyć z tym wszystkim. I skończył.

— Co pan sugeruje?

— Obawiam się, że jego też pani zabiła.

— Ale ja nie chciałam go zabić. Nie skrzywdziłabym własnego syna, owocu mego łona.

Jej łamiący się głos przepełniała macierzyńska rozpacz. Ta kobieta tak długo grała swoją rolę, że chyba niemal uwierzyła, iż jest jego matką. Jej rzeczywistość zatraciła kontury jak oświetlony księżycem krajobraz wokół nas.

Rzuciła się ku martwemu mężczyźnie, przytuliła go, jakby jej stare ciało mogło natchnąć go ciepłem życia i rozplomienić jego miłość do niej. Wzywała go pieszczotliwie, przytykając usta do ucha, nazywając niegrzecznym udającym chłopcem, który chce ją przestraszyć.

Potrząsnęła nim.

— Obudź się! To ja, mamusia.

Jak mi się zwierzyła, noce nie były dla niej najlaskawsze.

Ale fałszywość jej charakteru dorównywała fałszywości charakteru Roya i w jej egzaltacji był element aktorstwa.

— Niech go pani zostawi — powiedziałem. — I da sobie spokój z tym udawaniem matki. Nawet bez tego sytuacja jest wystarczająco nieprzyjemna.

Odwróciła się z dziwną powolnością, z rozbieganym wzrokiem, zanim wzięła się w karby i uniosła spojrzenie ku mnie.

— Udawaniem matki? — powtórzyła.

— Roy Bradshaw nie był pani synem. Odstawialiście świetne przedstawienie. Godwin pewnie powiedziałby, że zaspokajało wasze neurotyczne potrzeby. Ale to już koniec.

Podniosła się w przyływie gniewu, który prawie rzucił ją na mnie. Czulem zapach jej lawendy i jej siłę.

— Jestem jego matką! Mam świadectwo urodzenia Roya.

— Pewnie, że pani ma. Pani siostra pokazała mi świadectwo zgonu, z którego wynika, że umarła pani we Francji w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Z pani pieniędzmi może pani udokumentować wszystko. Ale nie zmieni pani faktów, zmieniając je na papierze. Roy ożenił się z panią w Bostonie, po tym, jak zabiła pani Deloneya. Kiedy zakochał się w Constance McGee, zabiła ją pani. Roy żył z panią przez kolejne dziesięć lat, jeśli można to nazwać życiem, sparaliżowany strachem, że zabije pani znowu, gdyby ośmielił się pokochać inną. Ale w końcu się ośmielił, pokochał Laurę Sutherland. Udało mu się przekonać panią, że jest zainteresowany Helen Haggerty, więc w tamten piątkowy wieczór przeszła pani leśną przecinką i zastrzeliła ją. To są fakty, których pani nie zmieni.

Między nami zapadła cisza, wąta i ponura jak światło księżyca. Po chwili kobieta powiedziała:

— Broniałam tylko swoich praw. Roy był mi winien przynajmniej wierność. Dałam mu pieniądze i nazwisko, posłałam do Harvardu, zamieniłam w rzeczywistość wszystkie jego marzenia.

Spojrzeliliśmy na spoczywającego nieruchomo mężczyznę, który już nigdy więcej nie miał marzyć.

— Jest pani gotowa jechać ze mną do śródmieścia i opowiedzieć w obecności władz, jak przez lata broniła pani swoich praw? Biedny Tom

McGee wrócił do więzienia, odkiblować pani mokrą robotę.

Wyprostowała się.

— Nie wolno ci używać takiego języka wobec mnie — rzekła. — Nie jestem kryminalistką.

— Jechałaś do Laury Sutherland, prawda? Co planowałaś, starucho?

Zakryła dłonią usta. Pomyślałem, że ma mdłości, że ogarnął ją wstyd. Ale ona powiedziała:

— Nie masz prawa tak do mnie mówić. Nie jestem stara. Nie patrz na moją twarz, spójrz mi w oczy. Przekonasz się, jaka jestem młoda.

Kto wie, może to była prawda? Nie widziałem dokładnie jej oczu, ale wiedziałem, że są błyszczące, czarne i pełne życia. Nadal była go chciała, jak zmyślona Letitia, wynaturzona projekcja jej samej, ukryta za sztucznym lamparcim futerkiem.

Uniosła rękę do pomarszczonego podbródka i zaproponowała:

— Dam ci pieniądze.

— Roy brał twoje pieniądze. Zobacz, co się z nim stało.

Odwróciła się nagle i rzuciła do samochodu. Zgadłem, co ma w głowie: kolejny zgon, kolejny cień, którym będzie się karmić, i pierwszy dopadłem rollsa. Jej czarna skórzana torebka leżała na podłodze, tam gdzie upadła podczas kolizji. W środku znalazłem nowy rewolwer, z którego zamierzała zastrzelić nową żonę Roya.

— Daj mi to.

Powiedziała to z mocą senatorskiej córki i straszliwą mocą osoby, która zabiła dwie kobiety i dwóch mężczyzn.

— Nie użyjesz więcej broni — rzekłem. Niczego więcej nie użyjesz, Letitio.